

R A Salvatore

Dwa Miecze

(The Two Swords)

Trylogia Klingi Łowcy Księga III

Tłumaczenie: Michał Studniarek

PROLOG.

Wobec ciemności, spowijających krasnoludzkie jaskinie, światło pochodni wydawało się bardzo słabe. Dym wirował wokół Delly Curtie, drażniąc jej oczy i gardło równie mocno, jak mamrotania i narzekania siedzących w sali ludzi drażniły jej zmysły. Namiestnik Regis wspaniałomyślnie przekazał sporo pomieszczeń tym niewdzięcznikom, uciekinierom ze wsi i miasteczek, splądrowanych przez bezwzględne króla Oboulda i jego orki podczas drogi na południe.

Delly upominała się, by nie być dla tych ludzi zbyt surową. Wszyscy coś utracili, wielu było ostatnimi żyjącymi członkami wymordowanych rodzin, a troje nawet jedynymi ocalałymi z całego miasteczka! Zaś warunki, najlepsze, jakie mogli zaoferować Regis czy Bruenor, niezbyt odpowiadały ludziom.

Ta myśl mocno uderzyła Delly: obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że jej maleństwo, Colson, zasnęła wreszcie w swojej kołysce. Cottie Cooperson, chuda kobieta o cienkich, słomianych włosach i zapadniętych oczach siedziała obok kołyski, obejmując się ramionami i kołysząc rytmicznie w tył i w przód.

Delly wiedziała, że wspomina swoje zamordowane maleństwo.

To wspomnienie otrzeźwiło kobietę. Colson nie była tak naprawdę dzieckiem Delly, nie z urodzenia. Zaadoptowała dziewczynkę, tak jak zaadoptował ją Wulfgar, przyjmując kobietę za swoją towarzyszkę podróży i żonę. Delly podążyła za nim do Mithrilowej Hali dobrowolnie, a nawet z radością; uważała się za dobrą osobę, szczerze dodając mu ducha w poszukiwaniu przygód, trwającą obok niego w każdym czasie, nie zważając na swoje potrzeby.

Uśmiech Delly był bardziej smutny niż radosny. Chyba pierwszy raz pomyślała o sobie, że jest dobra i szczodra.

Lecz krasnoludzkie ściany zaciskały się wokół niej.

Delly Curtie nigdy nie sądziła, że będzie tak tęsknie wspominać szalone życie na ulicach Luskan, gdy przez większość czasu była na wpół pijana i każdą noc spędzała w ramionach innego mężczyzny. Pomyślała o sprytnym Moriku, wspaniałym kochanku, i o Arumnie Gardpecku, karczmarzu, który był dla niej jak ojciec. Pomyślała również o Josim Puddlesie, znajdując we wspomnieniu jego głupiego uśmiechu odrobinę odprężenia.

– Nie bądź głupia – mruknęła pod nosem.

Pokręciła głową, odpędzając te myśli. Teraz jej życie było związane z Wulfgarem i pozostałymi. Powtarzała sobie, że krasnoludy z klanu Battlehammer są dobre. Często ekscentryczne, lecz zawsze miłe i bardzo często zabawnie absurdalne. Pomimo typowo gburowatej powierzchowności okazywali się wybornymi kompanami. Niektórzy nosili dziwne ubrania i zbroje, inni dziwne i śmieszne imiona, a większość bujne, rozczochrane brody, lecz

mimo to klan okazał Delly tyle serca, ile nikt wcześniej, może z wyjątkiem Arumna. Traktowali ją jak swoją – a przynajmniej starali się, gdyż pozostało trochę różnic.

Tego nie można było ukryć.

Różnice w zwyczajach ludzi i krasnoludów, takie jak duszne powietrze w jaskiniach... powietrze, które bez wątpienia stanie się jeszcze bardziej zatęchłe, gdyż oba wyjścia z Mithrilowej Hali zostały zamknięte i zabarykadowane.

– Ach, poczuć jeszcze raz wiatr i słońce! – westchnęła kobieta po drugiej stronie sali, unosząc w toaście butelkę miodu, jakby czytając w myślach Delly.

W całej sali uniesiono kubki. Delly pojęła, że wszyscy są na najlepszej drodze do upicia się po raz kolejny. Nigdzie tu nie pasowali, a picie pomagało uspokoić bezradną frustrację i odpędzić straszne wspomnienia z przemarszu Oboulda.

Delly znów popatrzyła na Colson i pokręciła się wokół stołów. Zgodziła się nimi zajmować, przypominając sobie czasy, gdy pracowała w Luskan jako dziewczka w karczmie. Za każdym przejściem wychwytywała strzępki rozmów; każda myśl trafiała do niej i wgryzała się w tę odrobinę zadowolenia, jakie jeszcze pozostało w jej sercu.

– Zamierzam otworzyć kuźnię w Silverymoon – oznajmił jeden z mężczyzn.

– E tam, w Silverymoon! – odparł inny, mówiąc z akcentem bardzo podobnym do krasnoludzkiego. – W Silverymoon mieszka tylko banda tańczących elfów. Lepiej jedź do Sundabaru. Tam są dobrzy ludzie, którzy poznają się na porządnej robocie.

– W Silverymoon łatwiej go przyjmą – powiedziała kobieta siedząca przy innym stole. – I jak powiadają, jest tam o wiele ładniej.

Kiedys Delly słyszała, jak tymi samymi słowami opisywano Mithrilową Halę. Hala żyła ze swojej reputacji. Z pewnością przyjęcie, jakie zgotowali jej Bruenor i jego rodacy było „wspaniałe”, na swój wyjątkowy, krasnoludzki sposób. Mithrilową Halę przedstawiała sobą widok równie cudowny, jak port w Luskan. Mimo to Delly wkrótce odkryła, że ten widok szybko stawał się monotony.

Przeszła przez pomieszczenie, rzucając okiem na Colson, która wciąż spała, lecz zaczęła kasłać tak samo ochryple, jak wszyscy ludzie, przebywający w zadymionych tunelach.

– Jestem bardzo wdzięczna namiestnikowi Regisowi i królowi Bruenorowi – mówiła jedna z kobiet, jakby czytając w jej myślach – ale to nie miejsce dla ludzi!

Kobieta uniosła flaszkę.

– Zatem za Silverymoon albo Sundabar! – powiedziała, przekrzykując kolejne toasty. – Albo gdziekolwiek, gdzie można będzie zobaczyć słońce i gwiazdy!

– Everlund! – krzyknął ktoś.

Colson, leżąca w twardej kołyszce na kamiennej podłodze, kaszlnęła znowu.

Cottie Cooperson kołysała się dalej.

CZEŚĆ PIERWSZA

ORCZE AMBICJE

Spoglądałem na zbocze wzgórza, gdzie słycać było tylko śpiew ptaków. I nic więcej. Ptaki, skrzeczące, gdaczące, wbijające dzioby w niewidzące oczy. Kruki nie zataczają kręgów, kiedy lądują na polu usłanym ciałami umarłych. Widząc, jaka czeka je uczta, lecą jak pszczoła do kwiatu, wprost do celu. Są czyścicielami, tak samo jak robaki, deszcz i nieustający wiatr.

Oraz upływ czasu. Zawsze tak jest. Zmiana pory dnia, roku, epoki.

Kiedy jest już po wszystkim, zostają tylko kości i kamienie. Nie słycać już krzyków, nic nie śmierdzi. Krew została zmyta. Nażarte ptaki opuszczając pole walki zabierają ze sobą wszystko, co pozwoliłoby rozpoznać poległych wojowników w porozrzucanych wszędzie resztkach.

Pozostawiają kości i kamienie, aby się ze sobą zmieszały. Kiedy deszcz albo wiatr niszczą szkielety i łączą je ze sobą – a ich część z upływem czasu będzie przecież pogrzebana – to, co zostaje, staje się nie do odróżnienia dla wszystkich poza najbardziej spostrzegawczymi obserwatorami. Kto będzie pamiętał o tych, którzy tu polegli, i o tym, co zyskali, aby walcząc po obu stronach zrekompensować to, co utracili?

Wyraz twarzy idącego do boju krasnoluda stanowi przekonujący argument, że cena warta jest wysiłku, że walka, jeśli chodzi o krasnoludy, jest sprawą szlachetną. Dla krasnoluda nic nie jest cenniejsze od walki za pobratymca. Ich społeczność jest ściśle związana lojalnością i wspólnie przelaną krwią.

Może dla jednostki jest to dobry sposób na umieranie, godny koniec honorowego życia, może nawet taka ostateczna ofiara nadaje temu życiu wartość.

Jestem jednak ciekaw, jak to wygląda w przypadku wielkiej grupy? Co z ceną, wartością i zyskiem? Czy Obould zyskał cokolwiek wartego setki, a może nawet tysiące ofiar po jego stronie? Czy zyska cokolwiek stałego? Czy krasnoludzki szaniec wzniesiony tu, na wysokim klifie, dał ludowi Bruenora cokolwiek wartościowego? Nie mogli po prostu wślizgnąć się do Mithrilowej Hali, do tuneli, które tak łatwo można obronić?

Czy za sto lat, kiedy z nas wszystkich zostanie tylko pył, kogokolwiek będzie to obchodzić?

Zastanawiam się, co rozpala ogień podsycający obrazy zwycięskich bitew w sercach tak wielu rozumnych ras, z moją na czele. Spoglądam na pobojuwisko na zboczu i widzę pustkę. Wyobrażam sobie okrzyki bólu. Słyszę w głowie wołania do bliskich, gdy umierający wojownik wie, iż nadeszła jego ostatnia godzina. Widzę, jak wali się wieża, na szczycie której znajduje się mój najdroższy przyjaciel. Z pewnością ślady – gruz i kości – są niegodne wzmianki, lecz zastanawiam się, czy jest w tym coś mniej namacalnego, coś o większym znaczeniu? A może – i tego się obawiam – jakieś złudzenie, które raz po raz popycha nas do wojen?

Idąc za tą ostatnią myślą – czy kiedy chcemy być częścią czegoś większego, wszyscy odrzucamy spokój, przeciętność, wreszcie sam pokój? Czy uważamy, że pokój to nuda i samozadowolenie? Może hołubimy w sobie te zarzewia wojny, przygaszone tylko wyraźnymi wspomnieniami o bólu i stracie, a kiedy ten mokry koc znika dzięki leczącemu upływowi czasu, ogień rozpala się znów. Widziałem to w sobie na mniejszą skalę, gdy pojąłem i przyznałem wobec siebie, że nie jestem osobą stworzoną do komfortu i najbardziej jestem szczęśliwy, kiedy czuję wiatr na twarzy, szlak pod nogami i wiem, że za zakrętem czeka mnie przygoda.

Ruszę tym szlakiem, lecz wydaje mi się, że to coś zupełnie innego, niż gdybym miał prowadzić ze sobą całą armię, jak zrobił to Obould. Jest tu kwestia większej moralności, którą tak wyraźnie ukazują kości między kamieniami. Słyszac wojenne surmy pędzimy na złamanie karku, do szeregu, ku chwale, ale co z tymi, którzy zostali porwani przez tę żądzę wielkości?

Kto będzie pamiętał o tych, którzy tu polegli, i o tym, co zyskali, by zrekompensować wszystko to, co obie strony straciły?

Za każdym razem, kiedy tracimy ukochaną osobę, postanawiamy sobie, że nigdy o niej nie zapomnimy, że będziemy pamiętać o niej do końca naszych dni. Lecz żywi zadowolają się terażniejszością, która często wymaga naszej uwagi. I tak mijają lata, a my nie pamiętamy tych, którzy od nas odchodzą codziennie, albo co dekadzie. Pojawia się poczucie winy, bo skoro ja nie pamiętam o moim ojcu i mentorze Zaknafeinie, to kto pamięta? Jeśli nikt, to wygląda na to, iż odszedł na dobre. Mijają lata, poczucie winy słabnie, gdyż zapominamy coraz bardziej, wahadło wychyla się w naszych myślach w drugą stronę i bijemy sobie brawo przy każdej z tych niezmiernie rzadkich okazji, kiedy jeszcze o nich pamiętamy! Poczucie winy trwa chyba zawsze, gdyż jesteśmy istotami, które do ostatniej chwili pozostają skupione na sobie. To prawda o indywidualności, której nie sposób zaprzeczyć. Koniec końców wszyscy oglądamy świat tylko swoimi oczami.

Słyszałem rodziców, bojących się śmierci wkrótce po urodzeniu dziecka. Ten strach pozostaje z rodzicem zwykle aż do dwunastego roku życia potomstwa. Nie boją się, że dziecko umrze – choć z pewnością obawiają się również tego – lecz raczej o siebie. Jakież ojciec pogodzi się z wizją swojej śmierci, zanim dziecko będzie na tyle dorosłe, by go dobrze pamiętać?

Któż lepiej przydałby leżącej tu czaszce jakąś twarz? Któż lepiej pamiętałby błysk w oku, nim rozlegnie się ochryple krakanie kruka?

Żałuje, że kruki mogą krążyć, że wiatr nie zanieśie ich gdzieś, a twarze zostaną na zawsze, by przypominać nam o bólu. Nim rozlegną się trąby, nim armie znów podepczą kości leżące wśród kamieni, niech twarze umarłych przypomną nam o cenie.

Zakrwawione kamienie działają dość otrzeźwiająco.

A w uszach słyszę ostrzeżenie – krakanie kruków.

– Drizzt Do'Urden

1.

Z MIŁOŚCI DO SYNA

– Musimy przyspieszyć! – polecił mężczyzna chyba setny raz tego ranka ponad dwóm tuzinom idących za nim krasnoludów. W oświetlonych pochodniami, zadymionych tunelach Galen Firth wyglądał dziwnie nie na miejscu. Był wysoki nawet jak na człowieka, a nad niskim, krępy brodatym ludem górował bardziej niż o głowę i ramiona.

– Wysłałem zwiadowców, działają najszybciej jak mogą – odparł generał Dagna, weteran wielu bitew.

Stary krasnolud rozprostował szerokie bary, zatknął jasną brodę za skórzany fartuch, po czym przeszył Galena spojrzeniem, przed którym krasnoludy z klanu Battlehammer czmychały na boki przez wiele dziesięcioleci. Dokąd wszyscy sięgali pamięcią, Dagna zawsze był znanym i szanowanym wodzem, zanim jeszcze Bruenor został królem, nim cienisty smok Shimmergloom i jego duergarowie opanowali Mithrilową Halę. Dagna doszedł do takiej pozycji dzięki swoim czynom jako wojownik i wódz, nikt też nie kwestionował jego umiejętności w prowadzeniu krasnoludów w czasie konfliktów. Wielu spodziewało się, że to Dagna poprowadzi obronę klifu nad Doliną Strażnika, a nie równie szanowany Banak Brawnnavil. Kiedy się tak nie stało, a Bruenor leżał bliski śmierci, spodziewano się, że Dagna zostanie Namiestnikiem Hali.

Rzeczywiście, Dagnie proponowano obie te funkcje, a czynili to ci, którzy mieli ku temu odpowiednią władzę. Mimo to odmówił.

– Nie chcesz chyba, bym kazał swoim zwiadowcom biec szybciej? I może jeszcze poddać się trollom i innym takim, co? – spytał Dagna.

Słyszac to, Galen Firth aż się zachwiał, lecz nie mrugnął ani nie wycofał się.

– Chciałbym, by ta kolumna poruszała się tak szybko, jak to tylko możliwe – odparł. – Moje miasto jest w oblężeniu, może już zostało zdobyte, a na południu, poza tymi piekielnymi tunelami, wielu ludzi może być w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Miałem nadzieję, że to doda sił krasnoludom twierdzącym, że są naszymi przyjaciółmi.

– Nic nie twierdzą – Dagna zawsze potrafił się odciąć. – Robię to, o co prosili mnie namiestnik i król.

– A ciebie wcale nie obchodzą ci, którzy zginęli?

Ostre pytanie Galena sprawiło, że kilka krasnoludów wciągnęło powietrze przez zęby – pytanie to było szczególnie bolesne dla Dagny, który kilka dekadni temu stracił jedyne syna. Dagna spoglądał na mężczyznę długo i gniewnie, pomny na miejsce i swoją funkcję, chowając żąłdo, które kusiło go do gniewnej odpowiedzi.

– Idziemy najszybciej, jak możemy, a jeśli chcesz iść szybciej, zawsze możesz pobiec.

Powiem zwiadowcom, by cię przepuścili. Może nawet przejdę obok twojego ciała, kiedy znajdziemy je za jakimś zakrętem, nadgryzione przez trolle. Możliwe, że twoi rodacy z Nesme zostaną uratowani bez ciebie – Dagna przerwał i popatrzył na niego przez chwilę, milcząco zapewniając Galena Firtha, że wcale nie żartuje. – Choć wcale tak nie musi być.

To nieco ostudziło krew człowieka. Mężczyzna chrząknął i ruszył dalej korytarzem, ale znacznie wolniej.

Dagna natychmiast znalazł się obok niego i złapał go mocno za ramię.

– Wściekaj się, jeśli chcesz – powiedział – ale rób to po cichu.

Galen wyrwał się z mocnego uścisku i spojrzał krasnoludowi w twarz.

Widząc to, kilka stojących bliżej krasnoludów wybałuszyło oczy i zastanowiło się, czy Dagna pozostawi tego głupka rozciągniętego na ziemi i z rozbitym nosem. Wcześniej Galen tak się nie zachowywał. Kilka dni temu wyruszył wraz z pięćdziesięcioma krasnoludami z Mithrilowej Hali i rozkazami od namiestnika Regisa, by zrobili wszystko, co możliwe, aby pomóc obleżonym mieszkańcom Nesme. Ich podróż była spokojna aż do chwili, gdy w tunelach zaatakowała ich grupa trolli. Po starciu przyspieszyli, pokonując biegiem długą drogę na południe. Wyszli na skraju wielkich bagien zwanych Trollowymi Wrzosowiskami – zdaniem Galena, zbyt daleko na wschód. Ruszyli zatem na zachód i znaleźli dalsze tunele. Mimo protestów człowieka, Dagna uznał, że lepiej będzie, jeśli drogę tę pokonają pod ziemią. Te korytarze całkiem różniły się od tych, którymi podróżowali na południe od Mithrilowej Hali: więcej tu było piachu niż kamieni, nad głowami wyrastały korzenie drzew i krzaków, w czarnej ziemi wiło się jakieś pełzające robactwo. To sprawiało, że Galen czuł się coraz gorzej. Tunele były niższe, nie tak szerokie, co krasnoludy uznały za dobrą rzecz, zwłaszcza gdyby ściagały ich wielkie i paskudne trolle. Za to człowiek pokonywał większość trasy zgięty we dwoje.

– Mocno naciskasz starego – powiedział młody krasnolud imieniem Fender Stouthammer, gdy zatrzymali się na posiłek. Wraz z Galenem odeszli od głównej grupy, stojąc w nieco szerszym i wyższym miejscu; mężczyzna mógł tu nieco rozprostować nogi, co jednak wcale nie poprawiło mu nastroju.

– Moja sprawa jest...

– Wiemy i czujemy to – zapewnił go Fender. – Zapewniam cię, że myślimy o Mithrilowej Hali tak samo, jak ty o Nesme.

Uspokajający ton jego głosu w ogóle nie podziałał na Galena. Zamachał długim palcem tuż przed nosem krasnoluda, aż ten miał ochotę odgryźć go aż przy dłoni.

– Co ty wiesz o tym, co ja czuję?! – krzyknął. – Wiesz coś o moim synu, który może gdzieś tam kuli się na chłodzie?! A może już nie żyje, albo jest otoczony przez trolle?! Wiesz, co się stało z moimi sąsiadami?! Wiesz...

– Generał Dagna stracił niedawno syna – przerwał mu Fender i to nieco osadziło Galena.

– Nazywał się Dagnabbit – ciągnął dalej krasnolud. – Potężny wojownik i dobry druh, jak wszyscy w jego rodzie. Walczył z orczą hordą w Płyciznach, broniąc swego króla i rodu do samego końca. Był jedynym synem Dagny, zapowiadał się na godnego następcę ojca. Długo będą o nim śpiewać. Sądzę jednak, że ta myśl niezbyt studzi krew starego Dagny i nie spaja jego pękniętego serca. A potem przychodzi taki krótko żyjący człowieczek z nosem zadartym pod chmury, żądając tego i owego, jakby jego potrzeby były ważniejsze od wszystkich naszych spraw. Więcej, starałem się wejść w twoje buty. Próbowałem zrozumieć twój strach. Ale ty masz niewyparzoną gębę i jeśli nie nauczysz się trzymać jej na kłódkę, to prędzej zostaniesz wdeptany w kamienie, niż zobaczysz swój dom.

Galen Firm siedział tam przez chwilę, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

– Grozisz mi, Jeźdźcowi Nesme? – wykrztusił wreszcie.

– Mówię ci jako przyjaciel – lub wróg, wedle woli – że walcząc z Dagną na każdym zakręcie nie pomagasz ani sobie, ani swoim ludziom.

– Tunel... – warknął uparty człowiek. – Powinniśmy być na otwartej przestrzeni, gdzie usłyszałbym ich wołanie albo dostrzegłbym blask ognia!

– Albo zostałbyś otoczony przez armię trolli. Wspaniały zapach, nieprawdaż?

Galen parsknął i uniósł ręce w geście poddania. Fender przyjął to, wstał i odszedł.

Zatrzymał się jednak, odwrócił i dodał:

– Zachowujesz się tak, jakbyś był wśród wrogów albo niższych sobie. Jeśli wszyscy mieszkańcy Nesme są tak samo głupi jak ty... zbyt tępi, by rozpoznać druha, kiedy już go napotkają... to może trolle wyświadczać światu przysługę?

Galen zatrzęsł się, a Fender przez chwilę miał wrażenie, że mężczyzna rzuci się na niego z pięściami.

– Przybyłem do was, Mithrilowej Hali, w przyjaźni! – krzyknął na tyle głośno, by zwrócić uwagę krasnoludów siedzących wokół Dagny w dalszej części sali.

– Przybyłeś do Mithrilowej Hali w potrzebie, ofiarując nam tylko swoje narzekania i prośbę o więcej, niż możemy dać – poprawił Fender. – Mimo to namiestnik Regis i cały klan przyjęli odpowiedzialność przyjaźni... nie ciężar, a odpowiedzialność, głupku! Nie jesteśmy tu, gdyż jesteśmy Nesme coś winni, nie przyszliśmy prosić Nesme o coś, wreszcie nawet ty powinienes być na tyle bystry, by zauważyć, że nam wszystkim idzie o to samo. O odnalezienie twojego chłopaka, i innych mieszkańców twojego miasta, całych i zdrowych.

Te proste słowa sprawiły, że Galen zamilkł na chwilę. Nim zdecydował się, czy lepiej dalej krzyczeć, czy już uderzyć, Fender podniósł się i machnął w jego stronę sękatymi dłońmi.

– Może będziecie trochę ciszej, co? – usłyszeli z boku. Generał Dagna przyglądał się im uważnie.

– Rusz się – powiedział Fender do Galena, znów machając na niego ręką. – Zastanów się nad

tym, co powiedziałem, albo nie... jak chcesz.

Galen odszedł powoli w stronę większej grupki, stojącej na środku szerokiej sali. Szedł raczej bokiem niż przodem, jakby osłaniał plecy przed słowami, które z pewnością go zaboląły.

Fender był z tego zadowolony, choćby dla dobra Galena Firtha i Nesme.

* * *

Tos'un Armgo, smukły i zręczny, poruszał się cicho niskim korytarzem, ściskając w zębach strzałkę, a w dłoni ząbkowany nóż. Mroczny elf był rad, że krasnoludy wróciły pod ziemię – na otwartym terenie czuł się słaby i odsłonięty. Jakiś szmer kazał mu zatrzymać się i przytulić do kamiennej ściany – zwinna postać wtopiła się w załamania skały. Otulił się szczelniej piwajwi, zaczarowanym płaszczem drowów, zdolnym zasłonić go przed nawet najbystrzejszym wzrokiem, i odwrócił twarz do ściany, zerkając kącikiem oka.

Minęło kilka chwil. Tos'un odetchnął, słysząc, jak krasnoludy wracają do swoich normalnych zadań, jedzenia i rozmowy. Sądził, że w głębi tuneli są bezpieczni, że zostawili trolle daleko z tyłu. Jakiż troll mógłby ich tu wytropić kilka dni po ostatnim ataku?

Żaden, pomyślał Tos'un i uśmiechnął się do siebie. Krasnoludy nie wiedziały, że ich okrutni, podobni do zwierząt przeciwnicy mieli za sojuszników dwa mroczne elfy. Wyśledzenie ich przy okazji prowadzenia dwugłowego trolla Proffita i jego śmierdzącej bandy ku drugiemu odcinkowi korytarza było łatwizną.

Drow obejrzał się w drugą stronę, gdzie na szczycie wielkiego, stojącego pod ścianą głazu, przykucnęła jego towarzyszka, kapłanka Kaer'lic Suun Wett. Nawet Tos'un nie mógł dostrzec jej ukrytej podpiwafwi postaci, dopóki nie zareagowała na jego ruch, unosząc rękę.

Zajmij się strażnikami, zamigotały jej palce w skomplikowanym języku znaków, jakim posługiwały się drowy. Przydałby się jakiś więzień.

Tos'un wziął głęboki wdech i odruchowo sięgnął ku strzałce, którą trzymał w zębach. Jej czubek był pokryty trucizną drowów – paraliżującym wyciągiem o potężnej mocy, jakiej niewielu mogło się oprzeć. W ciągu ostatnich kilku lat Tos'un często słyszał ten rozkaz od Kaer'lic i dwóch innych drowów, gdyż spośród nich on był najbardziej sprawny w braniu języka, zwłaszcza jeśli cel był w większej grupie.

Tos'un zatrzymał się i przesunął dłoń tak, by Kaer'lic mogła ją zobaczyć, po czym odparł:

Czy to naprawdę potrzebne? Są czujni i jest ich wielu.

Palce Kaer'lic natychmiast zamigotały.

Chcę wiedzieć, czy to jakaś grupa, która się oddzieliła, czy wysunięty oddział zwiadowców z Mithrilowej Hali!

Dłoń Tos'una znów sięgnęła do strzałki. W takich sprawach nie śmiał sprzeczać się

z Kaer'lic. Byli drowami, a w królestwie drowów, nawet w grupie pozostającej tak daleko od konwencji wielkich miast Podmroku, kobiety stały wyżej niż mężczyźni. Kapłanki Pajęczej Królowej Lolth, takie jak Kaer'lic, stały najwyżej.

Zwiadowca odwrócił się i przykucnął, po czym zaczął ni to iść, ni to pełznąć w stronę swego celu. Zatrzymał się, gdy usłyszał, że jakiś krasnolud unosi głos, sprzecząc się z jedynym wśród tamtych człowiekiem. Drow przesunął się do ukrytego miejsca i czekał na stosowną chwilę.

Wkrótce kilku krasnoludów z siedzącej dalej grupki nakazało im się uciszyć; krasnolud siedzący niedaleko Tos'uną burknął coś i odprawił człowieka machnięciem ręki.

Tos'un obejrzał się tylko raz, po czym zatrzymał i nasłuchiwał do chwili, gdy jego wrażliwe uszy wychwyciły odgłosy zbliżającego się oddziału Proffita.

Drow prześlizgnął się bliżej. Lewa ręka skoczyła do przodu, wbijając strzałkę w ramię krasnoluda, zaś trzymany w prawej nóż wykreślił czerwoną linię na jego gardle. Mógł to być cios zabójczy, ale Tos'un ustawił ostrze pod takim kątem, by nie naruszyło najważniejszych żył; tę samą technikę wykorzystał kiedyś na krasnoludzie w wieży niedaleko Surbrin. Jego cios mógł się w końcu okazać śmiertelny, ale dopóki mogła działać Kaer'lic, ratując życie tej kreatury kilkoma zakłęciami, jakimi obdarowała ją Pajęcza Królowa, śmierć nie nadchodziła.

Mimo to, pomyślał Tos'un, więzień z pewnością będzie żałował, że nie pozwolono mu umrzeć.

Krasnolud poderwał się i usiłował krzyknąć, lecz drow przeciął mu struny głosowe. Jeniec usiłował kopać i walić pięściami, ale trucizna już zaczynała działać. Krew płynęła z rany, krasnolud padł na kamienie, zaś Tos'un powoli się cofnął.

– A ty dalej hałasujesz! – krzyknął szeptem ktoś z grupy. – Milcz Fender, dobra?

Tos'un cofał się dalej.

– Fender? – spytał ktoś z większym naciskiem.

Tos'un rozpląszczył się na podłodze przy samej ścianie stając się pod swoim zaczarowanym płaszczem bardzo niewielki i niemal niewidoczny.

– Fender! – krzyknął krasnolud przed nim, a Tos'un uśmiechnął się, rad ze swej przemyślności; grupie krasnoludy na pewno pomyślą, że ich druh leży martwy.

W obozie zaczął się ruch, krasnoludy podrywały się i chwyciły za broń. Tos'unowi wydawało się, że decyzja o wzięciu języka może Proffita i jego trolle drogo kosztować. Ceną za atak drowa będzie utrata zaskoczenia.

Oczywiście dla mrocznego elfa czyniło to atak jeszcze przyjemniejszym.

* * *

Kilku krasnoludów nadal nawoływało Fendera, lecz zagłuszył ich okrzyk, jaki wydał

Bonnerbas Ironcap, najbliższy druh poległego.

– Trolle! – wrzasnął, a jego słowa dotarły do pozostałych w tej samej chwili, co smród tych przeklętych potworów.

– Cofnąć się do ogniska! – krzyknął Dagna.

Bonnerbas zawahał się, gdyż od biednego Fendera dzielił go tylko jeden krok. Ruszył do przodu i złapał przyjaciela za kołnierz. Fender przewrócił się i Bonnerbas sapnął, widząc jasną krew. Krasnolud był całkiem bezwładny.

Bonnerbas sądził, że Fender jest martwy... albo wkrótce będzie.

Wtedy usłyszał nadbiegające trolle, podniósł głowę i pojął, że wkrótce spotka się z Fenderem w halach Moradina.

Cofnął się, chwycił topór, wywinął nim i wyciął głęboką linię w ramionach najbliższego, przygiętego do ziemi trolla. Ten zatoczył się na bok i stracił równowagę, lecz nim dotknął podłoża, znów poleciał do przodu, popchnięty przez dwa inne, szarżujące na Bonnerbasa bestie.

Krasnolud ciął znów i odwrócił się, by uciekać, lecz na jego ramieniu zacisnęły się pazury trolla. Zaraz potem Bonnerbas poczuł ich niezwykłą siłę, gdyż nagle poleciał do tyłu, odbijając się od nóg tak mocnych, jak pnie starych drzew, by w końcu wylądować na plecach. Mimo to rozwścieczony krasnolud nie puścił topora i rozdał co najmniej tuzin ciosów. Lecz trolle były wszędzie dookoła, między nim a Dagną i pozostałymi, zaś biedny Bonnerbas nie miał gdzie się ukryć.

Jeden z trolli wyciągnął ku niemu rękę – krasnolud zdołał uderzyć na tyle mocno, by odrąbać mu ją w łokciu. Potwór zawył i cofnął się, ale wtedy, w chwili, gdy Bonnerbas usiłował przetoczyć się na bok i wstać, wyrósł nad nim największy i najpaskudniejszy troll, jakiego krasnolud kiedykolwiek widział. Straszliwy, dwugłowy stwór przyglądał mu się z szerokim uśmiechem na obu wykrzywionych gębach. On również wyciągnął rękę, a Bonnerbas zamierzył się...

Kiedy topór przeleciał nie napotykając po drodze żadnego oporu, krasnolud zorientował się w oszustwie, lecz nim zdołał uderzyć ponownie, pojawiła się nad nim olbrzymia stopa i wgniotła go w skały.

Bonnerbas usiłował się uwolnić, lecz nie mógł nic uczynić. Usiłował oddychać, ale nacisk był zbyt mocny.

* * *

Gdy trolle minęły dwa poległe krasnoludy, Dagna mógł tylko krzyżeć i po cichu przeklinać siebie, że dali się zaskoczyć. W jego głowie kłębiły się przekleństwa i pytania. W jaki sposób głupie, śmierdzące trolle mogły trafić za nimi do tuneli? Jak te brutale mogły ich wytropić

i przejść przez trudny teren, o którym sądził, że mogą się tu bezpiecznie zatrzymać, aby coś zjeść?

Zamieszanie w głowie doświadczonego wodza szybko ucichło. Zaczął wywarkiwać rozkazy, by jego podwładni opanowali się. Pierwszą myślą było cofnięcie się do niższych tuneli, by trolle musiały schylić się jeszcze bardziej, lecz krasnoludzki instynkt podpowiadał mu, by stać tutaj z ogniem w dłoni. Kazał wojownikom sformować szyk obronny po drugiej stronie ogniska. Sam poprowadził kontrszarżę i natarcie, stawiając pięciu krasnoludów w środku ramię przy ramieniu i nie cofając się wobec natarcia trolli.

– Zatrzymać ich! – krzyczał, wywijając swym młotem. – Miałdźcie! – polecił krasnoludowi walczącemu toporem tuż przy nim. – Nie tnijcie, jeśli da im to choć krok przewagi!

Krasnolud, najwyraźniej pojmując, że mają za wszelką cenę utrzymać się po drugiej stronie ogniska, obrócił topór w dłoni. Walił płazem najbliższego trolla, utrzymując go z daleka.

Podobnie postąpiła pozostała piątka krasnoludów. Nadbiegł Galen Firth i zaczął ciąć swoim długim mieczem. Wiedzieli, że nie zdołają utrzymać się zbyt długo – za pierwszym szeregiem tłoczyło się coraz więcej trolli. Sama ich liczba popychała walczących dalej.

Sądząc, że są zgubieni, Dagna wrzasnęła w gniewie i uderzył tak mocno, iż wyrwał sięgającemu ku niemu trollowi przedramię.

Troll nawet tego nie zauważył, a Dagna pojął, iż popełnił błąd. Za bardzo się zamachnął i teraz był odsłonięty.

Lecz troll cofnął się nagle, a Dagna odskoczył w bok i krzyknął z zaskoczenia, gdy pierwsza z pochodni, dzięki uprzejmości Galena Firtha, pojawiła się na polu walki. Mężczyzna sięgnął ponad pochylonym Dagna i cisnął płonąca pochodnią w trolla. Istota wrzasnęła, odskakując od płomieni.

Trolle były rzeczywiście groźnymi przeciwnikami. Powiadano – zgodnie z prawdą – że trolla można posiekać na sto kawałków i powstanie sto nowych trolli, gdyż każdy z nich zmieni się w całkiem nową istotę. Miały jednak swoje słabe punkty, które były dobrze znane wszystkim mieszkańcom Krain: ogień powstrzymywał ich zdolność regeneracji.

Trolle bardzo nie lubiły ognia.

Dagnie i pozostałym szybko podano kolejne pochodnie, a trolle cofnęły się, ale tylko o krok.

– Dalej, za Fendera i Bonnerbasa! – krzyknął Dagna, a wszystkie krasnoludy podchwyciły okrzyk.

Wtedy z drugiej strony ktoś krzyknął: „Trolle w tunelu!”, następny okrzyk doleciał dokładnie zza pleców Dagny.

Wszystkie tunele zostały odcięte. Dagna od razu zorientował się, że są otoczeni i nie mogą nigdzie uciec.

– Jak głęboko jesteśmy?! – krzyknął.

– W suficie są korzenie – odparł jeden z wojowników. – Płytko.

– Zatem wyciągnijcie nas! – polecił stary krasnolud.

Krasnoludy stojące w środku zacieśniającego się kręgu natychmiast zabrały się do roboty. Dwa z nich podsadziły trzeciego i uniosły go na tyle wysoko, by mógł swoim kilofem rozkopywać glebę.

– Wodować! – krzyknął Dagna świadom, że to wszystko, co musiał przekazać, by jego wierni towarzysze go zrozumieli.

– I zacumować! – więcej niż jeden krasnolud dał właściwą odpowiedź.

– Galen, do dziury! – krzyknął do człowieka.

– Co ty wyrabiasz? – spytał. – Walcz, cny krasnoludzie, stąd nie ma ucieczki!

Dagna wysunął pochodnię do przodu i jeden z trolli odskoczył. Krasnolud szybko odwrócił się do Galena.

– Odwróć się, durniu, i zabierz nas stąd!

Zaskoczony Galen niechętnie oderwał się od walki, gdy odrobina dziennego światła wpadła przez otwór w suficie na lewo od ogniska. Dwa krasnoludy podtrzymujące tego trzeciego – górnik – podniosły go jeszcze wyżej, by chwycił się brzegu dziury i wyrzwał na zewnątrz.

– Czysto! – oznajmił.

Dopiero wtedy Galen zrozumiał plan i pobiegł ku otworowi, wokół którego zgromadziło się już kilku brodaczy. Musiał się jednak zatrzymać, gdyż krasnoludy na powierzchni zaczęły podawać drewno na ogień.

Dagna kiwnął głową i pogonił swoich wojowników – cała piątka walczyła zażarcie, tak zgrywając swoje ciosy, by trolle nie mogły się zbliżyć. Sami nie zrobili jednak nawet kroku do przodu – w głębi serca Dagna wiedział, że jego dwaj towarzysze, Fender i Bonnerbas, z pewnością nie żyją.

Twardy stary krasnolud odpędził złe wspomnienia, nie pozwalając, by zaprowadziły go na drogę smutku po stracie syna. Skupił się na swoim gniewie i rozpaczliwej potrzebie. Rzucił się do przodu, wymachując młotem i pochodnią. Za sobą czuł narastające ciepło, gdy krasnoludy coraz bardziej rozniecały ogień. Jeśli wszyscy mieli wyjść na zewnątrz, musiał być naprawdę duży.

– Padnij! – krzyknięto w stronę Dagny i jego towarzyszy.

Pięć krasnoludów zaatakowało zaciekle, zmuszając trolle do cofnięcia się o krok. Potem jednocześnie skoczyły do tyłu i padły plackiem na ziemi.

Nad ich głowami przeleciały płonące kłody i krzaki, wpadając między trolle i zmuszając je do panicznego odwrotu.

Dagnę bolało serce, gdy obserwował ten ostrzał, gdyż za splątanym szeregiem trolli leżały ciała jego dwóch pobratymców. Wraz z pozostałą czwórką cofnął się ku dziurze, stając tuż za

Galenem, który wciąż unosił krasnoludy do góry.

W tunelu z każdą sekundą przybywało dymu, gdy przez otwór wpadały kolejne gałęzie i kłody. Grupa krasnoludów nosiła drewno do ogniska. Gałęzie, głównie sosen, paliły się szybko i powstrzymywały każdego trolla, który się zanadto zbliżył, zaś kłody składano w sag, zastępując te, które już zostały zapalone i ciśnięte między wrogów. Krasnoludy powoli odgradzały się ścianą ognia, zamykając każde dojście.

W miarę, jak coraz więcej krasnoludów wydostawało się na powierzchnię, dźwigane przez niezmordowanego Galena, ich szeregi topniały. Kiedy zostało się ich tylko kilkoro, wspinaczka zaczęła się jeszcze bardziej gorączkowa.

Krasnolud stojący obok Dagny pogonił go, by wychodził, lecz stary krasnolud odepchnął tę pokusę, wpychając w otwarte ramiona Galena innego krasnoluda. Wychodzili, coraz bardziej uszczuplając szeregi Dagny.

Galen uniósł wielką płonąca gałąź i przekazał ją Dagnie, zaś stary krasnolud oddał mu na chwilę swój młot, by ująć ciężki kawał drewna. Ułożył go poziomo i zaszarżował z rykiem wprost na trolle. Płomienie paliły mu dłonie, lecz wiedział, że potwory cierpią jeszcze bardziej. Istoty wpadały na siebie, starając się znaleźć jak najdalej od rozszalałego krasnoluda. Dagna z rozmachem rzucił w nich gałęzią. Potem odwrócił się i pobiegł ku czekającemu na niego Galenowi. Mężczyzna przykucnął, składając przed sobą dłonie w stopień. Dagna wskoczył na nie, a Galen ustawił się dokładnie pod dziurą i dźwignął do góry.

Gdy Dagna zniknął w otworze, a Galen odruchowo odwrócił się, by stawić czoła nieuniknionej szarzy trolli, z otworu wynurzyły się krasnoludzkie ręce i zacisnęły mocno na ramionach człowieka.

Mężczyzna powędrował do góry przy wtórze okrzyków „Wyciągać go!”.

Gdy Galen miał już głowę i ramiona nad otworem, sądził, że już jest wolny... dopóki nie poczuł, że pazurzaste łapy trzymają go za nogi.

– Ciągnąć, durnie! – rozkazał generał Dagna, łapiąc mężczyznę za kołnierz, zapierając się nogami i mocno ciągnąc.

Człowiek wrzasnął z bólu. Wynurzył się nieco, po czym cofnął, jakby był przeciąganą liną.

– Dajcie pochodnię! – krzyknął Dagna, a kiedy nadbiegł jakiś krasnolud z płonąca gałęzią, na chwilę puścił Galena, który niemal zniknął w dziurze.

– Łapcie mnie za nogi! – krzyknął, obchodząc człowieka dookoła.

Kiedy dwa krasnoludy chwyciły go mocno za nogi, krasnolud zanurkował głową do przodu obok walczącego Galena, trzymając pochodnię w wyciągniętej ręce i wrywając z ust człowieka okrzyk przerażenia.

Galen krzyknął jeszcze parę razy, kiedy pochodnia go parzyła, lecz zaraz potem był wolny. Krasnoludy wyciągnęły ich obu. Dagna zaczekał, aż troll sięgnie do otworu, wtedy zdzielił go

pochodnią i trzymał istotę na dystans, dopóki krasnoludy nie zgromadziły więcej ognia i nie zepchnęły go na dół.

Zebrano cięższe pnie i również zrzucano na dół, blokując dziurę. Dagna i pozostali cofnęli się, by nieco odetchnąć.

Na nogi poderwał ich okrzyk – trolle przedarły się przez zawałone pniami i gorejące przejście.

– Zbierać się! Ruszamy! – ryknął Dagna, a krasnoludy ruszyły szybkim krokiem przez otwarty teren.

Wielu należało pomóc, a dwóch nawet nieść, lecz po przeliczeniu okazało się, że zginęło tylko dwóch: Fender i Bonnerbas. Mimo to nikt nie chciał uznać tego spotkania za zwycięstwo.

2.

KOŚCI I KAMIENIE

Smród i zgnilizna czaiły się wokół głązów leżących na zakrwawionym górskim zboczu. Wzdęte ciała parowały w zimnym, porannym powietrzu; resztki ciepła rozpływały się w nicości, a resztki życia rozwiewały w niekończącym się lamencie obojętnego wiatru.

Drizzt Do'Urden szedł wzdłuż podnóża stoku, przyciskając do czarnej twarzy kawałek materiału, aby zabezpieczyć się przed smrodem. Niemal wszystkie leżące tu ciała były zwłokami orko w, z których wielu zginęło w gigantycznym wybuchu, jaki wyrzucił w powietrze skalistą grań, położoną obok głównego pola walki. Wybuch zamienił noc w dzień, płomienie wyskoczyły na tysiące stóp w górę, a na stada potworów spadły tony skalnego gruzu.

– O jedną broń do wymiany mniej – powiedziała Innovindil.

Drizzt odwrócił się, by popatrzeć na swego towarzysza – jasnoskórą elfkę z powierzchni. Ona również miała zasłoniętą twarz, ale to w niewielkim stopniu zmniejszyło jej urodę. Znad szala spoglądały na Drizzta jasnoblękitne oczy, a ten sam wiatr, który niósł ze sobą odór śmierci, rozwiewał złociste pasemka jej włosów. Była smukła i wdzięczna. Drizztowi wydawało się, że nie idzie, lecz tańczy. Jej kroków nie spowolniła nawet żałoba po śmierci ukochanego i towarzysza, Tarathiela.

Drizzt przyglądał się, jak wyciąga dłoń ku ciału Urlgena, syna Oboulda Wiele Strzał, orka, który rozpętał tę straszliwą wojnę. Innovindil zabiła Urlgena, a raczej ork zabił się sam, uderzając czołem w jej głowę i nadziewając się na wystawiony sztylet elfki. Innovindil postawiła stopę na napuchniętej twarzy orczego wodza, chwyciła mocno za rękojeść i wyszarpnęła broń. Bez mrugnięcia okiem schyliła się i wytarła ostrze o koszulę orka, po czym schowała broń do pochwy przy kostce.

– Nie trudzili się, by obrabować ciała, czy to krasnoludów, czy swoich – zauważyła.

Tyle wiedzieli, jeszcze zanim ich pegaz, Zmierzch, wylądował na kamiennym zboczu. Miejsce było całkiem opuszczone, choć orki obozowały niedaleko. Słyszeli ich głosy dobiegające z doliny za krawędzią urwiska, w rejonie zwanym Doliną Strażnika, gdzie znajdowało się zachodnie wejście do Mithrilowej Hali. Drizzt wiedział, że krasnoludy nie odniosły tam zwycięstwa, i to mimo faktu, że orczych trupów było znacznie więcej niż ciał jego brodatych przyjaciół. W końcu orki zepchnęły ich z klifu do doliny, a potem do Mithrilowej Hali. Drogo zapłaciły za ten kawałek ziemi, ale należał on tylko do nich. Biorąc pod uwagę liczebność orczych sił zgromadzonych przed zamkniętymi wrotami fortecy klanu Battlehammer, Drizzt po prostu nie widział sposobu, w jaki krasnoludy będą mogli odzyskać teren.

– Nie zaczęli rabować tylko dlatego, że bitwa się jeszcze nie skończyła – odparł. – Do tej

chwili walczyli bez przerwy, najpierw zaganiając krasnoludy do Mithrilowej Hali, potem szukając dla siebie teren wokół zachodnich wrót. Sądzę, że wkrótce tu wrócą.

Spojrzał na Innovindil: wydawała się nieobecna duchem, stojąc na miejscu wyjątkowo paskudnej walki i patrząc na stos ciał.

Drizzt domyślał się powodów jej zaskoczenia, zanim jeszcze podszedł i potwierdził swoje przypuszczenia: stała na miejscu, gdzie wcześniej walczyli sławni Pogromcy Flaków. Stał obok elfki, krzywiąc się na widok poszarpanych ciał – chłopaki Thibbledorfa Pwenta nie byli szczególnie delikatni – i skrzywił się jeszcze bardziej, widząc ponad tuzin martwych krasnoludów, ściśniętych razem. Zginęli, osłaniając siebie nawzajem – była to śmierć godna dzielnych wojowników.

– Ich zbroje... – zaczęła Innovindil kręcąc głową. Na jej twarzy malowało się coś pomiędzy zaskoczeniem, podziwem i niesmakiem.

Nie musiała mówić nic więcej, by Drizzt świetnie ją zrozumiał. Zbroje Pogromców często wywoływały takie wrażenie. Pełne ostrych płytek i najeżone ostrymi kolcami zamieniały ciało krasnoluda w morderczą broń. Podczas gdy inne krasnoludy szarżowały z nadziakami, toporami, młotami i mieczami w dłoniach, Pogromcy po prostu szarżowali.

Drizztowi przyszło na myśl, by rozejrzeć się uważniej po okolicy i sprawdzić, czy wśród nich nie ma jego starego druha Thibbledorfa. Uznał jednak, że lepiej będzie, jeśli pójdzie swoją drogą. Liczenie umarłych było dobrym zajęciem, ale po wojnie.

Rzecz jasna, to podejście pozwalało też Drizztowi usprawiedliwić przed samym sobą fakt, iż nie jest w stanie wrócić do klanu Battlehammer i stawić czoła prawdzie, że wszyscy jego przyjaciele zostali zabici podczas oblężenia miasteczka Płyczny.

– Chodźmy ku grani – powiedział. – Znajdźmy źródło tej eksplozji, nim sługusy Oboulda wrócą tu, by pozbierać ciała.

Innovindil chętnie się na to zgodziła i ruszyła ku poszarpanej linii głązów.

Gdyby ona i Drizzt przeszli jeszcze jakieś dwadzieścia kroków w stronę urwiska nad Doliną Strażnika, znaleźliby dziwnie leżące ciała – leżały nawet po trzy w rzędzie, a każdy z wypaloną dziurą.

Drizzt Do'Urden znał broń, zwaną Taulmarilem, która zadawała takie rany. Łukiem tym posługiwała się jego przyjaciółka Catti-brie, która, jak sądził, również zginęła w Płycznach.

* * *

Krasnolud Nikwillig siedział na wschodnim zboczu góry, wciśnięty między kamienie. Zmagał się z taką desperacją i rozpaczą, iż bał się, że nie ruszy przez nie dalej i prędzej umrze z głodu albo ukatrupi go przypadkowy ork. Pocieszał się, iż dobrze wykonał swoją pracę,

a wyprawa na szczyty na wschód od pola walki pomogła przeważać szalę bitwy – przynajmniej na tyle, by Banak Brawnanvil zdołał wydostać większość krasnoludów z klifu i odprowadzić bezpiecznie do Mithrilowej Hali, zanim dopadła ich orcza horda.

Zmęczony krasnolud raz po raz przywoływał w pamięci scenę swojego triumfu, niczym litanię przeciw napierającym zewsząd obawom co do obecnego, ciężkiego położenia. Wspiął się na zbocza wyżej niż walczący, gdy pole walki pozostawało jeszcze skryte w szarówce, po czym skierował uwagę i lusterko na wschodzące słońce. Odbił jego promienie tak, by padły na skalistą grań, aż trafiły na ukryte tam drugie lusterko, stanowiąc wspaniały cel dla Catti-brie i jej zaczarowanego łuku.

Nikwillig widział, jak ciemność rozświetla nagła jasność, błysk ognia, który wzniósł się na tysiąc stóp nad polem walki. Z miejsca wybuchu, niczym fala na stawie albo podmuch wiatru wśród traw, rozeszła się fala gorącego wiatru i gruzu, przechodząc przez północny skraj pola, gdzie zaczynała szarżę większość orczych sił. Padli szeregiem i wielu z nich już nie wstało. Ich atak został powstrzymany dokładnie tak, jak krasnoludy planowały.

I tak Nikwillig wypełnił swoją powinność, lecz nawet kiedy opuszczał Halę z nadzieją na taki właśnie obrót spraw, krasnolud z Cytadeli Felbarr wiedział, że ma niewielkie szansę na powrót. Banak i pozostali z pewnością nie będą czekać, aż wreszcie stąd zlezie – a nawet gdyby chcieli to zrobić, jak Nikwillig przedarłby się przez gęstwinę orków, oddzielających go od pozostałych?

Tamtego dnia bez żalu wyruszył na samobójczą misję, lecz to nie pomagało, gdy teraz ogarniał go strach przed śmiercią, która kryła się gdzieś na wyciągnięcie ręki.

Pomyślał o Tredzie, swoim towarzysz z Felbarr. Pewnego pięknego dnia, nie tak dawno temu, wyruszyli razem z innymi z cytadeli króla Emerusa Warcrowna z typową kupiecką karawaną. Choć nie wędrowali zwyczajowym szlakiem, gdyż pragnęli znaleźć nowe miejsca handlu dla dobra króla Emerusa i własnych kieszeni, nie spodziewali się większych problemów. Z pewnością nie spodziewali się wpaść prosto na zwiadowców największej orczej armii, jaką pamiętano w okolicach! Nikwillig zastanawiał się, co się stało z Tredem. Czy zginął w zajadłej walce? Czy też udało mu się zejść do Doliny Strażnika i Mithrilowej Hali?

Osamotniony krasnolud roześmiał się słabo, gdy przypomniał sobie, że Tred pragnął wcześniej opuścić Mithrilową Halę i wrócić z wieściami do Cytadeli Felbarr. Twardy, zaprawiony w walce i chętny do bitki Tred pragnął służyć jako emisariusz między dwoma fortecami i to Nikwillig skłonił go do odstąpienia od tego pomysłu. Cóż za ironia losu!

– Ech, głupiec z ciebie, Nikwilligu – powiedział krasnolud lamentującemu wichrowi.

Nie wierzył w te słowa, nawet w chwili, gdy je wypowiadał. On został i Tred został, gdyż uznali, że mają dług wdzięczności wobec króla Bruenora i jego krewnych, ponieważ uznali, że wojna ta wiąże się z solidarnością krasnoludów z Delzoun, ze staniem ramię przy ramieniu we

wspólnej sprawie.

Nie, nie był głupcem, że został, i nie był głupcem, że zgłosił się na ochotnika, a nawet nalegał, by to właśnie on wyszedł z lustrem i pochwycił pierwsze promienie brzasku. W końcu nie był wojownikiem. Z własnej woli i świadomie wpakował się w te kłopoty, ale wiedział też, że leżąca przed nim droga najprawdopodobniej doprowadzi go do szybkiego i bolesnego końca.

Krasnolud podniósł się. Obejrzał się przez ramię w stronę Doliny Strażnika, i po raz kolejny odrzucił pomysł, by udać się w tę stronę. Z pewnością była to najszybsza droga do Mithrilowej Hali i bezpieczeństwa, ale żeby tam się dostać, musiałby przejść przez potężny orczy obóz. Nawet gdyby jakimś cudem mu się to udało, krasnoludy ukryły się w dziurach i wrota były zamknięte. Mało prawdopodobne, by otworzyły się w najbliższym czasie.

Dlatego trzeba ruszać na wschód, uznał Nikwillig. W stronę rzeki Surbrin i, jak miał nadzieję, dalej.

Wydawało mu się, że usłyszał w pobliżu jakiś dźwięk i wyobraził sobie, że nawet w tej chwili obserwował go patrol orków, gotów, by rzucić się na niego i pobić go na śmierć. Odetchnął głęboko. Postawił jedną stopę przed drugą.

Rozpoczął swoją mroczną drogę.

* * *

Drizzt i Innovindil skręcili na południe w stronę zniszczonej grani, w taki sposób zmieniając kierunek ruchu, że zobaczyli Dolinę Strażnika niemal dokładnie w miejscu, gdzie krasnoludy umieściły metalowe rury. Biegły one od ziemi ku wejściu do tuneli, wijących się pod czymś, co do niedawna było granią. Rzecz jasna żadne z nich nie pojmowało, do czego miały one służyć. Nie mieli zielonego pojęcia, że krasnoludy, według instrukcji gнома Nanfoodle'a doprowadziły gazy z naturalnego złoża, zapelniając nimi tunele pod nic nie spodziewającymi się gigantami i ich katapultami.

Być może gdyby mieli więcej czasu, by przyjrzeć się rurom i zejść z klifu, Drizzt i Innovindil mogliby zacząć rozszyfrowywać zagadkę gigantycznej ognistej kuli. Jednak w tej chwili kula wydawała się najmniej istotną rzeczą. Pod nimi roiała się największa w dziejach armia orków, morze ciemnych postaci, otaczających liczne w Dolinie Strażnika obeliski. Były ich tysiące, dziesiątki tysięcy, a w tej masie od czasu do czasu można było dostrzec większą postać lodowego giganta.

Spoglądając na ten tłum, Drizzt dostrzegał ich coraz więcej, aż wreszcie wciągnął powietrze przez zęby, gdy w pełni ocenił ogrom tej armii. Stały tam setki gigantów, jakby na rozkaz króla Oboulda ruszyli się wszyscy mieszkańcy Grzbietu Świata.

– Czy Srebrne Marchie znały gorszy dzień? – spytała Innovindil.

Drizzt odwrócił się, by na nią spojrzeć, choć nie był pewien, czy pyta, czy stwierdza fakt.

Innovindil przekrzywiła głowę, by popatrzeć w jego lawendowe oczy.

– Pamiętam, jak Obouldowi udało się wygnać krasnoludy z Cytadeli Felbarr – powiedziała. – To był czarny dzień! Mimo to wydawało się, że król orków zamienił jedną dziurę na drugą. Choć jego podbój odbił się na królu Emerusie Warcrownie i innych krasnoludach z Felbarru, nigdy nie uważano tego za zagrożenie dla całego rejonu. Król orków skorzystał z nagle nadarzającej się okazji i tak zyskał zwycięstwo, które wszyscy uważaliśmy za krótkotrwałe, i jakim rzeczywiście się okazało. Ale to... – jej głos załamał się. Popatrzyła w dolinę i pokręciła głową.

– Możemy się domyślać, że większości klanu Battlehammer udało się uciec do tuneli – zauważył Drizzt. – Mogę cię zapewnić, że nie zostaną stamtąd łatwo wykurzeni. W swych komnatach klan Battlehammer swego czasu odepchnął atak ze strony Menzoberranzan. Wątpią, czy na świecie jest wystarczająco wiele orków, by zdobyć Halę.

– Może i masz rację, ale czy to ma jakieś znaczenie? Drizzt spojrział zdziwiony na elfkę. Już chciał zapytać, jak to możliwe, by nie miało to znaczenia, lecz zrozumiał jej obawy i powstrzymał się.

– Nie – zgodził się. – Wojsko, które zebrał Obould, nie da się łatwo zagonić do jaskiń. Zajmą Silverymoon i Everlund, może nawet Sundabar... Cytadele Felbarr i Adbar, Mithrilową Halę. Pokonają elfy z Księżycowego Lasu i armię markiza Elastula z Mirabaru. Cała północ musi zareagować na zew Mithrilowej Hali. Dla nich, dla wszystkich, to godzina próby.

– Nawet wtedy straty będą znaczne – odparła Innovindil. – Ogromne.

Spojrzała na zakrwawione pobojowisko.

– W porównaniu z tym walka na klifie okaże się tylko niewielką potyczką. Kruki w Srebrnych Marchiach nieźle się podtuczą.

Drizzt słuchał jej, jednocześnie spoglądając w dolinę. Zauważył poruszenie na zachodzie i szybko zorientował się, że to oddział orków zatacza koło i opuszcza Dolinę.

– Orcze hieny zaraz tu będą – powiedział. – Ruszajmy. Innovindil spoglądała w dolinę nieco dłużej.

– Nie widzę Jutrzenki – zauważyła, myśląc o towarzyszu Zmierzchu, wierzchowcu Tarathiela.

– Jestem pewien, że nadal jest żywy przy Obouldzie – odparł Drizzt. – Nawet ork nie zabiłby tak wspaniałego zwierzęcia.

Innovindil dalej patrzyła w dolinę, po czym ledwo dostrzegalnie wruszyła ramionami.

– Miejmy nadzieję.

Drizzt wstał i wziął ją za rękę. Ruszyli na północ, wzdłuż poszarpanej i popękanej wybuchem grani. Wybuch zniszczył jej szczyt, pozostawiając poszarpaną szczelinę. Co chwila mijali zwęglone szczątki gigantów. W jednym z miejsc znaleźli spaloną katapultę, która, mimo

wybuchu, jakimś sposobem zachowała swój kształt.

Ich odkrycia przyniosły więcej pytań niż odpowiedzi. Nie mieli pojęcia, co mogło wywołać taki kataklizm.

– Gdy dotrzemy wreszcie do Mithrilowej Hali, będziesz mógł spytać o to krasnoludy – powiedziała Innovindil, kiedy czekali na Zmierzch na szerokim płaskowyżu daleko od pobojuwiska.

Drizzt kiwnięciem głowy skwitował sugestię, że wkrótce powróci do krasnoludzkiej twierdzy. Musiałby tam stawić czoła swoim najgorszym obawom.

– To pewnie jakaś sztuczka bogów – mówiła dalej.

– Albo Harpellów – dodał, myśląc o rodzinie ekscentrycznych i potężnych magów z niewielkiej osady Longsaddle, zwanej także Długim Siodłem, położonej wiele mil na zachód. W większości przypadków okazywali się zbyt potężni ze szkodą dla siebie albo tych, którzy akurat znajdowali się w okolicy. Harpellowie już raz pomagali Mithrilowej Hali, od dawna przyjaźnili się z Bruenorem i jego krewnymi. Drizzt znał ich na tyle dobrze, by sądzić, że jeśli ktokolwiek mógłby wywołać taką katastrofę, to z pewnością była to owa postrzelona rodzinka.

– Harpellów?

– Nie chciałabyś ich poznać – odparł poważnie Drizzt. – Dość rzec, że Bruenor Bartlehammer ma kilku nietypowych przyjaciół.

Powiedziawszy to, Drizzt pojął ukrytą w swoich słowach ironię i zdołał uśmiechnąć się, by dorównać rozszerzającemu się uśmiechowi Innovindil.

– Wkrótce się tego dowiemy – powiedziała. – Teraz mamy własne obowiązki.

– Jutrzenka – powiedział Drizzt i potrząsnął wyciągniętą dłonią Innovindil. – I zemsta. Tarathielowi będzie łatwiej spoczywać, kiedy Obould Wiele Strzał również przestanie żyć.

– Śmierć na ostrzu miecza? – spytała elfka, kładąc dłoń na głównej swojej broni. – Czy na czubku sejmitara?

– Sejmitara – odparł Drizzt bez wahania i obejrzał się na południe. – Naprawdę zamierzam go zabić.

– Za Tarathieła i za Bruenora – powiedziała Innovindil. – Za tych, którzy zginęli i dla dobra całej Północy.

– A może dlatego, że po prostu chcę go ukatrupić – powiedział Drizzt tak zimno i obojętnie, że Innovindil przeszedł dreszcz.

Nie miała sił, by odpowiedzieć.

3.

NAMIĘTNOŚCI

Z warknięciem, w którym było więcej gniewu niż namiętności, Tsinka Shinriil obróciła Oboulda i wspięła się na niego.

– Zagnałeś ich do ciemnej dziury! – krzyknęła szamanka, otwierając oczy tak szeroko, że widać było wyraźnie zażółcone białka wokół źrenic. Nadawało jej to jeszcze bardziej opętany wygląd. – A teraz wbijemy się w tę dziurę!

Król Obould Wiele Strzał z łatwością utrzymał rozentuzjasmowaną szamankę na odległość, kiedy usiłowała otoczyć go swoim drżącym ciałem. Mocne, umięśnione ramiona uniosły ją z posłania z trawy.

– Mithrilowa Hala ugnie się przed potęgą Oboulda, Który Jest Gruumshem – paplała dalej Tsinka. – Zaraz potem Cytadela Felbarr znów będzie nasza. Zdobędziemy je wszystkie! Wybijemy sługi Bruenora i Emerusa! Wykąpiemy się w ich krwi!

Obould wzruszył lekko ramionami i odsunął szamankę na bok, z łóżka. Gładko spadła na podłogę i zaraz wróciła. W kąciach jej zębatego pyska pojawiła się ślina.

– Czy jest coś, czego Obould, Który Jest Gruumshem nie zdołałby podbić? – spytała, znów wspinając się na niego. – Mithrilowa Hala, Felbarr... Adbar! Tak, Adbar! Padną przed nami na kolana. Nawet krasnoludzkie twierdze na Północy! Zmusimy do odwrotu tych nielicznych, których nie pożremy. Pozbędziemy się krasnoludzkiego śmiecia z Północy.

Obould zdołał się uśmiechnąć, choć było to raczej rozbawienie niż podzielenie jej opinii. Słyszał już tę wyliczankę... właściwie to słyszał ją bardzo często. Od czasu, gdy zatrzasnęły się zachodnie wrota do Hali, zamykając klan Battlehammer w ich norze, Tsinka i pozostali szamani snuli plany ogromnych podbojów, obejmujących całą Zachodnią Marchię i inne tereny.

Obould podzielał je. Niczego tak bardzo nie pragnął, jak odzyskania Cytadeli Wielu Strzał, którą krasnoludy znów nazywały Cytadelą Felbarr. Obould pojmował jednak szaleństwo takiego postępowania. Cały rejon już o nich wiedział. Przekroczenie Surbrin oznaczało walkę przeciwko armiom Silverymoon i Everlund, elfom z Księżycowego Lasu oraz połączonym siłom krasnoludów z Delzoun, zamieszkających na terenach na wschód od głębokiej, zimnej rzeki.

– Ty jesteś Gruumshem! – oznajmiła Tsinka. Ujęła w dłoń twarz Oboulda i ucałowała go mocno. – Jesteś bogiem wśród orków! – Znów go pocałowała. – Lęka się ciebie Gerti Oreldottr! – zaskrzeczała i pocałowała go ponownie.

Obould uśmiechnął się, przypominając sobie ostatnie spotkanie z księżniczką lodowych gigantów. Gerti naprawdę się go bała, a na pewno powinna się bać, gdyż Obould pokonał ją w krótkim starciu, rzucił na ziemię i pozwolił odpełznąć. Było to coś, o czym wcześniej nie

słyszano i posłużyło jako przykład dla wszystkich, którzy to widzieli lub o tym słyszeli, że król Obould jest kimś więcej niż zwyczajnym orkiem. Był w łaskach u Gruumsha Jednookiego, boga orków. Został pobłogosławiony siłą i szybkością oraz niezwykłą zręcznością. Do tego, jak sądził, postrzegał wszystko wyraźniej niż wcześniej.

A może to nowe spojrzenie wcale nie było takie nowe? Może Obould, zdobywszy bez trudu ziemię między Grzbietem Świata, Złą Przełęczą, rzeką Surbrin i Trollowymi Wrzosowiskami spoglądał na świat z innego, znacznie wyższego punktu.

– ...do Mithrilowej Hali... – mówiła Tsinka, gdy Obould ponownie zwrócił uwagę na paplającą szamankę. Najwyraźniej dostrzegła to, gdyż przerwała i powtórzyła myśl. – Musimy udać się do Mithrilowej Hali przed zimą. Musimy pokonać klan Battlehammer, by wieści o ich porażce i upokorzeniu rozeszły się, nim śnieg zasypie przełęcz. Przez zimę będziemy pracować w ich kuźniach, by wzmocnić naszą broń i zbroje. Wiosną ruszymy z niepowstrzymaną siłą, przetoczmy się przez kraje północy, niszcząc wszystkich, którzy będą na tyle głupi, by nam się przeciwstawić!

– Straciliśmy wielu orków – powiedział Obould, usiłując nieco ostudzić jej zapał. – Kamienie są czerwone od naszej krwi.

– Przelanej w słusznej sprawie! – wrzasnęła Tsinka. – A zginie ich jeszcze więcej! Musi zginąć! Nasze pierwsze wielkie zwycięstwo jest w zasięgu ręki!

– Nasze pierwsze wielkie zwycięstwo już zostało osiągnięte – poprawił Obould.

– A drugie jest przed nami! – odrzyknęła Tsinka. – Będzie to zwycięstwo godne Tego, Który Jest Gruumshem. Zdobyliśmy kamienie i pustą ziemię. Nagroda jest w zasięgu ręki.

Obould odsunął ją na długość ramion i odwrócił nieco głowę, by lepiej się jej przyjrzeć. Znów dygotała, czy to z namiętności, czy gniewu. Nagie ciało lśniło w blasku pochodni od potu. Napięte mięśnie drżały, jak zbyt mocno ściśnięta sprężyna.

– Mithrilowa Hala musi paść przed zimą – powiedziała już spokojniej. – Gruumsh mi to objawił. Na tamtym kamieniu stał Bruenor Battlehammer, rozbijając fale orków i odbierając nam jeszcze większe zwycięstwo.

Obould warknął, słysząc jego imię.

– Przez krainy, w których mieszkał, już wędrują wieści. Wygląda na to, że król Mithrilowej Hali wrócił z zaświatów. Nie widzisz, że to wyzwanie Moradina dla Gruumsha? Nie ma wątpliwości, że jesteś jego wybrańcem, zaś król Bruenor wybrańcem Moradina. Załatw to, i to szybko, musisz, nim krasnoludy zbiegną się na zew Moradina, tak jak orki zbiegły się do Oboulda!

Te słowa mocno dotknęły króla orków, gdyż miały więcej sensu, niż chciałby przyznać. Nie spieszył się do zdobywania Hali. Wiedział, że jego armia co chwila będzie natykać się na jakies przeszkody. Czy mogli ponieść tak straszliwe straty i wciąż mieć nadzieje na zapewnienie

bezpieczeństwa krainie, którą pragnął uczynić swoim królestwem?

Ale w rzeczy samej, wieści rozeszły się wśród orków niczym podsycany przez wiatr pożar wśród suchych traw. Nikt nie mógł zaprzeczyć tożsamości krasnoluda, który stał pośrodku linii obrońców. To był Bruenor, o którym sądził, że zginął w Płycznach. Bruenor, który wrócił zza grobu.

Obould nie był tak głupi, by nie doceniać wagi tej sytuacji. Pojmował, jak bardzo jego obecność dodawała ducha wojownikom... czy Bruenor nie inspirował tak samo krasnoludów? Obould nienawidził ich bardziej niż innych ras, lecz gorzkie doświadczenia z Cytadeli Felbarr sprawiły, iż żywił do upartego, brodatego ludu niechętny szacunek. Zdobył Felbarr w korzystnej chwili, mając do tego przewagę zaskoczenia, lecz jeśli teraz Tsince uda się przeforsować swoje pomysły, poprowadzi orki na umocnioną i przygotowaną krasnoludzką fortecę.

Czy jakaś rasa Torilu broniła swoich domów lepiej niż krasnoludy?

Może drowy, pomyślał, a myśl ta sprawiła, że skupił się na wydarzeniach na południu, gdzie dwa drowy miały pomagać paskudnemu Proffitowi i jego armii trolli naciskać na Mithrilową Halę od południa. Obould wiedział, że jeśli postanowi uderzyć na Halę, będzie to klucz do zwycięstwa. Jeśli Proffit i jego śmierdzące bestie ściągną odpowiednio dużą liczbę wojowników Bruenora i znaczną jego uwagę, śmiałe uderzenie przez zamknięte zachodnie wrota Mithrilowej Hali umożliwi Obouldowi zdobycie przyczółka.

Król orków odwrócił się ku Tsince i zorientował się, że ma, jeśli można tak powiedzieć, myśli wypisane na twarzy. Uśmiechała się na swój zębaty sposób, a ciemne oczy pały żądzą podboju... i Oboulda. Wielki król opuścił ramiona, kładąc Tsinkę na sobie, pozwalając, by plany odpłynęły z jego myśli. Pomyślał o martwych krasnoludach, walących się wrotach krasnoludzkiej fortecy i przekonał się, jak wspaniale potrafią odurzać.

* * *

Zimny wiatr sprawiał, że każdy podskok bolał nieco bardziej, lecz Obould zagryzał kły i mocniej ścisnął nogami boki boczącego się pegaza. Biały wierzchowiec miał skrzydła mocno związane z tyłu. Obould nie zamierzał pozwolić, by oderwał się od ziemi, gdyż jeśli chodzi o orki, pegaz wcale nie został ujeżdżony. Obould widział elfa, który z łatwością na nim jeździł, lecz każdy ork, któremu udało się dosiąść rumaka, był szybko zrzucany, a więcej niż jeden został jeszcze stratowany, nim stajenni zdołali go opanować.

Wyjątkiem był Obould, którego nogi tak mocno ścisnęły boki pegaza, że zwierzę jeszcze go nie zrzuciło.

Pegaz wyrzucił zad w powietrze, a Obould wychylił się do tyłu, przekręcając boleśnie kark i tak bardzo odchylając głowę, iż zobaczył do góry nogami podkowy na tylnych kopytach

wierzchowca. Zaryczał, chwycił mocniej grubą linę i ścisnął nogi tak mocno, iż pomyślał, że zaraz połamię zwierzęciu zębra.

Lecz pegaz szalał dalej: podskakiwał, skręcał się i dziko kopał. Jednak Obould znalazł metodę w tym szaleństwie i powoli zaczął podskakiwać nieco mniej zaciekle.

Pegaz zwolnił, a król orków wyszczerzył się pojmując, że zwierzę wreszcie zaczyna się męczyć. Wykorzystał ten moment, by choć na chwilę się odprężyć i uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy porównał dzikie podskoki pegaza z tym, co w nocy wyrabiała Tsinka. Dobrze porównanie, pomyślał lubieżnie.

A potem wyleciał z grzbietu, gdy zwierzę wpadło w nagły i niespodziewany szal. Obould gruchnął mocno o ziemię, lecz tylko chrząknął i przetoczył się, co pozwoliło mu szybko odzyskać nieco godności, jeśli nie możliwości wstania. Błyskawicznie rozejrzał się wokół, sądząc, że jego upadek mógł osłabić jego wizerunek w oczach oglądających to orków. Rzeczywiście, wszyscy spoglądali na niego z niedowierzaniem – albo tępo, nie potrafił tego ocenić – i z takim zaskoczeniem, że stajenni nawet się nie ruszyli.

A bestia skierowała się w stronę króla.

Obould uśmiechnął się szeroko i zerwał na równe nogi. Szeroko rozłożył ręce i ryknął straszliwie, jakby zapraszając pegaza do walki.

Wierzchowiec zatrzymał się gwałtownie, zaczął parskać i grzebać kopytami.

Obould roześmiał się, zmniejszając napięcie, i podszedł prosto do pegaza, jakby zachęcając go do ataku. Pegaz położył uszy po sobie i zastygł.

– Może powinienem cię zjeść – powiedział spokojnie Obould, podszedł prosto do zwierzęcia i spojrzał mu prosto w oczy, co oczywiście jeszcze bardziej zdenerwowało pegaza. – Tak, jestem pewien, że twoje mięso jest smaczne.

Orczy król jeszcze przez chwilę spoglądał z góry na rumaka, po czym odwrócił się i roześmiał gardłowo, a wszystkie orki wokół zaczęły wiwatować.

Upewniwszy się, że odzyskał wszelką utraconą godność, Obould odwrócił się z powrotem do pegaza i znów pomyślał o Tsince. Roześmiał się jeszcze głośniejszym, w myślach nakładając koński pysk na pełną zajadłości i gorliwości twarz szamanki. Choć nozdrza i inne większe elementy twarzy różniły się, Obould miał wrażenie, że pomijając biel otaczającą tęczęwki Tsinki, ich oczy są bardzo podobne. Ta sama zaciekłość, to samo napięcie. Te same dzikie, niedające się opanować uczucia.

Nie, nie te same, uświadomił sobie Obould, gdyż podczas gdy podskoki i migoczące oczy Tsinki wiązały się z namiętnością i ekstazą, szaleństwo skrzydlatego konia wynikało ze strachu.

Nie, nie strachu, pojął nagle Obould, nie strachu. To nie było dzikie zwierzę, dopiero co pojmane i wymagające ujeżdżenia. Ten pegaz od lat służył jako wierzchowiec, i to elfom, których nogi były zbyt chude, by utrzymać jeźdźca, gdyby pegaz nie chciał go nieść.

Zaciekłość pegaza nie wynikała ze strachu, lecz z czystej nienawiści.

– O, mądra z ciebie bestia – powiedział cicho Obould, a uszy pegaza uniosły się i znów opuściły, jakby rozumiał każde jego słowo. – Jesteś lojalny wobec swego pana, a mnie nienawidzisz, gdyż go zabiłem. Zawsze będziesz ze mną walczyć, gdy spróbuję się wspiąć na twój grzbiet, czyż nie?

Orczy król pokiwał głową i zwięzonymi oczami przyjrzał się pegazowi.

– A może jednak nie? – spytał, a jego umysł skierował się w inną stronę, jakby nagle zaczął oceniać wszystko z punktu widzenia pegaza.

Stwór celowo doprowadził go do rozluźnienia. Udał, że się uspokaja, a kiedy Obould się rozluźnił, znów zaczął szaleć.

– Nie jesteś tak mądry, jak myślisz – powiedział Obould pegazowi. – Powinieneś był poczekać, aż znajdziesz się w chmurach, i dopiero potem zrzucić mnie ze swojego grzbietu. Powinieneś był sprawić, bym uwierzył, że jestem twoim panem. – Ork prychnął i znów zastanowił się, jak może smakować mięso pegaza.

Niedługo po tym stajenni znów zapanowali nad pegazem, a ich przywódca odwrócił się do Oboulda i spytał:

– Będziecie jeszcze dziś jeździć, mój boski Panie? Obould skrzywił się, słysząc ten absurdalny tytuł, choć nie zniechęcał otwarcie do jego używania, i potrząsnął głową.

– Mam wiele do zrobienia.

Dostrzegł, że jeden z orków brutalnie pęta tylne nogi pegaza.

– Stać! – krzyknął, a ork zamarł w miejscu. – Od teraz traktujcie go dobrze, z należnym szacunkiem.

Kilku orków popatrzyło po sobie ze zdziwieniem.

– Znajdźcie nowych stajennych! – warknął Obould do dowódcy. – I delikatnie się z nim obchodźcie. Żadnego bicia!

W tym samym momencie, gdy to mówił, Obould dostrzegł błąd, jakim było odwrócenie uwagi orków, gdyż pegaz szarpnął się nagle, odtrącił ich na bok i kopnął, trafiając w czoło pechowego orka, który wiązał nogi rumaka. Ork poleciał do tyłu, po czym zaczął wić się na ziemi i żałośnie skamleć.

Pozostałe orki odruchowo rzuciły się ukarać zwierzę, lecz Obould osadził ich na miejscu krótkim: „Stać!”.

Popatrzył wprost na pegaza, potem na dowódcę orków.

– Jeśli znajdę na nim jakiś ślad uderzenia, taki sarn znajdzie się na twoim grzbiecie – obiecał.

Kiedy tamten skurczył się, wyraźnie drżąc, Obould wiedział, że wykonał swoją robotę. Odszedł, spojrzawszy z ukosa na paskudnie rannego głupca, wciąż wijącego się na ziemi.

* * *

Zaskoczenie malujące się na twarzy pełniących wartę lodowych gigantów – przystojnych, piętnastostopowych wielkoludów – nie było mniejsze niż u ich orczych towarzyszy, kiedy Obould wbrew ostrym protestom, między innymi Tsinki Shinriil, ogłosił, że zamierza odwiedzić Gerti Oreldottr samotnie. Bez wątpienia ich stosunki nie układały się najlepiej. Podczas ostatniego spotkania powalił gigantkę na ziemię, zawstydzając ją i rozwścieczając.

Obould trzymał głowę wysoko i odważnie spoglądał w dal. Nie nosił nawet tego wspaniałego hełmu, który szamani dla niego przygotowali. Wokół pochylali się nad nim giganci; wielu trzymało miecze dłuższe od niego. Gdy zbliżył się do otworu jaskini, którą Gerti obrała sobie na tymczasową kwaterę, zaczęli ustawiać się tak, by zagrozić mu wejście. Zewsząd spoglądały na niego dwa szeregi parsających, robiących wrażenie osiłeków. Kiedy ich mijał, giganci szli za nim, zamykając jedyną możliwą drogę ucieczki.

Obould pozwolił, by jego wielki miecz spoczywał w pochwie na plecach. Trzymał głowę wysoko, a nawet zdołał się uśmiechnąć, by dowieść pewności siebie. Wiedział, że świadomie rezygnuje z przewagi siły, lecz wiedział również, że musi to zrobić, by zdobyć przewagę emocji.

Zauważył poruszenie wewnątrz jaskini, duże postacie poruszały się w różne strony. Kiedy wszedł, a jego wzrok przyzwyczaił się do ciemniejszego pomieszczenia, odkrył, że nie musi daleko szukać, by znaleźć odpowiednią widownię. Gerti Oreldottr, piękna i groźna nawet jak na lodowego giganta, stała z tyłu, spoglądając na niego wzrokiem, w którym podejrzliwość mieszała się z pogardą.

– Wygląda na to, że zapomniałeś o swojej świcie, królu Obouldzie – powiedziała, a orkowi wydawało się, że wychwyił w jej głosie groźną nutę.

Mimo to był pewien, że nie wystąpi przeciwko niemu. Pokonał ją w walce, ośmieszył, a jeśli wysze przeciwko niemu swoich podwładnych, to ośmieszy się jeszcze bardziej. Obould niezbyt znał gigantów i rzadko się z nimi spotykał, lecz wiedział, że są praworządnymi wojownikami, którzy niemal zawsze posiadają jakiś kodeks.

Słowa Gerti sprawiły, że wielu gigantów w jaskini zachichotało i zaszemrało.

– Mówię w imieniu ich wszystkich – odparł król orków. – Tak samo, jak pani Oreldottr mówi w imieniu lodowych gigantów z Grzbietu Świata.

Gerti wyprostowała się, zwiężając błękitne oczy – ich kolor wydawał się jeszcze głębszy z racji błękitnawego odcienia jej skóry.

– Mów zatem, królu. Czeka mnie wiele przygotowań, nie mogę stracić zbyt dużo czasu.

Obould stanął swobodnie, chcąc, by wydawało się, iż całkowicie panuje nad sytuacją. Sądząc po szmerach dookoła, trafił we właściwą nutę i ucieszył się.

– Odnieśliśmy tu wielkie zwycięstwo, pani Oreldottr. Opanowaliśmy tak wielką część krain

północy, jak nikt dotąd.

– Nasi wrogowie dopiero zaczęli zbierać siły przeciw nam – zauważyła Gerti. Obould kiwnął głową.

– Proszę, nie podważaj naszych osiągnięć. Zamknęliśmy oba wrota do Mithrilowej Hali. Nesme jest prawdopodobnie zniszczone, a Surbrin zabezpieczone. Nie pora wystawiać naszego sojuszu na... – przerwał na chwilę i przekręcił głowę tak, by przez chwilę spojrzeć w oczy każdemu z obecnych w jaskini gigantów.

– Pani Oreldottr, mówię w imieniu orków. Dziesiątek tysięcy orków – położył nacisk na liczbę. – Ty mówisz w imieniu gigantów. Porozmawiajmy w cztery oczy.

Gerti przyjęła pozę, którą Obould tak często u niej widywał, wyrażającą zarówno opór, jak i zamyślenie. Położyła dłoń na biodrze i odwróciła się, pozwalając, by w rozcięciu spódnicy można było zobaczyć jej zgrabną nogę, a usta przyjęły taki kształt, że mogły przejść w wyraz nadęsania albo złości, tuż przed tym, jak chwyci wroga za gardło i zdusi.

W odpowiedzi Obould uklonił się.

– Chodź – poleciła, a kiedy stojący najbliżej gigant zaprotestował, uciszyła go jednym z najdzikszych grymasów, jakie Obould kiedykolwiek widział.

Wspaniale się zapowiada, pomyślał.

Na jej gest Obould podążył krótkim korytarzem. Przez chwilę przyglądał się ścianom, które bez wątpienia zostały poszerzone przez gigantów – widać było na nich świeże nacięcia. Widać je było również na sklepieniu – wszystkie stalaktyty skrócono tak, by nawet najwyższy z wojowników Gerti mógł przejść korytarzem, nie schylając się. Porządna robota, pomyślał Obould, zwłaszcza biorąc pod uwagę efekty i krótki czas, w jakim zostały osiągnięte. Nie miał pojęcia, że giganci byli tak dobrzy w obróbce kamienia. Ta informacja może się przydać, gdyby naprawdę zamierzał rozwalić bramy Mithrilowej Hali.

Komnata na końcu korytarza najwyraźniej należała do Gerti, gdyż była zamknięta ciężkimi, drewnianymi drzwiami i wyściełana grubymi, niedźwiedzimi skórami. Olbrzymka kopniakami rozsunała kilka z nich na boki, odsłaniając kawałek nagiej skały i kazała Obouldowi usiąść.

Król orków nie pytał ani nie narzekał, lecz z uśmiechem usiadł ze skrzyżowanymi nogami, z wolna wyciągając miecz. Ze względu na długość, nie mógłby siedzieć, trzymając go na plecach. Położył go więc w poprzek nóg tak, by łatwo można było po niego sięgnąć, lecz dłonie trzymał z daleka, by nie wyglądało na to, że komuś grozi.

Gerti bacznie obserwowała każdy jego ruch, choć usiłowała zachować obojętny wyraz twarzy. Podeszła do największej sterty futer i usiadła na niej z udawaną skromnością. Mimo to wciąż górowała nad siedzącym niżej i znacznie niższym królem orków.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała wprost ostrym tonem, spoglądając na niego.

– Złości nas oboje powrót króla Bruenora i strata wielkiej okazji – odparł Obould.

– Utrata wielu lodowych gigantów.

– A dla mnie orków... zginęło ich ponad tysiąc, a między nimi mój syn.

– Dla mnie nie są warci nawet jednego z moich – odparła Gerti.

Obould zniósł te, obelgę w milczeniu, przypominając sobie, że powinien sięgać myślami daleko, a nie poderwać się i rozplatać tę wiedzę.

– Krasnoludy cenią swoich tak samo, jak my, pani Oreldottr – powiedział. – Nie fetują zwycięstwa.

– Wielu uciekło.

– Do dziury, która stała się dla nich więzieniem. Do tuneli, w których być może już unosi się smród trolli.

– Gdyby Donnia Soldou i Ad’non Kareese nie byli martwi, może zdołalibyśmy lepiej poskładać informacje o Proffiecie i jego paskudach – powiedziała Gerti, myśląc o dwojgu z czwórki drowów, które służyły im jako doradcy i zwiadowcy. Oboje znaleziono martwych na północ od ich obecnej pozycji.

– Oplakujesz ich śmierć?

Pytanie sprawiło, że Gerti zamilkła na chwilę, zdradziła nawet zaskoczenie krótkim uniesieniem starannie przyciętych brwi.

– Wiesz dobrze, że wykorzystywali nas tylko dla własnej rozrywki – dodał.

Gerti znów uniosła brwi, tym razem na dłużej.

– Zaskoczona?

– To drowy – powiedziała. – Służą tylko sobie i swoim zachciankom. Pewnie, że o tym wiem. Tylko głupiec mógłby sądzić, że jest inaczej.

Mimo to byłaś zaskoczona, że ja o tym wiem, pomyślał Obould.

– A jeśli ta druga dwójka zginie na południu, tym lepiej dla nas – rzekła.

– Kiedy się z nimi uporamy – powiedział Obould. – Ocalałe drowy mogą okazać się przydatne, jeśli zechcemy przełamać umocnienia Mithrilowej Hali.

– Przełamać umocnienia?

Uwadze Oboulda nie umknęło niedowierzanie, lub może szczere zwątpienie, w jej głosie.

– Zdobędę Halę.

– Twoje orki zginą tysiącami.

– Każda cena jest tego warta – powiedział Obould i musiał bardzo się starać, by usunąć z głosu wszelką niepewność. – Musimy wciąż naciskać na naszych przeciwników, zanim się zorganizują i skoordynują swoje ataki. Depczą nam po piętach, a ja nie zamierzam pozwolić, by stąpali pewnie. I wreszcie zdobędę głowę Bruenora Battlehammera.

– Aby do niego dotrzeć, będziesz szedł po orczych trupach, ale nie ciałach lodowych gigantów.

Obould pokiwał głową pewien, że jeśli zdoła opanować wyżej położone tunele Hali, Gerti szybko do niego dołączy.

– Potrzebuję twoich wojowników tylko do tego, by przedrzeć się przez zewnętrzną obronę.

– Są różne sposoby, by rozbić największe z wrót – wtrąciła Gerti, najwyraźniej zaintrygowana tematem.

– Im szybciej rozbijesz skorupę, tym prędzej dostanę głowę Bruenora.

Gerti zachichotała i pokiwała głową na znak zgody. Obould pomyślał, że bardziej interesuje ją wizja dziesięciu tysięcy martwych orków niż porażka krasnoludów.

Zręcznie dźwignął się na nogi i wyprostował, by wsunąć miecz do pochwy na plecach. Odpowiedział ukłonem na kiwnięcie głowy Gerti i wyszedł, szybko przybierając pewny siebie krok, kiedy mijał szeregi gigantycznych strażników.

Mimo iż wyglądał na spokojnego i pewnego siebie, wewnątrz aż się gotował. Gerti będzie działać szybko, a Obould nie miał wątpliwości, że pomoże wejść orkom do środka. Mimo to, gdy pomyślał nad wykonaniem swojej prośby, zaczynał się niepokoić. Znowu wyobraził sobie orcze fortece na szczycie każdego wzgórza, o murach, które zmuszają atakujących do walki o każdy cal ziemi. Ile krasnoludów, elfów i ludzi musi paść na tych wzgórzach, nim ten paskudny triumwirat pożegna się z myślą o pokonaniu go i uzna jego zdobycze za trwałe? Jak wiele krasnoludów, elfów i ludzi Obould będzie musiał zabić, nim jego orki będą miały swoje królestwo i swój udział w bogactwach szerokiego świata?

Miał nadzieję, że wiele, gdyż bardzo lubił zabijać krasnoludy, elfy i ludzi.

Wychodząc z jaskini miał przed sobą dość szeroki widok północnych ziem. Jego wzrok wędrował od jednej góry do drugiej, od jednego zbocza do drugiego. Oczywiście widział stojące na nich zamki, a na wieżach łopotały sztandary Jednookiego Boga i króla Wiele Strzał. A w ich cieniu, w dolinach, widział miasta, bezpieczne i solidne jak Płycizny, lecz zamieszkane nie przez śmierzących ludzi, ale orki. Zaczynał kreślić powiązania, szlaki handlowe i powinności, bogactwa i władzę, szacunek i wpływy.

Obould był przekonany, że to zadziała. Wykroi sobie królestwo i zabezpieczy je tak, by krasnoludy, elfy i ludzie nigdy nie mogli go pokonać.

Król orków odwrócił się i spojrział na jaskinię Gerti. Przez chwilę kusiło go, by wrócić i opowiedzieć jej o tym wszystkim. Nawet odwrócił się i zrobił krok w tamtą stronę.

Zatrzymał się jednak uznawszy, że Gerti nie doceni jego wizji, nie obejdzie ją efekt końcowy. A nawet jeśli, pomyślał, co powiedzą na to Tsinka i inni szamani? Tsinka wzywała do podboju, nie osadnictwa, twierdziła, że w jej uszach dźwięczy głos samego Gruumsha.

Górna warga zwinęła się ze złości, pozwolił, by zaciśnięte pięści uniosły się przed nim. Nie skłamał Gerti. Nie pragnął niczego więcej, jak tylko ścisnąć w dłoniach serce Bruenora Battlehammera.

Ale czy było to w ogóle możliwe i czy było to warte, jak powiedział, każdej, nawet najstraszliwszej ceny?

4.

KRÓLEWSKIE OKO

Wszystkim zebranim wydawało się, że światło pochodni nie jest wystarczająco jasne, a migoczące płomienie nie tańczą radośnie. Może była to świadomość, że wrota są zamknięte, i że to słabe światło to wszystko, co oddziela Mithrilową Halę od całkowitych ciemności. Krasnoludy i inni mogli rzecz jasna wyjść. Mieli tunele, prowadzące na południe na skraj Trollowych Wrzosowisk, choć krążyły wieści, że i tam trwa walka. Mieli tunele prowadzące daleko na zachód, aż do Mirabaru i pod rzeką Surbrin, na wschód, do miejsc takich jak Cytadela Felbarr. Jednak żadna z tych tras nie była łatwa, wszystkie wymagały wędrówki przez rozległy labirynt zwany Podmrokiem, miejsce zamieszkiwane przez mroczne istoty i niewyobrażalne okropności.

Dlatego Mithrilową Halę wydawała się bardziej ponura, światło pochodni mniej przytulne. Nie było ich zresztą wiele. Król Bruenor już zalecił je oszczędzać, przygotowując się na bardzo długie oblężenie.

Bruenor zasiadał na kamiennym tronie, wyściełanym zielonoczerwoną tkaniną. W świetle pochodni jego długa, rozczochrana broda wydawała się bardziej pomarańczowa niż czerwona, być może dlatego, że od czasu ciężkich przejść w długich włosach króla pojawiło się znacznie więcej siwych nitki. Nawet najwięksi kapłani Mithrilowej Hali wierzyli, że podtrzymują go przy życiu dzięki stałemu rzucaniu zaklęć leczących na ciało, o którym mówili, że gospodarz je opuścił. Ich zdaniem Bruenor, wzór krasnoluda, udał się odebrać swoją nagrodę w Halach Moradina. Tam, jak uważano, odnalazł go dzięki magii zaczarowanego rubinu namiestnik Mithrilowej Hali, niziołek Regis. Regis pochwycił tę niewielką iskierkę życia, która pozostała w oczach krasnoluda i jakoś wykorzystał magię, by wysłać swoje myśli i błagania do Bruenora, by ten wrócił do krainy żywych.

Żaden król nie będzie leżał nieruchomo, kiedy jego poddani znajdują się w tak wielkiej potrzebie.

Dlatego Bruenor powrócił, a krasnoludy odnalazły drogę do domu, chociaż znaczną ciałami wielu poległych druhów.

Dla wszystkich, którzy go dobrze znali, te siwe włosy były jedynym znakiem próby, jaką przeszedł. Ciemne oczy wciąż błyszczały energią, a szerokie ramiona obiecywały, że jeśli przyjdzie taka potrzeba, udźwignie na nich całą Mithrilową Halę. Owinięto go bandażami w tuzinie miejsc, gdyż podczas odwrotu do Hali odniósł kilka poważnych ran, które powaliłyby słabszego krasnoluda, lecz nawet jeśli sprawiały mu jakieś cierpienie, w ogóle tego nie pokazywał.

Nosił powgniataną i porysowaną zbroję, a o tron opierała się jego tarcza ze znakiem klanu – spienionym kuflem. Na niej leżał jego topór, pełen szczerb od kamieni, zbroi i ogrzanych czaszek.

– Wszyscy, którzy widzieli ten wybuch, kręcą tylko głowami, kiedy usiłują go opisać – powiedział do Nanfoodle’a Buswilligana, gnomiego alchemika z Mirabaru.

Nanfoodle przestępował nerwowo z nogi na nogę, co sprawiło, że krasnolud jeszcze bardziej wychylił się ku niemu.

– Chodź, mały – zachęcił go. – Nie mamy czasu na skromność czy zdenerwowanie. Świetnie się spisałeś, wszyscy w Hali są ci za to wdzięczni. Wiesz, że stałeś się naszym bohaterem?

Słyszając to, Nanfoodle nieco się wyprostował, unosząc głowę tak, by spojrzeć na zasiadającego na tronie krasnoluda. Zmarszczył się, gdy jego długi, zakrzywiony nos niemal otarł się o równie duży organ powonienia Bruenora.

– Co zrobiłeś? – spytał go krasnolud. – Powiedziałeś, że doprowadziłeś gorące powietrze spod Doliny Strażnika.

– Ja... my... – poprawił gnom oglądając się na pozostałych, w tym na Pikela Bouldershouldera, niezwykle krasnoluda, który przybył z Carradoon, leżącego nad brzegiem dalekiego jeziora Impresk.

Nanfoodle kiwnął głową, gdy Pikel uniósł swoją jedyną pięść w górę, wypowiadając ciche „Oj oj!”.

Gnom przełknął ślinę i znów popatrzył na Bruenora, który ponownie rozsiadł się na swoim siedzisku.

– Wykorzystaliśmy metalowe rury, by doprowadzić gorące powietrze z dołu – potwierdził. – Torgar Hammerstriker i jego chłopcy oczyścili z orków tunele pod granią, a potem uszczelnili dobrze smołą. Po prostu doprowadziliśmy do tych tuneli gorące powietrze, a kiedy strzała Cattibrie podpałała to wszystko...

– BUM! – wykrzyknął Pikel Bouldershoulder, a wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni. – Hi hi hi – dodał, nieśmiało wzruszając ramionami, a wszyscy wybuchnęli długo oczekiwanym śmiechem.

Przerwa okazała się krótka, gdyż szybko przypomnieli sobie powagę sytuacji.

– Dobrze zrobiłeś, gnomie – rzekł Bruenor. – Ocaliłeś wielu moich krewnych, słyszałem to z ust samego Banaka Brawnabila. A on nie chwali ponad miarę.

– My... Shoudra i ja... potrzebowaliśmy dowieść swej przydatności, królu – powiedział Nanfoodle. – Chcieliśmy pomóc najlepiej, jak mogliśmy. Twoi krewni okazali tak wiele serca Torgarowi i Shinglesowi, jak również innym mieszkańcom Mirabaru...

– Już nie Mirabaru – powiedział z boku Torgar. – Teraz wszyscy, co do jednego, jesteśmy Battlehammerami. Nie nazywamy markiza Elastula naszym wrogiem, dopóki ich sobie z nas nie zrobi, lecz nie jesteśmy już lojalni wobec tronu Mirabaru. Nasze serca, dusze, dłonie i młoty

należą do króla Bruenora!

W Hali rozległy się głośnie wiwaty, które rozpoczął tuzin znajdujących się tam krasnoludów z Mirabaru, a podchwycili pozostali.

Bruenor przez chwilę rozkoszował się tym, przyjmując to jako promyk światła w czarny dzień. A dzień był dla Mithrilowej Hali naprawdę czarny, ciemny jak korytarze Podmroku i zły jak serce drowiej kapłanki. Mimo wszelkich wysiłków, poświęcenia i waleczności krasnoludów, Catti-brie i Wulfgara, mimo mądrych posunięć Regisa jako namiestnika zostali zamknięci w tych tunelach przez wroga, którego Mithrilowa Hala nie mogła pokonać na otwartym polu. Setki krewniaków Bruenora nie żyło, tak samo jak jedna trzecia uchodźców z Mirabaru.

Bruenor rozmawiał dziś z wieloma ważnymi osobami, od Treda McKnucklesa z Felbarr, zgnębionego stratą drogiego przyjaciela Nikwilliga, do braci Bouldershoulder, Ivana i nieugiętego Pikela, wciąż rozchichotanego i promieniającego radością pomimo utraty ręki. Bruenor udał się na spotkanie z Banakiem Brawnnavilem, wodzem, który tak wspaniale przez wiele dni, wbrew wszystkiemu bronił klifu nad Doliną Strażnika. Banak nie mógł go odwiedzić: ciężko ranny podczas odwrotu, kiedy zdecydował, że będzie ostatnim, który opuści klif, stracił władzę w nogach. Kapłani tłumaczyli, że orcza włócznia trafiła go w kręgosłup i ich zaklęcia leczące w żaden sposób nie mogły mu pomóc. Tego dnia pozostawał w łóżku, czekając na ukończenie wygodnego wózka z kołami, który choćby częściowo przywróciłby mu zdolność poruszania się.

Zastał Banaka w ponurym nastroju, lecz duch walki przetrwał. Jak się spodziewał, dowódca bardziej niż o siebie martwił się o tych, którzy polegli. W końcu Banak był Brawnnavilem, z rodu równie wytrzymałego jak sami Battlehammerowie, silnego ramieniem i duchem, którego lojalności nie można było podważyć. Bruenor wiedział, że wódz, choć fizycznie okaleczony, nie został jeszcze wyeliminowany z walki, niezależnie od tego, gdzie ta walka by trwała.

Spotkanie z Nanfoodlem było ostatnim posłuchaniem udzielonym tego dnia, więc Bruenor odprawił gнома i wyszedł. Czekало go jeszcze jedno spotkanie, o którym wiedział, że najlepiej będzie odbyć je na osobności.

Pozostawiwszy eskortę – Thibbledorf Pwent naciskał, by królowi wszędzie towarzyszyło dwóch Pogromców – na krańcu słabo oświetlonego korytarza, Bruenor podszedł do drzwi, zapukał, po czym otworzył.

Regis siedział przy swoim biurku, opierając podbródek na dłoni, z piórem zawieszonym nad otwartym pergaminem, który mimo przycisków w kształcie kufli nadal starał się zwinąć. Bruenor kiwnął i usiadł na skraju miękkiego łóżka niziołka.

– Nie jadasz zbyt wiele, Pasibrzuchu – zauważył z uśmiechem. Sięgnął pod tunikę i wyciągnął spod niej duży kawał ciasta. Rzucił go Regisowi, a ten złapał pocisk w powietrzu i odłożył na biurko, nie ugryzłszy ani kęsa. – Jeszcze trochę, a będę musiał mówić o tobie

Szkieletorek! Częstuj się! – machnął w stronę ciasta.

– Usiłuję to wszystko zapisać – zapewnił go Regis, odsuwając na bok przyciski i unosząc kawałek pergaminu, z którego pociekło nieco mokrego jeszcze atramentu. Widząc to, niziołek szybko opuścił kartę i zaczął na nią gorączkowo dmuchać.

– Nie ma tam nic, czego nie mógłbyś powiedzieć mi samemu.

Niziołek wreszcie się do niego odwrócił.

– Co cię gryzie, Pasibrzuchu? – spytał krasnolud. – Generałowie mówią mi, że sprawiłeś się dobrze... bardzo dobrze.

– Tak wielu zginęło – odparł Regis najcichszym z możliwych szeptów.

– No, jak to na wojnie.

– Ale to ja ich zatrzymałem na zewnątrz – wyjaśnił niziołek, zeskakując z krzesła i wymachując krótkimi ramionami. Zaczął przechadzać się tam i z powrotem, mamrocząc, jakby usiłując znaleźć jakiś sposób na to, by wyrzucić cały ból za jednym wybuchem. – Tam, na klifie. Mogłem nakazać Banakowi odwrót na długo przed ostateczną bitwą. Ilu z nich by wtedy żyło?

– Zadajesz pytania, na które nie ma odpowiedzi! – krzyknął na niego Bruenor. – Dzień po bitwie każdy może dowodzić! A najważniejsze jest dowodzić w jej trakcie! – Mogłem ich sprowadzić – powtórzył niziołek. – Powiniennem był to zrobić.

– Ale wiedziałeś o orczych wojskach, prawda? Wiedziałeś, że wtedy dołączy do nich kolejne dziesięć tysięcy i zaleją dolinę od zachodu, prawda?

Regis zamrugnął, lecz nie odpowiedział.

– Nie wiedziałeś więcej niż ktokolwiek inny, z Banakiem włącznie – powiedział z naciskiem Bruenor. – A Banak nie rwał się do schodzenia z tego klifu. W końcu, kiedy dowiedzieliśmy się prawdy o naszym przeciwniku, ratowaliśmy, kogo mogliśmy. Uratowaliśmy wielu, lecz nie tylu, ilu byśmy chcieli. Nie widzisz, że oddaliśmy im całą północ? Nie jest to coś, do czego którykolwiek Battlehammer przyzna się z dumą.

– Było ich zbyt wielu – zaczął Regis, na co Bruenor zareagował tylko głośnym „Phi!”.

– Uciekliśmy, Pasibrzuchu! Klan Battlehammer uciekł przed orkami!

– Było ich zbyt wielu!

Bruenor uśmiechnął się i pokiwał głową, pokazując Regisowi, że gra na nim jak na krasnoludzkich skrzypkach.

– Oczywiście, że tak, dlatego zrobiliśmy, co mogliśmy, ale nie myśl, że wydałbym rozkaz odwrotu, gdybym wiedział, że mam jeszcze jakąś inną możliwość. Nie było innej! Trzymałbym tam Banaka, Pasibrzuchu. I byłbym tam razem z nim, możesz być o to spokojny!

Regis spojrział na Bruenora i kiwnął twierdząco głową.

– Najważniejsze pytanie brzmi: co teraz? – mówił krasnolud. – Wychodzimy i znowu walczymy? A może na wschód, otworzyć połączenie pod Surbrin? Albo na południe, byśmy

mogli się wymknąć?

– Południe – mruknął Regis. – Wysłałem tam pięćdziesięciu krasnoludów, by towarzyszyli Galenowi Firmowi z Nesme.

– Catti-brie opowiedziała mi o tym. Tu również postąpiłeś dobrze. Po tym, jak potraktowali nas te parę lat temu i po tym, jak zignorowali Settlestone, niezbyt ich kocham. Banda najbardziej zakutych łbów, jakie kiedykolwiek widziałem! Ale sąsiad to sąsiad, trzeba mu pomóc, a tak, jak ja to widzę, zrobiłeś wszystko, co tylko możliwe.

– Lecz teraz możemy zrobić więcej – podsunął Regis. Bruenor podrapał się w zadumie po rudej brodzie.

– Może i tak – przyznał. – Kilka setek wojowników wysłanych na południe może dać nam nowe możliwości. Dobrze kombinujesz.

Popatrzył na Regisa i z radością zauważył, że niziołek otrząsnął się z przygnębienia, a w jego brązowych oczach znów pojawia się blask.

– Wyślij Torgara i chłopaków z Mirabaru – podsunął. – Są dobrzy i potrafią walczyć równie dobrze na ziemi, jak i pod nią.

Bruenor nie był pewien, czy zgodziłby się z tym twierdzeniem. Może Torgar, Shingles i pozostałe krasnoludy z Mirabaru miały już dość walki i zadań specjalnych. Może nadszedł czas, by odpoczęły wewnątrz Mithrilowej Hali, przebywając z krasnoludami, które żyły tu od czasów, gdy wiele lat temu te korytarze i sale zostały odebrane cienistemu smokowi Shimmergloomowi i jego duergarom.

Mimo to nie dał poznać Regisowi, że wątpi w jego sugestię. W ciągu ostatnich dekadni niziołek wiele razy dowiódł swego rozsądku, a jego rozum i przenikliwość stanowiły płomyk, którego Bruenor nie zamierzał gasić.

– Chodź, Pasibrzuchu – powiedział, szczerząc zęby. – Zobaczymy, jak dają sobie radę Ivan i Pikel. Może znają jakichś sojuszników, o których jeszcze nie pomyśleliśmy.

– Cadderly?

– Myślałem raczej o elfach z Księżycowego Lasu – wyjaśnił Bruenor. – Wygląda na to, że przeszli tamtędy w drodze do Hali. Sądzę, że dobrze by było, by skłonili elfy z Surbrin, by zmiękczyli strzałami i magią umocnienia orków.

– Jak prześlemy do nich prośbę? – spytał Regis. – To jest, do elfów. Czy mamy jakieś tunele, które idą tak daleko na północ i wschód?

– A jak Pikel i Ivan tu się dostali? – odparł Bruenor, puszczając do niego oko. – Ivan opowiadał, że miało to coś wspólnego z drzewami i korzeniami. Nie mamy tu drzew, ale dużo korzeni.

– Hi hi hi – odparł Regis, naśladując Pikela.

* * *

Tred McNuckles podniósł palec do ust, przypominając obsadzie krasnoludzkiej katapulty, że najważniejsze jest zachowanie ciszy.

Bellan Brawnaiwil pokazał to samo Tredowi i odsunął się od naciągających katapultę, by ułatwić im poruszanie się, gdy starali się ustawić kosz. Zamontowana na framudze wrót boczna katapulta była podstawową machiną, służącą do obrony Mithrilowej Hali na zewnątrz. Ruchome ramię pozwalało szybko dostosować zasięg do każdej sytuacji, a na wschodzie, tak blisko wielkiej rzeki, że od jej przepływu huczały głązy, katapulty ustawiono na pierwszej linii jako najważniejszą broń. Tuż za ich stanowiskiem na wschodnim krańcu Hali tunele schodziły w dół, ku ciemnościom Podmroku. Nawet w czasach pokoju wschodnie katapulty boczne często były używane do odpędzania brunatnych kolosów czy złudnych bestii, bądź innych mieszkańców tych pozbawionych światła korytarzy.

Tred na własną prośbę przeszedł tutaj zaraz po tym, jak zamknięto wrota do Doliny Strażnika, gdyż tędy biegła droga łącząca Mithrilową Halę przez górny Podmrok z Cytadelą Felbarr, jego domem. Z tego samego miejsca, przez żelazne drzwi, które w razie potrzeby można było szybko zamknąć, przeszli posłowie do króla Emerusa Warcrowna z Cytadeli Felbarr. Mieli oni opowiedzieć mu o Tredzie i Nikwilligu oraz o zaginionej karawanie.

Tred tkwił tu przez wiele godzin, biorąc podwójne zmiany i zostając na miejscu nawet wtedy, kiedy nie pełnił straży. Poszedł do głównego kompleksu tylko na spotkanie z królem Bruenorem. Właśnie stamtąd wrócił i zastał swoich druhów ożywionych wieściami o jakichś poruszeniach na wschodzie.

Tred stał zaniepokojony między nimi i zastanawiał się. Czy to początek kolejnego ataku wojsk Oboullda? A może jakieś potwory z Podmroku szukają pożywienia? A może wreszcie wracają posłańcy?

Za drzwiami tunel opadał do prawie okrągłej, naturalnej jaskini, z której wychodziło kilka korytarzy. Krasnoludy za katapultą przygotowały już kilka baryłek bardzo łatwopalnego oleju, gotowe zamienić to miejsce w żarnik. Przy pierwszej oznace kłopotów stoczyłyby je na dół, rozlewając zawartość na posadzce, po czym katapultą wystrzeliłaby płonąca, smolną głównię.

Bellan Brawnaiwil przekazał Tredowi i stojącym przy baryłkach, że katapultą jest gotowa. Wszyscy ucichli, a niektórzy położyli się na ziemi, przykładając ucho do głązów.

Z jednego z tuneli dochodził jakiś dźwięk.

Na szczycie zbocza ustawiono po cichu jedną z baryłek, a młody krasnolud był gotów posłać ją na dół.

Tred wyglądał niecierpliwie zza futryny, wbijając wzrok w ciemność. Dostrzegł migotanie pochodni.

Widocznie krasnolud z baryłką również, gdyż krzyknął cicho i zaczął na nią napierać.

Lecz Tred zatrzymał go, kiwając mu przed nosem palcem i krzywiąc się. Chwilę później wszyscy byli radzi, że to zrobił, gdyż usłyszeli:

– Ech ty wielki i śmierdzący prosiaku, znów kręcimy się w kółko!

– Nie, największa pomyłko twojej matki! Przez tę salę jeszcze nie przechodziliśmy.

– Już cztery razy, ty durniu! – Wcale nie!

Tred i pozostali uśmiechnęli się szeroko.

– Jeśli byliście tu już cztery razy, to robiliście wtedy znacznie mniej hałasu niż teraz, wy grube, brodate tarcze strzelnicze! – krzyknął.

W sali poniżej zapadła cisza, a po chwili płomień znikł.

– Aha, czyli teraz się skradamy? – spytał Tred. – Pokażcie się, czy jesteście od Warcrownów, czy od Battlehammerów!

– Warcrown! – krzyknięto z dołu głosem, który Tred jakby skądś znał.

– Battlehammer! – dodał drugi, a krasnoludy rozpoznały głos Sindela Muffinheada, jednego z posłów wysłanych przez namiestnika Regisa. Był to młody kapłan i doskonały piekarz, a do tego młodszy brat sławnego Cordia.

Pochodnie znów zabłyśły – zobaczyli kilka postaci, które zaczęły iść pod górę. Kiedy zbliżyli się, Tred poznał starego przyjaciela.

– Jackonray Broadbelt! – zawołał. – Nie widzieliśmy się od niziołczego posiłku!

– Tred, stary druhu! – odkrzyknął Jackonray, wchodząc pierwszy do sali. Wraz z nimi weszło siedmiu towarzyszy, między innymi Sindel, ale bez drugiego posła.

Jackonray nosił ciężką zbroję z ciemnoszarych płytek naszytych na grubą skórnię. Jego hełm miał kształt miski z grzebieniem, wystawała spod niego szopa siwych włosów. Broda Jackonraya nie była tak niestaranna – przewijały się w niej pasemka siwe i jasne, splatane w warkoczyki, co nadawało krasnoludowi charakterystyczny i dostojny wygląd. Zgodnie z nazwiskiem jego pas był szeroki i zdobiony migoczącymi kamieniami. Opierał na nim prawą rękę.

– Przykro mi z powodu twego brata – poklepał Treda po ramieniu dłonią twardą jak kamień.

– Tak, Duggan był dobrym przyjacielem.

– I wiernym towarzyszem. Wyrazy ubolewania dla twojej rodziny.

Tred wyciągnął dłoń i mocno ścisnął mocarną rękę Jackonraya.

– Przybywacie od króla Emerusa... jak sądzę, z dobrymi wieściami – powiedział chwilę później. – Zaprowadzę was do króla Bruenora.

– Tak, od razu.

Wraz z Sindelem ruszyli szybkim krokiem. Pozostałe krasnoludy z Felbarru szły za nimi szeregiem. Gdy dotarli do gęściej zaludnionych rejonów Hali, wielu tutejszych krasnoludów

również ruszyło za nimi, kiedy więc przeszli przez wielkie Podmiasto i weszli w korytarze prowadzące do komnaty Bruenora, podążało za nimi już ponad pięćdziesiąt osób. Wielu z nich rozmawiało, wymieniając wiadomości o swoich twierdzach. Inni pobiegli do Bruenora przed nimi.

– Gdzie Nikwillig? – spytał Jackonray, idąc obok Treda.

– Nadal na Północy – odparł krasnolud, a nagle powaga w tonie jego głosu nie była żadną pomyłką. – Wszedł na górę na wschodzie, by przesłać nam sygnał. Wiedział, że robiąc tak nie będzie mógł szybko wrócić do Mithrilowej Hali. Czuł, że on... że my jesteśmy to winni Bruenorowi, gdyż zrobił tak wiele, by pomóc naszym krewnym.

– Słusznie zrobił – zauważył Jackonray. – Ale skoro go tu nie ma, to chyba już nie żyje.

– Tak, lecz zginął jak bohater – odparł Tred. – Żaden krasnolud nie może prosić o nic więcej.

– A o cóż lepszego można prosić?

– Właśnie.

Kiedy znaleźli się przed drzwiami królewskiej sali posłuchań okazało się, że są już szeroko otwarte, a król krasnoludów zasiada na swoim tronie, czekając na ich przybycie.

– Królu, przedstawiam ci Jackonraya Broadbelta – powiedział z ukłonem Tred. – Z Broadbeltów z Hornriver, krewnych w pierwszej linii króla Emerusa Warcrowna. Jackonray jest jego ukochanym siostrzeńcem. Jest szósty w kolejce do tronu, zaraz po pięciu synach króla Emerusa.

– Szóstym albo dwudziestym piątym, zależnie od woli króla Warcrowna – powiedział Jackonray, puszczając oko. – Lubi, żebyśmy się tego domyślali.

– Tak, to zawsze jest dobre posunięcie – powiedział Bruenor.

– Wasi posłańcy mówili królowi Emerusowi, że ruszyliście przeciwko Obouldowi Wiele Strzał – rzekł Jackonray.

– Dokładnie tak.

– Cóż, królu Bruenorze, wiemy, że Obould jak na orka jest bardzo cwany. Z tym świńskim ryjem należy postępować bardzo uważnie.

– Zamknął mnie i mój klan wewnątrz Hali – wyjaśnił Bruenor. – Zamknął wschodnie wrota, wychodzące na Surbrin.

– Nasi zwiadowcy widzieli to – powiedział Jackonray. – Giganci i orki budują umocnienia wzdłuż zachodniego brzegu rzeki.

– W Dolinie Strażnika zepchnęli nas ku zachodniej bramie – przyznał Bruenor. – Nie sądziłem, że klan Battlehammer da się zagnać pod ziemię jakiejś bandzie śmierdzących orków, ale to bardzo duża banda. Tysiące tysięcy.

– Prowadzona przez kogoś, kto wie, jak walczyć – dodał Jackonray. – W głębi serca wiesz pewnie, że skoro Obould zagonił cię tutaj, to zamierza też po ciebie przyjść.

– Będzie go to drogo kosztować.

– Bez wątpienia, mój królu.

– Już trochę pokosztowali walki w tunelach na południu – dodał Bruenor. – Ze śmierdzącymi trollami, a nie orkami, lecz walka nie była tak trudna.

Jackonray pogładził jasnosiwą brodę.

– Lady Alustriel z Silverymoon wysłała wieści o wielkim natarciu z Trollowych Wrzosowisk, takim, które zagraża wszystkim ziemiom na południe stąd. To największa walka, jaką kiedykolwiek sobie wyobrażaliśmy. Wiedz jednak, że Obould nie spocznie i nie pozwoli spocząć tobie. Według mojego doświadczenia w walce z tym psem, a mam go sporo, jeśli bitwa toczyć się będzie na południu, przygotuj się na coś większego z północy, wschodu lub zachodu. Obould zagnał cię do dziury, lecz nie pozwoli odetchnąć, nawet jeśli będzie musiał poświęcić życie każdego orka, goblina czy giganta, którego znajdzie.

– Głupie orki – mruknął Tred.

– Tak, dlatego są takie niebezpieczne – odparł Bruenor. Popatrzył na swoich doradców, po czym przeniósł wzrok na Jackonraya. – Jakie zatem wieści przynosisz z Felbarru?

– Doceniam twoją bezpośredniość – odparł krasnolud, kłaniając się nisko. – Przybywam, by powiedzieć, abyście w nas nie wątpili – Felbarr będzie cię wspierał do końca, królu Bruenorze.

Bruenor skinął z wdzięcznością głową, lecz jednocześnie gestem ręki dał do zrozumienia, że chce usłyszeć coś więcej.

– Ustalimy szlak handlowy i zaopatrzeniowy – wyjaśnił Jackonray. – Król Emerus kazał mi dodać, że w razie potrzeby będzie służył jako pośrednik w sprzedaży towarów Mithrilowej Hali, bez żadnych dodatkowych zobowiązań.

To wywołało troskę na twarzy Bruenora, podobnie zresztą stało się ze wszystkimi innymi Battlehammerami.

– Musicie gdzieś sprzedawać swoje towary, a my będziemy waszym nabywcą – oznajmił Jackonray.

– Mówisz tak, jakbyśmy chcieli oddać Obouldowi wszystko, co zdobył i pozwolić mu to zatrzymać – powiedział Bruenor.

Po raz pierwszy od początku spotkania Jackonray sprawiał wrażenie nieco zbitego z tropu.

– Nie, nie o to chodzi, ale król Emerus uważa, iż minie trochę czasu, nim odepchniecie orki.

– A kiedy nadejdzie pora ich odpychania?

– Jeśli dojdzie do walki, staniemy obok was, ramię przy ramieniu – odparł stanowczo Jackonray. – W głębi swego delzouńskiego serca wiesz, królu, że Fellbar jest przy tobie jak krasnolud przy krasnoludzie. Kiedy rozpocznie się walka, będziemy z tobą. I to nie tylko Felbarr, choć minie trochę czasu, nim Cytadela Adbar zmobilizuje swoje hufce.

Ta oznaka solidarności mocno wzruszyła Bruenora, lecz jego uwadze nie umknęła

dwuznaczność, kryjąca się w słowach posła. Inni przywódcy w okolicy wiedzieli o armii orków, lecz obecnie trwały zażarte dyskusje, co powinni, a nawet co mogą zrobić.

– W międzyczasie zabezpieczymy te tunele, byście mogli przewozić swoje towary do Felbarr i dalej – dodał Jackonray, a Bruenor, który wcześniej o tym nie myślał i dopiero zaczął się godzić z taką perspektywą, tylko pokiwał głową.

* * *

– Ten ork był mocniejszy... niż inne orki – powiedział Wulfgar. Barbarzyńca miał prawie siedem stóp wzrostu, a mieszkanie w dzikiej tundrze Doliny Lodowego Wichru zahartowało go. Uważał, że jest silnym człowiekiem, a więc, że jest też silniejszy od każdego orka. Lecz wielkolud, który rozciął Shoudrę Stargleam na pół, a Wulfgarem cisnął na bok, uświadomił mu jego błąd.

– Równie dobrze mógłbym przepychać się z górą. Catti-brie rozumiała jego zaskoczenie i wstyd. Wulfgar, syn Beornegara, rzadko przegrywał w sprawdzianach siły. Nawet giganci nie rzucali nim z taką łatwością.

– Mówią, że to był sam Obould Wiele Strzał – powiedziała.

– Spotkamy się znowu – obiecał Wulfgar i na samą tę myśl jego niebieskie oczy rozbłyły.

– Nie rób czegoś głupiego – powiedziała cicho. – Dostaniemy Oboulda, ale we właściwej chwili. Dostaniemy go tak, jak dostawaliśmy wszystkich pozostałych. Tu nie ma miejsca na osobistą zemstę. Tu gra idzie o coś ważniejszego niż duma.

Wulfgar parsknął i uśmiechnął się.

– Prawda – odparł – a mimo to sama nie wierzysz w te słowa bardziej ode mnie. Chcesz zobaczyć go znowu na końcu strzały równie gorąco, jak ja teraz, kiedy już wiem, czego się można po nim spodziewać.

Catti-brie bardzo starała się nie uśmiechnąć na te słowa, lecz wiedziała, że jej niebieskie oczy lśnią równie mocno, jak u Wulfgara.

– Oczywiście, że chce go dopaść – przyznała. – Lecz nie z hakiem.

Spojrzała w dół, ku swemu słynnemu mieczowi, wiszącemu przy lewym biodrze – Khazid'hea, zwana też, jakże trafnie, Przecinaczką. Catti-brie przebiła nią duży głaz. Czy jakkolwiek zbroja, nawet Oboulda Wiele Strzał, mogła oprzeć się jej ostrzu?

Oboje nagle uświadomili sobie, że stoją oddaleni od siebie zaledwie o cale, na tyle blisko, by poczuć ciepło swoich oddechów.

Catti-brie pierwsza przerwała tę chwilę, wyciągając dłoń i czochrając niesforną czuprynę Wulfgara, potem stając na palcach, by pocałować go w policzek – przyjacielski pocałunek i nic więcej.

W pewien sposób była to dla niej chwila próby.

Jednak uśmiech Wulfgara wydawał się nieco niepewny.

– Sądźmy zatem, że trzeba wysłać zwiadowców kominami – powiedział ktoś zza pleców Catti-brie. Odwróciła się i zobaczyła wchodzącego do sali swego przybranego ojca, Bruenora. Za nim szedł Regis. – Jeśli mamy im przeciwdziałać, musimy dokładnie wiedzieć, co myślą.

– To orki – powiedział Wulfgar. – Założę się, że za wiele nie myślą.

Jego dowcip byłby może bardziej śmieszny, gdyby nie fakt, że wszyscy mieli dobrze w pamięci ostatni manewr orczej armii. Przesunięcie wojsk na zachód pod osłoną górskich szczytów zaprowadziło większość ich sił na tyły oddziałów Banaka, niemal wywołując całkowitą katastrofę.

– Nie dowiemy się niczego, dopóki sami tego nie zobaczymy – zauważył Bruenor. – Nie popełnię tego błędu i tym razem ich nie zlekceważę.

Regis przestąpił z nogi na nogę.

– Sądzę, że odnieśliśmy większe zwycięstwo, niż sądziliśmy – szybko zauważyła Catti-brie.

– Zwyciężyliśmy na zewnątrz, choć nasze straty na pewno są duże.

– Wydaje mi się, że to nas zagnano do dziury – odparł Bruenor.

– A mnie wydaje się, że nie mogliśmy postąpić lepiej – tłumaczyła kobieta, spoglądając z uznaniem na niziołka. – Gdybyśmy od razu się zamknęli, nie wiedzielibyśmy, z kim przyjdzie nam się zmierzyć. W jakich opałach moglibyśmy się teraz znaleźć, gdybyśmy zeszli prosto z klifu? Czy pojęlibyśmy wielkość sił i zaciekłość przeciwnika? Czyż nie zadaliśmy mu potężnego ciosu? Przybyli, by z nami walczyć i tak się stanie. Lepiej się stało, że rozumiemy, po co walczymy, lepiej się stało, że już położyliśmy tak wielu z nich. Dzięki Nanfoodle'owi i pozostałym zabiliśmy ich więcej, niż moglibyśmy się spodziewać, nawet gdyby walka trwała w naszych tunelach.

– Dobrze wszystko oceniasz, dziewczyno – zgodził się Bruenor po chwili namysłu. – Jeśli chcą do nas przyjść, przynajmniej wiemy, co mogą przeciw nam rzucić.

– Zatem głowa do góry i topory w dłoń – zażartował Wulfgar.

– Oj oj! – dodał Regis i wszyscy popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

– To znaczy? – spytała Catti-brie. Regis wzruszył ramionami.

– Po prostu dobrze brzmiało – wyjaśnił i nikt się z tym nie spierał.

5.

ZA WYSOKIE SKLEPIENIE

Galen Firth spacerował tam i z powrotem, a każdy krok wskazywał na coraz większe zniecierpliwienie. Mamrotał coś pod nosem, starając się przeklinać na tyle cicho, by nie przeszkadzać krasnoludom. Siedziały one w wielkim kole z pochylonymi głowami i rękami opartymi na ramionach siedzących obok kompanów, modląc się do Moradina za dusze Fendera i Bonnerbasa. Oddalili się już znacznie od dziury, przez którą uszli z trollowej zasadzki, lecz wciąż byli na powierzchni, pod grupą jodeł kryjąc się przed nagłym deszczem.

Kiedy krasnoludy skończyły – wreszcie, odetchnął Galen – generał Dagna od razu podszedł do człowieka.

– Tej nocy zmienimy kierunek – powiedział. – Większość z nas sądzi, że pora, byśmy wrócili do tuneli.

– Właśnie nas z nich wygoniono – przypomniał mu Galen.

– Tak, ale to nie taki rodzaj tuneli. Szukamy tuneli głębokich, wyłobionych w kamieniu... takich, w których krasnolud może znaleźć oparcie. Z takich tuneli żadne trolle nie wygonią Battlehammerów!

– Zapominasz, po co tu jesteśmy i gdzie zdążamy.

– A trolle depczą nam po piętach – odparł Dagna. – Wiesz, że wkrótce mogą nas dopaść.

– Owszem, jeśli będziemy zatrzymywać się i modlić po każdym... – Galen przerwał, gdy zobaczył twarz Dagny i zrozumiał, że przeciągnął strunę.

– Wybaczę ci, ale tylko ten raz – ostrzegł go krasnolud. – Wiem, że cierpisz z powodu swojej straty. Wszyscy to wiemy. Brakuje nam jednak czasu. Jeśli zostaniemy tu dłużej, nie sądz, że znajdziemy szybko drogę powrotną.

– Co zamierzasz zrobić?

Dagna obracał się powoli, spoglądając na krajobraz.

– Ruszymy na zachód, ku tamtej wysokiej grani – wskazał na pasmo, wznoszące się w odległości kilku mil. – Stamtąd będziemy mieli najlepszy widok. Może nawet dostrzeżemy innych ludzi. Może nie.

– Jeśli nie, zamierzasz wrócić do Mithrilowej Hali.

– Nie mam innego wyjścia.

– A dokąd ma się udać Galen, co? – spytał człowiek.

– Tam, gdzie Galen zechce – odparł Dagna. – Jak dla mnie i moich chłopaków, nieźle walczysz. Zatrzymają cię i nikt nie będzie narzekać. Ale może nie będziesz mógł tego zrobić. Możliwe, że Galen będzie musiał zostać, rozglądać się i, jeśli zajdzie taka potrzeba, umrzeć.

Możliwe, że Galen zrobi najlepiej dla swego ludu, jeśli ruszy do Silverymoon lub innego miasta, które nie jest oblężone przez orki i może wysłać większe siły. Wybór należy do ciebie.

Galen przesunął dłonią po twarzy czując, jak zarost szybko zmienia się w brodę. Bardzo chciał nakrzyczeć, nawrzeszczeć na Dagnę, lecz wiedział, wiedział, że krasnolud ofiarowuje mu wszystko, co w obecnej chwili może. Trolle jakimś cudem za nimi szły i znajdują ich jeszcze raz. Ile razy Dagna i jego niewielki oddział może im się szczęśliwie wymykać?

– Ruszamy tej nocy?

– Nie ma na co czekać – odparł Dagna.

Galen skinął głową i pozwolił, by na tym skończyli. Zabrał swoje rzeczy i zawiązywał buty, podczas gdy krasnoludy szykowały się do wymarszu. Próbował skupić się na chwili obecnej, na czekającym na nich obowiązku, bo wiedział, że jeśli zaczną sięgać zbyt daleko w przyszłość, prawdopodobnie się załamie. W tej chwili każde pytanie w życiu Galena Firtha zaczynało się od: „A jeśli...?”

* * *

– Nie będę tolerował ucieczki do tuneli, dopóki nie odkryjemy, gdzie są ludzie! – mruczał Galen, wciągając się na smagany wiatrem szczyt. Otrząsnął się i popatrzył na Dagnę, czekając na jakąś reakcję z jego strony. Krasnolud wydawał się dziwnie rozproszony i spoglądał gdzieś daleko, na południowy zachód.

– Co...? – spytał Galen, a słowa uwięzły mu w gardle, gdy podążył za jego wzrokiem. W oddali migotały światełka... może ognisk obozowych.

– Możliwe, że właśnie to zrobiliśmy – powiedział Dagna. Wokół gromadziło się coraz więcej krasnoludów, a wszystkie podskakiwały i z podnieceniem wskazywały w tamtą stronę.

– Idioci palą jasne ogniska, kiedy wokół aż roi się od trolli – zauważył jeden z nich, a pozostali pokiwali głowami lub zamierzali to uczynić, lecz Dagna uciął to, widząc, że ogniki dziwnie się poruszają.

– Bronią się ogniem przed trollami! – domyślił się. – Walczą!

– Musimy biec na pomoc! – wykrzyknął Galen.

– To mila stąd... – powiedział któryś z krasnoludów.

– Po ciężkim terenie – dodał inny.

– To popatrzcie na gwiazdy i biegiem! – rozkazał Dagna.

Krasnoludy popatrzyły w niebo i zaczęły szybko schodzić po drugiej ścianie. Galen biegł przodem, co było dość głupie, gdyż ludzkie oczy nie widziały tak dobrze w ciemnościach, jak krasnoludzkie. Nim zrobił sześć kroków, potknął się, oberwał gałęzią i poleciał do tyłu. Gdyby Dagna nie czekał na niego z szeroko otwartymi ramionami, byłby się przewrócił.

– Trzymaj się za mną, długonogi – rozkazał krasnolud – a trafisz na miejsce!

Poruszające się na krótkich, muskularnych nogach krasnoludy nie były najszybszymi biegaczami w Krainach, lecz żaden biegacz nie mógł im dorównać, jeśli chodzi o wytrzymałość i determinację. Oddział mijał i przeskakiwał głązy i pnie, a kiedy ktoś się potykał, pozostali łapali go, podtrzymywali, pomagali biec dalej.

Przebiegli kilka kotlinek, z chlupotem wpadli w kilka niewidzialnych sadzawek. Teraz przedzierali się przez gęste krzaki. W pewnym momencie stały się one tak gęste, że kilka krasnoludów wyciągnęło topory i zaczęło się przez nie przerażać. Kiedy pokonali ostatnią przeszkodę, światła walczących zaczęły być lepiej widoczne, a Galen usłyszał odgłosy walki. Noc rozdzierały wołania o wsparcie, okrzyki bólu i gniewu. Serce człowieka upadło, gdy zrozumiał, że wielu wołających to nie wojownicy, lecz kobiety, dzieci i starcy.

Kiedy wraz z Dagną przedzierali się między krzakami w stronę pola walki, nie wiedział za bardzo, czego się spodziewać. Oczekiwał najgorszego: rzezi, ludzi rozpaczliwie broniących się w małych grupkach, stawiających słaby opór. Już chciał pogonić Dagnę, by utworzył obronny krąg krasnoludów, który mógłby chronić jego ludzi, lecz kiedy zobaczył, co się dzieje, słowa zamarły mu w gardle, a serce wezbrało nadzieją.

Jego towarzysze, dzielni mieszkańcy Nesme, walczyli zażarcie i skutecznie.

– Stoją w podwójnej elipsie – powiedział jeden z krasnoludów z tyłu, mając na myśli bardzo złożony szyk obronny. Galen znał go – jeźdźcy z Nesme często stosowali go na usłanych kikutami drzew ziemiach na północ od Trollowych Wrzosowisk. Podwójna elipsa – dwa pierścienie wojowników łączące się w jednym miejscu. Działając odpowiednio, stanowili dla siebie wsparcie, w każdym miejscu dając więcej okazji obrońcom do zadania ciosu niż atakującym. Było to jednak ryzykowne, gdyż gdyby w którymś punkcie wojownicy zawiedli, przeciwnik znalazłby sposób, by oddzielić i całkowicie zniszczyć całe grupy walczących.

Na razie wyglądało na to, że szyk się trzyma, choć z trudem, głównie dlatego, że obrońcy posiadali wiele pochodni, którymi wymachiwali dziko, aby odpędzić trolle i ich jeszcze głępszych towarzyszy – podobne do drzew bagniaki.

– Martwe drzewa muszą padać! – krzyknął Galen, gdy zorientował się, kto poza trollami atakuje jego rodaków. Bagniaki przypominały niskie, cienkie i uschłe drzewa o powykręcanych, wyglądających jak konary, rękach.

W tej samej chwili, kiedy to powiedział, dostrzegł, że jeden z odcinków szyku jest poważnie zagrożony. Dwaj młodzieńcy, właściwie chłopcy, cofnęli się przed szarżą szczególnie dużego i paskudnego trolla. Galen pognał w tamtą stronę z uniesionym mieczem, kierując się w stronę pleców bestii. Uderzył jaz rozpędu, przebijając i zmuszając do dzikiego skoku do przodu. Chłopcy na szczęście nie uciekli, lecz odskoczyli na boki, a potem, nie bacząc na wymachujące łapy, zaczęli walić w stwora pochodniami. Ogień wywoływał pęcherze na szarozielonej skórze

trolla.

Galen wyrwał miecz z ciała i odwrócił się w samą porę, by zablokować cios łapy innego trolla, i jeszcze jednego, który pojawił się obok. Mocno naciskany i z niedobitym trollem za plecami obawiał się, że może się to dla niego źle skończyć.

Odetchnął nieco, kiedy bestia po lewej zachwiała się nagle i upadła. Z jej głowy wystawał ciężki krasnoludzki topór, który przy upadku wbił się jeszcze głębiej. Jego właściciel przeskoczył obok Firtha, by dobić trolla leżącego za mężczyzną, zaś inny krasnolud wskoczył na ciało, używając go jako odskoczni, by rzucić się na trolla stojącego przed Galenem.

– Dajcie mi pochodnię! – zawołał krasnolud do któregoś z obrońców.

Galen odwrócił się przez ramię, by przyjrzeć się uważniej, po czym cofnął się z cichym jęknięciem, gdy pochodnia przeleciała tuż obok jego twarzy. Podążył wzrokiem za ognistą bronią, z lewej na prawo. Oczekujący krasnolud uchwycił ją zręcznie i szybko. Gdy troll pod krasnoludem obrócił się, znów gotów do walki, krasnolud najpierw wepchnął mu pochodnię w oko, a gdy potwór zaczął ryczeć z bólu, do pyska. Troll szaleńczo zamachał rękami i krasnolud gwałtownie poleciał na bok, lecz zaraz zwinnie wylądował na nogach i jednym płynnym ruchem uniósł młot.

Inni wrogowie zbliżyli się, by otoczyć krasnoluda i Galena, lecz Dagna i jego chłopaki już byli na miejscu, zajadłe wspierając swoich towarzyszy. Przyjęli szyk rombu na prawo od Galena i na lewo od niego, a pozostałe krasnoludy szybko do nich dołączyły. Dwie grupy obróciły się sprawnie, łącząc swoje szeregi.

– Widzę, że walka nie jest obca twoim ludziom! – powiedział Dagna Galenowi. – Idź – zaproponował. – Dołącz do swoich. Ja i chłopaki jesteśmy tu dla was, nigdy w to nie wątp!

Galen Firth obrócił się na pięcie i znów uderzył upartego trolla za swoimi plecami, po czym szybko wyminął padającą bestię, by dołączyć do broniących się ludzi. Wiedział, że wśród nich musieli być przynajmniej niektórzy z Jeźdźców, gdyż ich koordynacja była zbyt dobra jak na niewyszkolonych wojowników.

Zauważył dowódcę obrońców w chwili, gdy młodzieniec zwrócił uwagę na niego. Spojrzenie Galena stało się bardziej surowe. Młody wojownik prawie się cofnął. Galen minął mieszkańców swojego miasta, ruszając w stronę miejsca połączenia dwóch szyków obronnych.

– Ja stanę na osi – powiedział temu, który wyglądał na przywódcę.

– Zabezpieczyłem ją, kapitanie Firth – odparł mężczyzna, niejaki Ranek.

– Odsuń się! – nakazał Galen i Ranek się cofnął.

– Zewrzeć szeregi! – zawołał Galen do wojowników Nesme. – Zbliżyć się, żeby nasi krasnoludscy sojusznicy mogli nam ułatwić odwrót!

* * *

– Dobry wybór – mruknął generał Dagna, który przyglądał się dziwnej wymianie zdań między dwoma mężczyznami.

Nawet po przybyciu czterdziestu krasnoludzkich wojowników ludzie nie mogli mieć nadziei na zwycięstwo nad potwornymi napastnikami. W kilku miejscach płomienie już dogasały, a tam, gdzie się to stało, natychmiast pojawiały się przerażające trolle, a ich szpony cięły zaciekle i bezkarnie. Trolle nie obawiały się konwencjonalnej broni – w końcu porąbanie go na kawałki tylko powiększało jego rodzinę.

– Szyk, chłopaki! – zawołał Dagna. – Podwójny szereg! Trzy boki!

Zdyscyplinowane krasnoludy z okrzykiem obracały się, przeskakiwały, przekreślały i wskakiwały w odpowiednie miejsca, tworząc trójkąt, na którego szpicy stali najbardziej zajadli wojownicy. Klan Battlehammer nazywał tę formację „klinem”, gdyż doskonale nadawała się do uderzania w słabe punkty w szyku ich przeciwników, koncentrując natarcie. Dagna pozostał w centrum, dowodząc i przesuwając krasnoludy jak maszynę wojenną po obrzeżach ludzkich linii. Zatoczyli niemal pełen krąg, odpychając trolle pochodniami i potężnymi toporami rozrabując bagniki niczym drewno na podpałkę. Po krótkim rozkazie Dagny, z zaskakującą precyzją jedna ze szpic oderwała się i minęła ludzi, kierując się na północ, w stronę wyższych terenów, odpychając te kilka trolli, które broniły tej drogi ucieczki.

– Na północ! – zawołał Galen Firth do swoich podopiecznych, pojmując krasnoludzki plan. Popchnął w odpowiednią stronę tych, którzy stali najbliżej.

Po drugiej stronie Rannek zrobił to samo i we dwóch w krótkim czasie zmusili do ruszenia większość z ludzi.

Dagna przyglądał się przypadkowym ruchom, starając się odpowiednio skoordynować ruchy swoich sił, by chronić odwrót. Zauważył, że obaj mężczyźni pracują szaleńczo: jeden z nich wyglądał na młodszą wersję drugiego, choć jego spokój pasowałby do wyszkolonego i doświadczonego wojownika. Zauważył również, że Galen Firth celowo nie spogląda na swojego towarzysza i w ogóle nie zwraca uwagi na jego wysiłki.

Dagna potrząsnął głową i znów skoncentrował się na swoich wysiłkach.

– Przekłęci ludzie – mruknął. – Uparciuchy.

* * *

– Misja ratunkowa osiągnęła sukces – zauważył Tos'un Armgo, wraz z Kaer'lic przyglądający się z daleka przebiegowi bitwy.

– Na razie – odparła kapłanka.

Tos'un bez trudu rozpoznał nonszalancję w jej głosie: w rzeczy samej, czemu Kaer'lic i on

mieliby się przejmować, czy grupie krasnoludów uda się wyrwać z łap Proffita i jego potwornych wojsk?

– Krasnoludy najpewniej skierują się teraz do domu – powiedział drow, po czym obejrzał się przez ramię na związanego i zakneblowanego Fendera. Z przebiegłym uśmiechem kopnął krasnoluda w bok. Fender zwinął się i jęknął.

– Wedle wszelkich szacunków to tylko niewielka część z rozproszonych uciekinierów z Nesme – sprzeciwiła się Kaer’lic. – A ci przerażeni ludzie wiedzą, że ich krewni w całej okolicy są w podobnych opałach. Być może krasnoludy dołączą do nich, by zwiększyć zasięg misji ratunkowej. Czyż to nie będzie słodka ironia, mieć wszystkich naszych wrogów zebranych w jednym miejscu, by tam zostali zgładzeni?

– Naszych wrogów?

To proste pytanie najwyraźniej zaskoczyło Kaer’lic.

– Mając wybór między ludźmi a trollami, a nawet między krasnoludami a trollami, sądzę, że zwróciłbym się przeciw trollom – przyznał drow. – Choć teraz pokusa znalezienia sobie słabego, zagubionego człowieka jest tak silna, że chyba nie będę w stanie się jej oprzeć.

– I nie powinieneś – odpowiedziała kapłanka. – Czerp przyjemność, gdzie tylko możesz, przyjacielu, gdyż już wkrótce zaatakowanie wroga może oznaczać przekraczanie linii ostrożnych i gotowych do walki krasnoludów.

– Być może ta przyjemność będzie oznaczać też kilka słabych orków.

Kaer’lic roześmiała się na tę myśl.

– Życzyłabym im wszystkim: orkom, trollom, krasnoludom, ludziom i gigantom bolesnej śmierci, żeby już było po wszystkim.

– Jeszcze lepiej – zgodził się Tos’un. – Naprawdę mam nadzieję, że krasnoludy zdecydują się pozostać otwarcie na południu, a ich siły będą się powiększać. Ich obecność ułatwi nam przekonanie Proffita, by tu pozostał.

Słowa te uciszyły Tos’unę w chwili, gdy je wypowiedział, i zdawały się otrzeźwić Kaer’lic. O to właśnie chodziło, taka była niewypowiedziana umowa między dwójką mrocznych elfów. Tak naprawdę nie chciały wędrować tunelami z powrotem na północ, w stronę Mithrilowej Hali. Zostali wysłani przez Oboulda na południe, by tam właśnie poprowadzić Proffita, by skłonić trolle do naciskania krasnoludów w południowej części ich tuneli. Ale perspektywa zaatakowania umocnionych pozycji krasnoludzkich i wkroczenia do krasnoludzkiej hali w towarzystwie bandy głupich bestii nie była zbyt przyjemna.

– Proffit skieruje spojrzenie na północ, jak kazał mu Obould – dodał po chwili Tos’un.

– W takim razie musimy go przekonać, że sytuacja tutaj jest ważniejsza – odparła bez wahania Kaer’lic.

– Obould nie będzie zadowolony.

– To może Obould zarżnie Proffita albo jeszcze lepiej, obaj pozabijają się nawzajem.

Tos'un uśmiechnął się i nic nie powiedział, bardzo zadowolony z roli, jaką znalazł dla siebie wraz z trójką towarzyszy. Choć drowy od początku zachęcały Oboulda i Gerti Oreldottr do wojny, nie przejmowały się wynikiem. W rzeczy samej, w ogóle nie obchodziło ich, kto zwycięży, krasnoludy czy orki, jeśli tylko drowom uda się zapewnić sobie trochę rozrywki i zysków w trakcie wojny. A jeśli jednocześnie oznaczało to straszliwe cierpienie i straty dla poddanych Oboulda, Gerti i Bruenora Battlehammera, to tym lepiej!

Oczywiście ani Kaer'lic, ani Tos'un nie wiedzieli, że dwójka ich zaginionych towarzyszy, Donnia Soldou i Ad'non Kareese zginęli na północy z ręki drowa-renegata.

* * *

Pierwszy raz odpoczęli ponad godzinę później, w niedużej jaskini ukrytej w urwisku nad niewielką sadzawką. Tam mogli wreszcie opatrzyć rany i ocenić, kto pozostał w ich wciąż zmniejszających się szeregach. Nesme przez wiele pokoleń było ważnym miastem w regionie, silnym i potężnym za swoimi murami, przednią strażą Srebrnych Marchii wobec ataków potworów z dzikich Trollowych Wrzosowisk. Ustawiczne wysiłki i pracowitość mieszkańców sprawiły, że społeczność Nesme była bardzo zżyta i wszyscy bardzo przeżywali każdą stratę.

Ten dzień przyniósł ponad tuzin śmierci, a kilkunastu ludzi zaginęło – dla grupy uchodźców liczącej mniej niż sto osób była to poważna strata. A biorąc pod uwagę poważne rany, jakie odniosło wielu z odpoczywających w jaskini, w ciągu nocy liczba zmarłych na pewno się powiększy.

– Dzień nie jest przyjacielem trolli, nawet w tropieniu – powiedział Dagna Galenowi Firthowi, gdy niedługo później spotkali się u wejścia do jaskini. – Moje chłopaki zacierają ślady i zabijajątrolle i bagniki, które zbytnio się zbliżają, ale nie możemy siedzieć tu zbyt długo, bo potwory przyjdą w większej liczbie.

– Wtedy ruszymy się znów – odparł Galen.

Dagna uznał jego ton – mieszankę determinacji i zrezygnowania – za zgodę.

– Będziemy wędrować z cienia do cienia – ciągnął Galen. – Znajdziemy każdy ich słaby punkt i właśnie w niego będziemy uderzać. Znajdziemy wszystkie pozostałe grupy moich rodaków, stworzymy z nich jedną, niszczącą siłę.

– Znajdziemy tunele głębokie i proste, by pobiec nimi wprost do Mithrilowej Hali – poprawił go Dagna. Oczy Galena Firtha błysnęły gniewem.

– Tam gdzieś jest więcej moich. Nie zostawię ich w takiej chwili.

– To twój wybór – odparł Dagna. – Przybyłem tu, by zobaczyć, jak mogę pomóc, tak samo moi chłopcy. Zostawiłem tu jeszcze sześciu. Razem ośmiu z pięćdziesięciu, niemal szóstą część

grupy.

– A twoje działania ocaliły dziesięciokrotnie więcej ludzi. Czyż dziesięciu mieszkańców Nesme nie jest wartych życia jednego krasnoluda?

– Nie mów tak – odparł Dagna i parsknął. – Sądzę, że jeśli popełnimy chociaż jeden błąd, zostaniemy wybici w jednej wielkiej walce. Więcej niż dwa tuziny moich i prawie setka twoich.

– Zatem nie możemy go popełnić – odparł spokojnie Galen.

Dagna znów parsknął i odszedł, świadom, że tej nocy niczego nie ustalą. Nie musieli zresztą, gdyż szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, gdzie powinni szukać tuneli, które mogłyby ich zaprowadzić do Mithrilowej Hali. Podobnie jak Dagna, Galen wiedział, że przez następne godziny, czy nawet dni ta grupa ruszy się dopiero wtedy, kiedy będzie musiała. Spieranie się o dalszy kierunek marszu, który wkrótce może okazać się zbędny, było dość głupie.

Dagna przeszedł między mieszkańcami Nesme, przyjmując ich podziękowania i wdzięczność oraz samemu chwalać ich wysiłek. Odnalazł własnych kapłanów, ciężko pracujących przy rannych, mocno poklepywał każde krasnoludzkie ramię. Jednak najwięcej uwagi Dagna poświęcał ludziom. Według jego surowej oceny rzeczywiście byli dobrą, zaprawioną w bojach grupą, choć może nieco upartą.

No dobrze, przyznał, upartą, jeśli uznać Galena Firna za typowego jej przedstawiciela.

Ta myśl sprawiła, że Dagna zaczął wolniej przechadzać się między szeregami, szukając konkretnej osoby, której działania na polu walki wykroczyły poza zwykłą waleczność. Znalazł go w głębi płytkiej jaskini, siedzącego na gładkim, okrągłym głazie. Zbliżywszy się, Dagna zauważył, że mężczyzna odniósł wiele ran: trzy palce lewej dłoni były wygięte w sposób wyraźnie wskazujący na złamanie, a lewe ucho wyglądało tak, jakby za chwilę miało odpaść.

– Powinieneś pokazać te palce i ucho kapłanom – powiedział, podchodząc bliżej.

Zaskoczony wojownik poderwał się, wygładzając kolczugę i skórzany kaftan.

– Nazywam się Dagna – powiedział, wyciągając sękatą dłoń. – Generał Dagna z Mithrilowej Hali, wódz króla Bruenora Battlehammera.

– Miło cię poznać, generale – odparł człowiek. – Jestem Rannek z Nesme.

– Jeden z Jeźdźców? Mężczyzna skinął głową.

– Kiedyś nim byłem.

– No, ale wkrótce odzyskacie swoje miasto!

Krasnolud dostrzegł, że jego optymizm nie poprawił mężczyźnie nastroju, choć biorąc pod uwagę sposób, w jaki Galen Firth powitał Ranneka na polu walki, przypuszczał, że ta oschłość nie miała związku z perspektywami samego miasta.

– Dobrze się spisałeś – powiedział Dagna, na co odpowiedzią było jedynie słabe wzruszenie ramionami.

– Walczyliśmy o nasze życie, cny krasnoludzie. Nie mieliśmy wielkiego wyboru. Gdybyśmy

popętnili jakiś błąd, już byśmy nie żyli.

– Czy tak właśnie nie jest? – spytał Dagna. – Przez wiele lat zacząłem dostrzegać prawdę w powiedzeniu, że wojna to czas, który określa charakter krasnoluda. Albo człowieka.

– Owszem.

Oczy Dagny zwęziły się pod krzaczastymi brwiami.

– Masz tu prawie setkę swoich, którymi musisz się opiekować. Jesteś tego świadomy? A siedzisz tu jak po porażce, mimo iż wyciągnąłeś większość z nich z sytuacji, o której trolle myślały, że będzie końcem ich drogi.

– Teraz, kiedy wrócił Galen Firth, będą słuchać jego – odparł Rannek.

– To nie jest dobra odpowiedź.

– Jedyne, jakiej mogę udzielić.

Mężczyzna wstał z kamienia, uklonił się grzecznie i odszedł. Generał Dagna westchnął z rezygnacją. Nie miał na to czasu. Nie teraz. Nie, kiedy nacierały na nich trolle.

– Ludzie... – mruknął pod nosem, potrząsając głową.

* * *

– Są bezradni i rozproszeni – powiedziała Kaer'lic Suun Wett do wielkiego, dwugłowego Proffita wkrótce po tym, jak ludzie uciekli przed trollami i bagniakami. – Moment całkowitego opanowania terenu jest teraz w twoich rękach. Jeśli zaatakujesz teraz, zdecydowanie i bez litości, całkowicie zniszczysz niedobitki z Nesme i wszystkie osady, które ludzie ośmielą się utrzymać.

– Król Obould czeka na nas w tunelach – odparła jedna z głów.

– I to teraz! – dodała z naciskiem druga.

– Pomóc Obouldowi w zwycięstwie na północy? – spytała Kaer'lic. – Na ziemiach, które dla Proffita i jego ludu nic nie znaczą?

– Obould nam pomógł.

– Obould wskazał Proffitowi drogę, a wraz z nim wszystkim trollom – dodała druga.

Kaer'lic świetnie wiedziała, co troll ma na myśli. Tak naprawdę to powstanie Proffita zorganizowała Donnia Soldou, choć za pośrednictwem Oboulda i jego poddanych. Miała nadzieję, że w ten sposób Proffit i jego trolle wywołają dość zamieszania w pobliżu większych ludzkich osiedli, by powstrzymać inne znaczne siły, a zwłaszcza panią Alustriel z Silverymoon, od zwrócenia oczu i potężnych armii ku Obouldowi.

Rzecz jasna, wtedy ani Kaer'lic, ani pozostałe mroczne elfy nie miały pojęcia, jak szybko ani jak wysoko ork zajdzie. Teraz zasady gry się zmieniły.

– A Proffit pomógł Obouldowi zamknąć tylne wrota Mithrilowej Hali – przypomniała.

– Cios... – zaczęła pierwsza.

– Za cios – dodała druga i zaśmiała się grzmiąco.

– Ale krasnoludy zostały – powiedziała pierwsza. – Aby...

– ...je zabić! – krzyknęły razem.

– Krasnoludy w Mithrilowej Hali do zabicia, tak – zgodziła się Kaer'lic. – Krasnoludy, które utkwiły w dziurze i nigdzie nie uciekną. Krasnoludy, które będą cały czas czekać, aż Proffit wykona swoją robotę tutaj.

Głowy popatrzyły na siebie i skinęły jednocześnie.

– Lecz ludzie z Nesme nie są uwięzieni – wtrącił się Tos'un Armgo, tak jak to wcześniej przeciwiczyli z Kaer'lic. – Uciekną daleko, gdzie Proffit ich nie dogoni. Albo sprowadzą wielu, wielu przyjaciół, a kiedy Proffit wyjdzie z tuneli, może zobaczyć, że czeka na niego wielka armia.

– Jeszcze...

– ...więcej...

– ...do zabicia! – powiedział troll, uśmiechając się głupkowato.

– Albo zbyt wielu – odparł Tos'un, posławszy Kaer'lic szybkie, pełne troski spojrzenie.

– Ludzcy przyjaciele Nesme sprowadzą magów z wielkimi, magicznymi płomieniami – ostrzegła drowka złowieszczo.

Te słowa starły z pysków Proffita głupkowaty uśmiech.

– Co robić? – spytała jedna z głów.

– Walcz z nimi teraz – powiedziała Kaer'lic. – Pomożemy ci odnaleźć każdą grupę ludzi i tak rozdzielić siły, aby wybić ich do nogi. To nie potrwa długo, możesz ruszać walczyć z krasnoludami pewien, że nikt nie zbierze sił przeciw tobie, by wyczekiwać twojego powrotu.

Obie głowy Proffita zachwiały się – jedna przygryzała wargi, druga uśmiechała się szeroko, zaś obie wyraźnie usiłowały pojąć wielkie słowa i złożone plany.

– Zabić ludzi, potem zabić krasnoludy – powiedziała krótko Kaer'lic. – Wtedy teren będzie nasz. Nikt nie będzie się troszczył o odbudowę Nesme, skoro nikt stamtąd nie przeżyje.

– Proffitowi się podoba.

– Zabić ludzi – powiedziała druga głowa.

– Zabić krasnoludy – dodała pierwsza.

– Zabić wszystkich! – ucieszyła się druga. – I zjeść! – wykrzyknęła pierwsza.

– Co do jednego – dodała uradowana Kaer'lic i dała znać Tos'unowi, który dodał:

– Nieźle smakują!

Wzruszył ramionami, pokazując Kaer'lic, że naprawdę nie wiedział, co jeszcze dodać w tej śmiesznej rozmowie. Tak naprawdę nie miało to znaczenia, gdyż oba mroczne elfy wiedziały, iż wkrótce ich maleńki podstęp zacznie działać, i to bez problemów.

– Pamiętam, kiedy Obouldem dawało się tak łatwo manipulować – powiedziała Kaer'lic

niemal z tęsknotą, kiedy wraz z Tos'unem opuścili obozowisko trolli.

Drow nie mógł się z tym nie zgodzić. Owszem, nie tak dawno temu świat wydawał się znacznie prostszy.

6.

MYŚLĄCY ORK

– Niech cię teraz prowadzi – powiedziała Tsinka Shinriil, przesuając palcami po ramieniu Oboulda – gniew z całego dnia.

Ugryzła orka od tyłu w kark i zaczęła oplatać go swoimi żyłastymi rękami i nogami.

Czując napięcie jej mięśni, Obould znów pomyślał o dzikim pegazie. Przez jego głowę przeleciały śmieszne obrazki, lecz odepchnął je równie łatwo, jak roznamiętnioną szamankę, i przeszedł na środek namiotu.

– To coś więcej niż grupie zwierzę – mruknął tak samo do siebie, jak i Tsinki. Odwrócił się i zobaczył, że szamanka spogląda na niego uważnie, a oszołomienie na twarzy kontrastuje z trzęsącym się i nagim ciałem.

– Skrzydlaty koń – wyjaśnił Obould. Tsinka opadła na stertę futer. – Więcej niż koń... więcej niż skrzydlaty...

Odwrócił się, pokiwał głową i zaczął spacerować.

– Tak... w tym tkwił błąd.

– Błąd? Jesteś Gruumshem. Jesteś doskonały.

– Nie doceniłem tej bestii – Obould odwrócił się do niej, uśmiechając się bardzo szeroko. – Jak się okazuje, pegaz to coś więcej niż koń ze skrzydłami.

Tsınca opadła szczęką. Obould zaśmiał się z niej.

– Koń może być bystry, lecz ta istota to coś więcej – powiedział Obould. – Jest mądra. Tak, gdybym o tym wiedział...

– Chodź do mnie – kusiła Tsinka, wyciągając ramiona i przybierając pozę tak wyzywającą, że na ten widok Obould aż się roześmiał.

Mimo to podszedł do niej, lecz wciąż był rozproszony, jakby ciągle rozmyślał o skutkach płynących z jego pomysłu. Znał charakter pegaza, wiedział, że jest czymś więcej niż głupim skrzydlatym koniem – poznał już jego upór i lojalność. Skoro on o tym wiedział, to z pewnością wiedzieli o tym wcześniejsi jego właściciele, a skoro oni wiedzieli, to na pewno nie pozwolą, by pozostawał w niewoli.

Ta myśl niepokoiła Oboulda, przysłaniając każdy ruch Tsinki, każde ugryzienie, pieszczotę i westchnienie. Obrazy elfów zakradających się, aby uwolnić pegaza, zamiast rozpląnąć się we mgle pożądania, tylko nabierały ostrości. Obould wiedział, jaką wartość ma istota, którą pojмали jego wojownicy.

Król orków wykrzyknął głośno, zaskakując Tsinkę. Znieruchomiała i wpatrywała się w niego wzrokiem dzikim i pełnym zaskoczenia.

Obould zrzucił ją z łóżka i poderwał się. Złapał jakieś futro, aby się nim owinać i wyszedł z namiotu.

– Dokąd idziesz? – skrzyknęła Tsinka. – Nie możesz odejść! Obould zniknął za połą namiotu, która opadła na swoje miejsce.

– Nie wolno ci wychodzić bez zbroi! – krzyczała Tsinka. – Jesteś Gruumsh! Bóg! Musisz być chroniony!

Do namiotu wsunęła się mocno wyszczerzona głowa Oboulda.

– Skoro jestem bogiem... – zaczął i pozostawił zdanie niedopowiedziane, pozwalając Tsince domyślić się zakończenia. Skoro był bogiem, to po co mu była zbroja?

* * *

– Jutrzenka – powiedziała Innovindil, kiedy wreszcie zobaczyła wspaniałego, skrzydlatego wierzchowca.

Za nią, nad skalistym urwiskiem po drugiej stronie skalistej iglicy Zmierzch parskał i uderzał kopytami jakby świadom, że jego brat i towarzysz znajduje się gdzieś w kamienistej dolinie.

Innovindil niemal nie słyszała pegaza za sobą i niemal nie zauważyła, że koło niej poruszył się drow. Nie odrywała wzroku od spętanego zwierzęcia, pasącego się w wysokiej, brązowej trawie. Elfka nie mogła odpędzić wspomnień o ostatniej chwili, kiedy go widziała, schwytanego w sieć, ani obrazów, które towarzyszyły tej smutnej scenie. Znów widziała wyraźnie śmierć ukochanego Tarathuela. Widziała jego rozpaczliwy taniec wokół Oboulda, tak gwałtownie zakończony.

Popatrzyła na Jutrzenkę i mrugnięciem odpędziła łzy.

Drizzt położył dłoń na jej ramieniu, a kiedy Innovindil zdołała wreszcie spojrzeć na niego, dostrzegła, że on doskonale rozumie, co się wewnątrz niej dzieje.

– Wiem – powiedział. – Ja też go widziałem. Innovindil w milczeniu pokiwała głową.

– Znajdźmy jakiś sposób, by zrobić wielki krok ku pomszczeniu Tarathuela – powiedział Drizzt. – On chciałby, abyśmy przede wszystkim uwolnili Jutrzenkę. Niech jego duch zazna choć odrobinę spokoju.

Kolejne kiwnięcie i elfka odwróciła głowę ku dolinie. Nie patrzyła jednak na pegaza, lecz na ścieżki, które mogłyby ich zaprowadzić ku niemu. Popatrzyła na kręcących się po okolicy sześciu orczych strażników.

– Moglibyśmy szybko go dopaść – podsunęła. – Spuszczę cię zaraz za niego i osłonię, kiedy będziesz go uwalniał.

Drizzt pokręcił głową, nim jeszcze skończyła mówić. Wiedział, że tuż za niską granią po drugiej stronie doliny znajduje się duży obóz orków.

– Nie będziemy mieli wiele czasu – odparł. – Jeśli ostrzeżemy ich, zanim w ogóle się tam pojawimy, na uwolnienie Jutrzenki i ucieczkę pozostanie nam go jeszcze mniej. Lodowi giganci potrafią ciskać głazami naprawdę daleko, a do tego zwykle trafiają.

Innovindil nie mogła się z nim sprzeczać. Kiedy przedstawiała swój plan, jej myśli biegły bardzo podobnymi ścieżkami. Kiedy znów spojrzała na Drizzta, odprężyła się, gdy zobaczyła, że oczy mrocznego elfa pilnie szukają każdej ścieżki i oceniają każdy ruch. Innovindil zdążyła już nabrać szacunku dla jego zdolności. Jeśli ktokolwiek potrafiłby opracować dobry plan, to był to właśnie Drizzt Do'Urden.

– Powiedz Zmierchowi, aby był gotów przybyć na twój gwizd – powiedział drow kilka chwil później. – Jak wtedy, gdy my... gdy ty zabiłaś syna Oboulda.

Innovindil ześlizgnęła się z grani, czołgając się na brzuchu ku pegazowi. Gdy wróciła kilka chwil później, powitał ją uśmiechnięty Drizzt, przywołując ją gestem. Prześlizgnął się po kamieniach jak wąż, a elfka tuż za nim.

Zejście po wschodnim zboczu zajęło im niemal pół godziny. Poruszali się od cienia do cienia, z zagłębień do pęknięć skał. Trasa, którą wybrał Drizzt, zaprowadziła ich w dolinę na północ od miejsca, gdzie pasł się pegaz. Mimo to od wierzchowca dzieliło ich jeszcze sto pięćdziesiąt stóp otwartego terenu. Z tego miejsca dostrzegli jeszcze dwóch orczych strażników. W sumie było ich ośmiu.

Drizzt wskazał na siebie, na Innovindil, potem na wysoką trawę, po czym poruszył dłonią, naśladując ruch węża. Kiedy elfka pokiwała głową i zaczęła się czołgać, drow powstrzymał ją uniesioną ręką. Zaczął poruszać palcami w niemym kodzie drowów, lecz wkrótce przestał, zirytowany, żałując, że Innovindil nie może go zrozumieć.

Wykrzywił się więc i zadarł nos, chcąc upodobnić się do orka. Potem wskazał znów na niską trawę i niepewnie wzruszył ramionami.

Innovindil puściła oko, by pokazać, że rozumie, co chciał powiedzieć, po czym znów kucnęła, lecz tym razem wyciągnęła z buta sztylet. Trzymając go w zębach, opadła na brzuch i wyczołgała się spomiędzy drzew, na sam skraj łąki. Obejrzała się na Drizzta, wskazując dłonią, że idzie na prawo, na zachód od miejsca, gdzie znajdował się Jutrzenka.

Drow wczołgał się w trawę na lewo od niej i ruszyli.

Drizzt poruszał się seriami po dziesięć ruchów łokciami, powoli i systematycznie przedzierając się przez trawę. Potem przystawał i ostrożnie unosił głowę, by rozejrzeć się za najbliższym strażnikiem. Chciał ruszyć prosto na niego, zostawić martwego w trawie, lecz nie to stanowiło cel ich misji. Drizzt zwalczył instynktowny gniew, sprzeciwiając się Łowcy, który domagał się zemsty za śmierć Bruenora i pozostałych. Opanował te instynkty i upomniał się po cichu, że od niego zależy los Jutrzenki, że domaga się tego duch zabitego druha, Tarathiela.

Oddalił się od strażnika, idąc na tyle szerokim łukiem, by uniknąć wykrycia i ustawiając się

tak, by podejść do Jutrzenki od wschodu. Wkrótce znalazł się wewnątrz kręgu orczych strażników. Słyszał ich wszędzie dookoła, rozmawiali w swoim gardłowym języku albo kopali kamienie. Słyszał, jak pegaz bije kopytami – zgadywał, że dzieliło go od niego jakieś dwadzieścia pięć stóp. Wiedział, że przebycie tej odległości zajmie mu więcej czasu niż poprzednich stu stóp od drzew, gdyż każdy ruch musiał być wykonany w absolutnej ciszy, tak aby nie poruszyć trawy.

Mijały minuty, zaś Drizzt leżał idealnie nieruchomo, po pewnym czasie ośmielił się wysunąć łokieć przed siebie i przesunąć się o stopą dalej. Przesuwał się, nieco na zachód, mając nadzieję, że zbliża się do Innovindil.

Odgłos kroków tuż przed nim sprawił, że natychmiast znieruchomiał. Chwilę potem dostrzegł przez trawę mocną nogę orka, owiniętą w skórę i futra.

Nie ośmielił się głośniejsz odetchnąć.

Stwór zawołał przyjaciół, mówiąc coś, czego Drizzt nie rozumiał, gdyż mówił zbyt szybko. Odprężył się jednak trochę, kiedy usłyszał, jak inne orki odpowiadają mu ze śmiechem.

Ork odszedł na zachód, schodząc Drizztowi z drogi.

Mroczny elf odczekał jeszcze chwilę, dając tamtemu czas na odejście i upewniając się, że nie zauważył Innovindil.

Zadowolony ruszył dalej, lecz zaraz znów się zatrzymał, słysząc gwałtowne rzenie Jutrzenki. Pegaz kopał i parskął, mocno bijąc w ziemię kopytami. Zarżał znów, głośno i dziko, boczył się i kopał tak mocno, iż Drizzt wyraźnie słyszał świst, z jakim podkowy przecinały powietrze.

Drow odważył się unieść głowę... i szybko zrozumiał, że popełnił błąd.

Za nim, wśród drzew, pomiędzy których właśnie przyszli wraz z Innovindil, rozległ się okrzyk orczego zwiadowcy. Ośmiu strażników zaczęło zwierać szeregi, a jeden z nich coś odkrzyknął.

Odgłos z boku sprawił, że drow spojrzał w tamtą stronę... i zobaczył więcej orków, biegnących ku odległej grani.

– To pułapka – szepnął, ledwo mogąc w to uwierzyć.

Dostrzegł poruszenie po drugiej stronie – to Innovindil poderwała się na nogi za plecami orczego strażnika. Jedna delikatna dłoń mignęła przed twarzą zaskoczonej istoty i odgięła jej głowę do tyłu, zaś druga przeciągnęła nożem po odsłoniętym gardle.

Stojący najbliżej ork krzyknął i podbiegł, kiedy jego towarzysz padł, ściskając ranę.

Dłoń Innovindil pomknęła do przodu, ciskając zakrwawionym sztyletem w nadbiegającego orka. Udało mu się uniknąć pocisku, wykonując niesamowite akrobacje i wymachując dziko rękami. Sprytnej elfce właśnie o to chodziło. Płynnym ruchem wyciągnęła miecz i przetoczyła się po ziemi, zbliżając się do zaskoczonego przeciwnika. Zwinnie stanęła na nogach, wciąż poruszając się do przodu. Wbiła wyciągnięty miecz prosto w pierś orka.

Wtedy zaatakowało ją trzech innych.

Drizzt przywołał swoją wrodzoną zdolność i postawił na ich drodze kulę magicznej ciemności, po czym zerwał się na nogi i pobiegł w ich stronę. Jeden z orków zdołał zatrzymać się tuż przed kulą, kolejny tylko zaryczał i pognął na złamanie karku, podczas gdy trzeci zaczął obchodzić ją dookoła.

– Przechodzi! – zawołał drow do swej towarzyszki. Ledwo to powiedział, ork wybiegł po drugiej stronie kuli, o dwa kroki od niej.

Ostrzeżenie Drizzta wystarczyło – Innovindil już uniosła miecz. Kiedy ork zaatakował włócznią, podbiła jej czubek do góry.

Ork nie zatrzymywał się, chcąc przygnieść ją swoim ciężarem, lecz w ostatniej chwili Innovindil opadła na czworaki, ustawiając się do niego bokiem. Mimo wszelkich starań ork nie mógł zwolnić i nie mógł się obrócić – potknął się i przewrócił o elfkę.

Innovindil nie mogła jednak wstać – musiała, klęcząc, zablokować cios miecza drugiego napastnika. Ork naciskał mocniej, uderzając z różnych stron. Elfka musiała gorączkowo zasłaniać się przed każdym ciosem.

Krzyknęła, widząc biegnącą ku niej kolejną postać. Minęła chwila, nim poznała, że to Drizzt, i następną, by przyjrzeć się orkowi, który ją atakował. Już cofnął się o kilka kroków, trzymając miecz w drżących palcach. Po jego twarzy i karku pociekły czerwone strużki.

– Czekali na nas! – zawołał do niej Drizzt w przelocie, by stawić czoła orkowi, który tymczasem zdążył już się podnieść.

Ork pchnął włócznią, ale spudłował – szybko i sprawnie poruszający się drow z łatwością odskoczył w bok. Drizzt skoczył szybciej, niż ork się spodziewał. Najwyraźniej nigdy nie walczył z takimi istotami ani nawet nie widział, jak drowy potrafią poruszać się w walce, a co dopiero, jeśli ten drow nosi na nogach magiczne bransolety, przydające mu chyżości.

Sejmitary spadły na bezradną istotę, wycinając szkarłatne linie na jego piersi i twarzy. Ork upuścił włócznię i ścisnął ramiona, usiłując osłonić się przed atakami, jednak ostrza drowa metodycznie wykonywały swoją pracę.

Drizzt trafił cofającego się orka ponad dwadzieścia razy, a na koniec podskoczył i kopnął go w pierś, także po to, by zmienić swój pęd i kierunek.

Natychmiast o nim zapomniał, gdy odwrócił się i zobaczył, że Innovindil cofa się przed czterema strażnikami. Z lewej i z prawej zbliżało się do nich wielu orków. Krzyki zza drzew przekonały Drizzta, że tam również się kryją, a okrzyki te pochodziły z niewielkiej odległości.

– Do Jutrzenki! – krzyknęła Innovindil, kiedy Drizzt podbiegł do niej i stanął ramię przy ramieniu. Spojrzał na nią, usiłując dodać jej otuchy. Widział już, jak Innovindil walczyła w ten sposób z Tarathielem. Ćwiczyli to przez ostatnie kilka dni.

Zwątpienie w jej oczach zdradziło ją.

– Nie mamy wyboru – zauważył.

Odskoczył od elfki, by stawić czoła szarzy najbliższego orka. Sejmitary uderzały zaciekle, trafiając w broń przeciwnika, cięły poniżej zamierzonego parowania, lecz po krótszym łuku, więc tak naprawdę nie mogły sięgnąć orka. Jednak ten o tym nie wiedział. I nie zdołał pojąć, że drow robi to, aby lepiej wystawić go nacierającej z tyłu elfce.

Ork pojął jedynie to, że elfi miecz wsadzony między żebra naprawdę boli.

Drizzt, zajęty już walką z innym orkiem, nie zauważył nawet, jak tamten stęknął i przewrócił się. Całkowicie ufał Innovindil, wiedział, że jeśli istnieje słabe ogniwo łańcucha, jaki stworzyli, to jest nim on. Dlatego walczył jeszcze bardziej zaciekle, wywijając sejmitarami, odbijając broń i wymuszając niezgrabne uniki, podstawiając kolejne cele Innovindil, która atakowała zza niego tak samo, jak on zza niej, uderzając z całą mocą na te orki, które pozostawiła dla niego.

Przetańczyli tak na drugą stronę pola, poruszając się po ciasnych okręgach, coraz bardziej zbliżając się do uwięzionego pegaza. Lecz z każdym obrotem Drizzt pojmował, że dziś nie uratują Jutrzenki. Nie docenili przeciwnika, widzieli tylko pegaza, pasącego się pod strażą.

Padły kolejne trzy orki. Czwarty zginął pod podwójnym ciosem Drizzta, piąty po szybkim obrocie Innovindil i pchnięciu w orka, który wciąż patrzył, jak Drizzt się obraca.

Drizzt obrócił się po raz kolejny i przyklęknął, unikając niezgrabnego cięcia mieczem. Nie powalił wytraconego z równowagi orka, choć mógł. Wykorzystał tę chwilę spokoju, by wyciągnąć onyksową figurkę. Wiedział, że Guenhwyvar nie opuściła tego planu na wystarczająco długo, lecz nie miał innego wyjścia – musiał przywołać panterę.

Natychmiast poderwał się na nogi, wymachując zaciekle sejmitarami, by odzyskać przewagę wobec coraz bardziej skoordynowanych ataków. Za nim i Innovindil pojawiła się szara mgła, która zaczęła przybierać coraz bardziej materialny kształt.

Ork dostrzegł smukłą, kocią sylwetkę i ciął mgłę. Miecz przeszedł przez nią bez żadnego problemu. Sfrustrowany potwór warknął i ciął ponownie, lecz mgła stała się już bardziej materialna – mocna łapa zbiła miecz na bok, nim zdołał się porządnie rozpędzić. Tylne łapy ugięły się i pantera skoczyła na twarz orka, powalając go. Szybkie ruchy pazurami i rosły potwór wił się na ziemi, zaś Guenhwyvar skoczyła na następną ofiarę.

Drizzt wiedział, że nawet pantera może nie wystarczyć. Pojawiało się coraz więcej orków, nadchodzili...

– ...zawsząd – powiedział do swojej towarzyszki. – Jesteśmy okrążeni.

– ...zawsząd, poza jednym miejscem – poprawiła Innovindil i gwizdnęła przeraźliwie.

Drizzt od razu pojął, o co chodzi, a kiedy elfka sięgnęła po cienką linę przy pasie, drow przyspieszył, walcząc zaciekle obok, zmuszając orki do cofnięcia się. Przywołał panterę, by zgrała z nim swoje ruchy, atakując z jednej strony po to, by on mógł zaatakować z drugiej.

Chwilę potem Innovindil coraz szybciej obracała lassem, które nabierało coraz większego

rozpędu. Potem pojawiła się sylwetka Zmierzchu, zbiegającego z grani, z której wcześniej obserwowali łąkę. Pegaz zanurkował – ciśnięty przez jakiegoś giganta głaz zaszumił w powietrzu, niemal go trafiając – i wyrównał lot jakieś piętnaście stóp nad ziemią. Przemknął obok zaskoczonych orków zbyt szybko, aby ich niezdarnie ciśnięte włócznie mogły zrobić mu jakąkolwiek krzywdę.

Dobrze ułożony pegaz opuścił głowę, lecąc nad Innovindil, która w odpowiedniej chwili zarzuciła lasso, po czym szybko oparła stopę o pętlę na końcu długiej na dwadzieścia stóp liny. Pegaz natychmiast wystrzelił w górę, ciągnąc za sobą elfkę.

Startując, Innovindil została zraniona przez stojącego najbliżej orka – włócznia rozorała jej biodro. Na szczęście dla niej, była to jedyna broń, która trafiła, gdy elfka objęła się między stworami. A potem była już nad nimi, wirując, zaś mocarne skrzydła Zmierzchu były wściekle, gdy pegaz nabierał szybkości i wysokości.

Mimo oszołomienia wywołanego zderzeniem i krwawiącą raną, zachowała tyle przytomności umysłu, aby się utrzymać, a potem zacząć wspinać.

Drizzt był zbyt zajęty powtarzaniem jej ruchów i zamrugał więcej niż raz, kiedy wokół nich zaczęły przelatywać wielkie głazy. Gniew dodał mu sił: drow rzucił się do niespodziewanej szarży, przebijając się przez szeregi orków, by wreszcie znaleźć się obok Jutrzenki.

Przednie nogi pegaza były mocno spętane, nie było sposobu, aby go szybko uwolnić. Wyglądało na to, że się stąd nie wydostanie: był otoczony przez orki, stojące w gęstym szyku, ramię przy ramieniu. Gdzieś zza nich słyszał bolesne wrzaski Guenhwyvar, tak rozpaczliwe, że szybko odesłał ją do jej domu na Planie Astralnym.

Chodził wokół pegaza, atakując szeregi orków, zmieniając nagle kierunek, by cofnąć się do zwierzęcia. Wszystko wydawało mu się dziwnie znajome, zwłaszcza wtedy, gdy orki zaczęły zawodzić: „Obould! Obould! Obould!”.

Drow przypomniał sobie ostatnią walkę Tarathuela, przypomniał sobie wojownika, który zabił jego przyjaciela. Przysiągł sobie, że pomści tę śmierć. Wiedział jednak, że nie tutaj i nie teraz. Widział, jak orki rozstępują się, dostrzegł błysk kościanego hełmu przeciwnika.

Kostki zaciśniętych na sejmitarach dłoni pobielały. Jakże chciał nimi rozszczepić czaszkę króla Oboulda Wiele Strzał!

Lecz dostrzegł, że wśród orków byli też szamani... gdyby zyskał przewagę, czy miałby okazję zadać mu śmiertelną ranę, której nie da się szybko uleczyć? Czy jeśli zabije go, to czy orcza horda nie rzuci się na niego?

Nie chciał podnosić głowy i wskazywać na swoją jedyną szansę, lecz lawendowe oczy same uniosły się do nieba. Dostrzegł, że Innovindil, holowana za Zmierzchem niczym ogon latawca, znika za drzewami. Był pewien, że kiedy zobaczy ją ponownie, będzie siedzieć na grzbiecie pegaza.

Hełm z kości przesunął się bliżej, a tempo marszu jego właściciela stawało się coraz szybsze. Drizzt szybko, jakby nerwowo obrócił głowę.. Tak naprawdę ukrył w ten sposób kolejne spojrzenie w bok.

Dostrzegł poruszenie, cień. Znów zacisnął dłonie na sejmitarach, nie pragnąc niczego innego, jak tylko zatopić je w piersi Oboulda.

Odwrócił się gwałtownie i wskoczył na mocny grzbiet Jutrzenki. Pegaz poderwał się, zaczął tupać i obracać się.

– Zabijesz mnie, Obouldzie?! – zawołał, stojąc wyprostowany na grzbiecie pegaza. Z tego miejsca wyraźnie widział głowę i tors króla orków, wykonany z kości hełm z powiększonymi oczodołami. W umieszczonych na nich przezroczystych płytkach migotały ostatnie blaski zachodzącego słońca. Widział wspaniałą, czarną zbroję króla nabijaną kolcami i ogromny miecz, o którym wiedział, że może w każdej chwili na rozkaz swego właściciela buchnąć płomieniem.

Widząc go teraz, zastanawiał się, jak mógł mieć nadzieję, że zdoła go pokonać nawet w innych okolicznościach, gdyby stali na neutralnym terenie i bez żadnych sojuszników.

– Czy jesteś dość mocny, aby mnie pokonać?! – krzyknął wyzywająco, świadom, że musi odwrócić ich uwagę, by nie odrywali od niego wzroku, przekonać orczego króla, by nie kazał swoim podwładnym po prostu rzucić się na niego.

– No to chodź! – prowokował, podrzucając jeden z sejmitarów i zwinnie go łapiąc. – Już dawno chciałem, by moje klingi posmakowały twojej krwi!

Wtedy ostatni szereg orków rozstał się, czyniąc przejście między Drizztem i Obouldem. Drow musiał świadomie odetchnąć i zachować spokój. Poraziła go sama obecność Oboulda, jego ogrom, potęga i łatwość, z jaką król jedną ręką podniósł swój ciężki miecz... jakby była to elfia laseczka.

– Potrzebuję cię, Jutrzenko – mruknął cicho drow. – Błagam, unieś mnie wysoko, bym mógł do ciebie powrócić.

Pospieszny rzut oka na niebo upewnił Drizzta, że Innovindil już nurkuje na grzbiecie Zmierzchu, z lecącą za nimi liną.

– Nie teraz, Obouldzie! – krzyknął, zaskakując wielu orków, po czym szybko stanął na grzbiecie pegaza i lekko go szturchnął.

Jutrzenka wierzgnął, a Drizzt wystrzelił w górę, wykorzystując impet, by wzlecieć jak najwyżej. Schował sejmitary, obracając się, by znaleźć się na drodze nadlatującej liny.

– Innym razem! – zawołał, chwytając ją jedną ręką, jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią. – Innym razem, tylko ty i ja!

Król orków zaryczał, a jego poddani zaczęli ciskać włóczniami, kamieniami i lekkimi toporkami.

Znów nie mogli odpowiednio wycelować w szybko poruszający się cel. Drizzt poprawił

uchwyt, a wiatr gwizdał mu w uszach.

Dostrzegł w oddali gigantów. Najwyraźniej Innovindil i Zmierzch także, gdyż pegaz wzniósł się jeszcze wyżej, kiedy w powietrzu zaczęły latać głowy.

Wzbili się w szybko ciemniejące niebo, unikając ostrzału na tyle, by przelecieć nad granią i skierować się ku kryjówce. Drizzt i jego elfia towarzyszą nabraли więcej szacunku do swojego sprytnego przeciwnika.

* * *

Na łące Obould przyglądał się ich ucieczce z rozbawieniem i rozczarowaniem.

Rzeczywiście, innym razem, i wcale się tego nie bał.

Stojące wokół niego orki cieszyły się i pohukiwały radośnie.

Przed nim Jutrzenka dalej rżał i bił kopytami. Jego opiekunowie zbliżyli się z batami w dłoniach, by go uspokoić.

Obould ryknął, by ich zatrzymać.

– Ostrożnie i delikatnie! – polecił.

Następnego dnia, ledwo słońce wychyliło się zza horyzontu, opiekunowie przyszedli do Oboulda.

– Zwierz nie jest ranny, o królu – zapewnił go ich przełożony. – Można na niego wsiadać.

Obould, gryziony delikatnie w ucho przez Tsinkę, uśmiechnął się do niego szeroko.

– Jeśli znów mnie rzuci, zetnę ci łeb – obiecał, a szamanka parsknęła.

Opiekun zbladł i skulił się.

Obould pozwolił, aby przez jakiś czas kręcił się niespokojnie. Tak naprawdę nie zamierzał dosiadać pegaza ani dziś, ani już nigdy. Wiedział, że nigdy nie zdoła na nim bezpiecznie jeździć, wiedział też, że nigdy nie będzie już w stanie wykorzystać pegaza do zwabienia swoich przeciwników w pułapkę. Krótko mówiąc, skrzydlaty koń stał się dla niego bezużyteczny... choć nie do końca.

Królowi przysłała do głowy ostatnia rzecz, do której może wykorzystać pojmaną bestię.

7.

TEGO CHCE GRUUMSH

– Nie ruszą, mówię ci, bo na południu nie ma już trolli – powiedział Cordio, którego zaczęto uważać za jednego z najważniejszych kapłanów Mithrilowej Hali i jednego z najważniejszych przywódców.

– Moradin ci to powiedział? – spytał Bruenor.

– On nie ma z tym nic wspólnego – odparł Cordio. – Mam własny rozum i nie potrzeba mi nic więcej. Dlaczegotrolle miałyby wyjść z tuneli, jeśli orki chciały, aby szły nimi dalej? Nawet orki nie są tak głupie. A ten Obould okazuje się sprytniejszy od pozostałych.

Bruenor przeniósł wzrok z kapłana na jego pacjenta, Banaka Brawnamdla. Krasnolud, zraniony w plecy podczas odwrotu z klifu nad Doliną Strażnika, nadal nie mógł chodzić ani nawet stać.

– Nie byłbym tego taki pewien – odparł stary, mądry wódz. – Owszem,trolle mogą w każdej chwili wrócić, a ty tylko zgadujesz, że Obould w ogóle wie, że one stąd wyszły. Nie wiemy, co się dzieje na zewnątrz, królu, a nie można zapewniać Hali bezpieczeństwa na oślep.

Bruenor podrapał się po kudłatej głowie i pogłodził rudą brodę. Szare oczy spoglądały to na Banaka to na Cordia, a potem znów na Banaka.

– On się zbliża – uznał w końcu. – Obould nie pozwoli, by to trwało wiecznie. Już raz zajął Felbarr i nie pragnie niczego poza zrobieniem tego po raz wtóry. Wie, że nie może tego zrobić, jeśli wcześniej nie zdobędzie Hali. Przyjdzie tu prędzej czy później.

– Raczej prędzej – mruknął Banak, po czym wraz z Bruenorem popatrzyli na Cordia.

Krasnoludzki kapłan uniósł dłonie w geście rezygnacji.

– Mogę klócić się z wami cały dzień o sposób zabandażowania rany, ale to wy tu dowodzicie. Cordio tylko po was sprząta.

– No to niech tym razem sprzątają szamani Oboulda – odparł Bruenor.

– Chłopcy przygotowali już górne korytarze do obrony – oznajmił Banak.

– Mam pomysł, jak możemy przydać trochę pracy szamanom Oboulda – zauważył król krasnoludów, wychodząc na korytarz. Otworzył drzwi, po czym odwrócił się i wyszczerzył.

– Cały klan jest ci wdzięczny, Banak. Chłopaki z Mirabaru myślą, że jesteś półbogiem.

Banak popatrzył spokojnie na króla, choć w kącikach ciemnych oczu zaczęła migotać odrobina wilgoci.

Bruenor patrzył uważnie na rannego wodza. Odpiął swój gruby pas i zdjął go szybkim ruchem. Owinął go sobie wokół pięści, wystawiając na zewnątrz kłamrę zdobioną godłem klanu – spionym kuflem. Wciąż patrząc Banakowi prosto w oczy, Bruenor przytrzymał drzwi drugą

ręką i z całej siły uderzył w nie pięścią. Następnie otworzył je nieco szerzej, by Banak i Cordio mogli zobaczyć jego dzieło: odcisk godła Battlehammerów, – Wypełnimy to srebrem i złotem – obiecał, co było największym zaszczytem, jakim król Mithrilowej Hali mógł obdarzyć któregokolwiek ze swoich poddanych. Następnie Bruenor skłonił się i wyszedł, zamykając drzwi.

– Nasz król chyba cię trochę lubi, Banaku – powiedział Cordio.

Krasnolud osunął się na poduszki.

– Albo uważa, że już do niczego się nie nadaje.

– Eee tam!

– No to mnie wylecz, ty głupcze! – zirytował się Banak. Cordio odetchnął głęboko, pomilczał i wymamrotał: „Jak Moradin pobłogosławi”.

Kapłan naprawdę żywił głęboką nadzieję, że Moradin zwróci na niego uwagę i udzieli mu mocy, by przynajmniej częściowo uleczyć Banaka z paraliżu. Krasnolud tak szanowany jak on nie powinien znosić takiego poniżenia.

* * *

Obould przyglądał się pracom, stojąc na wysokiej skale. Orki kręciły się po Dolinie Strażnika, ostrząc broń i ćwicząc walkę w ciasnych szeregach, lecz najważniejszą część wykonywali nie oni, lecz giganci Gerti. Obould przyglądał się, jak szereg ponad dwunastu z nich wchodzi do doliny od zachodu, ciągnąc na grubych jak orcza noga linach ogromny pień drzewa. Inni budowali kamienny mur wokół zamkniętych zachodnich wrót, odrzucając gruz i sprawdzając wytrzymałość skały nad bramą. Inni przywiązywali i przybijali kłody do dwóch wysokich wież ustawionych po obu stronach wrót oraz do trzeciej, wznoszącej się na sto stóp i umieszczonej z dala od okutej żelazem zachodniej bramy hali klanu Battlehammer.

Obould popatrzył na skałę nad wrotami, na swoich licznych zwiadowców, pnących się między głazami. Najważniejsze było zaskoczenie. Nie chciał, by jakiś czujny krasnolud dostrzegł, co się dzieje w dolinie. Tsinka i pozostali szamani zapewnili go, że krasnoludy w ogóle nie spodziewają się ataku. Uważali, że brodacze są zajęci walką z trollami Proffita na południu i podobnie jak wiele lat temu krasnoludy z cytadeli Felbarr, zbyt ufały w siłę swoich żelaznych portali.

Król orków zszedł po skalistym zboczu, widząc Gerti nachyloną wraz z kilkoma krewniakami nad rozłożonymi na drewnianym stole zwojami. Gigantka popatrzyła z uśmiechem na prace przy wieżach i wielki pień ciągnięty po skalistym podłożu doliny. Gigant obok niej wskazał na zwój i pokiwał głową.

Obould wiedział, że są w tym dobrzy i z każdym krokiem nabierał coraz więcej pewności.

– Mocne drzwi – powiedział do Gerti, podchodząc.

Gerti spojrzała na niego wzrokiem, w którym niedowierzenie mieszało się z niesmakiem.

– Wszystko, co krasnolud zbudował, gigant może rozwalić.

– Zobaczymy – odparł król orków, kłaniając się nisko i z szacunkiem. Podeszedł bliżej, zaś otaczający Gerti giganci cofnęli się, dając im odrobinę spokoju.

– Jak daleko w głąb Mithrilowej Hali zdołają zejść twoi giganci? – spytał Obould.

– W głąb?! – zadrwiła. – Nie jesteśmy stworzeni do łażenia po brudnych i wąskich krasnoludzkich korytarzach, Obouldzie.

– Z tego, co słyszałem, sufit w pierwszej sali jest dość wysoki.

– Powiedziałaś mi, że rozwalimy drzwi, i tak się stanie. Kiedy wrota padną, niech twoje orki wpadną do zabójczego przedsionka króla Bruenora.

– Mówi się, że skarby Mithrilowej Hali są całkiem znaczne – kusił ją Obould.

– Które już zdobyłam.

Obould znów się skłonił, lecz nie tak nisko ani z takim szacunkiem, jak przedtem.

– W pierwszej sali twoi wojownicy byłiby znacznym wsparciem dla moich wojowników – powiedział. – Pomóż nam zabezpieczyć przyczółek. Stamtąd moje orki rozejdą się korytarzami niczym gęsty dym i wykurzą brodaczy.

Złośliwy uśmiezek Gerti świadczył, że wcale nie jest tego tak pewna.

– Potem ty i twoi poddani możecie ruszyć ku Surbrin, jak się umawialiśmy – powiedział.

– Ruszę ku Surbrin wtedy, gdy ja uznam to za stosowne – odparła Gerti. – Albo i nie ruszę. Może wrócę do Lśniącej Bieli, albo udam się do Silverymoon, jeśli najdzie mnie ochota zdobyć miasto lady Alustriel. Z Obouldem nie wiążą mnie żadne układy.

– Nie jesteśmy wrogami, pani Oreldottr.

– I dla twojego własnego dobra lepiej niech tak zostanie. Żółte oczy Oboulda zwięziły się tylko na moment, uświadamiając Gerti gotującą się w nim wściekłość.

– Chciałbym, by twoi giganci towarzyszyli moim pierwszym szeregom – powiedział wreszcie.

– Oczywiście, że chciałbyś. Nie masz wojowników, którzy dorównywaliby moim siłą i zręcznością.

– Nie proszę o to bez rekompensaty.

– Oferujesz mi skarby Mithrilowej Hali? – spytała Gerti. – Głowę króla Battlehammera, którego już uznałeś za martwego?

– Pegaza – odparł Obould i przez chwilę widział w błękitnych oczach Gerti błysk zainteresowania.

– A co mi z niego?

– Nie jestem na tyle głupi, by na nim jeździć, bo to nie bezmyślny zwierzak, lecz lojalny przyjaciel elfa, którego zabiłem – przyznał ork. – Owszem, mógłbym go zjeść, ale czy dowolny

koń nie nadawałby się do tego równie dobrze? A ty uważasz go za wspaniałe stworzenie, nieprawdaż, pani Orelsdottr? Odpowiednie trofeum w Lśniącej Bieli?

– Skoro nie masz z niego pożytku...

– Tego nie powiedziałem – odparł Obould.

– Prowadzisz niebezpieczną grę.

– Raczej składam uczciwą ofertę. Wyślij swoich gigantów obok moich orków, aby zniszczyli pierwszą linię obrony Mithrilowej Hali. Kiedy już zepchniemy krasnoludów głębiej, zostawisz Halę mnie i ruszysz swoją drogą, do Surbrin czy gdziekolwiek chcesz. A z tobą uda się skrzydlaty koń.

Gerti przyjęła dumną postawę, lecz błyski w oczach zdradzały zaciekawienie.

– Podoba ci się ta istota – zauważył Obould krótko.

– Nie aż tak bardzo, jak sądzisz.

– Lecz twoi giganci zaatakują Halę wraz z moimi orkami.

– Tylko dlatego, że tak lubią zabijać krasnoludy.

Obould skłonił się nisko po raz wtóry i nie pytał dalej. Tak naprawdę, dopóki nie zmieniła zdania, nie obchodziło go, dlaczego Gerti chce posłać swoich wojowników.

* * *

– Hihhi.

Ivan nie mógł się nie uśmiechnąć, widząc błysk w oczach brata. Pikel skakał po wyżej położonych salach na zachodnim krańcu Mithrilowej Hali, głównie biegając za Nanfoodlem. Król Bruenor przybył do nich zaraz po tym, jak skończył rozmawiać z Cordiem i Banakiem. Przekonany, że orki spróbują wdrzeć się do jaskiń, władca nakazał krasnoludzkiemu „duidowi”, jak sam siebie określał Pikel, oraz gnomiemu alchemikowi przygotować na powitanie intruzów nieprzyjemne i nietypowe niespodzianki. Rzecz jasna Nanfoodle zaraz zapędził najlepszych piwowarów do pichcenia różnych mieszanek. Do kotłów szły najrzadsze i najdroższe składniki – zgodnie z zaleceniami króla, zespół Nanfoodle’a nie oszczędzał na niczym.

Ivan chodził za tą dwójką, ostrożnie dźwigając duże wiadro jakiegoś przezroczystego płynu. Bardzo się starał nie uronić ani kropelki, gdyż był to ten sam płyn, jaki znajdował się w fiolkach umieszczonych na końcach używanych przez niego bełtów. Rzadko spotykany eliksir nazywano „olejem gromów”, gdyż wybuchał pod wpływem uderzenia. Berty Ivana były zrobione tak, by w chwili uderzenia załamywały się do środka, niszcząc fiolkę. Następująca po tym eksplozja mogła przepchnąć grot przez każdą barierę, w jaką uderzyła. Biorąc pod uwagę siłę wybuchów powstałych przy użyciu zaledwie kilku kropli oleju, krasnolud nawet nie próbował zgadywać, jakie zastosowanie znajdzie Nanfoodle dla tak wielkiej jego ilości.

– Tutaj – polecił gnom dwójce innych krasnoludów, których również oddano mu pod komendę. Wskazał na płaski kawałek ściany przy zachodnim przedsionku, obok drzwi prowadzących do wyżej położonych korytarzy. Gestem przywołał Ivana; krasnolud ruszył posłusznie przy wtórze ciągłego „hi hi hi” swego brata.

– Czy mógłbyś spytać Świeczkę, jak mu idzie z robotą? – spytał Nanfoodle, mając na myśli chudego krasnoluda o zmrużonych oczach, Bedhongee’a Waxfingera, ze względu na odziedziczony zawód zwanego też Świeczką.

Ivan ostrożnie postawił wiadro przy ścianie i obejrzał się na dwóch pomocników z pędzlami.

– Tiaa – powiedział, spoglądając na gнома. – Tylko dlatego, by być jak najdalej stąd, jak jedyn z nich w to wiaderko kopnie.

– Bum! – rzekł Pikel.

– Taa, bum, i nie tylko – dodał Ivan na oddechnym.

– Jakie były dla niego wymiary? – zawołał za nim Nanfoodle, nim zrobił dwa kroki.

– Dla Świeczki? Dwa krasnoludy wszerz i jedyn na drugim wzwyz – odparł Ivan, co oznaczało pięć stóp wszerz i osiem wzwyz.

Przyglądał się, jak Nanfoodle kiwa na dwójkę z pędzlami.

– Gupi gnom – mruknął i opuścił salę.

Ledwo minął próg, słyszał, jak Nanfoodle wyjaśnia podniesionym głosem:

– Bombki, Pikel. Nie chcemy tu żadnych wielkich eksplozji, nie takich, jakie robiliśmy na zewnątrz.

– Bum! – odparł Pikel.

Ivan zamknął oczy i pokręcił głową, po czym ruszył jeszcze szybszym krokiem, założywszy, że najlepiej będzie znaleźć się jak najdalej od Nanfoodle’a. Jak większość krasnoludów, Ivan popierał wynajdowanie nowych wynalazków wojskowych. Zwłaszcza podobały mu się katapulty Battlehammerów i ich „wyciskacz”, wóz przeznaczony do miażdżenia przeciwników kołami. Mimo to wynalazki Nanfoodle’a stały w sprzeczności z jego krasnoludzką wrażliwością. Na zewnątrz, podczas walki na klifie, gnom doprowadził podziemne gazy do zajętej przez lodowych gigantów grani, by wysadzić cały szczyt.

Pomyślał, że działania gнома mogą równie dobrze pomóc zabezpieczyć Mithrilową Halę, jak i zniszczyć cały kompleks.

– Nie twoja sprawa – mruknął do siebie. – Woj jesteś, nie wódz.

Usłyszał za plecami śmiech brata. Ivan aż za dobrze wiedział, że taki śmiech zwykle nie zapowiada niczego dobrego. W myślach wciąż widział strzelające na tysiąc stóp płomienie i latające wszędzie kawałki skał.

– Nie wódz – mruknął znów, kręcąc głową.

* * *

– Świetnie ci idzie, Pasibrzuchu – pochwalił go Bruenor.

Regis poruszył się zaskoczony i zrzucił niewielką lawinę sadzy na wspinającego się wąskim kominem przyjaciela. Bruenor burknął i zakrztusił się, lecz nic nie powiedział.

– Jesteś pewien, że tędy wyjdziemy? – spytał Regis między kasznięciami.

– Sam tędy wyszedłem, gdy mnie zostawiliście samego z tymi śmierdzącymi duergarami – uspokoił go Bruenor. – A wtedy nie miałem nawet narzędzi! Moje sterane walką ciało nosiło na sobie jeszcze kilka ran! I...

Marudził tak dalej, zaś niziołek puszczał je mimo uszu. Jakoś te narzekania sprawiły, że poczuł się lepiej, stanowiły wyraźne no przypomnienie, że oto wreszcie jest w domu. Lecz, biorąc pod uwagę bolącą rękę, nie ułatwiało to wspinaczki. Wilk wgrzył się prosto w kość, i choć od tamtej chwili minęło wiele dekadni, a Cordio i Srumpet rzucili na niego wiele leczących zaklęć, nadal był bardzo poobijanym niziołkiem.

Wiedział, jaki zaszczyt uczynił mu Bruenor, prosząc go o ruszenie przodem w tej wspinaczce i wcale nie zamierzał zwalniać. Pozwolił, by prowadził go rytm narzekań Bruenora. Wyciągnął rękę, zacisnął palce na szorstkim kamieniu i podciągnął się o następną stopę. Powtarzał to raz po raz, od dłuższego czasu nie spoglądając w górę.

Kiedy wreszcie odchylił głowę, dostrzegł nieco jaśniejszy odcień wieczornego nieba jakieś dwadzieścia stóp nad sobą.

Uśmiech zamarł na jego twarzy niemal natychmiast, kiedy uświadomił sobie, że na zewnątrz może stać orczy strażnik, gotów cisnąć mu w głowę włócznią. Niziołek znieruchomiał i trwał tak przez dłuższą chwilę.

Ktoś połaskotał go w piętę i Regis zmusił się do spojrzenia w oczy Bruenora – jeszcze wyraźniejsze, gdyż twarz krasnoluda była całkowicie pokryta sadzą. Bruenor pogonił go machnięciem ręki.

Niziołek oprzytomniał, powoli przesunął wzrok ku górze. Potem ruszył szybko ręka za ręką, nie zwalniając, dopóki nie dotarł do żelaznej kraty. Brakowało w niej jednej sztaby, którą Bruenor wyjął podczas swojej ucieczki wiele lat temu. Nabrawszy odwagi na widok tego wyczynu swego przyjaciela Regis parł dalej, nie zatrzymując się, póki nie wystawił połowy ciała z komina. Zatrzymał się tam i zamknął oczy, czekając na zabójczy cios.

Jedynym dźwiękiem było zawodzenie wiatru w szczelinach i drapanie Bruenora poniżej.

Regis wyszedł z komina i przyklęknął, rozglądając się wokoło.

Z góry zwanej Czteroszczyt roztaczał się zadziwiający widok. Wiatr przenikał do szpiku kości, śnieg leżał wszędzie, z wyjątkiem bezpośrednich okolic komina, którądy uchodziło ciepłe powietrze z krasnoludzkiego Podmiasta.

Regis wstał i rozejrzał się dalej. Popatrzył na zachód, ku Dolinie Strażnika, gdzie płonęło tysiące ognisk wielkiej armii Oboulda. Odwrócił się i spojrzął na wschód, na ciągnące się tam hale, wijącą się linię wielkiej rzeki Surbrin i nieliczne ogniska na jej zachodnim brzegu.

– Na Moradina, Pasibrzuchu – wymamrotał Bruenor, kiedy wreszcie wydostał się z dziury i ogarnął wzrokiem całą scenę, a zwłaszcza ogniska oddziałów zebranych przeciwko dobrym mieszkańcom Srebrnych Marchii. – W życiu nie widziałem takiej masy wrogów.

– Mamy jakieś szansę? – spytał Regis.

– Phi! – parsknął stary król. – To tylko orki! Dziesięciu na jednego, moje krasnoludy i tak ich zabijają.

– Może będzie trzeba i więcej – powiedział niziołek, na tyle jednak cicho, by jego przyjaciel go nie usłyszał.

– Cóż, jeśli nadejdą, to z zachodu – zauważył Bruenor, gdyż w tym rejonie zagęszczenie przeciwników było największe.

Regis podszedł do niego, lecz nie odzywał się. Mieli godzinę do pierwszego brzasku. Nie mogli zejść daleko, gdyż potrzebowali ciepłego powietrza z komina dla ochrony przed okrutnym zimnem – wspinali się przecież przez wąski szyb i nie mogli założyć grubych ubrań. Dlatego czekali, stojąc ramię przy ramieniu, czekali cierpliwie. Obaj wiedzieli, o co toczy się gra, a znoszenie lodowatych podmuchów wiatru nie było wysoką ceną.

Ale wkrótce potem rozległo się wycie. Wpierw zawył samotny wilk, a po chwili wszędzie wokół rozbrzmiały odpowiedzi.

– Musimy iść – powiedział Regis po dłuższej chwili, gdy wycie z każdą chwilą zbliżało się do nich.

Bruenor wyglądał, jakby był wykuty z kamienia. Poruszył się na tyle, by spojrzeć na wschód.

– No chodź – odezwał się krasnolud, zaklinając niebo i wzywając promienie brzasku.

– Bruenorze, zbliżają się.

– Właż do dziury – rozkazał krasnolud.

Regis pociągnął go za ramię, ale Bruenor się nie ruszył.

– Nie masz nawet swojego topora.

– Nie martw się, wejdę za tobą. Chcę zobaczyć armię Oboulda w świetle dnia.

Powietrze przeszył skowyt tak bliski, iż Regis wyobraził sobie gorący oddech wilka na karku. Na samo ich wspomnienie zaczynała go boleć ręka. Nigdy więcej nie chciał spoglądać w lśniące, białe kły tych bestii. Pociągnął Bruenora mocniej za ramię, a kiedy krasnolud odwrócił się trochę, jakby idąc w stronę komina, niziołek położył się i wczołgał do środka.

– Dalej – pogonił go krasnolud, po czym odwrócił się i znów zapatrzył na zachód.

Zrobiło się nieco jaśniej, ale Bruenor wciąż nie mógł dostrzec zbyt wiele w ciemnej dolinie. Wyteżał wzrok i modlił się do Moradina. Wreszcie udało mu się dostrzec coś, co wyglądało jak

dwa wielkie obeliski.

Krasnolud podrapał się po głowie. Co to mogło być? Posągi? Wieże obłąnnicze?

Bruenor usłyszał miękkie stąpanie łap. Nie odrywając wzroku od doliny pochylił się, podniósł luźny kamień i cisnął w stronę, z której dochodził dźwięk.

– Idź sobie, głupi kundlu. Na twoje szczęście nie lubię psiny!

– Bruenor! – doleciał z komina głos Regisa. – Co ty tam robisz?

– Na pewno nie ucieknę z powodu kilku chudych wilków!

– Bruenorze...

– Phi! – prychnął krasnolud. Kopnął śnieg, obrócił się i ku wielkiej uldze Regisa ruszył ku szybowi. Zatrzymał się jeszcze na chwilę i po raz ostatni obejrzał się za siebie, koncentrując wzrok na wysokich, ciemnych kształtach.

– Wieże – mruknął i potrząsnął kudłatą głową. Wskoczył do otworu, chwytając resztki kraty, by złagodzić impet.

I wówczas go olśniło.

– Wieże? – spytał. Podciągnął się do góry i spojrzał w bok, prosto w płonące oczy oddalonego o jakieś dziesięć kroków wilka. – O wy sprytne świńskie ryje!

Bruenor znikł.

Poganiał Regisa, zmuszając go do pośpiechu, gdyż uświadomił sobie, że jego ukochana Mithrilowa Hala była w większym niebezpieczeństwie niż sobie wyobrażał. Wcześniej zastanawiał się, czy Obould spróbuje przedostać się przez dolne tunele, czy może wykopie swoje własne, a może też spróbuje zmiażdżyć wielkie żelazne wrota.

– Wieże... – mruczał przez całą drogę w dół, gdyż już wiedział.

* * *

Następnego ranka na szczycie góry zwanej Czteroszczyt pojawiło się drzewo – tyle tylko, że to nie było drzewo, lecz krasnolud udający drzewo dzięki druidzkiej magii dziwnego Pikela Bouldershouldera. Po chwili pokazało się kolejne drzewo, dalej w dole zbocza na zachodzie, a później trzecie w rzędzie. Ta linia „młodego lasu” rozciągała się coraz dalej, krasnolud po krasnoludzie, aż prowadzące drzewo mogło dokładnie widzieć, co dzieje się w Dolinie Strażnika. Kiedy do Mithrilowej Hali dotarły raporty o niemal całkowitej gotowości olbrzymich wież i przerażającego tarana, który miał zostać między nimi zawieszony, przygotowania jeszcze nabrały tempa.

Wzdłuż wielkiego, owalnego przedsionka w zachodniej części krasnoludzkiego kompleksu ciągnęły się dwa balkony. Z każdego z nich biegły niskie tunele łączące je z korytarzami znajdującymi się głębiej, i oba były doskonałymi stanowiskami dla łuczników i rzucających

młotami. Na zachodnim krańcu jednego z tych balkonów krasnoludy zbudowały tajemną komnatę, na tyle dużą, by zmieścić się w niej jeden krasnolud. Przez jej sklepienie przeprowadzono te same rury, które Nanfoodle wykorzystał, by doprowadzić gorące powietrze pod północną grań, i pociągnięto je po sklepieniu aż do środka owalnej komnaty. Następnie przez rury przeciągnięto mocną linę, nawiniętą na kołowrót w owej tajemnej komnacie i zwieszającą się na drugim końcu niemal do samej ziemi, jakieś trzydzieści do czterdziestu stóp.

Wszędzie w przedsionku krasnoludy budowały pozycje obronne, niskie murki, zza których mogły odpychać napastników, i które pozwalały im się stopniowo cofać do głównego korytarza na wschodzie. Murki te w starannie dobranych punktach łączyły się ze ścianami przedsionka. Pod okiem samego Banaka Brawnamdla drużyny nieustannie pracowały nad koordynacją działań, gdyż ci na dole wiedzieli, że ich bracia na górze są prawdopodobnie ich jedyną szansą na ujęcie z życiem z sali. Aby jeszcze bardziej przeszkodzić wrogom, pomysłowi Battlehammerowie umieścili tuż za wielkimi wrotami setki pajęczków – niektóre zostały starannie wykute, a inne były po prostu kawałkami metalu, odpadkami przywiezionymi z Podmiasta.

Poza polem walki praca była równie intensywna. Paleniska płonęły, wielkie chochle mieszały w beczkach, oselki wirowały, młoty uderzały, a liczne koła garncarskie obracały się bez końca.

Ukoronowanie nadeszło pewnego późnego popołudnia, kiedy procesja krasnoludów przeniosła do przedsionka wielowarstwową okrągłą misę. Miała ona ponad piętnaście stóp średnicy i składała się z wielu warstw kutego metalu nałożonych wachlarze wato jedna na drugą, i przymocowanych do głównego pręta, który wznosił się na kilka stóp i kończył pętlą. Do niej właśnie krasnoludy przymocowały wiszącą linę. Nanfoodle kilka razy sprawdzał mechanizm sprężynowy na głównym pręcie. Sprężyna musiała być odpowiednio napięta – nie na tyle luźno, by pułapka zatrzasnęła się pod wpływem ciężaru misy, ale nie na tyle mocno, by upadek jej nie zwolnił. Wraz z Ivanem Bouldershoulderem tuzin razy wszystko przeliczali, i byli pewni, że wszystko jest dobrze zrobione.

Byli.

Spojrząwszy na zebrane wokół zaciekawione krasnoludy, Nanfoodle uświadomił sobie, o jaką stawkę chodzi, i zaczęły mu drżeć kolana.

– Zadziała – szepnął mu do ucha Ivan. Delikatnie wziął Nanfoodle'a za ramię i zaprowadził gnoma na tył, po czym gestem wskazał na pomocników, którzy przybyli za nimi, ostrożnie popychając wózek pełen ceramicznych kul.

Krasnoludy zaczęły umieszczać delikatne kule wewnątrz urządzenia, wzdłuż wgłębień, z których każde kończyło się półkolistym ujściem, umieszczonym pod różnymi kątami.

Kiedy skończyli pracę, krasnoludy na górze umieściły długą dźwignię w kołowrocie wewnątrz tajnej komnaty i zaczęły podnosić urządzenie z podłogi, powoli i równomiernie

naciągając linę. Inne krasnoludy wspinały się na drabiny obok misy, powoli ją obracając.

– Bierzcie drabinę i wygładźcie krawędzie – rozkazał Ivan, kiedy misa została umieszczona na swoim miejscu w pobliżu sklepienia, a jej dno zostało pomalowane tak, by wyglądała na kamienne sklepienie. Kiedy znalazła się na miejscu, zobaczył, gdzie można jeszcze nanieść poprawki.

– Zadziała – powiedział znów złotobrody krasnolud do Nanfoodle’a, który nerwowo popatrywał na górę.

Gnom spojrzał na Ivana i uśmiechnął się słabo.

* * *

Na półce Bruenor, Regis, Catti-brie i Wulfgar przyglądali się pracy z mieszaniną nadziei i czystej grozy. Dwójka ludzi już widziała w działaniu jedną z niespodzianek Nanfoodle’a, i oboje doszli do wniosku, że już ten jeden incydent zrobił wystarczająco duże wrażenie, by przez całe życie opowiadać o nim historie.

– Nie podoba mi się twój wybór – powiedział Bruenor Regisowi. – Ale szanuję twoją decyzję i coraz bardziej szanuję ciebie, mały.

– Mnie też nie podoba się mój wybór – przyznał Regis. – Ale nie jestem wojownikiem, a w ten sposób mogę pomóc.

– A jak się stąd wydostaniesz, jeśli nie odzyskamy przedsionka? – spytała Catti-brie.

– Czy to pytanie zabrzmiałoby inaczej, gdyby to krasnolud wziął na siebie ten obowiązek? – odpalił niziołek.

Catti-brie rozważała to przez chwilę, po czym powiedziała:

– Może udałoby się nam złapać orka i skłonić go do wyciągnięcia blokady.

– Ta, jasne – odparł Bruenor. Pozostała trójka wyczuła w jego sarkastycznym westchnieniu lekkie drżenie, wyraźny znak, że podobnie jak pozostali uświadamiał sobie, iż być może po raz ostatni widzą przyjaciela niziołka.

Ale z drugiej strony, jeśli im się nie powiedzie, wszyscy zginą, – Czekam na was oboje na drugiej półce – powiedział Bruenor swoim ludzkim dzieciom. – Obok korytarza wyjściowego.

– Myślałem, że będę walczył na dole – sprzeciwił się Wulfgar.

– Murki są dla ciebie za niskie, a byłbyś doskonałym celem dla naszych wrogów, stojąc tam, dwa razy wyższy od krasnoluda – odparł Bruenor. – Nie, walczyście oboje na balkonie, bo w tym zeście najlepsi. Zatrzymajcie łuk i młot na giganty, jeśli się jakieś pojawią, i trzymajcie się blisko tunelu.

– Abyśmy mogli pierwsi uciec? – spytała Catti-brie.

– Ano – przyznał krasnolud. – Pierwsi, żebyście nie blokowali tunelu dla moich krewniaków.

– Jeśli taki jest powód, to czy nie powinniśmy uciekać ostatni? – spytał Wulfgar, mrugając do Catti-brie.

– Nie, idziecie pierwsi i idziecie wcześniej, i koniec gadania – rzucił Bruenor. – Musicie być blisko tunelu, bo oboje będziecie go potrzebować, żeby zniknąć z pola widzenia, bo nie możecie opaść tak nisko jak moi chłopcy, którzy będą z wami na górze. A teraz kończcie kłótnie i zajmijcie się taktyką.

Krasnolud odwrócił się do Regisa i spytał:

– Masz wystarczająco dużo jedzenia i wody?

– A czy to w ogóle możliwe? – spytała Catti-brie.

Regis wyszczerzył się szeroko, aż zrobiły mu się dołeczki w policzkach. Poklepał wypchany plecak.

– Powinno się to zdarzyć dzisiaj – powiedział mu Bruenor. – Ale może będziesz musiał trochę poczekać.

– Poradzę sobie i będę gotów.

– Znasz sygnał? Niziołek pokiwał głową.

Bruenor poklepał go po ramieniu i odszedł. Regis uśmiechnął się do przyjaciela i bezradnie wzruszył ramionami, po czym wszedł do tajnej komnaty, zamknął drzwi w kształcie kamienia i założył zasuwę. Dwa krasnoludy podeszły do zamkniętego wejścia i zaczęły zakrywać jego krawędzie błotem i kamykami, pieczętując bramę i tak doskonale wtapiając ją w otaczający mur, że nawet wyszkolony elfi złodziej miałby problemy z zauważeniem wejścia, nawet gdyby ktoś mu powiedział, że ono tam jest.

– A ty oczywiście będziesz na dole – spytała Catti-brie Bruenora.

– Moje miejsce jest na samym środku szyku. – Zauważył skrzywienie Catti-brie i dodał: – Od czasu do czasu możesz opuścić łuk i oczyścić okolicę, jeśli zobaczysz, że przyciągam zbyt wiele uwagi.

Te słowa sprawiły, że twarz kobiety rozświetliła się, gdyż przypomniały jej, że niezależnie od miejsca, byli w tym wszyscy razem.

* * *

– Zapłacą za każdy cal ziemi – powiedział Bruenor swoim podopiecznym, kiedy szybem kominowym przysłała wieść, że wieże w Dolinie Strażnika zostały ukończone i przywiązywano do nich ogromnie długie liny.

Minęło jednak sporo czasu, nim wieść ta przebiegła przez całą linię „drzew”, szybem do Podmiasta, a później z powrotem na górę do korytarzy otaczających przedsionek, dlatego też w chwili, gdy słowa te opuściły usta Bruenora, rozległo się pierwsze głośnie uderzenie w wielkie

żelazne wrota. Wszystkie korytarze zatrzęsły się od tego uderzenia, i wielu krasnoludów się zatoczyło.

Ci najbliżej wrót natychmiast podeszli do nich, by ocenić uszkodzenia. Jedno uderzenie wystarczyło, by w skałach otaczających masywny portal pojawiły się pęknięcia.

– Wielu nie będzie trzeba – zawołał inżynier stojący najbliżej wejścia.

Cofnął się szybko, oczekując drugiego uderzenia, które jeszcze bardziej wstrząsnęło przedsiönkiem. Wrota rozsunęły się nieco pod wielkim ciężarem. Więcej niż jeden krasnolud spojrział nerwowo w stronę sklepienia i delikatnej misy.

– Utrzyma się – zawołał Bruenor, stojący w pierwszym szeregu naprzeciwko wrót. – Nie patrzcie w górę! Nasi wrogowie przejdą przez wrota po następnym uderzeniu albo dwóch.

– Dziewczyno! – zawołał do Catti-brie. – Wyceluj w środek wrót, a jeśli się otworzą i jakiś paskudny ork wsadzi łeb, to go zastrzel! Wy wszyscy!

Wielki taran uderzył po raz kolejny, uderzając w żelazo, a wrota uchyliły się jeszcze bardziej, na tyle szeroko, by wpuścić orka, a może nawet giganta. Jak przewidział Bruenor, wrogowie rzeczywiście rzucili się do wrót, wyjąc, wrzeszcząc i przepychając się. Jeden zaczął wchodzić do środka, lecz natychmiast zatrzymał się w miejscu, zasypany deszczem strzał i bełtów.

Orki znajdujące się za pechowym liderem zepchnęły go na ziemię i zaczęły się przepychać do otworu.

Na ich spotkanie wystrzeliły kolejne strzały i bełty, w tym srebrzysta strzała, która przebiła się przez najbliższego orka i kilku kolejnych za nim, zmniejszając nieco nacisk na wrota.

Wówczas taran uderzył po raz kolejny, a prawe skrzydło bramy wypadło z olbrzymiego górnego zawiasu i przechyliło się do przodu z jękiem wyginanego metalu. Kawałki skał zaczęły spadać z góry, miażdżąc pierwsze szeregi orków, lecz to nie zwolniło następującej później powodzi.

Orki wpadały do środka, a krasnoludy zawyły i przygotowały się na przyjęcie szarży. Zniszczone skrzydło bramy zakołysało się i przewróciło na drugą stronę, miażdżąc wiele z nieszczęsnych orków i nieco spowalniając atak.

Z góry spadał deszcz pocisków. Ciężki młot bojowy wpadł w tłum, miażdżąc czaszkę jednego orka. Kiedy szarża zbliżyła się do pierwszego z murków, wyskoczyły zza niego krasnoludy. Wszystkie dzierżyły kusze i powaliły pierwszy rząd wrogów. Odrzuciwszy kusze, krasnoludy wyciągnęły długie włócznie i skierowały je przeciwko atakującej masie. Orki z przodu, naciskane przez te z tyłu, nie były w stanie zwolnić ani skręcić w bok.

Jak jeden mąż, wyszkolona drużyna Banaka puściła włócznie i chwyciła broń do walki w zwarciu. Miecze, topory i młoty unosiły się szaleńczo, powstrzymując falę orków. Skoncentrowany ostrzał z góry przetrzebił drugi rząd wrogów, pozwalając krasnoludom wycofać się za drugi murek.

Scena ta miała powtarzać się co dziesięć stóp, murek za murkiem, aż do pozycji Bruenora.

– Wulgarze! Dziewczyno! – zawołał Bruenor, kiedy w zniszczonych wrotach pojawiła się potężniejsza postać. W chwili, gdy to mówił, magiczna strzała z Taulmarila poszybowała w stronę giganta, a zaraz za nią podążył wirujący młot.

Orki dotarły do drugiego murku, gdzie wiele z nich zginęło. Ale potworna fala płynęła dalej.

* * *

Regis skulił się i zakrył uszy rękami, próbując odciąć się od wrzasków i krzyków, które odbijały się echem w skałach. Widział wiele bitew – jak uważał, stanowczo zbyt wiele – i dobrze znał straszliwe odgłosy. I zawsze brzmiało to tak samo. Czy to uliczne bójki w Calimporcie, czy szalone bitwy w Dolinie Lodowego Wichru, przeciwko barbarzyńcom z tundry i goblinom, aż po walkę o odzyskanie i utrzymanie cennych kopalni Mithrilowej Hali, Regisa zawsze atakowały te same dźwięki. Nie miało znaczenia, czy jęki wydawały orki, krasnoludy czy nawet giganci. Tak czy inaczej, przesywały powietrze, niosąc w sobie fale agonii.

Niziołek cieszył się, że jest w zapieczętowanej komnacie, gdzie nie musiał widzieć płynącej krwi i rozszarpanych ciał. Wierzył, że jego rola jest ważna dla sukcesu planu krasnoludów i że może bardzo im pomóc.

Na razie jednak chciał wyrzucić z głowy te wszystkie myśli, chciał wyrzucić wszystko ze swojego umysłu i po prostu leżeć w niemal całkowitej ciemności komnaty. Zamknął oczy, zatkał uszy i marzył, by to wszystko znalazło się bardzo, bardzo daleko.

* * *

– Olbrzym! – powiedział Wulgar do Catti-brie, która klęczała na balkonie obok niego. Gdy to mówił, wielka postać przeszła od zniszczonych wrót w głąb przedsionka, popychając przed sobą orki.

Z okrzykiem wzywającym boga wojny, Wulgar uniósł młot bojowy nad ramieniem, po czym wyprostował ręce, aż młot znalazł się dokładnie za jego plecami.

– Tempusie! – zawołał znowu i pochylił się do tyłu, po czym rozpoczął płynny ruch, który zdawał się rozpoczynać na wysokości kolan. Jego plecy wygięły się i pochyliły do przodu, potężne ramiona uniosły gwałtownie do góry, a ręce wystrzeliły ponad głowę, wyrzucając potężny Aegis-fang w wirującym locie na drugą stronę sali.

Catti-brie szybko wycelowała w tę samą stronę. Jej strzała przegoniła młot i jako pierwsza trafiła giganta w przedramię. Olbrzym krzyknął i wyprostował się, wpatrując się w dwójkę ludzi na półce. W tej właśnie chwili młot z głośnym trzaskiem uderzył go prosto w twarz.

Gigant zatoczył się do tyłu. Kolejna strzała trafiła go w pierś, później następna, a kiedy zaczarowany młot powrócił do rąk Wulfgara, ten znów wezwał Tempusa i rzucił go.

Olbrzym odwrócił się i potykając się ruszył w stronę drzwi.

Młot trafił go prosto w zgięte plecy, popychając go na ziemię. Potężne ciało giganta zmiażdżyło nieszczęsnego orka.

– Więcej ich – zauważyła Catti-brie, gdy kolejna, a później jeszcze następna olbrzymia postać przekroczyła wrota.

– To nie przerywaj strzelania – zaproponował Wulfgar, a jego młot znów magicznie pojawił się w jego dłoniach.

Zaczął celować w jednego z nowych przeciwników, lecz wówczas zauważył, że powalony gigant uparcie próbuje się podnieść. Wulfgar wycelował odpowiednio, wykrzyknął imię swojego boga i rzucił. Młot trafił podnoszącego się giganta w tył czaszki z hukiem przypominającym pękający kamień. Olbrzym upadł na ziemię i leżał w całkowitym bezruchu. W przedsionku pozostały jednak dwa inne giganty – jeden przyjął na siebie pocisk z łuku Catti-brie, lecz uchylił się szybko przed drugą strzałą, która wbiła się w ścianę. Kolejny olbrzym pojawił się we wrotach i tam się zatrzymał, zaś strzelcy na balkonie po chwili pojęli ich taktykę, gdyż ten olbrzym obrócił się szybko i rzucił coś do towarzysza stojącego z tyłu sali, który pochwycił to i rzucił do następnego.

Kolejna strzała Catti-brie trafiła najbliższego z olbrzymów, ale nie przewróciła go. Gigant obrócił się w stronę półki, uniósł wysoko ręce, w których trzymał potężny kamień, i rzucił go.

– Uciekaj! – zawołał krasnolud na lewo od Wulfgara, chwycił barbarzyńcę za pas i odciągnął go na bok.

Wulfgar przekreślił się, wytrącony z równowagi, i upadł na balkon za krasnoludem. Dopiero gdy już leżał i zerknął do tyłu, uświadomił sobie, że krasnolud uratował mu życie. Potężny kamień uderzył mocno w przód półki i odbił się do góry, uderzając w ścianę obok wejścia do tunelu.

Stamtąd odbił się ponownie na balkon i Wulfgar mógł się tylko przyglądać z przerażeniem, jak miażdży jego drogą przyjaciółkę.

* * *

– Opuścić salę! – zawołał głos ponad hałasem bitwy, głos należący do Bruenora Battlehammera, stojącego pośrodku szeregu krasnoludów na dole i kierującego wycofującymi się krewniakami. – Łucznicy, dajcie nam czas!

– Specjalne strzały! – zawołały krasnoludy na obu balkonach.

Jak jeden mąż, kusznicy sięgnęli po najlepsze bełty, z grotami z metalu, który płonął jak

spadająca gwiazda, kiedy przytknęło się go do ognia. Gońcy z pochodniami przebiegli wzdłuż linii łuczników, rozległy się też krzyki nakazujące ograniczenie pola ostrzału.

Płonące pociski spadały pośrodku przedsiönka, tuż przed nieruchomym Bruenorem Battlehammerem i jego elitarnymi wojownikami, Pogromcami Flaków, tylną strażą wycofujących się krasnoludów.

– A teraz odejdźcie! – krzyknął Bruenor, gdy szeregi orków rozpadły się wśród blasku magnezowych strzał i krzyków cierpienia tych, którzy zostali trafieni.

– Blokujcie! – zawołał Bruenor.

Na półce powyżej, krasnolud pociągnął Wulfgara, odrywając go od kamienia, który spadł na Catti-brie.

– Potrzebujemy cię! – krzyknął krasnolud.

Wulfgar obrócił się, a jego niebieskie oczy były pełne łez. Był częścią drużyny, która miała definitywnie zakończyć wycofywanie się, jednym z czterech, którzy mieli podnieść kadź ze stopionym metalem i wylać go przed korytarzem, kupując uciekającemu Bruenorowi i Pogromcom Flaków trochę czasu. Rozwścieczony Wulfgar zmienił ten plan. Odepchnął krasnoludy na bok, objął kadź, po czym podniósł ją i podbiegł do krawędzi balkonu, rycząc z każdym krokiem.

– On nie może tego zrobić – mruknął jeden z krasnoludów. Ale to robił.

Na krawędzi barbarzyńca opuścił kadź, przechylił ją i wylał stopiony metal na orki.

W półkę pod nim uderzył głaz, a siła tego uderzenia odrzuciła Wulfgara na bok. Ze skały poniżej zaczęły odpadać kawałki kamienia.

Spojrząwszy po raz ostatni na Catti-brie, Wulfgar spadł z półki, lecąc tuż za ciężką metalową kadzią.

8.

STANOWISKO GALENA

Generał Dagna głęboko odetchnął – jego ciało wreszcie mogło się odprężyć. Nareszcie dobre wieści, pomyślał, kiedy jeden z jego zwiadowców przyniósł informację, że znaleziono głębokie korytarze prowadzące na północ, najprawdopodobniej ku Mithrilowej Hali.

Przez ponad dekadzień Dagna wraz z czterdziestoma ocalałymi krasnoludami, Galenem Firthem i jego ludzkimi pobratymcami maszerowali przez błotniste, nierówny teren, zbierając ocalałych ze zniszczonego Nesme. Obecnie było ich już ponad cztery setki, z czego zaledwie połowa była zdolna do walki, a wielu było rannych.

Co gorsza, ich wrogowie deptali im po piętach, nękając od czasu do czasu. Przez ostatnie kilka dni nic się nie działo, lecz wciąż gnębiła go myśl, że te ataki nie były przypadkowe, że są zorganizowanym działaniem prowadzącym do jakiegoś większego celu. Dagnie zdawało się, choć nie podzielił się tą myślą z Galenem, że kilka znalezionych ostatnio grupki dzieci, kobiet i starców trolle pozostawiły celowo. Najwyraźniej przebiegłe trolle domyślały się, że Dagna i Galen zabiorą ich ze sobą, co tylko ich spowolni. Stary i mądry wódz wiedział, że wraz ze swoimi towarzyszami są prowadzeni jak na smyczy, a czas działa na ich niekorzyść. Ludzie mogli być twardzi, a Galen zdeterminowany, lecz w głębi serca Dagna wierzył, że jeśli nie znajdą jakiegoś wyjścia, wkrótce wszyscy zginą.

Wreszcie pewnego zimnego deszczowego ranka usłyszał wieści o tunelach, którymi mogliby uciec. Dagna wiedział, że tam zdołają powstrzymać trolle znacznie dłużej. Wkrótce potem spotkał Galena: ze zdziwieniem zauważył, że człowiek jest tak samo podekscytowany jak on.

– Wrócili moi zwiadowcy – powiedział na powitanie.

– Moi też – odparł z równym entuzjazmem Galen.

Dagna zaczął mówić o tunelach sądząc, iż wojownik usłyszał coś podobnego. Zauważył jednak, że człowiek go nie słucha, i rzeczywiście, Galen wkrótce go przegadał.

– Przeciwnicy stojący między nami a Nesme są słabi – wyjaśnił. – Niewielkie siły, bez wsparcia w okolicach miasta.

– Wokół ruin miasta – poprawił go Dagna.

– Nie tak bardzo. Podniszczone, ale wciąż nadające się do obrony.

Krasnolud milczał przez chwilę, trawiając zasłyszane słowa.

– Nadające się do obrony?

– Za murami jesteśmy bardzo groźnym przeciwnikiem, cny krasnoludzie.

– Nie wątpię, ale czy zapominasz, że wróg już was wygonił zza tych murów? Wasze siły były wtedy wielokrotnie większe niż teraz!

– Zdołamy utrzymać miasto – odparł z naciskiem Galen. – Wysłaliśmy wieści do Everlundu, Mirabaru i Silverymoon. Z pewnością wkrótce nadejdzie pomoc.

– Aby was pochować? – spytał Dagna, na co Galen skrzywił się. – Chyba nie chcesz kierować się w stronę Trollowych Wrzosowisk, kiedy po piętach depcze ci armia trolli i bagniaków.

– Armia? Od chwili, kiedy uciekliśmy trollom, walczyliśmy coraz mniej – odparł Galen. – Mamy powód wierzyć, że wielu z naszych wrogów weszło do tuneli wiodących ku Mithrilowej Hali.

– Taak, tunele do Mithrilowej Hali – potwierdził Dagna. – Dlatego przyszedłem do ciebie. Znaleźliśmy głęboko ukrytą i spokojną drogę powrotną.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem?

– A czy ty sam słyszałeś swoje słowa? Wyjdiesz spod osłony gór na otwarty teren, gdzie z łatwością można cię dopaść. Pozwolisz wyróżnić swoich ludzi.

– Muszę uratować Nesme. – Nesme upadło!

– A czy ty tak samo porzuciłbyś Mithrilową Halę, generale?

– Mithrilową Halę nie upadła.

Tym razem to Galen Firth przerwał i odetchnął głęboko, postawiony wobec żelaznej logiki rozumowania krasnoluda.

– Jestem Jeźdźcem Nesme – rzekł powoli i spokojnie, jakby recytując przysięgę, którą powtarzał już wiele razy. – Poświęciłem życie ochronie miasta. Postaramy się wrócić do naszych domów. Jeśli dostaniemy się za mury...

– To te przeklęte trolle dopadną was i wytłuką.

– Nie, jeśli na pomoc skierowało się tak wielu, jak się spodziewamy.

– Chcesz zaryzykować życie swoich ziomek?

– Pomoc nadejdzie – oznajmił Galen. – Odbudujemy Nesme. Dagna popatrzył człowiekowi w oczy.

– Ja i moi chłopcy idziemy ku tunelom i wracamy do Mithrilowej Hali. Możecie do nas dołączyć – namiestnik Regis wyciągnął dłoń. Najmądrzej byłoby ją przyjąć.

– A jeśli wrócimy do domów... naszych domów, cny krasnoludzie!... Mithrilową Halę nie udzieli nam potrzebnego wsparcia?

– Proszę mnie, bym wyruszył na szaleńczą wyprawę!

– Proszę, byś stanął obok swoich sąsiadów, którzy bronią swych domów przed naszym wspólnym wrogiem.

– Nie mówisz poważnie – powiedział ktoś. Dagna i Galen zobaczyli nadchodzącego zdecydowanym krokiem Ranneka. – Mamy podziemną drogę na północ, gdzie nasi sojusznicy mogą nas lepiej chronić.

– Chciałbyś porzucić Nesme? Rannek pokręcił zdecydowanie głową.

– Przede wszystkim zadbałbym o rannych i niezdolnych do walki. To jest misja Jeźdźców, a nie puste budynki i mury, które można odbudować.

– Teraz to Rannek dowodzi Jeźdźcami? Strażnik Rannek? Przyglądający się tej rozmowie Dagna zauważył, że młodzik nagle traci całe zdecydowanie.

– Wypowiadam się w imieniu Strażników i wszystkich mieszkańców Nesme – ciągnął Galen, zwracając się do krasnoluda. – Widzę tu szansę powrotu do naszych domów, której nie możemy zaprzepaścić.

– To szaleńcza wyprawa.

– Czy jesteś pewien, że te tunele są całkiem wolne od wroga? Możesz być pewien, że w ogóle doprowadzą nas do Mithrilowej Hali? A może zejdziemy pod ziemię, opuścimy ten rejon, a w tym właśnie momencie przybędą armie Mirabaru, Silvermoon, Everlund? Co wtedy, generale? Nie będą mieli kogo ratować i żadnego miasta, które można by zabezpieczyć. Pomyślą, że przybyli za późno i ruszą do domu.

– Albo ruszą na północ ku większej kampanii, którą toczy klan Battlehammer.

– Masz na to nadzieję, prawda?

– Nie gadaj głupot – ostrzegł go Dagna. – Przeszliśmy całą tę drogę, dziesięciu moich udało się do Hal Moradina, a wszystko dla was.

Galen cofnął się nieco, a nawet leciutko ukłonił.

– Nie lekceważymy waszej pomocy – powiedział. – Lecz musisz zrozumieć, że jesteśmy lojalni wobec naszego miasta tak samo, jak klan Battlehammer jest lojalny wobec Mithrilowej Hali. Według wszelkich doniesień, droga przed nami jest prawie czysta. Dość łatwo przebijemy się do Nesme. Mało prawdopodobne, by nasi wrogowie zdołali szybko zorganizować się na tyle, by zmusić nas do większego wysiłku. Do czasu, kiedy tak się stanie, zdąży już nadejść pomoc.

Nie do końca przekonany krasnolud założył ręce na piersi. Mięśnie wokół skórzanych karwaszy napięły się.

– A co z resztą ocalałych, która wciąż gdzieś się ukrywa? – ciągnął Galen. – Każesz nam ich opuścić? Mamy uciec i ukryć się – spytał, odwracając się szybko ku Rannekowi – gdy nasi bracia kryją się w cieniach, bez nadziei na znalezienie bezpiecznego schronienia?

– Nie wiemy, czy w ogóle jeszcze jacyś zostali – odparł Rannek, choć już nie tak pewnie.

– Tego nie wiemy – powiedział Galen Firth. – Czy moje życie jest warte takiej szansy? A twoje?

Stary wojownik odwrócił się ku Dagnie.

– Jest – odpowiedział sam sobie. – Chodź z nami, jeśli chcesz, lub wiedz i ukryj się w Mithrilowej Hali. Nesme nie jest jeszcze stracone, a ja postaram się, by tak się nie stało!

Odwrócił się i odszedł stanowczym krokiem. Dagna mocniej zacisnął ręce na piersi i długo

wpatrywał się w oddalającego się Galena. W końcu odwrócił się do Ranneka.

– Szaleńcza wyprawa – powiedział. – Nie wiesz nawet, gdzie kryją się trolle.

Rannek nie odpowiedział, lecz Dagna wyczuwał, iż tamten doskonale wie, że to nie on powinien udzielić odpowiedzi. Mówiąc, iż wypowiada się w imieniu mieszkańców Nesme, Galen mówił prawdę. Rannek miał szansę wypowiedzieć swoje zdanie, lecz sprawa była postanowiona.

Na twarzy młodego wojownika malowały się wątpliwości. Mimo to skłonił się tylko, odwrócił i poszedł za swoim dowódcą.

Nieco później, kiedy zaczęło zmierzchać, Dagna i jego czterdziestu krasnoludów stało na zboczu wzgórza, obserwując wymarsz Galena Firma i czterech setek mieszkańców Nesme. Cały rozsądek starego krasnoluda podpowiadał mu, że powinien pozwolić im odejść i uznać misję za wykonaną. Wciąż powtarzał sobie: „Odwróć się i ruszaj do tuneli”.

Nie wydał jednak tego rozkazu. Mijały minuty, a czarna masa maszerujących ludzi skryła się za mgłą znad bagien.

– To mi się nie podoba – powiedział do otaczających go krasnoludów. – To wszystko mi się nie podoba.

– Za bardzo wierzysz w spryt trolli – zauważył jeden z nich. Dagna nie mógł zignorować tego komentarza.

Czy naprawdę tak było? Trasa dotychczasowej ucieczki i miejsca znalezienia uciekinierów kazały mu sądzić, iż to pułapka – w każdym razie on zastawiłby taką pułapkę, gdyby gonił ludzi. Lecz był krasnoludem, weteranem wielu wojen, zaś przeciwnikami były wielkie, głupie trolle, które nigdy nie były zbyt dobrymi taktykami.

Może Galen Firth miał rację.

Mimo to, wciąż pozostawały wątpliwości.

– Chodźmy za nimi przez jakiś czas, dla mojego spokoju – powiedział swoim podkomendnym. – Jeden zwiadowca na lewo, drugi na prawo. Pójdziemy za nimi, ale nie na tyle blisko, by ten durny Galen nas zauważył.

Kilka krasnoludów burknęło coś pod nosem, ale niezbyt głośno.

* * *

– Nadchodzą, krasnoludku – powiedział troll, paskudny nawet jak na trolla, do leżącego pod nim, poturbowanego krasnoluda. – Dokładnie tak, jak powiedziały drowy.

Inny troll zachichotał, co brzmiało tak, jakby grupa pijanych krasnoludów usiłowała sobie wypluć płuca, po czym oba wychyliły głowy ponad błotniste urwisko, usiłując dostrzec coś przez poszarpane krzewy.

Przyściśnięty wielką stopą Fender Stouthammer z trudem łapał oddech, nie mówiąc już

o poruszeniu się. Nie był zakneblowany, lecz nie mógł też wydawać innych odgłosów niż ciche rżenie – był to efekt umiejętnego posłużenia się drowim ostrzem.

Jednak Fender nie mógł tak po prostu sobie leżeć. Słyszał, jak drowy mówią trollom, iż wkrótce złapią wszystkich uciekinierów i uparte krasnoludy. Przez ostatnich kilka dni Fender leżał, bezradnie przyglądając się, jak dwa mroczne elfy organizują poruszenia oddziałów trolli i bagniaków. Ta sprytna parka przekonała największego i najpaskudniejszego trolla, dwugłowego potwora imieniem Proffit, że ci głupi ludzie wejdą wprost w jego pułapkę.

I dlatego właśnie kryli się w długim wykopie niedaleko opuszczonego Nesme, na północ od maszerujących na zachód ludzi. Po prawej przyczaili się ich sojusznicy – podobne do drzew bagniki.

Przygniatający Fendera troll roześmiał się jeszcze głośniejszym głosem i zaczął podskakiwać. Każdy skok wbijał krasnoluda coraz głębiej w błoto.

Fender, przekonany, że zaraz zostanie zmiażdżony na śmierć, odruchowo chwycił odsłonięty korzeń i odtoczył się, podkładając go na swoje miejsce. Kiedy noga trolla znów opadła, oparła się na nim. Ku wielkiej uldze Fendera, troll zdawał się niczego nie zauważać – korzeń uginał się tak samo, jak ciało krasnoluda.

Nie świętując zbyt długo swego zwycięstwa, Fender nagiął korzeń tak, by nadal pozostał pod stopą trolla, po czym odtoczył się w drugą stronę i opadł na czworaki. Wycofał się po cichu za linię równie rozproszonych stworów. Nadal jednak nie miał pojęcia, jak zdoła stąd uciec.

Bo nie zdoła – to Fender Stouthammer musiał przyznać przed samym sobą. Był zbyt poraniony, by mieć na to choćby cień nadziei.

– W takim razie drugie najlepsze wyjście – poruszył cicho ustami i przesunął się ku najłagodniej nachylonej części zbocza, ku splotowi korzeni wznoszących się aż do wierzchołka, jakieś osiem stóp od błotnistego dna. Westchnąwszy głęboko i pożegnawszy się w duchu z rodziną i tymi wszystkimi przyjaciółmi, których już nigdy nie zobaczy, zaczął pospiesznie się wspinać, jedna ręka za drugą.

Liczył na zaskoczenie i udało mu się to, kiedy wyczołgał się z jamy i uciekł stojącemu najbliżej trollowi. Teraz jednak słyszał za sobą ich okrzyki i odgłosy pogoni.

Fender gnał co siłą, ratując nie tylko swoje życie, ale i tych wszystkich ludzi, którzy nieświadomie pchali się wprost w pułapkę. Usiłował krzykiem ostrzec ich przed trollami, lecz rzecz jasna nie mógł, dlatego rozpaczliwie machał rękami, kiedy kilku idących na czele ludzi ruszyło w jego stronę.

Nie musiał się nawet odwracać, by wiedzieć, że trolle go ścigają, gdyż ludzie jak jeden mąż zbledli i zatrzymali się. Widział, jak ich oczy rozszerzają się z przerażenia. Widział, że zaczynają się cofać, odwracają i uciekają z pełnymi przerażenia okrzykami.

– Uciekajcie – wyszeptał. – Uciekajcie jak najdalej. Poczul, jak coś uderzyło go w plecy,

odbierając dech. Nie poleciał jednak do przodu i wcale nie poczuł bólu. Kiedy spojrzął na swoją pierś, zrozumiał, dlaczego – wystawał z niej gruby, zaostroszony kawałek gałęzi.

– Och – powiedział. Był to najprawdopodobniej najgłośniejszy dźwięk, jaki mógł wydać z przeciętym gardłem.

A potem upadł, niemal wolny, lecz rad, że wybrał drugie najlepsze wyjście.

* * *

Głupie trolle, przekazały do Kaer'lic palce Tos'una Armgo w tajemnym języku drowów. Nie można im nawet powierzyć pilnowania rannego więźnia!

Równie zniesmaczona Kaer'lic powstrzymała się od odpowiedzi i obserwowała, co też wydarzy się dalej. Ludzie już się wycofywali, biegnąc na wschód. Ze swego punktu obserwacyjnego na północy pokiwała głową z nową nadzieją, kiedy ludzie skręcili na południe, z dala od szarżujących trolli.

– Nie żyje? – spytała, wskazując na krasnoluda. W tej samej chwili Fender poruszył się.

– Uciekajcie pod osłonę drzew – powiedziała kapłanka mrocznych elfów. W najbliższym zagajniku na jedno prawdziwe drzewo przypadały trzy bagniki, przypominające poskręcane, uschłe drzewa. – Tam znajdziecie drewno, którym spalicie trolle!

W odpowiedzi na szeroki uśmiech Kaer'lic Tos'un uśmiechnął się równie szeroko: on także widział, że za powykręcany konarami czai się śmierć.

Jego warknięcie odebrało jednak Kaer'lic całą radość. Po kamienistym stoku na północnym wschodzie zbiegał inny oddział, szczękając bronią, wydając wojenne okrzyki i wzywając krasnoludzkich bogów Moradina, Clangeddina i Dumathoina.

A potem, co zadziwiające, krasnoludy zaczęły skandować: „Uciekajcie w naszą stronę. My weźmiemy was w obronę!”.

Krzyczały to raz po raz, z każdą chwilą coraz głośniejsze, kiedy wydawało się, że mieszkańcy Nesme nie chcą skręcić na północny wschód.

– Dostrzegli bagniki – powiedziała Kaer'lic. Tos'un roześmiał się drwiąco i odparł:

– Czy ze wszystkich ras Torilu jest jakaś rasa, która mniej nadaje się do zastawienia prostej pułapki niż śmierdzące trolle?

– Wszystkie rasy mniej pojętne od nich wyginęły tysiąclecia temu.

– I co teraz?

– Rozkoszuj się widowiskiem – odparła kapłanka. – I ściągnij tego krasnoluda. Może Pani Lolth udzieli mi mocy, abym utrzymała go przy życiu, byśmy mogli się zabawić, nim go w końcu zabijemy.

* * *

Zwiadowcy Dagny znaleźli idealną drogę, aby stanąć na drodze pogoni. Krasnoludy zbiegały po zboczu, rozpędzając się coraz bardziej. Minęli z lewej uciekających mieszkańców Nesme, klnąc soczyście tych kilku ludzi, którzy byli gotowi zawrócić i dołączyć się do szarzy krasnoludów.

Dagna poprowadził swoich wojowników wokół ludzi tak, że kiedy starli się z trollami, impet ich szarzy nawet nie zmalał. Przedzierali się przez pierwsze szeregi, waląc mieczami, toporami i młotami. Trolle, które jeszcze stały na nogach, odwróciły się, by walczyć z nowym, bliższym wrogiem.

W ten sposób, dzięki własnej taktyce, krasnoludy zostały niemal natychmiast otoczone. Nie wpadli jednak z tego powodu w rozpacz, dokładnie to zaplanowali. Powstrzymali pościg, dali mieszkańcom Nesme czas na ucieczkę.

Wiedzieli, jaka będzie cena.

I zgodzili się na to z pieśnią bojową na ustach.

Żaden z chłopców Dagny nie opuścił tego pola.

* * *

– Popatrz, z jaką łatwością odwrócili uwagę tych głupków Proffita! – zauważyła Kaer'lic. – Atakują dwa tuziny, chociaż tam ucieka znacznie więcej!

– Nie umkną – odparł Tos'un, który wspiął się wyżej niż Kaer'lic i dyszący ciężko Fender, co dawało mu znacznie większe pole widzenia. – Bagniaci ogarną ich od południa. Ludzie już widzą, że zostaną dogonieni. Ich mężczyźni już szykują się do obrony.

Kaer'lic spojrzała na towarzysza, lecz jej uśmiech stał się grymasem gniewu. Kapłanka dostrzegła wysoko nad głową Tos'una opadające z zachodu na wschód linie ognia. Gdy ognisty pojazd przelatywał nad drowem, Kaer'lic dostrzegła jego kształt. Był to jakiś wóz, może rydwan, ciągnięty przez ogniste konie.

Tos'un również spojrzał do góry, podobnie jak wszyscy na polu walki.

Rydwan spadł na dół, przeleciał tuż nad ludźmi, z których wielu rozpląszczyło się w przerażeniu na ziemi, lecz inni zaczęli nagle się cieszyć.

Potem, tuż obok ludzi eksplodowały kule ognia, buchając pod niebo płomieniami.

– Bagniaci! – krzyknął Tos'un.

Na wschód od niego ludzie znów zaczęli uciekać.

* * *

Srebrnowłosa lady Alustriel z Silverymoon trzymała wodze swego magicznego rydwanu w jednej ręce, drugą zaś wykonała serię gestów, przywołując niewielką kulę ognia. Skierowała rydwan nad największą ocalałą grupę bagniaków i w przelocie cisnęła w nich swoim pociskiem.

Ognista kula wybuchła między nimi. Płomienie żarłocznie wgrzyły się w podobną do kory skórę potworów.

Alustriel spojrzała w dół i zobaczyła, że ludzie ruszyli biegiem, zaś pozostałe bagniki są zbyt zajęte uciekaniem przed płonącymi krewniakami, by kogokolwiek ścigać. Jednak kiedy popatrzyła na zachód, serce w niej zamarło. Bitwa była już niemal skończona, trolle miały znaczną przewagę nad krasnoludami.

Tej nocy jej podziw dla klanu Battlehammer urósł jeszcze bardziej, nie tylko ze względu na ten dowód odwagi, lecz także za wysłanie wojowników na południe w tak ciężkim okresie. Do Silverymoon dotarły z Nesme wieści o poruszeniu na Trollowych Wrzosowiskach, dalsze informacje o przemarszu Oboulda Wiele Strzał przysły od Emerusa Warcrowna z Cytadeli Felbarr.

Wiedziała, że Mithrilowa Hala jest w wielkim niebezpieczeństwie. Wiedziała, że Północ została opanowana przez króla orków i hordy jego poddanych, a zachodni brzeg rzeki Surbrin został solidnie ufortyfikowany.

Wiedziała, że nie uczyniła zbyt wiele, by coś na to poradzić, lecz widząc zrozpaczonych, uciekających mieszkańców Nesme ucieszyła się, że przynajmniej trochę mogła im pomóc.

9.

ROZMOWY O CUDACH

Wulfgar machał rękami, usiłując obrócić się podczas spadania i znaleźć się z dala od miejsca, w które spadał kocioł, gdzie lśnił gniewnie roztopiony metal, a trafione orki biegały z wyciem. Nie mógł zmienić toru swego lotu, lecz miał to szczęście, że kiedy zaczął spadać, instynktownie odbił się od kotła. Spadł na grupę niczego nie podejrzewających orków, przygniatając ich swoim ciężarem.

Upadek z wysokości ponad dwudziestu stóp złagodzili tylko częściowo i Wulfgar wraz z orkami uderzyli mocno o ziemię. W wielu miejscach czuł palący ból – pewnie złamał sobie niejedną kość – jednak wiedział, że nie ma czasu nawet mrugnąć. Wrzeszcząc jak opętany, barbarzyńca podciągnął nogi i wstał, wymachując dziko pięścią i młotem, starając się utrzymać wrogów z dala od siebie.

Potykać się, ruszył w stronę korytarza, w którym Bruenor i pozostali przygotowali swój ostatni szaniec w wielkiej hali, lecz między nim a wejściem stało zbyt wielu orków. Wszelkie nadzieje, że zdoła skorzystać z zamieszania wywołanego przez surówkę i ciężki kocioł spełzły na niczym; orki rzuciły się na niego ze wszystkich stron. Poczul uderzenie w ramię, obrócił się szybko, odłamując ostrze cienkiej włóczni. Aegis-fang zakreślił łuk, trafiając orka z boku na tyle mocno, by wpadł na następnego, zaś obaj wpadli na trzeciego.

Inna włócznia ugodziła Wulfgara w tyłek, zaś jeden z orko w leżących na podłodze ugryzł go w kostkę. Kopał i młócił rękami, wywijał młotem i parł do przodu, lecz opór narastał.

Nie mogło mu się udać, nie mógł mieć nawet nadziei, że krasnoludy przyjdą mu z pomocą.

* * *

Z boku Wulfgara grupa orków podkradała się ostrożnie w stronę drzwi, nie wiedząc, czy prowadzą one do jakiegoś pomieszczenia, czy może innego korytarza. Obawiając się, że za nimi czają się wrogowie, przywołały jednego z lodowych gigantów, prosząc, aby się przez nie przebił.

Gigant z początku nie chciał, narzekając, że nie dostanie się do człowieka, który spadł, tego, który zabił jego przyjaciół swoim młotem. Lecz kiedy dostrzegł orki wskazujące w podekscytowaniu na drzwi, wielkolud zacisnął usta i ruszył pędem, pochylając się. Gigant uderzył ramieniem w drzwi, które nie były drzwiami, sądząc, że wpadnie wraz z nimi do środka.

Tylko że tam nie było żadnego pomieszczenia.

Drzwi były z wosku, oparte o litą skałę, nasączone olejem gromów.

Fałszywe drzwi pękły, a wosk zniknął w potężnym wybuchu. Zatopione w nim skrawki

metalalu poleciały na wszystkie strony.

Gigant cofnął się chwiejnie – na tym, co zostało z jego twarzy, malował się wyraz całkowitego niedowierzania. Wielkolud rozłożył ręce i popatrzył na poszarpane ciało, zwisające wszędzie strzępy ubrania i ciała, ściekającą krew.

Rozejrzał się bezradnie wokoło i padł martwy.

Wszystkie orki, które znalazły się w strefie rażenia potykały się, krzyczały i umierały.

* * *

Na wschodnim skraju wielkiej hali przerwano walkę. Orki i krasnoludy odwróciły się, by spojrzeć na krwawe żniwo, jakie zebrały wybuchowe drzwi, przecinając się przez linię orków i dwóch gigantów, którzy mieli akurat pecha tam się znaleźć. Jeden wojownik wciąż jednak walczył. Wulfgar, zbyt zaślepiony bólem i gniewem, by słyszeć wybuch i krzyki, nabierał dopiero rozpędu, tłukąc zapamiętałe bronią i warcząc jak zwierzę – nie miał nawet dość rozumu, by wymówić imię swego boga.

Parł naprzód chwiejnym krokiem, przedzierając się przez szereg zaskoczonych orków. Ledwo usłyszał następne głośnie uderzenie, choć nagły wstrząs niemal zbił go z nóg. Tuż obok niego upadł wielki głaz, przygniatając jednego orka i zmiatając drugiego. Gdyby odwrócił się, a jego zmysły nie byłyby przytępione przez ból ciała i duszy, rozpoznałby ten głaz.

Tymczasem jednak parł naprzód, nie odwracając się. Wykorzystując zaskoczenie, jakie sprawił wybuch drzwi, zdołał przedrzeć się ku wojownikom Bruenora. Oddziały krasnoludów otworzyły się przed nim, ogarnęły go niczym ramiona matki i pociągnęły za sobą w głąb tunelu.

– Zaprowadźcie go do kapłanów – powiedział Bruenor, gdy wreszcie zdołał przyjrzeć się uważniej swemu adoptowanemu synowi.

Z ciała barbarzyńcy wystawały ułamki kilku strzał i włóczni, a było to zaledwie kilka ran z wielu. Bruenor wiedział, że Wulfgar prawdopodobnie ma jeszcze więcej obrażeń, których nie zauważył.

Jednak król krasnoludów musiał szybko odsunąć strach o swe przybrane dziecko, gdyż odwrót właśnie wszedł w fazę, która wymagała idealnej koordynacji. On i jego wojownicy walczyli zażarcie, lecz w tej samej chwili zaczęli wycofywać się do większej komnaty, stopniowo zwierając szeregi i wchodząc do tunelu.

Ci na jego początku jeszcze trzymali szyk, lecz ci, którzy weszli głębiej rozrywali go i puszczali się biegiem, oczyszczając korytarz dla następnych.

W ukrytych pomieszczeniach inżynierowie przygotowywali swoje mechanizmy korbowe.

Bruenor stał na środku rozciągniętej linii cofających się wojowników, twarzą w twarz ze ścigającymi ich orkami. Tego dnia na jego toporze pojawiło się więcej niż kilka dodatkowych

szczerb. Z każdym krokiem do tyłu władca krasnoludów musiał tłumić gniew, że te paskudne bestie znalazły się w jego świętych halach i przypominać sobie, że jeszcze przed zmierzchem je stąd wygoni.

Kiedy wszyscy minęli wyznaczoną linię, Bruenor zakrzyknął, dołączając swój głos do okrzyków tych, którzy przy nim stali.

Inżynierowie pociągnęli za swoje korby, dosłownie zwalając sufit korytarza w stronę wielkiej hali. Dwa wielkie bloki ześliznęły się, miażdżąc pod sobą orki, które miały pecha znaleźć się akurat w tym miejscu, i odcinając od rojących się w pierwszej sali krasnoludów ponad tuzin kolejnych stworów, które się zapędziły w pogoni za przeciwnikiem.

Rozwścieczone krasnoludy szybko się z nimi rozprawiły.

Jednak radość Bruenora z udanego odwrotu i świadomości, że rany Wulfgara nie są zbyt ciężkie, trwała krótko. Kilka chwil potem trasa ich odwrotu przecięła się z drogą krasnoludów wycofujących się ze skalnej półki i troskliwie dźwigających Catti-brie.

* * *

Ukryty w pomieszczeniu Regis przejechał pulchnymi dłońmi po twarzy, jakby chcąc zetrzeć z niej narastający strach. Często spoglądał w stronę światła, wpadającego przez starannie wywierconą dziurę. Usłyszał wybuch i wiedział, że to woskowe drzwi. Najwyraźniej jeden z odłamków odbił się od czegoś – miał nadzieję, że była to czaszka jakiegoś orka – i przeleciał przez skalną ścianę jego kryjówki, zaledwie o cal od twarzy biednego niziołka. Teraz często oglądał się na drugą, znacznie solidniejszą ścianę, w którą wbiła się metalowa kulka.

Niziołek usiłował uspokoić oddech świadom, iż ostatnią rzeczą, na jaką mógł pozwolić, było odkrycie przez orków. Wiedział, że dotarli już na półkę, słyszał ich warknięcia i szuranie stóp na kamieniach.

– Pięć godzin – poruszył cicho ustami. Tyle czasu miało upłynąć do kontraktaku. Wiedział, że powinien się trochę przespać, lecz czuł w pobliżu zapach orków i zwyczajnie nie mógł odprężyć się na tyle, by trzymać oczy zamknięte.

* * *

Stojące wokół Bruenora krasnoludy mogły wyczuć niepewność czającą się w każdym wypowiedzanym przez niego słowie.

– Czy będzie toczyć się dalej? – spytał inżynierów stojących obok zmodyfikowanej wersji „wyciskarki”, ciężkiego walca, przeznaczonego do rozcierania o ściany orków i im podobnych stworów. W przeciwieństwie do typowej klanowej „wyciskarki”, która była zwykłym

kamiennym walcem z grubą ramą i drągami z tyłu do popychania, nowe urządzenie posiadało specyficzny charakter. Na przedzie ważącego tonę tarami umieszczono drewniane rzeźby, przedstawiające dziki bojowe dosiadane przez krasnoludy, dzieło Pikela Bouldershoudera. Pod nimi znajdował się metalowy fartuch, rozszerzający się niczym dziób statku. „Łowca orków”, jak nazwał go Nanfoodle, miał wbić się w szeregi wrogów niczym ostrze włóczni, rozpychając ich na boki.

Całość osadzona była na dobrze naoliwionych metalowych kołach ustawionych w cienką, ostrą krawędź tak, by przecinać się przez ciała, które przeoczył Łowca. Zamontowano przy nim uchwyty dla dwudziestu krasnoludów, a na dodatek Nanfoodle osadził figury niedźwiedzi na obręczach w taki sposób, by wydawało się, że sześciu krasnoludzkich wojowników szarżuje, przeskakując nad sobą ruchem obrotowym.

– Na pewno kiedyś go powstrzymają – tłumaczył. – Sądzę, że będzie to raczej stos trupów niż jakikolwiek skoncentrowany wysiłek. Kiedy krasnoludy go rozpędzą, potrzeba będzie tuzina gigantów, by go zatrzymać!

Bruenor pokiwał głową i poszedł dalej, przyglądając się urządzeniu z każdej możliwej strony.

Wiedział, że musi iść dalej. Musiał wszystko obserwować i myśleć o obecnych kłopotach.

Dwójka jego dzieci była ranna.

* * *

Wulfgar, krzywiąc się co chwila, zdołał zarzucić na ramiona swój płaszcz z wilczej skóry i cofnąć prawą rękę do tyłu na tyle, by się nim owinąć, osłaniając mithrilową kolczugę.

– Co ty robisz? – spytała Delly Curtie, wracając do pokoju po tym, jak położyła Colson spać.

Wulfgar spojrzał na nią, jakby odpowiedź była oczywista.

– Cordio mówił, że nie możesz dziś wrócić – przypomniała mu Delly. – Jesteś zbyt słaby.

Wulfgar pokręcił głową i zatrasnął zapinkę płaszcza. Nim skończył, kobieta już była u jego boku, chwytając go za ramię.

– Nie idź – błagała.

Wulfgar popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– W Mithrilowej Hali są orki. Możemy się nie utrzymać.

– Pozwól, by Bruenor je wygnał. Albo lepiej, wzmocnijmy przed nimi ściany i zostawmy im puste komnaty.

Wyraz twarzy Wulfgara nie zmienił się.

– Możemy dotrzeć tunelami do Felbarr – ciągnęła Delly. – Cały klan. Powitają ich tam z otwartymi rękami. Słyszałam, jak Jackonray Broadbelt mówił to ludziom wygnanym z północy.

– Może wielu z nich będzie na tyle mądrych, by tam się udać – przyznał barbarzyńca.

– Nikt nie zamierza zostać tam na stałe. Wszyscy chcą iść do Silverymoon, Everlund i Sundabaru. Byłeś kiedyś w Silverymoon?

– Raz.

– Czy jest tak piękne, jak mówią? – spytała, a błysk w oczach zdradzał jej największe pragnienie. Na ten widok błękitne oczy Wulfgara rozszerzyły się.

– Odwiedzimy je – obiecał, choć jakoś wyczuwał, że nie jest to dokładnie to, o co chodziło Delly, i może nie wystarczyć, by ją uspokoić.

– Co ty mówisz? – spytał ostro.

Delly cofnęła się, zaskoczona takim zachowaniem.

– Po prostu chcę je zobaczyć, to wszystko – powiedziała, spuszczać wzrok.

– Czy coś się stało?

– W halach są orki. Sam tak powiedziałaś.

– A gdyby ich nie było, czy nadal chciałabyś odwiedzić Silverymoon albo Sundabar?

Delly kopnęła kamyk. Jej obecne zmieszanie tak bardzo nie pasowało do jej charakteru, że Wulfgar poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku.

– Jakie życie może prowadzić dziecko, które widzi tylko swoich rodziców i krasnoludy? – ośmieliła się wreszcie zapytać. Oczy Wulfgara błysnęły.

– Catti-brie tak się wychowywała.

Delly podniosła głowę. Jej minę trudno było uznać za zachwyconą.

– Nie mam czasu, by teraz o tym dyskutować – powiedział. – Ustawiają wyciskarkę na stanowisku, a ja stanę na swoim miejscu w szeregu.

– Cordio mówił, że nie powinieneś iść.

– Cordio to kapłan, który zawsze woli być ostrożny, kiedy chodzi o tych, którymi się opiekuje.

– Jest krasnoludem i chce, aby na górze byli wszyscy, którzy są w stanie zabijać orki – odparła Delly, a Wulfgar uśmiechnął się. Zrozumiał, że gdyby nie Colson, Delly poszłaby do walki u jego boku.

A może nie, pomyślał, przyglądając się uważnie, dostrzegając jakiś grymas ukryty pod niemal obojętnym wyrazem twarzy. Od chwili, gdy zaczęła się walka, prawie jej nie widział, rozdzielili się na drodze wiodącej z Doliny Lodowego Wichru do Mithrilowej Hali. Dopiero wtedy zrozumiał, jak bardzo jest tu samotna, między krasnoludami zbyt zajętymi, by zwrócić na nią uwagę.

– Kiedy to się skończy, odwiedzimy Silverymoon. I Sundabar – zaproponował.

Delly patrzyła w ziemię, lecz kiwnęła leciutko głową.

Wulfgar znów się skrzywił i chodziło tu o coś więcej, niż tylko fizyczny ból. Wierzył w to,

co mówił, i nie miał czasu na głupie sprzeczki. Podszedł i schylił się nisko, by ją pocałować, ale Delly nadstawiła tylko policzek.

Jednak gdy znalazł się przy drzwiach, Wulfgar, syn Beornegara, syn Bruenora, bohater Mithrilowej Hali, wyrzucił z głowy Delly i jej troski.

* * *

– Przebiliśmy się do hali! – skrzeknęła Tsinka.

Obould spojrział na nią z krzywym uśmiechem. Zauważył, iż szamanka zapomniała już, jak można mówić bez podnoszenia głosu o kilka oktaw. Wokół nich orki radowały się i podskakiwały, wymachując groźnie pięściami. Wielka sala należała do nich, podobnie jak szereg pomieszczeń na północ i na południe od niej. Wschodni korytarz był zawalony kamiennymi blokami, lecz skoro udało im się przedrzeć przez słynne Zachodnie Wrota Mithrilowej Hali, to czyż prowizoryczne bariery mogły stanowić jakąkolwiek większą przeszkodę?

Obok nich maszerowały szeregi orków, wynoszących z Mithrilowej Hali swoich padłych kamratów, by cisnąć ich na ogromny stos do spalenia. Szereg ten zdawał się nie mieć końca: w ciągu trwającej kilka minut walki w sali, z powodu śmiertelnie deszczu z góry i zażartej obrony krasnoludów zginęło ponad trzystu orków. Pułapki, takie jak ta niszczycielska eksplozja, której przyczyny Obould jeszcze nie odkrył, zabrały ponad dwudziestu. Jakie jeszcze sztuczki krył w zanadrzu Bruenor? Czy cała ta część Mithrilowej Hali miała wybuchnąć, niczym tamta skalna półka nad północnym klifem?

Czy udało im się zabić w walce choćby jednego krasnoluda? Obould był pewien, że powalili przynajmniej kilku, lecz odwrót brodaczy był tak skoordynowany, iż nie zostawili nawet ciała.

Stojąca obok Tsinka paplała coś swoim wysokim głosem, relacjonując wydarzenia w bohaterskim stylu. Opowiadała o chwale Gruumsha i rychłym wyparciu klanu Battlehammer z ich odwiecznej siedziby. Stojące obok orki krzyczały z równą radością i entuzjazmem.

Obould miał ochotę udusić szamankę.

Przez tę obłądną radość przebił się głos Gerti Oreldottr, najwyraźniej niezbyt zadowolonej z rozwoju wydarzeń. Zginęło czterech gigantów, dwaj inni byli ciężko ranni, a Gerti nigdy nie przyjmowała spokojnie śmierci któregoś ze swoich pobratymców. Choć Oboulda nużyły lamenty gigantki, Obould wiedział, że jeśli zamierza wejść głębiej, a nawet utrzymać pozycję nad Surbrin, będzie potrzebował jej wsparcia. Choć bardzo mu się to nie podobało, Obould musiał przyznać, że obecna wizja jego królestwa nie istniała bez Gerti Oreldottr.

Król orków spojrział na Tsinkę. Czy mogła choćby przewidzieć, co ich czeka? Czy zrozumie, iż nie mogą tracić setek orków przy zdobywaniu każdej sali? A jeśli nawet zdołają tak ogromnym

kosztem wyprzeć Battlehammerów, to czy Cytadele Felbarr i Adbar oraz miasta Silverymoon i Everlund nie zechcą jej odzyskać?

– Gruumsh! Gruumsh! Gruumsh! – zaczęła zawodzić Tsinka. Stojące w pobliżu orki podchwyciły zaśpiew i zaczęły ryczeć ile sił w płucach:

– Gruumsh! Gruumsh! Gruumsh!

* * *

Dźwięk wpadał przez dziurę, odbijał się od kamiennych ścian, wypełniając całą przestrzeń i bombardując uszy biednego Regisa. Wydawało mu się, że cała orcza rasa siedzi mu na ramionach i wrzeszczy tryumfalnie. Niziołek skulił się odruchowo i zasłonił rękami uszy. Mimo to hałas zdawał się wciąż narastać, gdyż orki zaczęły tupać, tak że wkrótce wielka sala zadrżała w posadach.

Regis skulił się jeszcze bardziej, usiłując wyrzucić to z głowy. Niemal spodziewał się, że Gruumsh wejdzie do sali i wyciągnie go stąd. Szczęka dygotała mu tak mocno, że aż bolały go zęby, a uszy pulsowały.

– Gruumsh! Gruumsh! Gruumsh!

Ku swemu przerażeniu Regis zorientował się, że wrzeszczy, by zagłuszyć ten straszny dźwięk. Jego reakcja okazała się nadzwyczaj szczęśliwa dla obrońców Mithrilowej Hali, gdyż niziołek, by zatkać sobie usta, oderwał ręce od uszu. Uczynił to w samą porę, by usłyszeć inny dźwięk, przebijający się przez wołanie.

W głębi kompleksu grały krasnoludzkie rogi.

Minęła długa chwila, nim Regis je usłyszał, i następna, by rozpoznać sygnał.

Chwycił obiema rękami dźwignię i przesunął ją, uruchamiając korbę. Policzył do dwóch, po czym przesunął z powrotem.

Przez te dwie sekundy lina rozwijała się, przesuwając pod sufitem pomieszczenia i wewnątrz wiszących pod sufitem metalowych rur. Podobne do parasola urządzenie zamontowane w wielkiej sali opadło, po czym zatrzymało się gwałtownie, gdy Regis ponownie pociągnął za dźwignię. Wstrząs zerwał zawiasy podtrzymujące różne warstwy misowatego zbiornika, odwracając je jedno po drugim, podczas gdy cała konstrukcja pod wpływem szarpnięcia zaczęła się obracać.

Wypadły z niej ceramiczne kulki, potoczyły po wyznaczonych ścieżkach, zakończonych prowadzącymi ku górze zawijasami o różnym kącie nachylenia. Dzięki ruchowi obrotowemu i różnym kątom nachylenia, kulki wystrzeliły z urządzenia w starannie obliczony sposób tak, by „bombardowanie” objęło jak największy teren.

Każdą z kulek napełniono jednym z dwóch eliksirów. Jedne kryły w sobie ostre kawałki

metalów zanurzonych w oleju gromów, zaś drugie – lotny płyn, eksplodujący w kontakcie z powietrzem.

Na tłum orków spadł deszcz szrapneli i maleńkich, ognistych kul.

Okrzyki „Gruumsh!” zmieniły się w stłumione sieknięcia, gdy kawałki metalu dziurawiły płuca. Wkrótce potem rozległy się wrzaski bólu, kiedy płomienie dotarły do kolejnych stworów.

* * *

– Tysiąc rannych i kilku zabitych – tak Ivan Bouldersoulder i Nanfoodle przedstawili Bruenorowi i pozostałym efekty działania wynalazku.

Tego właśnie chciał Bruenor. Krasnoludy z klanu Battlehammer znały orków na tyle dobrze, iż wiedziały, jak wielkie zamieszanie i przerażenie udało im się wywołać. W głębi kompleksu przesunięto wielkie dźwignie, uruchamiając przeciwwagi umocowane do bloków, którymi zablokowano tunele wiodące do Hali.

W głębi krasnoludzkiej linii nastąpiły pierwsze poruszenia. Opuściwszy ramiona, krasnoludy stękały i pchały wielki „wyciskacz”, usiłując go rozpędzić. Ich działania dały lepszy efekt, kiedy pojawił się między nimi Wulfgar, zajmując swoje miejsce przy drążku, specjalnie dla niego umieszczonym wyżej.

– Ruszaj, ruszaj, ruszaj! – wrzeszczeli dowódcy do pierwszej linii krasnoludów, kiedy „wyciskacz” z dudnieniem potoczył się naprzód. Przed nim ustawiła się doborowa jazda na dzikach bojowych i ruszyła przez salę, kiedy tylko ogromne bloki skalne zaczęły się podnosić. Stojący z boku Pikel Bouldersoulder poruszył palcami swojej jedynej ręki, przywołując mgłę, która zdawała się wznosić z każdego kamienia, zasłaniając koniec korytarza i okolice wielkiej sali.

Za blokami panował kompletny chaos; tuziny niewielkich ognisk kazały orkom biegać w różne strony. Pozostali miotali się dziko w bólu i strachu. Niektórzy dostrzegli jednak nadchodzącą szarżę i krzyknęli, by zająć pozycje obronne.

Krasnoludy na dzikach bojowych wezwali Moradina i pognali swoje wierzchowce. I nagle, niemal u wylotu korytarza zatrzymali się, ściągnęli cugle, po czym jak jeden mąż zawrócili, kryjąc się w niewielkich salach, znajdujących się wzdłuż korytarza.

Orki, stojące najbliżej korytarza, wciąż widziały szarżującą jazdę, a przynajmniej wydawało im się, że szarża trwa, gdyż nie potrafili odróżnić prawdziwych dzików i rzeźb poruszających się przed „wyciskaczem”. Dlatego nastawili włócznie i ustawili się w zwartym szyku, by stawić czoła atakowi...

...i zostali przegnani przez rozpędzoną krasnoludzką maszynę.

Wulfgar i krasnoludy wpadły do sali, kosząc orki i odrzucając je na boki. Za nimi nacierała

jazda, kosząc zaciekle przeciwnika, zwłaszcza tych, którzy nie mieli na tyle długich włóczni, by przeciwstawić się szarzy.

Gdy odważniki uniosły inne blokujące kamienie, Bruenor wraz z pozostałymi krasnoludami wypadli na skalne półki, zgodnie z oczekiwaniami natykając się raczej na orki zaskoczone niż gotowe do walki. Bruenor, Pwent i jego Pogromcy opanowali główną półkę. Spychali orki samym impetem natarcia. Balkon został opanowany w ciągu kilku minut, lecz Pwent i jego chłopcy byli dobrze przygotowani na taką ewentualność. Niektórzy Pogromcy wyszli na półkę z założonymi uprzężami, przypięci linami do odważników.

Gdy tylko na półce zrobiło się luźniej, linowi, jak nazwał ich Pwent, po prostu zeskoczyli, a odważniki spowolniły ich upadek.

Ale nie za bardzo. W końcu chcieli zrobić wrażenie.

Pozostali Pogromcy ześlizgnęli się po linach, by włączyć się do walki na dole. Bruenor postąpił podobnie, zostawiając półki uzbrojonym w kusze strzelcom, wybiegającym z mniejszych tuneli.

Na początku liczyło się zaskoczenie, a Bruenor i jego chłopcy byli zdecydowani wykorzystać je do samego końca. Coraz więcej krasnoludów zbiegało z góry, poszerzając linię walczących.

Kusznicy starannie wyszukiwali swoje cele z tyłu, przy wyjściu ku Dolinie Strażnika, zwłaszcza orków wydających rozkazy.

– Wódz! – krzyknął jeden z nich, wskazując na orka wyższego od swoich towarzyszy. Prawdopodobnie stał na jakimś kamieniu, by stamtąd lepiej kierować walką.

Dwudziestu strzelców wycelowało w niego kusze i na komendą zwolniło spusty.

Pechowy wódz, wykrzykujący rozkaz do odwrotu, został nagle uciszony... uciszony i zmasakrowany dwudziestoma bełtami, z których część zawierała olej gromów.

Stojące w pobliżu orki wrzasnęły i uciekły.

Gdy Bruenor, Wulfgar i inni wojownicy przedzierali się przez salę, z korytarza wyszły najważniejsze krasnoludy. Inżynierowie nieśli ciężkie, metalowe płyty, które łatwo można było złożyć w sak – pułapkę o zwężających się ścianach, którą zamierzali postawić w pobliżu wyważonych drzwi. Były one najeżone grotami włóczni i poznaczone masą machikułów; gdyby orki zdecydowały się na kontratak, drogo by je kosztował.

Mimo to należało je postawić jak najszybciej i z doskonałym wyczuciem czasu. Pierwsze sztuki, najdalej od wyjścia na Dolinę Strażnika, ustawiono zaraz za pierwszym szeregiem walczących. Gdyby orki szybko zorganizowały kontrszarżę, może nawet ze wsparciem gigantów, krasnoludy zaskoczone przed tym metalowym murem znalazłyby się w naprawdę żalonym położeniu.

Tak się jednak nie stało. Odwrót orków był pełną paniki ucieczką: wszyscy, którzy jeszcze żyli, uciekali z Mithrilowej Hali, natychmiast oddając pole.

W ciągu kilku minut położono tuziny orków, a pierwsza sala z powrotem znalazła się w rękach Bruenora.

* * *

– Zawróć ich! Zawróć! – błagała Oboulda Tsinka. – Szybko! Atakuj! Nim brodacze się umocnią!

– Twoje orki muszą iść pierwsze – dodała Gerti Oreldottr, gdyż nie paliła się do wysyłania swoich gigantów w miejsce pełne sprytnych pułapek i bronione przez krasnoludy.

Obould stał przed zniszczonymi wrotami Mithrilowej Hali i patrzył, jak spełniają się jego najgorsze koszmary.

– Krasnoludy w swoich tunelach – szepnął do siebie, kręcąc głową.

Tsinka wciąż namawiała go do ataku, a on niemal jej posłuchał.

Wraz ze strugami orczej krwi spływały jego sny o własnym królestwie. Król orków rozumiał, że może kontratakować, że sama ich liczba pozwoli odzyskać pierwszą salę. Przypuszczał nawet, że krasnoludy są na to przygotowane i znów wycofają się w swój zorganizowany sposób.

Podobnie jak podczas pierwszego ataku, na każdego zabitego krasnoluda zginie dwudziestu orków.

Spojrzał w bok i zobaczył duży, jeszcze tłący się, stos ciał poległych w czasie pierwszego ataku.

Tsinka krzyczała jeszcze. Król orków pokręcił głową.

– Utwórzycie szyk obronny! – krzyczał do swoich wodzów. – Zbudujcie murki z kamieni i ukryjcie się za nimi. Jak brodacze wyjdą, wyróżnijcie ich!

Wielu dowódców było zaskoczonych takimi rozkazami, lecz żaden nie był na tyle odważny, by kwestionować słowa króla Oboulda Wiele Strzał. Zresztą i tak niewielu z nich chciało na powrót atakować krasnoludzkie tunele.

– Co ty wyprawiasz?! – skrzeczała Tsinka. – Zabij ich! Wejź do Hali i wybij wszystkich! Gruumsh chce...

Urwała nagle, gdy dłoń Oboulda zacisnęła się wokół jej gardła. Król uniósł ją jedną ręką i przysunął bardzo blisko wykrzywionej twarzy.

– Męczy mnie Tsinka przekazująca wolę Gruumsha. Mówisz, że to ja jestem Gruumshem. Nie wracamy do Mithrilowej Hali!

Spojrzał na Gerti i pozostałych, spoglądających na niego z powątpiewaniem.

– Zamknijcie wrota! – rozkazał. – Zamknijcie tych śmierdzących brodaczy w ich śmierdzących norach. Niech tam siedzą!

Odwrócił się do Tsinki.

– Nie będę dla twojej zabawy rzucał orków na krasnoludzkie włości. Mithrilowa Hala to tylko niedogodność, nic więcej... jeśli uznamy, że tak trzeba. Król Bruenor wkrótce straci na znaczeniu; krasnolud zamknięty w norze, który nawet nie może mnie zaatakować.

Usta Tsinki poruszały się, usiłowała coś powiedzieć, lecz Obould nieco zacisnął pięść, zamieniając to w ciężkie dyszenie.

– Są lepsze sposoby – zapewnił ją.

Rzucił szamankę na ziemię i pochylił się nad nią.

– Jeśli chcesz żyć na tyle długo, by je zobaczyć, starannie dobieraj słowa i ton – ostrzegł, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

CZEŚĆ DRUGA

KRASNOLUDZKIE AMBICJE

Z wysokiej skalnej półki na – wschód od Doliny Strażnika obserwowałem, jak giganci budują swój wielki taran. Widziałem, jak orki ćwiczą walkę w szyku i nagłe szarże. Słyszałem obrzydliwy śmiech, wołanie o krasnoludzką krew i krasnoludzkie głowy, straszne wołania bitewnego szału.

Z tej samej polki widziałem, jak wielki taran jest ciągnięty przez szereg gigantów, rozpedzony, by uderzyć w podstawę skały, na której stałem, w metalowe wrota Mithrilowej Hali. Ziemia pod moimi stopami zadrżała. Odgłos uderzenia wibrował w powietrzu.

Cofnęli go i znów rozhuścili.

A potem rozległy się okrzyki tryumfu i zaczęła dzika szarża.

Stałem na półce obok Innovindil i wiedziałem, że pod moimi stopami przyjaciele i krewni Bruenora, walczą o swoją ojczyznę i swoje życie. A ja nie mogłem nic uczynić.

W tej strasznej chwili zrozumiałem, że powinienem tam być wraz z nimi, zabijać orki, dopóki sam nie zostanę zabity. Wtedy pojąłem, że decyzje, podjęte w przeciągu ostatnich dekadni, podejmowane w gniewie i strachu zdradziły zaufanie, jakie Bruenor i ja żywiliśmy wobec siebie.

Wkrótce potem – zbyt szybko! – w jaskiniach zrobiło się cicho. Walka była skończona.

Ku memu przerażeniu widziałem, że orki zwyciężyły, że zajęły przyczółek, wewnątrz Mithrilowej Hali. Wygnały krasnoludy z wejścia. Nieco pocieszała mnie świadomość, że główne siły orków wciąż stały przed wrotami, pracując w Dolinie Strażnika. Niewielu gigantów weszło do środka.

Klan Bruenora nie został pokonany; prawdopodobnie oddali ten teren, by wycofać się w miejsca, gdzie można się łatwiej bronić.

Jednak ta iskierka nadziei nie zmyła mojego poczucia winy. W głębi serca wiedziałem, że powinienem powrócić do Mithrilowej Hali, stanąć obok krasnoludów, którzy tak długo traktowali mnie jak swego.

Innovindil nie będzie chciała o tym słyszeć. Przypomniała mi, że nigdy nie uciekałem przed bitwą – w obronie Mithrilowej Hali. Dzięki mojej decyzji nie żył syn Oboulda, wiele orków wróciło do swoich jaskiń w górach Grzbietu Świata dzięki moim – naszym, Innovindil, Tarathiel i moim – działaniom na północy.

Trudno pogodzić się z myślą, że nie można wygrać każdej bitwy dla każdego przyjaciela.

Trudno jest zrozumieć i przyjąć swoje ograniczenia, a wraz z nimi świadomość, że choć starasz się jak możesz, często jest to za mało.

I oto w tej właśnie chwili, stojąc na stoku góry i obserwując walkę, w chwili, kiedy wszystko wyglądało jak najgorzej, ja zacząłem godzić się ze śmiercią Bruenora i pozostałych. Och, rana w moim sercu się nie zagoiła. I nigdy się nie zagoi. Wiem o tym i akceptuję. Lecz wtedy właśnie opuściło mnie to poczucie winy towarzyszące upadkowi przyjaciela, winy, że nie mogłem mu pomóc albo chociaż trzymać za rękę w ostatnich chwilach życia.

Większość z nas doświadczyła w swoim życiu jakiejś straty. Dla elfa, księżycowego czy drowa, dzikiego czy avariela, którzy oglądają całe stulecia, to nie do uniknięcia – rodzic, przyjaciel, brat, ukochany, a nawet dziecko. Głęboki ból jest często nieuniknioną częścią świadomego życia. Jakże znacznie mniej znośna by była, gdybyśmy łączyli ją z poczuciem winy.

Wina.

To uczucie najłatwiejsze do przywołania i najbardziej podstępne. Jest zakorzenione w samolubstwie jednostki, choć w przypadku dobrych znajduje źródło w cierpieniu innych.

Teraz rozumiem lepiej niż wcześniej, że wina nie jest napędem odpowiedzialności. Jeśli będziemy działać słusznie ze strachu przed tym, jak się będziemy czuli, jeśli tego nie zrobimy, to nie do końca rozdzieliliśmy pojęcia dobra i zła. Istnieje bowiem pewien wyższy poziom, pojęcie wspólnoty, przyjaźni i lojalności. Nie chciałem stawać po stronie Bruenora ani któregośkolwiek z przyjaciół tylko po to, by zadośćuczynić poczuciu winy. Zrobiłem to, gdyż w tym i wzajemnej przyjaźni jesteśmy silniejsi i lepsi. Nasze życia stają się znacznie więcej warte.

Dowiedziałem się o tym tego strasznego dnia, stojąc na zimnej skale i obserwując, jak potwory przebijają się przez drzwi do miejsca, które od dawna było moim domem.

Tęsknię za Bruenorem, Wulfgarem, Regisem i Catti-brie. Moje serce krwawi, wrywa się do nich w każdej chwili każdego dnia. Lecz przyjmę stratę i nie będę dźwigał żadnej osobistej winy za to, poza uczuciem pustki. Nie odwróciłem się od moich przyjaciół w chwili straty, choć nie mogłem być przy nich tak blisko, jak bardzo bym chciał. Kiedy stałem po drugiej stronie przepaści w chwili upadku wieży Withergroo, gdy Bruenor spadał, dałem mu wszystko, co mogłem: moją miłość i moje serce.

A teraz muszę iść dalej, z Innovindil u boku, i toczyć walkę z naszym wspólnym wrogiem. Będziemy walczyć za Mithrilową Halę, za Bruenora, Wulfgara, Regisa, Catti-brie, Tarathiela, i wszystkich pozostałych. Będziemy walczyć z potworną plagą Oboulda i jego złymi poplecznikami.

W końcu dałem swoim przyjaciołom miłość i serce. Teraz ofiaruję im swoją przyjaźń i determinację, by żyć tak, jakby król krasnoludów cały czas na mnie patrzył, z pochyloną głową, sceptycznie odnoszącego się do takiego czy innego mojego posunięcia.

Głupi elf – będzie często mawiał, spoglądając na mnie z hal Moradina.

A ja usłyszę go, i wszystkich innych, gdyż będą ze mną zawsze, jako część Drizzta Do'Urdena.

A kiedy to zrozumiałem, okazało się, że trzymam się ich coraz mocniej. Spoglądam w górę, ku tym wyobrażonym halom Moradina, i uśmiecham się, nasłuchując mamrotanego narzekania starego przyjaciela.

– Drizzt Do'Urden

10.

NIEOCZEKIWANY ZWROT

Usłyszał dźwięk rogu, rozlegający się gdzieś w zakamarkach jego umysłu, a ziemia pod nim zaczęła się trząść. Wyrwany ze śnienia, podobnego do snu stanu, w który potrafią zapadać elfy, Drizzt gwałtownie otworzył lawendowe oczy. Poderwał się na nogi, a dłonie odruchowo sięgnęły ku przypiętym do pasa sejmitarom.

Zza głazu, który osłaniał ich obozowisko przed wiatrem, wybiegła w pośpiechu Innovindil.

Góra pod ich stopami trzęsła się. Zmierzch tupał i parskał.

– Krasnoludy? – spytała Innovindil.

– Miejmy nadzieję – odparł Drizzt, choć nie chciał wyobrazić sobie, jak piekielne zniszczenia może to poruszenie spowodować w klanie Battlehammer, jeśli wywołały je orki.

Zbiegli jak najszybciej po skalistym zboczu. Żadna inna rasa nie mogła dorównać w szybkości i utrzymaniu równowagi elfom – mrocznemu i księżycowemu. Biegli ramię w ramię, przeskakiwali głazy i przeciskali przez wąskie szczeliny. Razem pokonywali naturalne przeszkody; Drizzt podnosił Innovindil, ona z kolei wyciągała ku niemu rękę.

Zbiegli, pomagając sobie przy każdym kroku. Dotarli do gładkiego, łagodnie pochylonego zbocza, które kończyło się ostrym urwiskiem; zamiast jednak zwolnić w miarę zbliżania się do klifu, pochyłili głowy i przyspieszyli jeszcze bardziej. U podstawy zbocza, nad urwiskiem, rosło niewielkie drzewo, na które wbiegli jedno za drugim. Drizzt skoczył i przekreślił w locie, układając ciało poziomo. Chwytał drzewo wyciągniętymi dłońmi i obrócił się wokół niego, wykorzystując swoją siłę, by skrócić w bok.

Tak samo zrobiła Innovindil. Pobiegli wzdłuż krawędzi i wkrótce dotarli na miejsce, skąd obserwowali wejście Oboulda do Mithrilowej Hali – wysoki, płaski głaz na zachodnim występie. Mogli stąd obserwować większą część doliny, z wyjątkiem terenu tuż przy wielkich wrotach.

Wkrótce potem usłyszeli dobiegające z dołu krzyki. Serce Drizzta zabiło szybciej, gdy poznał, że wrzeszczą wyłącznie orki.

Kiedy dobiegali do głazu, orki wybiegały zza połamanych wrót, wpadając do Doliny Strażnika. Jedni byli ranni, niektórzy płonęli – w zapadających ciemnościach wyglądali jak migoczące, pomarańczowe płomyki.

– Krasnoludy zaatakowały – zauważyła elfka.

Dłonie drowa sięgnęły do sejmitarów. Drizzt już miał zbiec na dół, gdy Innovindil złapała go za ramię.

– Tak jak ty powstrzymałeś mnie, kiedy zabito Tarathiela – wyjaśniła, kiedy spojrzał na nią.

– Nie możemy tam niczego uczynić.

Spoglądając w dół, Drizzt musiał przyznać jej rację. Wokół wrót widać było morze orczych wojowników, krzyczących i wymachujących bronią, z których jedni biegli ku jaskiniom, a inni przeciwnie. W tym morzu wyróżniali się, niczym maszty armady, giganci, zbliżając się ostrożnie. Z hali dobiegał bitewny zgiełk: kakofonia okrzyków i jęków, szczęk metalu i łoskot kamieni.

Z wnętrza wybiegł jakiś gigant, rozpraszając orki przed sobą.

Stojący na kamieniu Drizzt uniósł pięść w znaku zwycięstwa, gdyż szybko się okazało, że to krasnoludy wygrywają, a poddani Oboulda są wypędzani z Mithrilowej Hali.

– Uciekają! – krzyknęła Innovindil. Odwrócił się i zobaczył, że odbiegła daleko na bok, a nawet zesła z kamienia, by mieć lepszy widok. – Krasnoludy odzyskały wrota!

Drizzt znów uniósł pięść i po cichu pogratulował krewnym króla Bruenora. Wiele razy widział ich zapał na zimnych i surowych terenach Doliny Lodowego Wichru i podczas walki z jego pobratymcami z Menzoberranzan. Teraz, kiedy nad tym pomyślał, zrozumiał, że nie powinien być zaskoczony tak nagłym obrotem spraw. Mimo to nawet on wzdrygał się na myśl, że armia tak wielka jak Oboulda została odegnana tak łatwo.

Chwilę potem Innovindil stanęła obok niego, kiedy walka na dole nieco przycichła. Objęła jego ramię i oparła się o niego.

– Wygląda na to, że król orków nie docenił siły krewniaków Bruenora – zauważyła.

– Dziwię się, że postanowili walczyć z orkami w taki sposób – przyznał Drizzt. – Dalej położone tunele są węższe i łatwiej można je utrzymać.

– Nie chcą w nich orczego smrodu. Drizzt tylko się uśmiechnął.

Trwali tak przez dłuższy czas, a kiedy zapadła noc, stali nadal na płaskim gładzie, ciekawi, co zrobią orki w odpowiedzi na uderzenie krasnoludów.

Kiedy kilka godzin później pierwsze promienie słońca padły zza ich pleców i oświetliły dolinę, z zaskoczeniem dostrzegli, że orki cofnęły się spod wrót i wcale nie kwapiły się, by się do nich na powrót zbliżyć. Wszystko wskazywało na to, że orki i giganci sami zajmują pozycje obronne. Elfy przyglądały się ze zdziwieniem, jak jedne grupy orków zwożą ciężkie głazy i ustawiają je obok innych grup, które szybko budowały z nich mury.

Od czasu do czasu jakiś gigant podnosił jeden z nich, ryczał coś obelżywego i ciskał nim w stronę wrót. Była to jednak cała ich odpowiedź.

– Widziałaś kiedyś, by orki tak szybko oddały pole, z wyjątkiem panicznej ucieczki? – spytał Drizzt, tak samo siebie, jak i swoją towarzyszkę.

Błękitne oczy Innovindil zwięziły się. Przyglądała się uważnie dolinie, szukając jakiejś wskazówki, że coś kryje się za takim niekonwencjonalnym zachowaniem tych brutalnych i agresywnych stworzeń. Mogła jednak tylko powiedzieć, że orki nie szykują się do następnej szarży ani nie uciekają, jak to się często zdarzało. One się okopywały.

* * *

Delly Curtie podkrađła się do lekko uchylonych drzwi. Buty trzymała w ręku, nie chciała, aby ich szuranie ją zdradziło. Przykucnęła, zajrzała, i nie była zaskoczona, lecz z pewnością rozczarowana, widząc Wulfgara siedzącego na skraju łóżka i nachylającego się nad Catti-brie.

– Odparliśmy ich – powiedział.

– Mam nadzieję, że więcej zginęło niż uciekło – odparła wciąż słabym głosem. Co prawda musiała kilka razy przerywać, by wypowiedzieć to zdanie, lecz widać było, że jej stan się systematycznie poprawia. Kiedy zniesiono ją z półki, kapłani obawiali się, iż jej rany mogą okazać się śmiertelne; teraz musieli czynić wszystko, co w ich mocy, aby zatrzymać kobietę w łóżku, z dala od walki.

– Zatłukłem kilku dla ciebie – uspokoił ją Wulfgar.

Delly nie widziała twarzy mężczyzny, lecz była pewna, że uśmiech na twarzy Catti-brie był odzwierciedleniem jego.

– Pewno.

Delly chciała wbiec do środka i dać jej po twarzy. To było takie proste: ładna buzia, ładny uśmiech, błysk w niebieskich oczkach, nawet teraz, kiedy była ranna... to wszystko drażniło kobietę z Luskan.

– Znów mówisz jak krasnolud, kochana? – szepnęła pod nosem. W trudnych chwilach akcent Catti-brie pasował raczej do tuneli Mithrilowej Hali niż do poprawnego języka, jakim się zwykle posługiwała. W rezultacie Catti-brie mówiła podobnie jak Delly.

Kobieta pokręciła głową nad własną złośliwością i usiłowała się jej pozbyć.

Wulfgar powiedział coś, czego nie usłyszała. Zaczął się śmiać, a z nim Catti-brie. Kiedy Delly i Wulfgar śmiali się razem w ten sposób? I czy w ogóle?

– Odplącimy im – powiedział Wulfgar, a Catti-brie kiwnęła głową i znów się uśmiechnęła. – Mówi się o wypadzie przez wschodnią bramę, ku Surbrin. Nasi wrogowie skupili siły na zachodzie, lecz nawet tam ich szeregi topnieją.

– Przerzucić je na wschód? – spytała Catti-brie. Delly widziała, jak Wulfgar wzruszył ramionami.

– Oni sami nie wierzą, że mogą tędy wejść i nie mogą spodziewać się, że zdołamy się wyrwać – odpowiedział. – Lecz inżynierowie twierdzą, że jest to możliwe, i trzeba to zrobić szybko. Prawdopodobnie wykorzystają jeden z eliksirów Nanfoodle'a i wysadzą połowę góry.

Znów roześmiali się wspólnie, lecz Delly zignorowała to, zbyt zaintrygowana konsekwencjami tego, o czym mówił Wulfgar.

– Cytadela Felbarr wesprze nas zza Surbrin – ciągnął dalej. – Ich armia maszeruje teraz ku Skrajowi Zimy, tuż za rzeką. Jeśli zdołamy uchwycić przyczółek między wschodnimi wrotami

a rzeką i zdołamy zapewnić dopływ świeżych sił i zapasów zza rzeki, Obould nie zepchnie nas znów do hali.

A ludzie z północy będą mogli odejść z Mithrilowej Hali, dodała w milczeniu Delly.

Przyglądała się, jak Catti-brie uniosła się na łokciu, krzywiąc się przy tym nieco. Znów błysnęła tym idealnym uśmiechem, który rozdarł serce Delly.

Wiedziała, że Wulfgar uśmiecha się podobnie.

Wiedziała, że między tą dwójką istnieją więzi znacznie mocniejsze niż te, które kiedykolwiek mogły połączyć ją człowiekiem, który nazywał się jej mężem.

* * *

– Nie wyrwą się stamtąd bez ogromnych strat – powiedział Obould do zgromadzonych wokół niego najważniejszych szamanów i wodzów. Była też Gerti Oreldottr i kilku lodowych gigantów. – Siedzą w swojej dziurze i tam pozostaną. Nie będziemy szczeni sił, aby ufortyfikować tę dolinę. I tak jak krasnoludy zbudowały sobie schronienie, którego zajęcie ma drogo kosztować najeźdźcę, tak ta dolina stanie się naszą pierwszą linią rzezi.

– Czyli nie zamierzasz tam wrócić? – spytała Gerti.

Stojąca po drugiej stronie Tsinka Shinriil i kilku innych szamanów zawarczało na tę myśl, zaś król Obould spojrział na nią z ukosa.

– Niech mają swoją dziurę – odpowiedział Gerti. – Ja... my mamy to – zatoczył swoim muskularnym ramieniem koło, ogarniając wszystkie góry i szeroki pas ziem na północy.

– A co z Proffitem? – ośmieliła się zapytać Tsinka. – Wysłaliśmy go do południowych tuneli, by walczył z krasnoludami. Trolle czekają na nasze zwycięstwo.

– Życzę mu powodzenia – powiedział Obould – ale my tam nie wejdziemy.

– Pozostawisz sojusznika własnemu losowi?

Wyraz twarzy Oboulda przekonał wszystkich, że Tsinkę dzieli od nagłej śmierci tylko jedno słowo.

– Proffit zyskał więcej, niż kiedykolwiek marzył – powiedział król orko w. – Dzięki Obouldowi! Będzie walczył i może wygra w kilku tunelach, albo zostanie zepchnięty na Trollowe Wrzosowiska, gdzie jego siła nigdy nie była większa.

Żółte, przekrwione oczy Oboulda zwężyły się niebezpiecznie, a spomiędzy warg wyszedł niski, gardłowy warkot.

– Czy ktoś ma coś jeszcze do dodania? Tsinka cofnęła się.

– Zatem tu się zatrzymasz? – spytała Gerti. Obould odwrócił się ku niej i odparł:

– Na razie. Nim ruszymy dalej, musimy zabezpieczyć to, co zyskaliśmy. Największe niebezpieczeństwo grozi nam teraz na wschodzie, od Surbrin.

– Albo na południu – odparła Gerti. – Nie ma wielkich rzek, które chroniłyby nas przed armiami Everlundu i Silverymoon.

– Jeśli zaatakują nas z południa, Proffit da nam potrzebny czas – wyjaśnił Obould. – Wrogowie, których należy oczekiwać, to Adbar i Felbarr. Krasnolud i krasnolud. Jeśli zdołają przebyć Surbrin, przetną nasze linie na dwoje.

– Nie zapominaj o tunelach – dodał jeden z adiutantów Gerti. – Krasnoludy znają górne korytarze Podmroku. Nagle może okazać się, że wychodzą w środku naszych szeregów!

Wszyscy spojrzeli na pewnego siebie Oboulda, który zdawał się przyjąć i docenić to ostrzeżenie.

– Zbuduję strażnicę na każdym wzgórzu i mur na każdej przełęczy. Żadne królestwo nie będzie lepiej umocnione i lepiej przygotowane na atak, gdyż żadne królestwo nie jest otoczone przez tak wielu wrogów. Każdy mijający dzień da nową siłę państwu Oboulda, Królestwu Czarnej Strzały.

Wyprostował się i zaczął spacerować przed zebranymi.

– Nie spoczniemy. Nie odwrócimy oczu ani nie zwrócimy się przeciwko sobie. Nasze szeregi będą rosnąć. Z każdej dziury w Grzbiecie Świata i poza nim przyjdą nowi wojownicy ku chwale Oboulda!

Gerti również wstała, przede wszystkim po to, by popatrzeć z góry na pyszniącego się orka.

– Ja zatrzymam wzgórza aż do Trollowych Wrzosowisk, a tobie dostanie się Grzbiet Świata – zapewnił ją Obould. – Skarby popłyną na północ jako zapłata za nasz sojusz.

Paskudny ork uśmiechnął się zębatą paszczą i zaklaskał w dłonie. Do zebranych podeszła grupa orków, prowadząc spętanego pegaza.

– Nie jest to dobry wierzchowiec – powiedział Obould do Gerti. – Niegodna zaufania i głupia bestia. Królowi Obouldowi przystoi raczej gryf albo smok... o, to by mi się podobało, a nie takie miękkie i delikatne coś.

Rozejrzał się dookoła.

– Myślałem, żeby go zjeść – zażartował, a wszystkie orki roześmiały się. – Ale widzę w twoich oczach zaciekawienie, Gerti Orelsdottr. Mamy różne pojęcia piękna i brzydoty. Przypuszczam, iż uważasz go za całkiem ładnego.

Gerti popatrzyła na niego sceptycznie, jakby spodziewała się, że podejdzie i przetnie pegaza na pół.

– Niezależnie od tego, czy uważasz go za ładnego czy brzydkiego, jest teraz twój – rzekł Obould ku zaskoczeniu wszystkich orków. – Weź go jako trofeum lub posiłek, twoja wola, i przyjmij moje wyrazy wdzięczności za wszystko, co dla nas zrobiłaś.

Nikt, nawet towarzyszący Gerti adiutanci, nie widzieli jej tak rozwścieczonej od czasu, kiedy Obould pokonał ją w walce. Za każdym razem król orków wytrącał panią Orelsdottr

z równowagi.

– Myślisz, że jest tak paskudny, by mi go podarować? – wyrzuciła z siebie Gerti, lecz jej niechętny komentarz zabrzmiał nieszczerze.

Obould nie odpowiedział. Stał tylko, powstrzymując uśmiech.

– Wysoko w górach zaczynają już wiać zimowe wiatry – powiedziała niezgrabnie Gerti. – Nie mamy tu za wiele czasu, a chcę zobaczyć Lśniącą Biel przed nadejściem wiosny.

Obould kiwnął głową i dodał:

– Prosiłbym, byś pozostawiła kilku swoich pobratymców przy mnie nad Surbrin na tę porę roku i następną. Będę budował aż do chwili, gdy zimowe śniegi osłonią nas z boku. Do następnego lata rzeka będzie nie do pokonania i nie do zdobycia, a wtedy twoi giganci wrócą do domów.

Gerti kilka razy popatrzyła to na Oboulda, to na pegaza, a wreszcie wyraziła zgodę.

* * *

Górne zbocze na południe od zachodnich wrót Mithrilowej Hali było znacznie bardziej popękane i mniej strome niż urwiska na północ od wrót lub skał na północnym skraju doliny, dlatego Drizzt i Innovindil wybrali je na zejście. Pod osłoną nocy, poruszając się tak cicho, jak tylko było to możliwe dla elfów, stawiali ostrożnie kroki na zdradliwej drodze, prowadzącej do Mithrilowej Hali. Wiedzieli, że krasnoludy ponownie zabezpieczyły wejście, gdyż co jakiś czas pocisk z balisty albo kocioł z płonąca smołą rozbijał się o umocnienia przyczajonych oddziałów Oboulda.

Drizzt, przekonany, że zdołają wejść do środka, zorientował się, że zaczyna brakować mu wymówek. Nadszedł czas powrotu do domu i stawienia czoła demonom smutku. W głębi serca wiedział, że jego nadzieje mogą zostać zniszczone, że usłyszy to, co od dawna uznawał za prawdę. Jego przyjaciele nie żyli, a zaledwie kilkaset stóp stąd znajduje się bolesna prawda.

Mimo to szedł dalej, z Innovindil u boku.

Zostawili Zmierzch na szczycie, rozpetanego, by mógł biegać i latać. Pegaz zaczeka, albo w razie potrzeby odleci. Innovindil była pewna, że jeśli go przywoła, znajdzie ją.

Ponad sto pięćdziesiąt stóp nad doliną natknęli się na pewien problem. Idący na przedzie Drizzt zorientował się, że skończyła się dobra droga, i nie widział żadnego sposobu, by wraz z Innovindil mogli tam zejść pod jakąkolwiek osłoną.

– Wystawili sporo wart – szepnęła Innovindil, podchodząc do niego na czworakach. – Więcej orków i to czuj niej szych, niż się spodziewałam.

– Ten wódz jest sprytny – zgodził się Drizzt. – Nie da się zaskoczyć.

– Nie możemy tędy zejść.

Oboje wiedzieli, że poszli w złą stronę. Trochę wcześniej, w niewielkim parowie, natknęli się na rozgałęzienie. Jedna ścieżka wiodła niemal wprost ku skalnej półce nad wrotami, zaś ta, którą zdecydowali się iść, prowadziła na południe. Spoglądając w stronę wrót, widzieli pierwszą ścieżkę. Wyglądało na to, że zaprowadziłaby ich rzeczywiście na tyle nisko, by mogli zaryzykować desperacki bieg w stronę krasnoludzkiej twierdzy.

Rzecz jasna, mieli świadomość, że kiedy tam wejdą, to z pewnością łatwo stamtąd nie wyjdą.

– Nie zdążymy przed wschodem słońca cofnąć się i wrócić inną drogą – wyjaśnił Drizzt. – Może spróbujemy jutro?

Odwrócił się i zobaczył, że Innovindil wpatruje się w niego z bardzo poważną miną.

– Jeśli wejdę tam, pozostawię swój lud – odparła głosem znacznie cichszym niż podczas rozmowy.

– Jak to?

– Jak zdołamy wrócić, skoro wygląda na to, że nie ma ukrytej ścieżki prowadzącej ku dolinie?

– Wyprowadzę nas na zewnątrz, choćby i kominem w komnacie Bruenora – obiecał Drizzt, lecz Innovindil kręciła głową.

– Idź jutro. Ja muszę do nich wracać.

– Sama? Nie.

– Musisz – powiedziała elfka. – Nie dotrzemy szybko do Jutrzenki. Jego szansą równie dobrze może być posłaniec z Mithrilowej Hali do Oboulda.

Położyła dłoń na ramieniu Drizzta, delikatnie pogładziła jego twarz, po czym przesunęła się do podstawy karku.

– Będę stąd dalej wszystko obserwować. Z daleka, dam ci moje słowo. Wiem, że powrócisz, być może nawet znajdziemy jakiś sposób na uratowanie wierzchowca i przyjaciela Tarathiela. Nie pozwolę, by Obould więził go choćby chwilę dłużej.

Jej dłoń znów delikatnie pogładziła twarz Drizzta.

– Musisz to zrobić – powiedziała. – Dla ciebie i dla mnie. I dla Tarathiela.

Drizzt kiwnął głową. Wiedział, że elfka ma rację.

Wrócili szlakiem, zdecydowani udać się do obozu, po czym ruszyć drugą odnogą, kiedy jutro słońce zacznie kryć się za zachodnim horyzontem.

Noc rozbrzmiewała odgłosami kucia młotów i łoskotem kamieni, zarówno wewnątrz hali, jak i w Dolinie Strażnika. Dla nich, tulących się do siebie pod gwiazdami w zimnym, jesiennym wietrze, minęła spokojnie.

Ku swemu zaskoczeniu, Drizzt nie spędzał tych godzin w strachu przed tym, co może przynieść kolejna noc.

Przynajmniej jeśli chodzi o przyjaciół, gdyż już pogodził się z rzeczywistością. Nie, bał się

o Innovindil, spoglądał na nią wiele razy, przysięgając sobie po cichu, że wyjdzie na zewnątrz, jak tylko zdoła i dołączy do jej misji.

Ich plany nie doczekały się jednak spełnienia: ruch, jaki o poranku zaczął się w Dolinie Strażnika, ściągnął elfy na ich posterunek. Ze zdziwieniem obserwowali, jak długa karawana, składająca się głównie z gigantów – niemal wyłącznie z nich – rusza na zachód, w stronę wyjścia z doliny. Szło z nimi kilka orków, przede wszystkim popychając wozy z zapasami.

Była tam jeszcze jedna istota. Nawet z daleka bystre oczy Innovindil nie mogły nie dostrzec lśniąco białej sierści Jutrzenki.

– Pękają szeregi? – spytała. – Pełen odwrót?

Drizzt przyglądał się temu, jak również działaniom orków, które nie szły obok gigantów. Większość ogromnej armii, która przybyła do Doliny, nie ruszała się. Budowa umocnień, niskich i wysokich murów, szła pełną parą.

– Obould nie poddaje terenu – zauważył drow. – Wygląda jednak na to, że giganci mają dość walki, albo są pilnie potrzebni gdzie indziej.

– Jak by nie patrzeć, mają coś, co do nich nie należy – powiedziała Innovindil.

– A my im to odbierzemy – obiecał Drizzt.

Spojrzał na ścieżkę, która prawdopodobnie zaprowadziłaby ich ku Zachodnim Wrotom Mithrilowej Hali, ścieżkę, którą postano wił pokonać tej nocy, by uspokoić przeszłość i móc spojrzeć w przyszłość.

Spojrzał na zachód, ku odchodzącym, i wiedział, że tej nocy nie ruszy ku wrotom.

Nie było takiej potrzeby.

Spojrzał na swoją towarzyszkę i uśmiechnął się pocieszająco. Wszystko w porządku, jest gotów ruszać.

Jest gotów sprowadzić Jutrzenkę do domu.

11.

POTYKANIE SIĘ

Oszołomiony i słaby z głodu, z omdlałymi kończynami i palcami zdartymi do krwi po tuzinie upadków podczas zejścia, Nikwillig z uporem postawił jedną nogę przed drugą i zrobił następny chwiejny krok. Nie był nawet pewien, gdzie idzie... po prostu szedł naprzód. Część jego osoby chciała po prostu położyć się i umrzeć, pozbyć się bólu i ciemności, zarówno w brzuchu, jak i w myślach.

Dla biednego krasnoluda z Cytadeli Felbarr ostatnie dni nie były zbyt dobre. Jedzenie się skończyło, choć wszędzie dawało się znaleźć wodę. Ubranie podarł podczas różnych upadków, z których jedno zaniósło go trzydzieści stóp w dół skalistego zbocza. Ten upadek pozbawił go przytomności niemal na godzinę, wtedy też stracił broń. Zgubił swój krótki miecz, a przy jego szczęściu, broń wpadła na pewno do wąskiej przepaści, naprawdę głębokiej rozpadliny, między dwa wielkie głazy. Kiedy wreszcie przyszedł do siebie, wrócił po swoich śladach i rzeczywiście znalazł tam broń, lecz, niestety, za daleko, by mógł po nią sięgnąć.

Znalazł krótką gałąź i próbował znowu, chcąc ustawić miecz pod lepszym kątem, by dało się go złapać. Lecz miecz ześlizgnął się z wąskiej półki i z brzękiem spadł jeszcze niżej.

Nikwillig, który nigdy nie był wojownikiem, wzruszył tylko ramionami i ruszył dalej. Nie podobało mu się, że jest bezbronny na terytorium wroga, a wszędzie wokół są orki, lecz wiedział, że więcej nie mógł zrobić.

I podobnie jak po wybuchu Nanfoodle'a i wycofaniu się krasnoludów, Nikwillig z Felbarr po prostu z rezygnacją wzruszył ramionami. Szedł dalej, kierując się mniej więcej na wschód, choć szlak prowadził go bardziej na północ, niż potrzebował.

Po kilku dniach krasnolud właściwie potykał się na ślepo. Dla przypomnienia, cały czas powtarzał w myślach „Surbrin”, choć przez większość czasu nawet nie pamiętał, co znaczy to słowo. Do poruszania się zmuszał go jedynie krasnoludzki upór.

Najpierw jedna noga, potem druga.

Znalazł się w bardziej równinnej okolicy, choć wcale tego nie zauważył, i poruszał się miarowo, niezbyt szybko. Na początku wędrówki poruszał się głównie nocami, a w ciągu dnia ukrywał się w płytkich jaskiniach, lecz później uznał, że to nic nie zmienia.

To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia, poza stawianiem najpierw jednej nogi, a później drugiej, i powtarzaniem słowa „Surbrin”.

Nagle jednak coś jeszcze zaczęło mieć znaczenie.

Nikwilligowi przyniósł to wiatr. Nie widok, nie dźwięk, lecz zapach. Coś się gotowało.

Krasnoludowi w odpowiedzi zaburczało w brzuchu. Zatrzymał się, i nagle jego myśli znów

się rozjaśniły. W jednej chwili jego nogi znów zaczęły się poruszać – jak mu się zdawało, z własnej woli. Skręcił w bok – nie wiedział, czy w lewo, czy w prawo, i w jakim kierunku. Woń pieczonego mięsa ściągała go nieubłaganie naprzód. Idąc, pochylał się do przodu i oblizywał spierzchnięte, brudne wargi.

Jego zmysły pracowały coraz lepiej, kiedy dostrzegł ognisko i kucharza o wściekle pomarańczowej skórze, grzywie czarnych włosów i wystającej szczęce.

Nic nie mogło lepiej otrzeźwić krasnoluda niż widok goblina.

Istota wydawała się go nie widzieć. Pochylała się nad rożnem, wybierając trochę sosu z kamiennej miski.

Nikwillig znów oblizywał wargi obserwując, jak płyn ścieka na soczyste, ciemne mięso.

Jagnięcy udziec, pomyślał i zebrał wszystkie siły, jakie mu zostały, by nie rzucić się z krzykiem naprzód.

Wytrzymał na tyle długo, by rozejrzeć się na boki. Nie widząc nikogo w okolicy, opuścił głowę i rzucił się biegiem wprost na niespodziewającego się niczego goblina.

Istota wyprostowała się, po czym odwróciła w samą porę, by trafić rozpedzonego Nikwilliga w ramię. Przewrócili się, zrzucając rożen i rozrzucając kawałki ogniska. Gorący sos poleciał wokoło, w większości trafiając goblina w twarz. Ten zawył i usiłował wstać, lecz krasnolud ścisnął go obiema rękami za gardło. Uderzył jego głową kilka razy o ziemię, po czym odtoczył się na bok, podczas gdy goblin pojękiwał i kulił się w pyłe.

Jagnięcy udziec też wylądował na ziemi i potoczył się po ziemi, lecz krasnolud nawet nie trudził się otrzepywaniem go. Chwycił mięso w ręce i wgryzł się w nie zachłannie, odgryzając wielkie kawały soczystej pieczeni i łykając je bez gryzienia.

Po kilku kęsach mógł już odetchnąć i rozkoszować się smakiem.

Wokół rozległy się krzyki.

Krasnolud zerwał się na równe nogi i zaczął uciekać. Nad jego ramieniem przeleciała włócznia, drasnawszy skórę. Zdrowy rozsądek nakazywałby Nikwilligowi odrzucić mięso i uciekać najszybciej, jak tylko może, lecz głód pozbawił go zdrowego rozsądku. Tuląc do siebie udziec, jakby to było ukochane dziecko, kluczył między głazami i drzewami, usiłując kryć się za nimi przed pościgiem tak długo, jak to tylko możliwe.

Wybiegł z niewielkiego zagajnika i zatrzymał się gwałtownie na skraju niskiego, ale stromej urwiska. Pod nim, jakieś pięćdziesiąt stóp niżej, toczyła swe wody Surbrin.

– Rzeka... – wymamrotał, po czym przypomniał sobie o celu, z jakim opuszczał szczyt na północ od Mithrilowej Hali. Gdybyż tylko udało mu się dostać za rzekę!

Okrzyk za plecami sprawił, że pobiegł w dół. Zrobił dwa kroki i przewrócił się na twarz, na szczęście zdołał przekręcić się tak, by zacząć się turlać. Nabierał rozpędu, lecz nie wypuścił cennej zdobyczy. Toczył się tak i podskakiwał na nierównościach, aż wreszcie z pluskiem wpadł

do zimnej wody.

Stanął na nogi, niezgrabnie wyciągnął się na brzeg i usiłował pobiec dalej.

Coś uderzyło go mocno w plecy, lecz tylko wrzasnął i pobiegł dalej.

Gdyby tylko znalazł jakąś kłodę. Mógłby ją wrzucić do wody, pał sześć że lodowatej, a potem wleźć na nią i odbić od brzegu.

Kilka drzew wyglądało obiecująco, ale krzyki zbliżały się i Nikwillig nie był pewien, czy uda mu się zrealizować plan.

Z jakiegoś powodu nie od razu pojął, że jego nogi poruszają się znacznie wolniej i czuje w nich mrowienie, jakby tracił w nich czucie.

Krasnolud zatrzymał się i zobaczył krew – swoją krew – ściekającą na ziemię między nogami. Pomacał się po plecach i dopiero gdy zacisnął palce na drzewcu goblinńskiej włóczni, zrozumiał, że uderzenie w plecy wcale nie było tym, czym sądził.

– Moradinie, bawisz się ze mną – powiedział, padając na kolana.

Za sobą słyszał okrzyki i wycia nadbiegających goblinów.

Spojrzał na swoje dłonie, na trzymany w jednej z nich jagnięcy udziec. Odgryzł jeszcze jeden kawałek.

Nie przełknął go jednak, tylko pozuł przez chwilę, rozkoszując się smakiem, ciepłem, miękkością. Pomyślał, że gdyby jeszcze dostał kubek miodu, byłby to dobry sposób na śmierć godną krasnoluda.

Wiedział, że gobliny się zbliżają, lecz był zaskoczony, kiedy pałka uderzyła go w tył głowy, ciskając na ziemię.

Nikwillig z Cytadeli Felbarr usiłował skupić się na smaku jagnięciny, zablokować ból.

Miał nadzieję, że śmierć będzie szybka.

A potem nie było już nic.

12.

KTO SIĘ RAZ SPARZYŁ.

– Nie możesz nawet myśleć o powrocie ku Nesme – skrzywił się Rannek, odszedłszy z Galenem Firthem na bok obozu.

Po bohaterskim ataku generała Dagny i jego krasnoludów uciekali od wielu godzin, kierując się w stronę wzgórz na północy, niedaleko miejsca, gdzie krasnoludy znalazły tunele mogące zaprowadzić ich do Mithrilowej Hali.

– Dla swojej dumy zmarnujesz ofiarę tych pięćdziesięciu krasnoludów? – spytał z naciskiem.

– Ty jeden mówisz o dumie – odparł Galen Firth. Jego rozmówca nie zareagował, lecz tylko przez chwilę. Potem Rannek założył ręce i wypiął szeroką pierś.

– Nigdy nie zapomnę o swoim błędzie, Galenie Firth – przyznał. – Lecz nie skomplikuję tego błędu jeszcze bardziej, pchając wszystkie nasze siły w paszczę trolli i bagniaków.

– Zostali odparci! – krzyknął Galen i wraz z Rannekiem spojrzeli ku uciekinierom: kilka osób przyglądało im się uważnie.

– Zostali odparci – powtórzył, już znacznie ciszej. – Dzięki dzielnej walce krasnoludów i ogniu Alustriel ich wojska zostały podzielone. Czy gonią nas? Nie. Zatem czyż nie jest możliwe, że te potwory wróciły na swoje bagna? Aż tak jesteś skory do uciekania?

– A ty jesteś tak głupi, by tam wracać? Nie obchodzi cię los tych, którzy nie mają siły walczyć? Czy nasze dzieci mają umrzeć tylko dlatego, że ty chcesz ryzykować?

– Nie wiemy nawet, czy te jaskinie tam są – odparł Galen. – Nie możemy po prostu włączyć się na oślep w nadziei, że trafimy na właściwą dziurę.

– No to chodźmy ku Silverymoon – zaproponował Rannek.

– Silverymoon powinno przyjść ku nam – odparł stanowczo Galen. – Nie widziałeś Alustriel?

Rannek przygryzł wargi i bardzo się starał, by nie plunąć na niego.

– Czy jesteś aż tak głupi? – spytał. – Głupi i niewdzięczny?

– Nie jestem tym głupcem, który nas tu wypchnął, z dala od domów – odparł bez wahania Galen takim samym tonem, jakim rozmawiał z nim Rannek. – Ten człowiek stoi teraz przede mną, głupio wierząc, że jest na tyle wiarygodny, by kwestionować moje decyzje.

Rannek nie mrugnął okiem ani nie odwrócił wzroku, lecz po prawdzie wiedział, że nie ma na to dobrej odpowiedzi. Nie on tu dowodził. Wynnani mieszkańcy Nesme nie będą słuchać jego, tylko zapewnień i rozkazów sprawdzonego dowódcy – Galena Firtha.

Popatrzył przez chwilę na mężczyznę, potem pokręcił głową i odszedł. Usłyszał parsknięcie za plecami, lecz nie pozwolił, by grymas, jaki wtedy pojawił się na jego twarzy, spowolnił jego

krok.

* * *

O świcie pojawił się argument, którego Rannek nie mógł dać Galenowi. Zwiadowcy wrócili z wieścią, że z południa szybko zbliżają się trolle.

Obserwując słuchającego meldunku Galena, Rannek niemal spodziewał się, że mężczyzna ustawi wojowników w szyk i każe im atakować, lecz nawet surowy i uparty Galen nie był aż tak głupi.

– Zbierajcie się i szybko przygotujcie do wymarszu! – zawołał i zwrócił się do zwiadowców.
– Niech kilku z was obserwuje ich poruszenia. Inni niech biegną na północny wschód. Znajdźcie naszych, którzy szukają tuneli do Mithrilowej Hali i wspólnie zabezpieczcie nam drogę ucieczki.

Skończywszy, odwrócił się do Ranneka, który milcząco pokiwał głową. Widząc to, twarz Galena ściągnęła się, jakby usłyszał udającą pochlebstwo obelgę.

– Pociągniemy ich za sobą, a potem obejdziemy, aby bezpiecznie odzyskać miasto – powiedział swoim żołnierzom, a Rannekowi opadła szczęka.

Nabrawszy doświadczenia w biegu, grupa z Nesme w ciągu kilku minut ruszyła we właściwym szyku pilnując, by najślabi byli trzymani mniej więcej pośrodku marszu. Prawie nikt się nie odzywał. Wszyscy wiedzieli, że trolle są blisko i ten dzień może być ich ostatnim.

Rankiem dotarli na wyżej położony, pagórkowaty teren. Stamtąd Galen, Rannek i kilku innych po raz pierwszy obejrzeni pościg. Wyglądało na to, że są to same trolle – nigdzie nie mogli dostrzec podobnych do gałęzi kończyn bagniaków. Trolli było więcej niż paru, w tym kilka osobników szczególnie wielkich lub posiadających więcej niż jedną głowę.

Rannek wiedział, iż słusznie zrobili uciekając dalej, jak radził kilka godzin temu. Całe zadowolenie, jakie z tego czerpał, znikło w obawie, iż nie zdołają umknąć przed tymi potworami.

– Niech uciekają najszybciej jak mogą – rozkazał Galen. W jego głosie słychać było te same obawy, niezależnie od tego, czy wojownik chciałby się do nich przyznać, czy nie... nawet przed samym sobą. – Czy znaleźliśmy już te tunele?

– Znaleźliśmy kilka – wyjaśnił jeden z ludzi – lecz nie wiemy, jak daleko biegną.

Galen w zamyśleniu przygryzł skórę między kciukiem a palcem wskazującym.

– A jeśli wskoczemy do nich, nim się tego dowiemy, i dotrzemy do ślepej ściany... – ciągnął dalej człowiek.

– No to się pospieszcie – rozkazał Galen. – Niech zwiadowcy trzymają w tunelach szyk rozproszony. Nie ma czasu do stracenia, albo tam się schowamy, albo nas zdeptają!

Mężczyzna kiwnął głową i odbiegł w swoją stronę. Galen odwrócił się i spojrzął na Ranneka.
– A ty pewnie sądzisz, że masz rację.

– Owszem – odparł mężczyzna – ale to nie ma znaczenia. Popatrzył na ścigające ich trolle, pociągając za sobą spojrzenie Galena.

– Nigdy nie spodziewałbym się tak zażartej pogoni w wykonaniu przeciwnika tak chaotycznego i niezdyscyplinowanego jak trolle! W całej swej karierze...

– Niezbyt zresztą długiej – przypomniał mu Galen. – Dlatego dałeś się oszukać tej nocy, kiedy pełniłeś wartę.

– Tak jak ty dałeś się teraz oszukać sądząc, że pościg nie nadejdzie – odparł Rannek, lecz te słowa brzmiały nieprzekonywująco nawet dla niego. Zadowolenie na twarzy Galena potwierdzało, że nawet nie zdołał go zranić.

– A ja go chętnie powitam – powiedział. – Jeśli jestem zaskoczony, to tylko przyjemnie. Odpędzimy ich daleko od Nesme. Kiedy znów skryjemy się za naszymi murami, będzie dość czasu, by jeszcze umocnić naszą obronę.

– Chyba że czeka tam na nas jeszcze więcej trolli.

– Twoja porażka doprowadziła cię do stanu, w którym przeceniasz swego wroga, Ranneku. To trolle. Głupie i wredne, nic więcej. Są niezwykle wytrwałe, lecz to długo nie potrwa.

Galen parsknął i odwrócił się, lecz Rannek złapał go za ramię. Zagniewany Jeździec odwrócił się ku niemu.

– Czy dla tego założenia zaryzykujesz życie nas wszystkich?

– Od wielu stuleci nasze życie w Nesme było ryzykiem – odparł Galen. – Tak właśnie robimy. To nasz sposób na życie.

– Albo na śmierć?

– Jeśli będzie trzeba.

Galen wyrwał się z uchwytu Ranneka. Popatrzył na niego przez chwilę, po czym odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy do ludzi stojących najbliżej. Jednak niemal natychmiast urwał, kiedy w tłumie uciekinierów ktoś krzyknął:

– Topór! To Topór Mirabaru!

– Wiwat Mirabar! – krzyknął ktoś inny i w tłumie rozległy się radosne okrzyki.

Rannek i Galen zaczęli przedzierać się przez tłum, by dotrzeć na miejsce zamieszania.

W ich stronę maszerowały całe dziesiątki krasnoludów, z których wielu miało wymalowane na tarczach czarne topory Mirabaru. Szli w zwartym szyku, równo i zdecydowanie.

– Nie z Mirabaru – wyjaśnił jeden z zasapanych zwiadowców, który musiał biec, aby wyprzedzić przybyszów. – Raczej z klanu Battlehammer, do którego teraz należą.

– Noszą słynny Topór Mirabaru – odparł Galen.

– Kiedyś tak – powiedział zwiadowca. Stanął z boku, przyglądając się nadchodzącym krasnoludom.

Podeszło do nich dwóch krasnoludzkich weteranów. Jeden miał gęstą czarną brodę, a drugi

był chyba najstarszym i najbrzydszym krasnoludem, jakiego którykolwiek z mężczyzn widział w życiu. Był niższy i szerszy w barach od swego towarzysza, brakowało mu połowy czarnej brody i oka. Jego czerstwa, ogorzała twarz świadczyła o wielu wiekach życia. Prowadził ich jeden ze zwiadowców z Nesme. Obaj wyprzedzili mężczyznę. Młodszy krasnolud postawił głowicę swego ciężkiego młota na głazie i oparł się na nim ciężko.

– Torgar Delzoun Harnmerstriker z klanu Battlehammer, do usług – przedstawił się. – A to mój druh Shingles.

– Nosisz symbol Mirabaru, drogi Torgarze – powiedział Galen. – Z radością przyjmujemy twe usługi.

– Mieszkaliśmy w Mirabarze – wyjaśnił Shingles. – Odeszliśmy stamtąd, by służyć królowi o hojniejszym sercu. A teraz oglądasz tego efekty, gdyż przyszliśmy tu, by wesprzeć ciebie i generała Dagnę.

Kilka stojących najbliżej osób popatrzyło na siebie z troską, co nie uszło uwadze krasnoludów.

– Opowiem ci o jego ostatniej bitwie, kiedy czas pozwoli przedstawić to w opowieści, która odda mu sprawiedliwość – rzekł Galen Firth, rozprostowując ramiona. – Nasi wrogowie depczą nam po piętach. Trolle... wiele trolli.

Większość krasnoludów szeptało do siebie o „ostatniej bitwie”, lecz Torgar i Shingles nawet nie mrugnęli okiem.

– Idziemy zatem do tuneli – uznał Torgar. – Z moimi chłopcami lepiej damy sobie radę z tymi wielkoludami, kiedy muszą trzymać głowy nisko.

– Będziemy walczyć i ich wypchniemy – zgodził się Galen. – Może nawet uda się nam ich pokonać i przedrzeć przez ich szeregi.

– Przedrzeć? – spytał Torgar. – Na drugim końcu tych korytarzy jest Mithrilowa Hala. Dlatego tu jesteśmy.

– Słyszeliśmy, że wkrótce do walki ma się włączyć Silverymoon – wyjaśnił Galen i nikt nie ośmielił się zauważyć, że odrobinę naciąga prawdę. – Oto dzień naszego zwycięstwa, Nesme zostanie uratowane, a okolica będzie bezpieczna!

Przez chwilę krasnoludy patrzyły na niego zaskoczone, po czym spojrzały po sobie i wzruszyły ramionami.

– To nieważne – rzekł Shingles do Torgara. – Niezależnie od wyboru, będziemy go dokonywać w głębi tuneli.

– No to do tuneli – zgodził się drugi krasnolud.

* * *

– Boczny korytarz otwarty! – powtórzono okrzyk wzdłuż krasnoludzkiej linii.

– Pochodnie! – krzyknął Shingles.

Dwudziestu krasnoludów z drugiego szeregu ruszyło naprzód z pochodniami w dłoniach. Jak jeden mąż cisnęli je nad głową Shinglesa i pierwszej linii, która walczyła zaciekle z pierwszym szeregiem trolli.

Przebiegli długim korytarzem, który wychodził na szeroką komorę; tam zatrzymali się przy zwięzającym się wyjściu. Dzięki temu tuzin krasnoludów mógł stać ramię przy ramieniu, podczas gdy walczyć z nimi mogło zaledwie kilka trolli. Krasnoludy z pochodniami wycelowały swoje pociski w węższe wyjście, gdzie w kilku starannie wybranych miejscach leżało kilka kawałków dobrze wysuszonej podpałki, namoczonej olejem z lamp.

Płomienie ożyły.

Trolle bały się niewiele rzeczy, lecz ogień, który pozbawiał ich niezwykłych zdolności regeneracyjnych, na tej krótkiej liście znajdował się na pierwszym miejscu.

Pochodnie znacznie spowolniły pościg. Shingles i jego szereg rzucili się do krótkiej, gwałtownej szarży, odpędzając tych kilka trolli, którym ogień odciął drogę. Kilka zostało wepchniętych w płomienie, zaś pozostałe posiekane na kawałki.

Krasnoludy znów pobiegły w idealnym szyku. Gdy dotarł do nich okrzyk o otwarciu bocznego korytarza, uciekinierzy byli już daleko.

Już trzeci raz tego poranka chłopcy Torgara odpędzili uparty pościg trolli.

Wszyscy wiedzieli, że potwory przyjdą znów, a prowadzące ucieczkę krasnoludy cały czas wyszukiwały skrzyżowania i komnaty, gdzie mogliby stoczyć następną walkę.

Ranek, który siedł w osłaniającej uciekinierów tylnej straży, patrzył na to wszystko z podziwem i wdzięcznością. Wiedział, że Galen Firth aż się gotuje, gdyż już dawno minęli skrzyżowanie, które mogłoby wyprowadzić ich za plecy trolli i być może na wolną drogę ku Nesme.

Ale to nie Galen, lecz Torgar był tu dowódcą: tyle Ranek i mieszkańcy Nesme wiedzieli. Wysłuchawszy opowieści o śmierci Dagny krasnolud wyjaśnił krótko, że ludzie, jeśli chcą, mogą uciec od krasnoludzkiej eskorty, lecz robią to na własne ryzyko.

– Chwała Dagnie i Mithrilowej Hali – powiedział do Galena i pozostałych, wysłuchawszy tej smutnej historii. – Spotka się z synem w Halach Moradina, gdzie czeka go zaszczytne miejsce.

– Próbował pomóc nam odzyskać nasz dom – wtrącił Galen. Torgar popatrzył na niego wzrokiem, jaki krasnoludy zwykle zachowują tylko dla orko w.

– Ocalił twój głupi tyłek – odparł. – A jeśli chcesz oddzielać się jeszcze raz, to twój błąd. Wiedz jednak, Galenie Firth z Nesme, że Torgar i jego chłopcy nie popełnią tego samego błędu. Jeśli gdzieś będziemy walczyć, to mając tunele wiodące do Mithrilowej Hali za plecami.

I to był koniec dyskusji. Nawet zbyt dumny Galen nie sprzeciwił się temu, nie powiedział też

niczego pozostałym wojownikom z Nesme. I tak Torgar objął dowództwo, prowadząc ich w tej desperackiej ucieczce. Biegli, póki pościg nie wymusił na nich kolejnej walki, a wtedy starali się, by starcie było raczej szybkim odepchnięciem wroga, niż początkiem wielkiej bitwy.

Rannek bardzo się z tego cieszył.

13.

ROZCHODZĄCE SIĘ DROGI

– Mamy słuchać rozkazów orków? – spytał Gerti potężny, barczysty gigant imieniem Urulha, kiedy pochód niemal setek jego pobratymców kroczył północnymi zboczami Czteroszczytu, na wschód od Surbrin.

– Rozkazów? – spytała Gerti. – Nie słyszałam żadnych rozkazów. Tylko prośbę.

– A czy jeśli spełnia się prośbę, to nie wychodzi na to samo?

Gerti roześmiała się, co jak na gigantkę zabrzmiało zaskakująco delikatnie, i położyła swoją szczupłą dłoń na wielkim ramieniu Urulhy. Wiedziała, że musiała z nim postępować łagodnie. Urulha był jednym z najbliższych ojcu doradców i najbardziej zaufanych strażników. Jej ojciec, jarl Orel Szaroreki, nadal rzucał bardzo długi cień, choć nie było go wśród gigantów już od wielu miesięcy i niewielu sądziło, by kiedykolwiek opuścił swoje prywatne komnaty. Według wszystkich wieści, Orel był już na łożu śmierci, a jego jedyna dziedziczka, Gerti, miała przejąć Lśniącą Biel i wszystkie jej skarby, jak również dowództwo nad znacznymi oddziałami gigantów.

Ten ostatni zysk, płynący ze śmierci Orela, był najważniejszy, a jednocześnie najmniej pewny, o czym księżniczka Gerti wiedziała od dawna. Jeśli zawiąże się przeciw niej spisek pod wodzą któregoś z tych oportunistów, którzy za czasów jej ojca wspięli się wyżej, rezultatem będzie, w najlepszym razie, rozpad niemal zjednoczonych sił. Było to coś, czego Gerti na pewno nie chciała.

Ona sama, wyszkolona we władaniu mieczem i magią, stanowiła znaczącą siłę. Przeciw każdemu, kto odważyłby się stanąć jej na drodze, mogła obrócić moc żywiołów. Mogła porazić go błyskawicą, ogniem, burzą lodowych igieł. Jednak położenie dłoni na ramieniu Urulhy przypomniało jej wyraźnie, że magia czasem nie wystarcza.

– W naszym interesie, przynajmniej na razie, leży, aby Obouldowi się udało – wyjaśniła. – Jeśli jego armia pójdzie teraz w rozsypkę, kto powstrzyma oddziały z Mithrilowej Hali, Felbarru, Adbaru, Silverymoon, Everlundu, Sundabaru, może Mirabaru, i kto wie, jakich jeszcze nacji przed doprowadzeniem zarzewia wojny pod nasz dom w Lśniącej Bieli? Nie, mój dobry Urulho, Obould jest buforem, który chroni nas przed tymi wrednymi krasnoludami i ludźmi. Niech te tysiące giną, lecz powoli.

– Męczy mnie już ta kampania – przyznał Urulha. – Widziałem, jak giną dziesiątki moich braci, nie wiemy, gdzie ich postawią nad Surbrin. Może krasnoludy z Felbarr już przekroczyły rzekę? Może następnych dwudziestu naszych leży u śmierdzących stóp tych brodaczy?

– Tak się nie stanie – zapewniła go Gerti.

– Tego nie wiesz.

Gerti skwitowała jego słowa kiwnięciem głowy i wzruszeniem ramion.

– Pójdziemy i przekonamy się. Przynajmniej kilku z nas. To zaskakujące ostrzeżenie zaskoczyło Urulhę. Przekręcił swoją dużą głowę o błękitnej skórze i jeszcze bardziej błękitnych oczach, by popatrzeć wprost w oczy Gerti.

Gigantka odpowiedziała przesadnie skromnym spojrzeniem, zauważając przy tym, że jak na starszego wiekiem giganta, Urulha był całkiem przystojny. Długie włosy ściągnął w kucyk, przez co zakola na jego czole rysowały się wyraźniej. Miał ostre rysy, wysokie kości policzkowe i wydatny nos. Gerti pomyślała, że jeśli jej słowa nie wystarczą, by go powstrzymać, użyje swoich wdzięków, co wcale nie będzie takie nieprzyjemne.

– Kilku, przyjacielu – powiedziała cicho, pozwalając, by jej palce przesunęły się bliżej grubego karku giganta, pozwoliła nawet, by koniuszki jej palców delikatnie pogładziły jego skórę nad koleczkiem. – Wyślemy patrol nad rzekę, by odszukać naszych zaginionych przyjaciół i zacząć ich zbierać. Powoli przesuniemy się na północ i wrócimy do domu. Powtarzam: powoli, tak, by Obould nie pomyślał, że to dezercja. I tak sądzi, że musi zabezpieczyć rzekę po swojemu, a z tą liczbą wojsk łatwo da się go przekonać, że nie potrzebuje kilku gigantów.

– Widzisz, pragnę utrzymać ten sojusz – ciągnęła dalej. – Nie wiem, jak zareagują na to nasi wrogowie, ale doprawdy nie zamierzam walczyć z dwudziestoma tysiącami orków. Dwudziestoma? – parsknęła ironicznie. – A może jest ich już teraz dwa albo trzy razy więcej?

– Oni się lęgną jak myszy albo robactwo – powiedział Urulha.

– I, jak można by sądzić, mają podobny rozum – powiedziała Gerti, wciąż nie odrywając dłoni od karku towarzysza. Z satysfakcją poczuła, jak jego mięśnie rozluźniają się, a na przystojnej twarzy pojawiają się pierwsze oznaki uśmiechu.

– Może nawet nasi tradycyjni wrogowie będą chcieli zawrzeć z nami jakiś sojusz – dodała Gerti. Słyszając to, Urulha skrzywił się.

– Krasnoludy? Sądzisz, że brodacze z Mithrilowej Hali, Cytadeli Felbarr albo Adbar zgodzą się działać z nami? Wierzysz, że Bruenor Battlehammer i jego przyjaciele zapomną o bombardowaniu, po którym zawałiła się pod nimi wieża? Wiedzą, kto wywijał taranem, który przebił zachodnie wrota. Wiedzą, że żaden ork nie ma dość siły.

– Wiedzą też, że wkrótce nie będą mieć wyjścia – powiedziała Gerti. – Przez zimę Obould okopie się i umocni, a wątpię, by nasi wrogowie znaleźli sposób, by go zaatakować, nim zejda śniegi. Do tego czasu...

– Nie wierzysz, że Silverymoon, Everlund i trzy krasnoludzkie królestwa zdołają pokonać orki?

Gerti przyjęła niedowierzanie w jego głosie na poważnie.

– Dwadzieścia tysięcy orków? – wyszeptwała. – Czterdzieści? Sześćdziesiąt? Ukrytych za

murami, na wyniesieniu?

– I tak Gerti proponuje pomoc wojskom, które od dawna są naszymi wrogami? – spytał Urulha.

Gerti szybko przyjęła pozę, która świadczyła o tym, że daleka jest od takich myśli.

– Cały czas uważam możliwość zysku dla naszego ludu za sprawę otwartą – wyjaśniła. – Obould nie jest dla nas żadnym sojusznikiem. Nigdy nie był. Tolerowaliśmy go, bo był zabawny.

– Może on tak samo myśli o nas.

Zdyscyplinowana Gerti znów pozwoliła, by ta zbyt bezpośrednia uwaga spłynęła po jej szerokich ramionach. Wiedziała, że wraz ze wszystkimi, którzy wracają do Lśniącej Bieli, kroczy po wąskiej ścieżce. Obould i jej giganci zwyciężyli na południu, lecz czy tak naprawdę zyskali tam cokolwiek? Obould zagarnął wszystko, co chciał, zdobył mocny przyczółek na ziemiach ludzi i krasnoludów. A co ważniejsze i robiące większe wrażenie, jego wici zjednoczyły wiele orczych plemion, którymi dowodził mocną ręką. Lecz armia, mimo wszystkich swoich sukcesów, nie znalazła jakiegoś znacznego, łatwego do uniesienia łupu. Nie zdobyli Mithrilowej Hali ani jej skarbów.

Giganci Gerti nie byli jak poddani Oboulda. Lodowi giganci to nie głupie orki, którym wystarczała wygrana w walce, nawet jeśli zginęło ich przy tym pięć razy więcej niż przeciwników. Poddani Gerti zażądałoby od niej, by im wpiery wy tłumaczyła, dlaczego ich marsz na południe był wart życia dziesiątek gigantów.

Gerti popatrzyła przed siebie, na pegaza. Tak, to był łup godzien Lśniącej Bieli! Postanowiła, że często będzie się pokazywać z tą istotą u boku. Przypomni im o korzyściach płynących z usunięcia tego wrednego Withegroo i mieszkańców Płycizn. Wyjaśni im, że obecnie, kiedy krasnoludy i ludzie zostali zepchnięci na południe, ich dom jest znacznie bardziej bezpieczny i wygodny.

A to, jak właśnie sobie uświadomiła, tylko początek.

* * *

Kiedy zaczął wynurzać się z ciemności, zaskoczyła go miękkość. Krasnolud zawsze spodziewał się, że Hale Moradina są pełne ogni, ale i twarde jak kamień. Nikwillig poruszył się i poczuł, iż zapada się głębiej w gruby koc. Słyszał, jak szeleszczą liście i gałązki.

Otworzył gwałtownie oczy, po czym natychmiast je zamknął, oślepiiony promieniami słońca.

Nawet ta krótka chwila wystarczyła, by się zorientował, że leży na ziemi w gęstym liściastym lesie. Ta świadomość sprawiła, że biedny krasnolud poczuł się jeszcze bardziej skołowany. Tam, gdzie padał, nie było lasu, a ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał w Halach Moradina, były drzewa i błękitne niebo.

– En tu il beinway – usłyszał melodyjny głos, który musiał należeć do elfa.

Nikwillig trzymał oczy zamknięte, powtarzając zasłyszane słowa w skołatanej głowie. Jako kupiec z Felbarr, Nikwillig często kontaktował się z innymi rasami, zwłaszcza z elfami.

– Beinway? – poruszył ustami. – Ocknąć się. En tu il beinway... ocknął się.

Elf mówił o nim. Powoli uniósł powieki, przyzwyczajając wzrok do światła. Rozprostował się nieco i jęknął, gdy próbował zwrócić się w stronę głosu.

Krasnolud znów zamknął oczy i cofnął się, wziął głęboki wdech i pozwolił, by ból odszedł, po czym otworzył oczy jeszcze raz... i ku swemu zaskoczeniu ujrzał, że jest otoczony przez elfy o bladej skórze i surowych twarzach.

– Ocknąłeś się? – spytał go jeden z nich we Wspólnym.

– Jestem zaskoczony, że tak się stało – odparł Nikwillig. Wydobywający się z wysuszonego gardła głos brzmiał bardzo ochryple. – Te gobliny załatwiły biednego starego Nikwilliga na dobre.

– Gobliny nie żyją – odparł elf po prawej. Był najwyraźniej dowódcą, gdyż odprawił gestem wszystkie pozostałe prócz jednego, po czym pochylił się, by krasnolud mógł go lepiej widzieć. Miał proste, ciemne włosy i ciemnoniebieskie oczy, które zdawały się być bardzo blisko siebie. Jego ostre brwi zrastały się nad wąskim nosem niemal w jedno ciemne V.

– Zajęliśmy się twoimi ranami – powiedział głosem brzmiącym dziwnie spokojnie i uspokajająco, biorąc pod uwagę jego wygląd. – Będziesz żył, cny krasnoludzie.

– Uratowaliście mnie? – spytał Nikwillig. – Gobliny dogoniły mnie nad rzeką i...

– Wystrzelaliśmy je co do jednego – zapewnił go elf.

– Kim jesteście? I kto to „wy”?

– Jestem Hralien z Księżycowego Lasu, a to Althelennia. Przeszliśmy rzekę w poszukiwaniu dwójki naszych. Może widzieliście ich koło Mithrilowej Hali?

– Nie jestem z Hali, lecz z Cytadeli Felbarr – odparł Nikwillig. Chwycił wyciągniętą dłoń Hraliena i pozwolił, by elf delikatnie pomógł mu usiąść. – Dorwały nas te bestie Oboulda, a Bruenor ocalił mnie i mojego druha Treda. Nie widziałem jednak twoich przyjaciół, przykro mi. Elfy spojrzały po sobie.

– Dosiadali wielkich, skrzydlatych koni – dodała Althelennia. – Może widzieliście ich z dala, na niebie.

– Ach, oni – powiedział Nikwillig i oba elfy nachyliły się ku niemu. – Nie, nie widziałem ich, lecz słyszałem o nich od braci Bouldersoulderów, którzy przeszli przez wasz las do Mithrilowej Hali.

Zakłopotane elfy wyprostowały się.

– Czy Hala dalej pozostaje w rękach Bruenora? – spytał Hralien w tej samej chwili, kiedy Althelennia spytała o „wielki ogień, który widzieliśmy na zachodnim niebie”.

- Tak i tak – odparł krasnolud. – Gnomi ogień, z którego mógłby być dumny nawet smok.
- Możesz nam wiele opowiedzieć, cny krasnoludzie – powiedział Hralien.
- Wygląda na to, że chociaż tyle jestem wam winien – zgodził się Nikwillig.

Wyprostował się nieco, trzasnął kostkami palców, poruszył kilka razy szyją i ramionami, po czym rozsiadł się, opierając plecy o pień drzewa. Potem zaczął opowiadać o marszu z karawaną z Cytadeli Felbarr przed wieloma dekadniami, o zasadzce, o tym, jak razem z Tredem włączyli się ranni i głodni. Powiedział im o hojności ludzi i dobroci Bruenora Battlehammera, który znalazł ich, gdy wracał do Mithrilowej Hali, aby znów zostać koronowany na jej króla.

Opowiadał im o Płyciznach i śmiałym ratunku, o nieoczekiwanej pomocy ze strony mirabarskich krasnoludów, którzy szli dołączyć do klanu Battlehammer. Opisał walkę nad Doliną Strażnika, ze szczegółami odmalowując stosy orczych trupów.

Elfy przez cały czas słuchały czujnie, z kamiennym wyrazem twarzy, chłonąc każde słowo. Nie okazywali żadnych emocji, nawet kiedy Nikwillig podskoczył gwałtownie, opisując przygotowany przez Nanfoodle'a wybuch, tak ogromny, że zniszczył wierzchołek góry.

– I tak się teraz sprawy mają – zakończył. – Obould zagnał Bruenora do jaskiń od zachodu, zaś trolle, orki i giganci od wschodu. Mithrilowa Hala to klejnot na stosie ołowianych odłamków.

Elfy popatrzyły po sobie.

Wyraz ich twarzy nie spodobał się rannemu krasnoludowi.

* * *

Po ponad dekadniu, Drizzt i Innovindil znaleźli się na wzgórzach u stóp Grzbietu Świata – Gerti i niemal trzy tuziny jej gigantów podążali krętą drogą wiodącą wyżej. Podczas drogi mieli okazję dobrze przyjrzeć się pracom wzdłuż Surbrin, a to, co widzieli, wcale nie napawało otuchą. Na całej długości brzegu, a zwłaszcza nad każdym brodem i w każdym miejscu, gdzie można by było przekroczyć rzekę, wznoszono umocnienia.

Próbowali skupić się na ich obecnym celu, jakim było odbicie Jutrzenki, lecz nie było to łatwe, zwłaszcza dla Innovindil, która głośno i często zastanawiała się, czy nie powinna zawrócić, przekroczyć rzeki i ostrzec swoich towarzyszy.

Rzecz jasna, elfy z Księżycowego Lasu po cichu obserwowały Surbrin i musiała wierzyć, że już wiedzieli, co się dzieje.

Dlatego musiała iść dalej z Drizstem. Oboje bacznie obserwowali posunięcia Gerti i szukali jakiegoś sposobu, by dostać się do Jutrzenki. Jak na razie nie było to jednak możliwe.

Kiedy znaleźli się w górach, gdzie teren był bardziej nierówny, dotrzymanie kroku gigantom stało się trudniejsze. Kilka razy Drizzt przywoływał Guenhwyvar, by biegła naprzód, odnalazła grupę i poprowadziła ich.

– Obawiam się, że to głupota – powiedziała pewnej nocy Innovindil, gdy rozbili obóz w cieniu niewielkiego nawisu. Zapewniał on wystarczającą osłonę, by Drizzt mógł rozpalic niewielki ogień. W innych warunkach by tego nie zrobił, lecz chociaż na południe od Mithrilowej Hali jesień dopiero się, zaczynała, tutaj wiatr zaczynał już kasać zimowo. – Kiedy my odbywamy tę wyprawę, mój lud i twoje krasnoludy są w oblężeniu.

– Nie zostawisz Jutrzenki, dopóki jest choć cień nadziei – skrzywił się Drizzt. Wyraz jego twarzy równie dobrze jak słowa odzwierciedlał uczucia elfki. – Po prostu jesteś sfrustrowana.

– A ty nie?

– Pewnie, że tak. Jestem sfrustrowany, zły, smutny i niczego tak nie pragnę, jak zdjąć Obouldowi głowę z ramion.

– Jak więc zwalczasz te emocje, Drizzcie Do’Urdenie?

Nim odpowiedział, Drizzt zawahał się. Kiedy Innovindil zadała to pytanie, zobaczył błysk w jej oczach i dostrzegł delikatną zmianę w jej głosie. Pytała go nie tylko dla niego, lecz także dla siebie. Po wielu dekadniach spędzonych razem Innovindil odwróciła się do niego i powiedziała coś w stylu: „Czy wiesz, co to znaczy być elfem, Drizzcie Do’Urdenie?”. Najwyraźniej chciała być dla niego mentorką w sprawie elfiego doświadczenia i były lekcje, których chętnie by się nauczył. Dostrzegł też, po raz pierwszy przy tym ostatnim pytaniu, że za każdym razem, gdy Innovindil zaczynała swoje subtelne nauczanie, zwracała się do niego pełnym imieniem.

– W chwilach refleksji – odparł. – Zwykle o wschodzie słońca rozmawiam ze sobą na głos. Bez wątplenia przypadkowy obserwator uznałby mnie za szaleńca, ale w wypowiedzianiu na głos swoich strachów, bólu i winy jest coś, co pomaga mi zwalczyć te często irracjonalne emocje.

– Irracjonalne?

– Rasistowskie przekonania o własnym gatunku – odparł Drizzt. – Poświęcenie temu, co uważam za właściwe. Ból po stracie przyjaciela, a nawet jednego wroga.

– Ellifain. – Tak.

– To nie była twoja wina.

– Tak. Wiem. Gdybym wiedział, że to Ellifain, próbowałbym wszystko jej wytłumaczyć albo pokonać ją w jakiś nie zagrażający życiu sposób. Wiem, że sprowadziła na siebie śmierć. Mimo to nadal jest to dla mnie smutna i bolesna sprawa.

– Czujesz się winny?

– Trochę – przyznał Drizzt.

Innovindil obeszła ognisko i uklękła obok mrocznego elfa. Uniosła dłoń i delikatnie pogłaskała go po twarzy.

– Czujesz się winny, bo masz dobre serce, Drizzcie Do’Urdenie. Tak jak ja, Tarathiel, jak większość elfów, choć bardzo staramy się ukrywać te cechy przed innymi. Nasze sumienie to

nasze zbawienie. Nasz cel określa kwestionowanie wszystkiego, dobra i zła, działań i ich skutków. Nie daj się oszukać. Jeśli twoje życie trwa wiele wieków, posiadanie celu to często jedyne, co mamy.

Jakże dobrze Drizzt znał tę prawdę!

– Wypowiadasz swoje myśli na głos, kiedy jest już po wszystkim? – spytała. – Wykorzystujesz swoje doświadczenie i odgrywasz przed sobą, aby zastanowić się nad swoimi posunięciami i uczuciami, kiedy możesz już spojrzeć wstecz?

– Czasem.

– I wtedy Drizzt przyjmuje nauki, jakie odebrał? Czy utwierdzając się w swoich wyborach, zyskałeś trochę pewności siebie, gdyby pojawiła się podobna sytuacja?

Pytanie sprawiło, że Drizzt zastanawiał się przez jakiś czas. Musiał wierzyć, że Innovindil trafiła w coś ważnego. W takich dyskusjach z samym sobą Drizzt rozwiązał wiele problemów, myślał, że zatoczył już niemal pełne koło...

...aż do upadku Płyczn.

Spojrzał na Innovindil i dostrzegł, że przysunęła się do niego bardzo blisko. Czuł ciepło jej oddechu. Złociste włosy wydawały się tak miękkie, a podświetlone blaskiem ognia wyglądały, jakby się jarzyły. Jej oczy zdawały się tak ciemne i tajemnicze, tak bardzo pełne życia.

Znów pogładziła go po twarzy, a Drizzt poczuł, jak gotuje się w nim krew. Bardzo starał się nie dygotać.

– Masz piękną i wrażliwą duszę, Drizzcie Do'Urdenie – powiedziała. – Teraz rozumiem lepiej trudną drogę, jaką przeszedłeś, i podziwiam twoje poświęcenie.

– Wierzysz teraz, iż wiem, co to znaczy być elfem? – spytał ją, by rozładować narastające napięcie, rozluźnić nieco nastroj.

Lecz Innovindil nie dała się zbyć tak łatwo.

– Nie – odparła. – Znasz połowę prawdy, ostrożnie wybierasz działania, które mają jakiś dalekosiężny skutek. Zastanawiasz się i martwisz, starasz się uczciwie ocenić swoje posunięcia i wymagasz od siebie prawdziwych odpowiedzi, a to już dużo. Młode elfy działają i zastanawiają się; pewnego dnia, podążając tą drogą samooceny zaczniesz reagować na wszystko, co cię spotyka, z pełnym przekonaniem, że działasz słusznie.

Drizzt odchylił się nieco, gdyż Innovindil nachylała się coraz bardziej, tak że ich twarze dzieliły zaledwie cale.

– A ta połowa, której jeszcze nie znam? – spytał obawiając się, że jego głos załamał się przy kolejnym słowie.

W odpowiedzi Innovindil przysunęła się bliżej i pocałowała go. Drizzt nie wiedział, jak ma zareagować. Siedział tak przez długą chwilę, czując ciepło jej warg i języka, dłoń głaszczącą kark i ciepło szczupłego ciała. Poczuł uderzenie gorąca, świat zdawał się wirować, a Drizzt przestał

myśleć i po prostu zaczął... czuć.

Odpowiedział na jej pocałunek, a dłonie zaczęły poruszać się po jej ciele. Usłyszał własny cichy jęk i nawet nie był tego do końca świadom.

Innovindil nagle przerwała i cofnęła się, chwytając Drizzta za rękę. Popatrzyła na niego z zainteresowaniem i spytała:

– A jeśli ona żyje?

Drizzt usiłował zrozumieć tę nagłą zmianę, lecz kiedy dotarł do niego sens pytania, odpowiedzią było bardziej jąkanie niż słowa.

– Czy chciałbyś to kontynuować wiedząc, że Catti-brie żyje? – spytała Innovindil. Równie dobrze mogłaby dodać jeszcze „Drizzcie Do’Urdenie”.

Mroczny elf miał zamęt w głowie. – A...ale... – wyjąkał.

– Ach, Drizzcie – westchnęła Innovindil. Podniosła się zwinnie. – Zbyt mocno się kontrolujesz. Przy każdej decyzji zastanawiasz się, co będzie dalej.

– Czy to właśnie nie znaczy bycie elfem? – spytał głosem ociekającym sarkazmem.

– Możliwe – odparła. Znów podeszła i nachyliła się, spoglądając na niego złośliwie. – Według twego doświadczenia bycie elfem oznacza stoicyzm. Lecz odpuszczenie sobie co jakiś czas, mój przyjacielu, oznacza bycie żywym.

Zachichotała i odeszła.

– To ty się wycofałaś, nie ja – przypomniał Drizzt, a Innovindil odwróciła się gwałtownie.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Miała rację i Drizzt o tym wiedział. Mógł tylko wyobrazić sobie, jak bardzo miałby poszarpane emocje, gdyby rzeczywiście to zrobili.

– Widziałam, że w walce jesteś bezlitosny – ciągnęła Innovindil. – A w miłości? Wżyciu? Mając swoje sejmitary możesz stawić czoła jednemu gigantowi, nawet dziesięciu! A czy jesteś choć w części tak odważny, jeśli chodzi o sprawy serca? Krzyczysz z gniewu wobec goblinów, ale czy masz odwagę krzyczeć z namiętności?

Drizzt nie odpowiedział, gdyż nie umiał. Spuścił wzrok, zachichotał głupkowato i poczuł się zaskoczony, kiedy elfka znów usiadła obok niego i objęła go ramieniem.

– Jestem sama – powiedziała elfka. – Mój ukochany nie żyje, a serce mam puste. Teraz potrzebuję przyjaciela. Czy jesteś nim?

Drizzt nachylił się i pocałował ją, lecz w policzek.

– Szczęśliwy los sprawił, że tak – odpowiedział. – Lecz nie wiem, czy jestem twoim przyjacielem, czy też uczniem, skoro tak swobodnie igrasz z moimi uczuciami?

Innovindil zamyśliła się i odparła:

– Mam nadzieję, że nauczysz się czegoś ode mnie, tak jak ja nauczę się czegoś od ciebie. Wiem, że dzięki twojemu towarzystwu w ciągu ostatnich dekadni moje życie jest bogatsze. Mam

nadzieję, że możesz powiedzieć to samo.

Drizzt wiedział, że nie musi odpowiadać na to pytanie. Objął Innovindil i przytulił do siebie. Siedzieli tak pod gwiazdami pozwalając, by ogarnęło ich Śnienie.

14.

PRZEGRUPOWANIE

Sala audiencyjna Mithrilowej Hali była spowita kirem. Orki zostały odepchnięte, zachodnie wejście zabezpieczone. Dzięki sprytowi i wybuchowym eliksirom Nanfoodle'a poległo niewielu krasnoludów, zarówno podczas ataku orków w hali, jak i podczas kontrataku krasnoludów.

Lecz z południa przybyła wieść pełna nadziei i tragiczna zarazem.

Bruenor Battlehammer stał przed swoim tronem, prosząc o uwagę wszystkich: od strażników pod ścianami do mieszkańców i uciekinierów, czekających przy drzwiach na posłuchanie.

Obok Bruenora stali Cordio i Stumpet, dwójka największych kapłanów klanu. Bruenor kiwnął na nich ręką, a Cordio szybko zanurzył duży kielich w beczce pełnej krasnoludzkiego odpowiednika święconej wody – bardzo słodkiego miodu. Napój szybko rozlano wszystkim obecnym na sali, nawet trójka niekrasnoludów – Regis, Wulfgar i Nanfoodle – miała kielich w dłoniach, nim Bruenor wznosił toast.

– I tak generał Dagna Waybeard z Adbaru i Mithrilowej Hali dołączył do swego syna w Halach Moradina – oznajmił. – Za Dagnę i wszystkich, którzy z nim służyli. Oddali życie, broniąc sąsiadów przed śmierdzącymi trollami. Przerwał i wykrzyknął:

– To dobry sposób, by zginąć!

– To dobry sposób, by zginąć! – odkrzyknęli zebrani. Wychylił zawartość jednym haustem, po czym rzucił go do Cordia i zasiadł na swoim tronie.

– Wieści nie są do końca złe – powiedział Banak Brawnnavil, siedzący u jego boku na specjalnie skonstruowanym krześle, gdyż nogi nie mogły go już utrzymać.

– Tak? – spytał Bruenor.

– Alustriel widziała walkę. – powiedział Banak. – To nie było byle co.

Bruenor spojrzał na młodego gońca, który przyniósł wieści z południa. Kiedy Bruenor wysłał krasnoludy z Mirabaru, rozciągnął sztafetę gońców z Mithrilowej Hali, aby wiadomości przychodziły szybko. Po wyparciu orków król krasnoludów spodziewał się, iż sytuacja może w każdej chwili się zmienić, a nie chciał, aby zaskoczył go atak z jakiegokolwiek strony.

– Alustriel tam była? – spytał gońca. – A może tylko myślimy, że tam była?

– Widzieliśmy ją, królu – odparł krasnolud – przybyła w kuli ognia z nieba, na ognistym wozie!

– Jak więc ją dostrzegli przez płomienie? – ośmielił się zapytać Nanfoodle. Zbladł i cofnął się, pokazując wszystkim, że on tylko głośno myślał.

– Tak, to była Alustriel – uspokoił Bruenor gnoma i wszystkich pozostałych. – Wiem co nieco o ognistym wozie Pani Silverymoon.

W otoczeniu Bruenora rozległy się chichoty. Szczególnie głośno śmiał się cichy zwykle Wulfgar, który na własne oczy widział, jak Bruenor pilotował magiczny wóz Alustriel. Było to na południu, na morzu – Bruenor przejechał jej wozem po pokładzie pirackiego okrętu, niosąc zgubę... piratom, rzecz jasna.

– Wie zatem, że walka już trwa – powiedział Bruenor i spojrzał na wysłannika z innego królestwa.

– Cytadela Felbarr z pewnością ją zawiadomiła – zgodził się Jackonray Broadbelt. – Mamy niezłą sztafetę między Silverymoon i Sundabarem. Skoro Alustriel włączyła się do walki na południu, z pewnością wie, co się dzieje.

– Ale czy przybędzie na północ, jak wtedy, kiedy drowy atakowały Mithrilową Halę? – spytał Wulfgar.

– Może wyślemy do niej Pasibrzucha – powiedział Bruenor, puszczając oko do barbarzyńcy, po czym obaj popatrzyli na Regisa.

Niziołek najwyraźniej niczego nie dostrzegł, gdyż siedział cicho i ze spuszczoną głową.

Bruenor przyglądał mu się przez chwilę i rozpoznał źródło jego niepokoju.

– O czym myślisz, Pasibrzuchu?! – spytał głośno. – Sądzisz, że mógłbyś użyć swego rubinu na Alustriel i sprawić, by Silverymoon przyszło do nas?!

Regis popatrzył na niego i wzruszył ramionami, a oczy rozszerzyły się dopiero wtedy, gdy zrozumiał absurd pytania.

– Nie, spokojnie – odparł ze śmiechem Bruenor. – Nie użyjesz go na kimś takim jak ona!

Wszyscy wokół króla roześmiali się, lecz Bruenor spoważniał równie szybko, jak się roześmiał.

– Mimo to będziemy musieli porozmawiać z Silverymoon, a ty i moja córka najlepiej znacie te okolice. Idź, porozmawiaj z nią, Pasibrzuchu. Przyjdę do was i pogadamy dłużej, kiedy tylko tu skończę.

Ulga, z jaką Regis przyjął odprawę, była widoczna dla każdego, kto akurat patrzył w tamtą stronę. Kiwnął głową i zeskoczył z krzesła, po czym szybko wyszedł z sali, a potem wręcz puścił się truchtem.

* * *

Regis znalazł Catti-brie siedzącą w łóżku ze sporą tacą na kolanach. Uśmiech, jakim go powitała, był jednym z najpiękniejszych rzeczy, jakie widział, gdyż był pełen zapału i akceptacji. Był to uśmiech, który obiecywał lepsze dni i kolejną walkę jednak Regis obawiał się, że na to Catti-brie nie może już mieć nadziei.

– Widzę, że Stumpet i Cordio nieźle się napracowali – zauważył, wchodząc do pokoju

i przysuwając krzesło do łóżka.

– A Moradin był tak dobry i wysłuchał ich modlitw o uzdrowienie kogoś takiego jak ja. Czy sądzisz, że więcej we mnie krasnoluda, niż my oba... niż oboje przypuszczamy?

Niziołek uznał jej odpowiedź za nieco ironiczną, zwłaszcza kiedy w środku zdania poprawiła swoją krasnoludzką wymowę.

– Jak szybko z tego wyjdiesz?

– Wstanę za mniej niż dekadzień – odparła Catti-brie. – A za dwa znów będę mogła walczyć, chyba że okaże się, iż jestem potrzebna wcześniej.

Regis spojrzał na nią sceptycznie.

– Tak uważasz ty czy Cordio?

Catti-brie zbyła pytanie machnięciem ręki i wróciła do jedzenia. Regis zrozumiał, że kapłani mówili pewnie o miesiącu.

Skończywszy jeść owoc, Catti-brie odwróciła się na drugą stronę łóżka, gdzie stało wiadro na odpadki. Fragment koca uniósł się i Regis mógł zobaczyć rozerwane biodro i udo.

Kobieta odwróciła się, nim niziołek zdołał pozbyć się z twarzy wyrazu smutku.

– Kamień nieźle cię poharatał – powiedział świadom, że nie ma jak ominąć tego tematu.

Catti-brie zasunęła koc z powrotem.

– Mam szczęście, że najpierw odbił się od krawędzi i ściany.

– Jak poważne były twoje rany?

Catti-brie zbladła. Regis popatrzył jej w oczy i pytał dalej:

– Jak szybko wrócisz do zdrowia według nich? Biodro zostało zmiżdżone, mięśnie rozerwane. Będiesz mogła chodzić?

– Tak.

– A biegać?

Tym razem milczała nieco dłużej, a jej twarz się ściągnęła.

– Tak.

Regis wiedział, że była to raczej determinacja niż oczekiwanie. Nie drążył jednak tematu, zmuszając się do stawienia oporu fali smutku. Doskonale wiedział, że Catti-brie i tak go nie wysłucha.

– Przyszły wieści z południa – powiedział. – Lady Alustriel przyłączyła się do walki, choć w ograniczonym zakresie.

– Dagna nie żyje – odparła Catti-brie, zaskakując Regisa i dodała: – Wieści o takich zdarzeniach szybko rozchodzą się wśród krasnoludów.

Niziołek milczał przez jakiś czas, by mogli zmówić cichą modlitwę za duszę poległego krasnoluda.

– Sądzisz, że wszystko będzie jak wcześniej? – zapytał.

– Nie – odparła Catti-brie. Niziołek poderwał głowę, gdyż nie spodziewał się takiej odpowiedzi po tak zwykle optymistycznej osobie. – Tak samo jak wtedy, gdy wyparliśmy mroczne elfy. Ta walka na pewno zostawi jakieś blizny, przyjacielu.

Regis myślał nad tymi słowami przez chwilę, po czym pokiwał głową.

– Obould zadał głęboką i bolesną raną – powiedział. – Bruenor będzie rad, kiedy zatknie jego głowę przy zachodnich wrotach.

– Te zmiany wcale nie muszą być złe... – powiedziała Catti-brie.

– Są tu Torgar i jego chłopcy – szybko wtrącił Regis. – A układy z Felbarrem są tak dobre, jak nigdy dotąd!

– Tiaa – odparła kobieta. – Czasem tragedia stanowi impuls dla tych, którzy przeżyli, by zmienić się tak, jak zawsze chcieli, tylko nigdy nie mieli na to dość odwagi.

Coś w tonie jej głosu oraz utkwionym w dali wzroku kazało niziołkowi sądzić, że za błękitnymi oczami Catti-brie kryją się rzeczy, których on i pozostali nigdy by się po niej nie spodziewali.

– Próbujemy wysłać zwiadowców kominami – powiedział. – Mamy nadzieję na jakieś wieści od Drizzta.

Na wspomnienie drowa twarz Catti-brie drgnęła. Nie był to grymas, lecz poruszenie, które pokazało Regisowi, że dotknął wrażliwego tematu.

Szybko zmienił temat. W końcu jaki był sens rozmawiać o Drizztcie, skoro nie wiedzieli niczego pewnego, choć żywili takie same nadzieje? Mówił więc o lepszych czasach, jakie nadejdą, o nieuchronnym pokonaniu Oboulda i jego głupich orków oraz o dobrych chwilach, jakie spędzili z krasnoludami z Mirabaru, najnowszymi członkami klanu. Opowiadał o Tredzie z Cytadeli Felbarr, obietnicach sojuszu, które krążyły po obu krańcach tuneli Podmroku. Opowiadał o Iwanie, Pikelu i ich domu, Duchowym Uniesieniu, położonym wysoko w Górach Śnieżnych, nad miastem Carradoon i jeziorem Impresk. Kiedyś będzie musiał zobaczyć te wspaniałości, powtarzał, wywołując uśmiech na twarzy Catti-brie i wreszcie wciągając ją w rozmowę o tym miejscu, gdyż wraz z Drizztem odwiedziła kiedyś Cadderly'ego i Danicę.

Po godzinie rozległo się mocne pukanie do drzwi i do środka wtoczył się Bruenor.

– Wieści z Felbarr – powiedział, zanim się jeszcze przywitał. – Gońcy Jackonraya wrócili z wieściami, że nadchodzi król Emerus!

– Przejdą wschodnimi tunelami? – spytał Regis. – Musimy ich przywitać godną uczcą.

– Nie ma czasu na obżarstwo, Pasibrzuchu – rzekł Bruenor. – I nie przejdą tunelami. Król Emerus rozesał swoich chłopców po powierzchni. To wielka armia, maszerująca ku Surbrin. Ich zwiadowcy już rozstawiają obozy na Skraju Zimy, po drugiej stronie rzeki. Tamtejsze mieszczuchy jeszcze nigdy nie widziały takiego wojska!

– Wyrwiesz się przez wschodnie wrota – powiedziała Catti-brie.

– Przejdziemy Wąwóz Garumna wszystkimi siłami – odparł Bruenor, mając na myśli jaskinię i przepaść oddzielającą wschodni skraj Mithrilowej Hali od reszty kompleksu. – Wysadzimy zbocze góry i wybiegniemy tak szybko, że te głupie orki będą przed nami skakać do wody!

– I co, pomachamy sobie przez rzekę? – spytał Regis. Bruenor skrzywił się.

– Założymy przyczółek na naszym brzegu i zepchniemy te orki na północ. Emerus przepłynie rzekę... w trakcie marszu budują łodzie. Teren od wschodnich wrót do rzeki stanie się częścią Mithrilowej Hali, umocnioną murami, z mostem, który zepnie brzegi i otworzy naszym sojusznikom drogę, by mogli włączyć się do walki.

Ten śmiały plan odebrał Regisowi mowę. Wraz z Catti-brie siedzieli cicho.

– Jak szybko? – spytał wreszcie.

– Za trzy dni – odparł Bruenor i niziolkowi opadła szczęka.

– Będę gotowa – oznajmiła Catti-brie. Krasnolud i niziołek popatrzyli na nią z zaskoczeniem.

– O nie – odparł jej ojciec. – Już rozmawiałem z Cordio i Stumpet. Tę jedną bitwę ominiesz, mała. Masz być zdrowa i gotowa do walki. Kiedy zdobędziemy przyczółek i będziemy chcieli zbudować ten przeklęty most, na pewno będziemy cię potrzebować. Twój łuk na wieży jest dla mnie równie cenny, jak tysiąc wojowników na ziemi.

– Nie powstrzymasz mnie przed walką! – krzyknęła. Regis niemal zachichotał widząc, jak bardzo w chwilach gniewu przypomina krasnoluda.

– Nie – zgodził się Bruenor. – Powstrzymają cię własne rany. Nie możesz nawet ustać, bezbroda gnomko.

– Ustoję!

– I się zachwiejesz – odparł krasnolud. – I zmusisz mojego Wulfgara, Pasibrzucha i mnie, abyśmy oglądali się na ciebie tak często, jak na orki!

Siedząca wyprostowana w łóżku Catti-brie nachyliła się ku Bruenorowi i zaczęła się kłócić, lecz jej słowa znikły, gdy zaczęła opadać między poduszki. Choć w jej oczach nadal jarzył się gniew – tak bardzo chciała walczyć – widać było, że Bruenor uświadomił jej, iż jej upór mógłby zaszkodzić bliskim.

– Kuruj się – powiedział cicho krasnolud. – Obiecuję ci, mała, że kiedy wrócisz, będzie tam kupa orków czekających na twoje strzały.

– Co chcesz, żebym zrobił? – spytał Regis.

– Trzymaj się Jackonraya – polecił mu król. – Jesteś moimi oczami i uszami, jeśli chodzi o troski Felbarr. I może będę cię potrzebował, byś miał oko na Nanfoodle'a i Bouldersoulderów, by przekazać mi wprost, bez gnomiego kręcenia czy pikelowego „Bum!”, jak idą prace nad otwarciem tych przeklętych wrót. Kiedy je zamknęliśmy, giganci zwalili na nie tony skał, a my, aby dotrzeć ku Surbrin, musimy przedrzeć się przez nie szybko i mocno.

Regis kiwnął głową i skierował się ku drzwiom. Zatrzymał się jednak, odwrócił i spojrzał na

Catti-brie.

– Nadchodzą lepsze dni – powiedział, a ona uśmiechnęła się.

Był to uśmiech przyjaciela, lecz takiego, jak pojmował Regis, który zaczyna patrzeć na świat innym spojrzeniem.

15.

KRASNOLUDKI UPÓR

Po zboczcu wzgórze schodził tłum trolli, kierując się ku bagnom i mgłom, by lizać swoje rany, co wśród ludzi i krasnoludów wywołało głośnie wiwaty. Znów im się udało, po raz trzeci tego dnia, nie dać się zepchnąć w tunele, których czarne otwory ziały w zboczu.

Torgar Hammerstriker przyglądał się temu z mniejszym zainteresowaniem niż jego towarzysze i na pewno z mniejszym entuzjazmem niż rozkrzyczani ludzie. Wzdłuż ich szeregu przebiegł Galen Firth, ogłaszając kolejne zwycięstwo w imię Nesme.

To prawda, myślał Torgar, lecz czy zwycięstwo można naprawdę mierzyć krótkimi postęпами i odwrotami? Przetrwali te trzy starcia, ponieważ zasypywali pierwsze linie trolli masą płonących kłód. Spoglądając na ich zapasy, Torgar miał nadzieję, że mają ich dość i na czwartą walkę. Zwycięstwo? Byli otoczeni, mogli uciekać tylko do tuneli. Nie mieli już czym palić ognia, nie mieli nadziei na przedarcie się przez szeregi trolli.

– Przy każdej okazji krzyczą i unoszą pięści w powietrze – zauważył Shingles McRuff, stając obok swego przyjaciela. – Nie mogę powiedzieć, że mam im to za złe, lecz nie wiem, jak wiele takich gestów nam jeszcze zostało.

– Bez ognisk nie zdołamy się utrzymać – zgodził się cicho Torgar, tak, aby usłyszał go tylko Shingles.

– Mamy tu szczególnie uparte trolle – dodał stary krasnolud.

– Dobrze wykorzystują swój czas. Wiedzą, że możemy schować się tylko do dziur.

– Czy wrócili jacyś zwiadowcy z następnymi pniakami? – spytał Torgar, gdyż wysłał kilku krasnoludów do bocznych tuneli w nadziei na znalezienie wyjścia gdzieś, gdzie nie ma wroga, w nadziei, że zdołają ściągnąć więcej drewna.

– Większość wróciła, lecz żaden nie przyniósł drewna. Mamy tylko to, i nic więcej.

– Musimy zachować je jak najdłużej – powiedział Torgar – lecz jeśli nie odpędzimy ich w następnym ataku, będzie to nasza ostatnia walka na otwartym terenie.

– Chłopcy już ćwiczą wycofywanie się w szyku – zapewnił go Shingles.

Z szeregu obrońców Torgar przeniósł wzrok na ich towarzyszy walki. Widział, jak Galen Firth po raz kolejny zagrzewa swoich ludzi do boju. Wysoki mężczyzna miał niewyczerpane zapasy energii, które wyrzucał z siebie w pełnych entuzjazmu okrzykach.

– Nie sądzę, by nasi chłopcy byli jakimś kłopotem – powiedział Torgar.

– Galen jest nie mniej uparty od trolli – zgodził się Shingles.

– Trochę trudno będzie go przekonać.

– Dagna to poznał na własnej skórze.

Przez chwilę przyglądali się wyczynom Galena, po czym Torgar dodał:

– Kiedy rzucimy na trolle ostatnie gałęzie, a oni nie będą chcieli uciec, wtedy zaczniemy się cofać do tuneli. Galen i jego chłopcy mogą iść, jeśli chcą, albo zostać tutaj, by dać się pożreć. Tu nie ma dyskusji. Nie wyśle, do Moradina kolejnego oddziału Bruenora, aby bronić człowieka zbyt upartego albo głupiego, by dostrzec rzeczy oczywiste. Idzie z nami albo zostaje sam.

Była to bardzo stanowcza decyzja, a Torgar wypowiedział ją podniesionym głosem. Nie było tu kompromisu, rozumiały to wszystkie stojące wokół krasnoludy. Nie będą tu stać i chwalebnie umierać za Galena Firtha i mieszkańców Nesme.

– Powiedziałeś mu to wszystko?

– Trzy razy – odparł Torgar.

– Dotarło do niego?

– A Dumathoin wie – odparł krasnolud, przywołując imię bóstwa znanego jako Strażnik Tajemnic pod Górą – ale Dumathoin nie powie. Ale nie zrozum mnie źle. Stanowimy południową linię obrony Bruenora, walczymy za Mithrilową Halę, a nie Nesme. Jeśli zechcą iść z nami, zaprowadzimy ich do hal albo zginiemy w ich obronie. Jeśli chcą zostać, będą umierać sami.

Nie można było ująć tego jaśniej. Mimo to ani Torgar, ani Shingles nie wierzyli nawet przez chwilę, że coś takiego dotrze do zakutej głowy Galena Firtha.

Trolle szybko się przegrupowały i zaatakowały, kiedy tylko zgasły ognie po poprzednim natarciu. Ich upór tylko potwierdził podejrzenia Torgara: nie byli aż tak głupi. Wiedzieli, że krasnoludy długo nie wytrzymają, wiedzieli, że ogniste pociski nie będą padać w nieskończoność.

Zaatakowali pod górę. Długie nogi niosły ich bardzo szybko. Szli w luźnym szyku, by stanowić jak najmniejszy cel dla płonących pocisków.

– Przygotować się! – rozkazał Shingles i na całej linii przyłożono pochodnie do gałęzi.

– Jeszcze nie – szepnął do niego Torgar. – Tego się właśnie spodziewają.

Trolle zbliżyły się. Ze strony stojących w szyku ludzi poszybowały płonące konary.

Mimo to Torgar wciąż nie pozwalał atakować. Trolle były coraz bliżej.

– Klin, biegiem! – krzyknął nagle, zaskakując wszystkich, włącznie z Shinglesem, który wiele razy walczył pod rozkazami swego druha z Mirabaru.

– Klin? – spytał.

– Naprzód! Wszyscy! – krzyknął Torgar. Uniósł swój młot i wrzasnął: – Za mną, chłopcy!

Torgar przeskoczył kamienną barykadę z Shinglesem u boku. Nie oglądając się na lewo czy prawo, krasnolud zbiegł po zboczu przekonany, że jego podwładni go nie zostawiają.

Miał rację. Przez barykadę przelewał się strumień krasnoludów, przewracających się i zaraz stających na nogi. Po kilku krokach utworzyli klin i nim starli się z trollami, szyk był zwarty

i dobrze osłonięty.

Torgar był pierwszy. Zamachnął się potężnie młotem, troll odskoczył poza zasięg i zaraz potem zaatakował. Sądząc, że mała, agresywna istotka jest teraz odsłonięta, troll otworzył szeroko paszczę i rzucił się naprzód, by ugryźć krasnoluda.

Tak jak spodziewał się Torgar. Kiedy uderzał młotem, nie przeniósł całej masy ciała za ciosem, lecz odwrócił jego kierunek i przysunął broń do siebie. Robiąc krok do przodu, przesunął dłoń na stylisku do góry, odwrócił się do trolla niemal bokiem, po czym wbił głowicę młota wprost w zbliżającą się paszczę. Posypały się zęby, a krasnolud usłyszał trzask trollowej szczęki.

Nie odпочał jednak, lecz wyrwał młot, zakręcił nim nad prawym ramieniem i puścił lewą ręką. Kiedy broń opadała, ponownie złapał ją lewą ręką, po czym gwałtownie poderwał do góry i znów uderzył z całej siły w łeb trolla, tak mocno, że sądził, iż popękają mu mięśnie.

Potwór padł w drgawkach na ziemię. W biegu Torgar kopnął go jeszcze w paskudną gębę.

* * *

– Sprytnie te krasnoludy – zauważyła Kaer'lic Suun Wett. Wraz z Tos'unem stali na wysokim, porośniętym drzewami urwisku, z dala od miejsca walki.

– Widzieli, że trolle nadchodzą powoli i w luźnym szyku, by uniknąć ich płonących gałęzi – zgodził się Tos'un.

– A teraz zmuszają tych na czele do odwrotu albo kładą trupem, a nie rzucili nawet jednej gałęzi – powiedziała Kaer'lic.

Kontrast między taktyką krasnoludów i ludzi był wyraźny. Kiedy brodacze rzucili się do szarży, ludzie stali niewzruszenie i rzeczywiście cisnęli wiele gałęzi w stronę trolli.

– Proffit wytnie ludzi i oskrzydli brodaczy – powiedziała Kaer'lic, wskazując w tamtym kierunku.

Rozproszywszy trolle u podnóża zbocza, zdyscyplinowane krasnoludy już zawracały. Ich klin wycofywał się bez żadnej osi obrotu, tak że krasnoludy z tylnych, szeroko rozsuniętych skrzydeł pierwsze przekroczyły murek z kamieni. Nie tracąc czasu, zabrały się za rozpalanie ognisk i przygotowywanie ostrzału.

Kaer'lic warknęła i uderzyła pięścią w dłoń widząc, jak oddziały Proffita zaciskają kleszcze wokół wycofujących się krasnoludów. Trolle były rozzłoszczone zuchwałą szarżą brodaczy i parły pod górę w zwartych grupach, wyprzedzając zawracającą szpicę klina.

Zanim uciekające krasnoludy dotarły do murku, rozpoczął się ostrzał: nad ich głowami przelatywały dziesiątki płonących gałęzi. Mocno ściśnięte trolle obrywały raz za razem, a kiedy płomień ogarnęły jednego i rozprzestrzeniały się gwałtownie, jego stojący najbliżej towarzysze również boleśnie to odczuwali.

– Głupcy – burknęła Kaer’lic i zaczęła mamrotać zaklęcie.

Chwilę potem między trollami pojawił się niewielki strumień wody, gasząc płomienie i dając im nieco czasu na otrząśnięcie się. Kaer’lic dokończyła szeptane zaklęcie i zaczęła przywoływać więcej wody. O ile łatwiej by było, pomyślała, gdyby Proffit nie pozwolił na pościg i wysłał grupę swoich na zachodni, ludzki kraniec obrony...

* * *

Mimo magicznego wsparcia, ogień zadał jednak przeciwnikom spore straty: w płomieniach stawał jeden troll po drugim. Lecz Torgar znał sytuację. Znow odgryźli się przeciwnikowi, ale czas ich przewagi się skończył. Nie mieli już paliwa.

Krasnolud popatrzył ponad płomieniami i palącymi się trollami na hordy czających się za wzgórzami przeciwników, cierpliwie czekających, aż ogień zgaśnie.

– Utrzymasz ich tu tak długo, jak zdołasz, i ani chwili dłużej – poinstruował Shinglesa.

– A ty gdzie się wybierasz? – spytał stary krasnolud.

– Galen Firm musi to ponownie usłyszeć ode mnie, tak, aby nie było nieudomówień. Idziemy tam, gdzie idziemy, a jeśli oni nie chcą, to zostaną sami.

– Powiedz mu to i pozwól, aby patrzył ci wtedy w oczy – poradził Shingles. – Jest uparty.

– No to będzie też martwy, trudno.

Torgar poklepał druha po ramieniu i pobiegł na zachód, jednocześnie zagrzewając swoich wojowników. Szybko dotarł do ludzi: szykowali broń, gdyż płomienie na zboczu już dogasały. Krasnolud od razu znalazł Galena: mężczyzna stał na głazie, zagrzewając do walki i wymachując pięścią.

– Dobra walka! – powiedział do Torgara, kiedy tylko go dostrzegł. – Wyjście i zaatakowanie ich było świetnym pomysłem!

– Tak, a teraz usłyszysz jeszcze lepszy – odparł krasnolud. – Taki, który zapędzi nas do tuneli, ale już bez wychodzenia.

Galen zszedł z kamienia, przetrawiając te słowa, a uśmiech nie schodził z jego warg. Nim stanął przed Torgarem, zastąpiło go skupienie.

– Nie przerwali jeszcze naszych szyków i nie przełamali!

– Mocne słowa i dobrze dobrane – przyznał Torgar. – Prawdziwe w pierwszej części i pełne nadziei w drugiej. Lecz jeśli mamy czekać, czy się sprawdzą, i okaże się, że nie, to przepadliśmy.

– Dawno temu przysiągłem poświęcić swe życie obronie Nesme.

– Zatem zostań tu, jeśli chcesz. Przyszedłem, by powiedzieć ci, że wraz z moimi chłopakami wracamy do tuneli i zamierzamy tam pozostać.

Torgar świetnie zdawał sobie sprawę, że te wypowiedziane głośno słowa ściągną ku niemu

wiele przestraszonych spojrzeń.

– Radziłbym wam teraz zewrzeć szyki – mówił. – O ile jesteś aż tak uparty. Myślę, że powinniście iść z nami do tuneli... najpierw starzy i młodzi, a wojownicy z nami, z tyłu. Tak uważam, Galenie. Przyjmij to jak chcesz.

Krasnolud skłonił się i odwrócił.

– Błagam, abyście pozostali – słowa Galena zaskoczyły go. – Tak, jak generał Dagna postanowił walczyć za Nesme.

Torgar odwrócił się gwałtownie; krzaczaste brwi zbiegły się, osłaniając ciemne oczy.

– Dagna i chłopcy oddali swoje życie, gdyż byłeś zbyt uparty, by zrozumieć, kiedy trzeba uciekać – poprawił. – Nie zamierzam popełnić tego błędu. Powiedzieliśmy ci, co zamierzamy zrobić. Możesz z nami iść. Wybór należy do ciebie, nie do mnie.

Krasnolud odszedł szybko, i nie odwracał się, kiedy Galen wołał za nim.

– Głupek – mruczał z każdym krokiem.

– Czekaj! Czekaj! – usłyszał za plecami, co sprawiło, że jednak się odwrócił. Zobaczył innego wojownika z Nesme, Ranneka, biegnącego w stronę Galena i wskazującego na niebo.

– Czekaj, cny krasnoludzie! To Alustriel! Alustriel znowu przybyła!

Torgar popatrzył w górę. Na tle ciemnego nieba zobaczył szybko zbliżający się, płonący rydwan.

W tej samej chwili powietrze zadrżało od dudnienia bębnow, nadchodzących z południowego wschodu. Zagrały rogi.

– Srebrna Gwardia! – krzyknął ktoś. – Srebrna Gwardia z Silverymoon!

Torgar popatrzył na Galena, który wyglądał na równie zaskoczonego jak on, choć od dawna mówił, że taka pomoc nadejdzie.

– Oto nasze wybawienie, cny krasnoludzie – powiedział Galen. – Zostań zatem i razem z nami odnieś tej nocy zwycięstwo!

* * *

– O Pani Lolth, wróciła – jęknął Tos'un, widząc blask ognia, spływający z wieczornego nieba.

– Najgorszy koszmar Oboulde – odparła Kaer'lic. – Alustriel z Silverymoon. Jak mówią, najgroźniejszy przeciwnik.

Tos'un zerknął na kapłankę; ton jej głosu sugerował, że traktuje to jak wyzwanie. Spoglądała na rydwan roziskrzonym wzrokiem. Usta poruszały się, gdy wypowiadała zaklęcie, zaś palce kreśliły w powietrzu runy.

Idealnie wyliczyła czas, uwalniając czar w chwili, kiedy Alustriel przelatowała niezbyt

wysoko nad nimi. Wokół wozu powietrze zdawało się pękać i rozstępować, rozległ się donośny wybuch, od którego zadrżała ziemia pod stopami Tos'una. Zaskoczenie Alustriel objawiło się gwałtownymi skokami wozu to w lewo, to w prawo, w górę i w dół, a nawet ostrym skrętem, jakby straciła nad nim kontrolę.

Kaer'lic szybko rzuciła następne zaklęcie i tuż przed wozem przeleciał strumień wody.

Wóz zanurkował, jego lot dalej był nierówny. Przez chwilę płomienie na ciągnących go rumakach przygaśły i cały zaprzęg poleciał w dół.

– Ku chwale Lolth – powiedział Tos'un z uśmiechem, widząc, co się stało.

Oczekiwali wspaniałej katastrofy, słodkiej muzyki rżenia koni i krzyków powożących; rzeczywiście, kiedy latający wóz uderzył o ziemię, zobaczyli większą katastrofę, niż byli sobie w stanie wyobrazić.

Lecz nie taką, jakiej się spodziewali.

Kiedy zaprzęg Alustriel dotknął ziemi, płomienie ożyły na nowo, ogarniając zarówno powóz, jak i konie, po czym wyskoczyły w kuli ognia, która rozeszła się na boki i przetoczyła nad nabierającym prędkości zaprzęgiem.

Oba drowy przyglądały się z szeroko otwartymi ustami, jak powożąca odzyskuje kontrolę, a rydwan – teraz toczący się po ziemi – szerzy zniszczenie wśród trolli Proffita. Alustriel skierowała się na południe, zakreślając szeroki łuk. Mroczne elfy wiedziały, iż chce zawrócić i odnaleźć tych, którzy zaatakowali ją magią.

– Powinna była zginąć – powiedziała Kaer'lic, oblizując zeschnięte nagłe wargi.

– A jednak żyje – odparł Tos'un.

Rydwan wzbiał się w powietrze i zatoczył pełen okrąg. Mroczne elfy słyszały dochodzące ze wschodu odgłosy bitwy, dźwięki rogów i bębnow.

– Przyszła z przyjaciółmi – zauważyła Kaer'lic. – I to wieloma. Powinniśmy zniknąć.

Drowy popatrzyły po sobie i kiwnęły głowami.

– Weź więźnia – poleciła Kaer'lic i nie czekała nawet, aż Tos'un podejdzie w stronę, niewielkiej jamy, w której ukryli biednego Fendera.

Wraz z nim szybko ruszyli na zachód, pragnąc znaleźć się jak najdalej od rozwścieczonej kobiety w płonącym rydwanie.

Wnioskując po radosnych krzykach ludzi i krasnoludów na północy, zbliżających się odgłosach wielkiej bitwy na wschodzie i pokazie mocy oraz odwagi i kobiety w krążącym po niebie zaprzęgu, pojęli, że dla Proffita to był już koniec walki.

Przybyła lady Alustriel i armia Silvermoon.

* * *

Srebrna Gwardia Silverymoon zaatakowała trolle w zwartym szyku, z nastawionymi włócznie. W tym samym czasie z tyłu wciąż wypuszczano płonące strzały. Zalali wschodnią część armii trolli tak dokładnie, iż spoglądającemu na to ze wznesienia Torgarowi przyszła na myśl fala zmywająca plażę.

Lecz potem fala rozbiła się na wielu dużych skałach. W końcu walczyli z trollami, silnymi, potężnymi i najbardziej odpornymi istotami na świecie. Krzyk szarży zamienił się w wołanie umierających. Zwarty szyk stał się tańcem niewielkich grup wojowników, rozpaczliwie starających się opędzić od wielkich, paskudnych trolli.

Za szyków Srebrnej Gwardii wystrzelono ogniste kule – to bojowi magowie z Silverymoon włączyli się do walki.

Lecz trolle nie uciekły. Uderzyły jeszcze bardziej zajadle, wbijając się w szeregi ludzi, wdeptując wojowników w ziemię.

– Teraz, chłopcy! – krzyknął Torgar do swoich krasnoludów. – Przyszli nam na pomoc, trzeba się odwdziżyć za przysługę!

Po kamienistym, jałowym zboczu zeszła krasnoludzka szarża. Po prawej, od zachodu, biegł Galen i jego ludzie, wpadając na plecy trolli, które skupiły uwagę na wschodzie, by stawić czoła nowemu zagrożeniu.

Płynęła krew – trolli, krasnoludów, ludzi. Ryki trolli, krzyki ludzi i sieknięcia krasnoludów mieszały się w symfonię przerażenia i bólu. Dramat trwał przez wiele minut – setki osobnych starć składających się na większą walkę.

Dla wielu był to koniec życia, przeciętego na zakrwawionym, kamienistym zboczu pod jaśniejącym z wolna niebem.

Kiedy linie zbliżyły się do siebie jeszcze bardziej i magowie nie byli już tak skuteczni, zaczęła się walka na stal i pazury, dzikość trolli przeciw krasnoludzkiemu uporowi.

W rezultacie to nie broń czy lepsza taktyka zapewniła tego dnia zwycięstwo ludziom i krasnoludom. To wzajemna troska i świadomość wsparcia ze strony innych, pokładanie zaufania w poczuciu wspólnoty i poświęceniu. Zdecydowanie, że lepiej stać i umrzeć, niż opuścić druha. Najwyraźniej widać to było u krasnoludów, ale również u ludzi z Nesme i Silverymoon. Trolle walczyły w pojedynkę, na polu walki trzymał je instynkt samozachowawczy albo żądza krwi.

Kiedy godzinę później wstał świt, oświetlił pole zalane krwią, zasłane trupami ludzi, krasnoludów, zwęglonymi szczątkami trolli oraz odciętymi kawałkami ich ciał, które wciąż jeszcze podskakiwały, póki ktoś nie przyłożył do nich pochodni.

Torgar Hammerstriker, poraniony, z połową twarzy poszarpaną pazurami trolla, przechadzał się między rannymi, poklepując każdego mijanego krasnoluda po ramieniu. Jego towarzysze wyruszyli z Mirabaru pod jego przywództwem i przez ostatnie dekadni staczali jedną bitwę za

drugą. Mimo to żaden krasnolud nie narzekał, nikt nie mówił o wracaniu. Teraz byli Battlehammerami, lojalnymi wobec swojego klanu i swojego króla.

Dla nich te starcia były tego warte.

Przechodząc wzdłuż szeregów wojowników, Torgar dostrzegł Shinglesa rozmawiającego w podnieceniu z kilkoma milicjantami z Silverymoon.

– I co teraz? – spytał, podchodząc do przyjaciela.

– Wiem, że Alustriel nie zamierza ruszyć na północ, przeciw Obouldowi – padła zaskakująca odpowiedź.

Torgar łypnął na dwóch żołnierzy, którzy pozostali obojętni i wcale nie spieszyli się z wyjaśnieniem tych zaskakujących wieści.

– Jest tutaj? – spytał Torgar.

– Lady Alustriel rozmawia z Galenem Firthem z Nesme – powiedział jeden z żołnierzy.

– Zatem szybko nas tam zaprowadźcie.

Żołnierz kiwnął głową i poprowadził ich przez obóz, obok stosu ciał poległych z Silverymoon, obok wielu straszliwie poranionych mężczyzn, wokół których krzątali się kapłani, usiłując opatrzyć wiele otwartych ran. W namiocie na środku pola znaleźli Alustriel i Galena Firtha. Mężczyzna z Nesme był w wyśmienitym nastroju.

Dwa krasnoludy pozwoliły, aby żołnierze ich zapowiedzieli, po czym podeszli do stołu, przy którym stali lady Alustriel i Galen. Widok kobiety sprawił, że Torgara zatkało, gdyż wszystko, co słyszał o niej, bladeło w porównaniu z rzeczywistością. Wysoka i szczupła, roztaczała wokół siebie aurę godności i zaufania, jakiej Torgar nigdy nie widział. Ubrana była w zwiewną suknię z najlepszych materiałów, białą i lamowaną czerwienią. Na głowie nosiła diadem ze złota i diamentów, które błyszczały równie intensywnie, jak jej oczy. Torgar z trudem mógł w to uwierzyć, lecz w porównaniu z nią mogła się schować nawet Shoudra Stargleam.

– R..pani... – wyjąkał krasnolud kłaniając się tak nisko, że zamiótł włosami ziemię.

– Miło cię widzieć, Torgarze Hammerstrikerze – powiedziała Alustriel głosem brzmiącym jak zimny, północny wiatr. – Miałam nadzieję, że z tobą porozmawiam, tutaj lub przy okazji nadchodzących spotkań z królem Bruenorem z Mithrilowej Hali. Musisz wiedzieć, że twoje działania w Mirabarze wywołały niepokojącą falę w całej okolicy.

– Jeśli ta fala pacnie markiza Elastula po jego twardej głowie, to była tego warta – odparł krasnolud, odzyskując głos i maskę mrukliwości.

– To zrozumiałe – przyznała Alustriel.

– A co słyszysz teraz, pani? – spytał Torgar. – Jakieś nonsensy, iż uważasz bitwę za zakończoną?

– W okolicy roi się od orków i gigantów, cny krasnoludzie – powiedziała Alustriel. – Jestem pewna, że ta walka jest daleka od zakończenia.

– Powiedziano mi tylko, że nie zamierzasz udać się na północ, ku Mithrilowej Hali.

– To prawda.

– Lecz powiedziałaś...

– To nie pora, by walczyć z królem Obouldem – wyjaśniła Alustriel. – Zima szybko nadchodzi. Niewiele możemy zrobić.

– E tam, masz przecież swoją armię... armie, bo gdzie są Everlund i Sundabar...? O dekadzień drogi od Doliny Strażnika!

– Inne miasta przyglądają się z daleka – odparła Alustriel. – Obawiam się, że nie pojmujesz, jak wiele się zmieniło.

– Nie pojmuję? – spytał Torgar, rozszerzając oczy. – Od dekadni siedzę w samym środku wydarzeń! Byłem na skalnej półce z Banakiem Brawnnavilem, odpierając orcze hordy. To ja i moi chłopcy odzyskaliśmy tunele, aby ten głupi gnom mógł wysadzić górski szczyt!

– Cóż, żałuję, że nie mogę usłyszeć tej opowieści w całości, ale to musi poczekać – powiedziała Alustriel.

– Jak więc możesz mówić, że nie pojmuję? Pojmuję lepiej, niż ktokolwiek inny!

– Widziałeś pierwsze fale całego oceanu wrogów – powiedziała Alustriel. – Na zew Oboulda ze swoich nor wypęły dziesiątki tysięcy orków. Widziałam to, przeleciałam nad polem bitwy wzdłuż i wszerz. Obecnie nasze połączone siły nie mogą zrobić nic, aby pozbyć się tego plugastwa. Nie możemy wysłać tysięcy ludzi na śmierć, skoro lepiej umocnić linie obronne, które pomogą powstrzymać tę falę orków.

– Przybyłaś, aby pomóc Galenowi!

– Tak, przeciwko wrogowi, z którym możemy sobie poradzić... a który wbił się głęboko w moje szeregi. Trolle zostały odparte, a my zapędzimy je na bagna. Nesme – wskazała na leżącą na stole mapę – zostanie odbudowane i ufortyfikowane, gdyż samo w sobie stanowi najlepszy bastion obrony przed potworami z Trollowych Wrzosowisk.

– Zatem przybyłaś na pomoc Nesme, nie Mithrilowej Hali? – spytał Torgar, który rzadko zachowywał swoje zdanie dla siebie.

– Pomagamy tam, gdzie możemy – odparła spokojna i odprężona Alustriel. – Jeśli orki zaczną rozluźniać uchwyt i nadarzy się okazja, Silverymoon ruszy ku Mithrilowej Hali i jeszcze dalej, by stanąć u boku króla Bruenora i jego dzielnego klanu. Przypuszczam, że pójdzie z nami Everlund, a Cytadele Felbarr i Adbar nie zapomną o swoich krewniakach.

– Ale nie teraz? Alustriel rozłożyła ręce.

– Nic nie możesz zrobić?

– Utrzymamy z królem Battlehammerem łączność przez posłów – odparła. – Zrobimy, co będzie w naszej mocy.

Torgar poczuł, że się trzęsie i zaciska pięści. Z trudem powstrzymywał się, by nie rzucić się

na Alustriel albo stojącego obok, zadowolonego z siebie Galena. Wojownik miał minę, jakby cały świat wrócił wreszcie na właściwe tory, ponieważ postanowiono odbudować Nesme.

– Nie można nic więcej zrobić, cny krasnoludzie – dodała Alustriel. – Nie wyślę swych armii w śnieg na wroga tak potężnego, iż zdecydował się na wojnę z Mithrilową Halą.

– To tylko orki – odparł Torgar.

Nie padła żadna odpowiedź, wiedział zresztą, że żadnej nie usłyszy.

– Ruszysz z nami do Nesme? – spytał Galen Firm i Torgar poczuł, że znów nim zaczyna rzucać. – Czy będziesz wraz z nami świętował zwycięstwo po jego oswobodzeniu?

Krasnolud wbił w niego wzrok.

A potem odwrócił się i wyszedł z namiotu. Wraz z Shinglesem wrócił do swoich pobratymców. Wyruszyli w przeciągu godziny, kierując się przyspieszonym marszem ku tunelom, do króla Bruenora.

16.

RUCHOME PIASKI I MOCNA SKAŁA

– Po drugiej stronie rzeki widać chłopaków z Felbarr! – oznajmił Bruenorowi podeksycytowany Jackonray Broadbelt.

Od kilku dni wysłannik Cytadeli Felbarr niecierpliwie wyczekiwał, aż taka wieść dotrze do niego przez kominy. Wiedział, że jego krewniacy wyruszyli, a Emerus Warcrown zgodził się na przekroczenie Surbrin, przerwanie pierścienia orków i ustanowienie naziemnego połączenia z Mithrilową Halą.

– Trzy tysiące – mówił dalej. – I łodzie.

– Jesteśmy gotowi do wywalenia dziury – odparł Bruenor. – Wszyscy moi chłopcy są w Wąwozie Garumna, gotowi wybiec i pogonić tych śmierdzieli z brzegu.

Oba krasnoludy poklepały się po ramionach, ucieszyli się też wszyscy obecni w sali. Jednak dwaj, siedzący najbliżej tronu Bruenora, wydawali się mniej weseli.

– Zdołasz ich szybko wyprowadzić? – spytał Regis Nanfoodle'a. Gnom pokiwał głową.

– Mithrilową Halą wybiegnie bardzo szybko – uspokoił niziołka. – Lecz czy wystarczająco szybko, by zniszczyć umocnienia nad rzeką?

To samo pytanie gnębiło Regisa. Wygrywali raz za razem, a kiedy się wycofywali, wrogowie opłacali to ogromnymi stratami. Lecz wszystko to udało się dzięki akcjom defensywnym.

To, co zamierzali obecnie, było czymś całkiem innym.

– A ty co powiesz, Pasibrzuchu? – spytał chwilę potem Bruenor, a Regis uświadomił sobie, że niezbyt dokładnie usunął z twarzy wyraz przestachu.

– Tam jest wiele orków – powiedział.

– A wkrótce będzie wiele martwych orków! – oznajmił Jackonray i wszyscy roześmiali się jeszcze głośniejsze.

– Odzyskałiśmy Halę, a oni nie nacierają – powiedział cicho Regis. Kiedy wypowiadał te słowa, wydały mu się one wyjątkowo grupie i nie miał pojęcia, jakie dobre skutki może przynieść wygłaszanie tak oczywistych prawd. Wiedział, że była to podświadoma taktyka obronna, sposób skierowania rozmowy na mniej drażliwy temat.

– A wkrótce zaczną uciekać! – odparł Bruenor i śmiech stał się wręcz ogłuszający.

Regis zrozumiał, że nie ma jak tego powstrzymać. Emocje były zbyt intensywne, gniew przemieniający się w ekstazę zemsty.

– Nie powinniśmy ryzykować – powiedział Regis, lecz nikt go nie słuchał. – Powinniśmy działać ostrożnie – powiedział, lecz nikt go nie słuchał. – Teraz są uziemieni – próbował tłumaczyć. – Jak długo ich siły wytrzymają na zimnie i w śniegu, skoro wiedzą, że nie mogą

nigdzie odmaszerować? Bez żądy podboju ich rozpęd zwolni, stracą serce do walki.

Zaciśnięta na ramieniu dłoń Nanfoodle'a przerwała potok jego słów. Regis zrozumiał, że gnom był jedynym, który go usłyszał, a dziko cieszące się, podskakujące krasnoludy nawet nie słyszały jego szeptu.

– Szybko wyjdziemy – zapewnił go gnom. – Ci inżynierowie są wspaniali. Stworzą szerokie tunele, o to nie musisz się obawiać. Wyjdziemy na orków, zanim te się zorientują, że w ogóle są atakowane.

Regis pokiwał głową, nie wątpiąc w żaden z tych elementów, lecz wciąż nieprzekonany do całego planu.

Klepięcie w ramię sprawiło, że się odwrócił. Obok niego przykłęknął Wulfgar.

– Pora zagonić te orki na północ – powiedział zwalisty mężczyzna. – Zapędzić robactwo do dziur w górach albo pod ziemię.

– Ja tylko... – zaczął.

– To strata Dagny – powiedział Wulfgar. Regis popatrzył na niego.

– Uderzyłeś mocno i z poważnym kosztem – wytłumaczył barbarzyńca. – Czy to takie dziwne, że teraz mniej się palisz do ponownego ataku?

– Sądziś, że to moja wina?

– Sądzę, że uczyniłeś dobrze, wszyscy tak uważają i się z tym zgadzają – odparł Wulfgar, uśmiechając się do niego pocieszająco. – Gdyby Dagna mógł nas dosięgnąć z Hal Moradina, złapałby cię pewnie za kołnierz i posłał na czoło szarzy przez wschodnie wrota.

Mężczyzna położył rękę na ramieniu Regisa i całe ramię oraz szyja niziołka znikły, nakryte potężną dłonią.

Regis odwrócił się w samą porę, by usłyszeć, jak Bruenor wykrzykuje rozkazy, wysyłając gońców przez kominy na szczyt góry. Mają powiadomić chłopaków z Felbarr po drugiej stronie rzeki, że czas pogonić Oboulda.

Zapanowała powszechna radość; dali się jej porwać nawet Regis i Nanfoodle.

Czas pogonić Oboulda!

* * *

– Przed zimą! – padł okrzyk, a ryk, który słyszano w komnatach ludzkich uciekinierów był tak głośny, jak ten, którym krasnoludy poziom wyżej obiecywały zemstę królowi Obouldowi. Korytarzami Mithrilowej Hali szła wieść, że nadeszła Cytadela Felbarr, a król Bruenor i jego krasnoludy szykują się do wyrwania z tego więzienia.

Rzeka Surbrin zostanie zabezpieczona – to było pewne – a krasnoludy obiecały zbudować most, prowadzący na drugi, wolny od orków brzeg. Przejdą przez Surbrin przed zimą.

– Już nigdy nie wejść do żadnej jaskini! – krzyczał jakiś mężczyzna.

– Chwała królowi Bruenorowi i jego klanowi za gościnność! – krzyknął inny i podniosła się wrzawa.

– W Silverymoon przed śniegami! – wołał ktoś.

– Everlund! – odparł inny.

– Podobno Nesme szuka dzielnych ludzi – dodał inny – by odbudować to, co zniszczyły trolle.

Każde wymienione miasto wywoływało wrzawę.

Każde z nich kłuło Delly niczym żądło. Przedzierała się przez rozradowany tłum i sama usiłowała się cieszyć. Przeszli tak wiele, widzieli śmierć najbliższych i spalone domy. Wędrowali wiele mil w górach, cierpieli głód i chłód, a przez całą drogę do Mithrilowej Hali orki deptały im po piętach.

Delly chciała cieszyć się wraz z nimi, gdyż zasługiwali na odmianę losu. Lecz kiedy przysła wieść, iż krasnoludy szykują się do jak najszybszego wypadu i chcą otworzyć drogę uciekinierom, Delly myślała tylko o tym, że znów zostanie sama.

Rzecz jasna, miała Colson, a także Wulfgara, o ile akurat nie walczył... co ostatnio rzadko się zdarzało. Miała też krasnoludy, które bardzo polubiła.

Lecz bardzo chciała znów zobaczyć gwiazdy. Ciepło słońca. Poczuć wiatr na twarzy. Na jej obliczu zatańczył tęskny uśmiech, kiedy pomyślała o Arumnie i Josim w Cutlassie.

Kobieta otrząsnęła się ze wspomnień i żalu, podchodząc do samotnej postaci w kącie sali. Cottie Cooperson nie przyłączyła się do powszechnej radości, chyba wcale jej nie zauważyła. Siedziała na krześle, kołysząc się wolno w przód i w tył, patrząc na dziecko w swoich ramionach.

Delly uklękła obok niej i delikatnie położyła dłoń na jej ręce.

– Uśpiłaś ją, prawda, Cottie? – spytała cicho.

– Lubi mnie.

– A kto nie lubi? – spytała Delly i siedziała tak obok niej, głaszcząc Cottie po ręce, obserwując śpiącą Colson.

Wokół rozbrzmiewały echem pełne radosnej niecierpliwości okrzyki, ludzie jeden po drugim przedstawiali swe wielkie plany, zdecydowani zacząć nowe, lepsze życie. Ich wytrzymałość zrobiła na Delly wrażenie, podobnie jak poczucie wspólnoty, jakie tu odczuwała. Wszyscy ci uciekinierzy z małych wsi i miasteczek, upchnięci w krasnoludzkich tunelach, związali się wspólną sprawą i zwykłą, ludzką przyjaźnią.

Delly uśmiechała się dalej, lecz kiedy przypomniała sobie, co było przyczyną ich radości, raczej chciało jej się płakać.

Chwilę potem wyszła z sali, trzymając Colson na rękach. Ku jej zaskoczeniu, w pokoju czekał Wulfgar.

– Słyszałam, że chcecie wyrwać się z Hali i pomaszerować ku Surbrin – powitała go.

Krótką wiadomość i ton, jakim została wypowiedziała sprawiły, że Wulfgar odchylił się na krześle. Delly czuła, że obserwuje ją uważnie, jak niesie Colson do jej kołyski. Położyła maleństwo, delikatnie przesunęła palcem po jej twarzą, po czym głęboko odetchnęła, odwróciła się do Wulfgara i dodała:

– Słyszałam, że wkrótce ruszacie.

– Armia już się zbiera przy Wąwozie Garumna – potwierdził zwalisty mężczyzna. – Armie Cytadeli Felbarr już widać, zbliżają się do Surbrin od wschodu.

– A Wulfgar będzie tam wraz z krasnoludami, kiedy wybiegną ze swoich hal, prawda?

– Tam jest moje miejsce.

– Twoje i Catti-brie – uzupełniła.

Wulfgar potrząsnął głową, najwyraźniej nie zauważając jej suchego tonu.

– Nie może iść, jest zbyt ranna. Cordio nie chciał o tym słyszeć, rany się jeszcze nie zagoiły.

– Sporo o niej wiesz.

– Właśnie przychodzę, od jej łóżka – powiedział Wulfgar, podchodząc do kołyski Colson... a Delly odsunęła się tak, by nie zobaczył jej grymasu.

Od łóżka czy z łóżka, pomyślała, lecz szybko wygnała tę absurdalną myśl.

– Bardzo żałuję, że nie może walczyć – mówił dalej Wulfgar. Był tak zajęty machaniem palcem przed nosem Colson, pozwalając się za niego złapać, że nawet nie zauważył grymasu na twarzy Delly. – Ona kocha walczyć. Sądzę, że jej nienawiść do orków ściga się z uczuciem Pogromców.

Spojrzał wreszcie na Delly i uśmiech zniknął z jego twarzy. Kobieta stała z zaciętą twarzą i założonymi rękami.

– Wszyscy odchodzą – powiedziała, widząc jego minę. – Do Silverymoon, Everlund, czy gdzie ich tam oczy poniosą.

– Bruenor obiecał, że droga będzie oczyszczona – odparł Wulfgar.

– Dla nas wszystkich – usłyszała siebie Delly i ledwo mogła uwierzyć w swoje słowa. – Tak bardzo chciałabym zobaczyć Silverymoon. Zabierzesz mnie tam?

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Muszę stąd wyjść – powiedziała Delly. – Zbyt długo siedzę w tunelach. Tylko na chwilę, w odwiedzinach, by usłyszeć w karczmie ludzi mówiących tak samo, jak ja.

– Przedrzemy się i rozpędzimy orki – obiecał Wulfgar. Podszedł do niej i uściśnił mocno w swych mocarnych ramionach. – Wygnamy ich przed zimą, zapędzimy do dziur przed połową lata. Ich dni się skończyły, Bruenor odzyska te ziemie dla porządných ludzi. A potem ruszymy do Silverymoon, a nawet do Sundabaru, jeśli zechcesz!

Trzymał ją tak blisko, że nie widział wyrazu jej twarzy.

I tak by zresztą nie pojął niczego, co by z niej wyczytał, gdyż kobieta była sztywna jak manekin. Nie miała jak mu odpowiedzieć, nie wiedziała nawet, jak zapytać.

Rezygnacja mocno zderzyła się z jej niecierpliwością. Kobieta nie miała dość serca, by zacząć odliczać szereg wielu, wielu dni.

* * *

Nikwillig wyszedł z Księżycowego Lasu w towarzystwie Hraliena, podleczonego i pewien, że dołączy do Cytadeli Felbarr, by pomóc Mithrilowej Hali. Pójdą na południowy zachód, ku Surbrin, by zebrać konieczne informacje. Hralien zamierzał powrócić do siebie, kiedy upewni się, że Nikwillig dotarł bezpiecznie do swego krasnoludzkiego domu.

Kiedy dotarli nad rzekę, dostrzegli wrogów, wciąż wznoszących i tak już solidne umocnienia. Zachodniego brzegu strzegła palisada z zaostrzonych pni, widać też było stosy kamieni, przygotowane dla kręcących się po okolicy gigantów albo dla wielu budowanych na miejscu katapult.

– Sądzą, że utrzymają to wszystko – zauważył Nikwillig. Hralien nie odpowiedział.

Wkrótce potem ruszyli na wschód, maszerując długo w noc, oddalając się od brzegu. Następnego ranka wyruszyli wcześniej. W południe dotarli do skrzyżowania dróg.

– Żegnaj, krasnoludzie – powiedział Hralien. – Wasz wróg jest naszym wrogiem, spodziewam się więc, że wkrótce znów się spotkamy.

– Miło było cię poznać – odparł Nikwillig. – A jeśli Moradin pozwoli, ucieszę się i z następnego spotkania.

– Właśnie – powiedział z uśmiechem Hralien. Poklepał krasnoluda po ramieniu i ruszył na północ, ku domowi.

Nikwillig popędził w swoją stronę. Nigdy nie spodziewał się, że przeżyje bitwę na północ od Doliny Strażnika, uważał, że jego misja była samobójstwem. A jednak, mimo wszystko, wracał do domu.

Przynajmniej tak sądził.

O zmierzchu dotarł na wysokie urwisko. Stamtąd dostrzegł daleko, na południu, obozowisko wielkiej armii.

Armii, którą znał.

Ruszyła Cytadela Felbarr!

Nikwillig uniósł pięść i wykrzyknął, zagrzewając swoich pobratymców do walki i przyjrzał się, jak wielka dzieli ich odległość. Chciał być tam jak najprędzej, dołączyć do nich, lecz wiedział, że tej nocy zmęczone nogi nigdzie go już nie uniosą. Usiadł więc, przygotowując się do krótkiego odpoczynku.

Zamknął oczy.

Obudził się, kiedy słońce zbliżało się już do zenitu. Zerwał się na równe nogi i pognął na południowy kraniec urwiska. Armii już tam nie było – wiedział, że maszeruje na wschód. Na wschód, ku rzece i potężnym umocnieniom, które tam umieszczono.

Krasnolud rozejrzał się wokoło, popatrzył na ziemię, szukając jakichś śladów swoich pobratymców. Czy zdoła ich dogonić?

Nie wiedział, ale czy ma siłę to sprawdzić?

Nikwillig podskakiwał przez kilka minut, a jego umysł pędził jeszcze szybciej niż ciało. Przypomniało mu się tylko jedno imię: Hralien.

Zaraz potem zbiegł z urwiska, kierując się nie na południe, lecz na północ.

17.

NADGORLIWOŚĆ

Bruenor Battlehammer stał przy wschodniej strażnicy na moście przerzuconym nad Wąwozem Garumna, doglądając przygotowań do wypadu. Wokół pędzili kurierzy, przynosząc wiadomości i informacje od inżynierów i wielu zwiadowców działających na wschodnich zboczach góry, wykrzykujących informacje przez zimne kominy do wielkiego Podmiasta. Władca krasnoludów miał na sobie zbroję królewską, a jego tarczę zdobił pieniający się kufel piwa. Wysłuchony, zdobiony wieloma szczerbami topór Bruenor przewiesił sobie przez ramię, nie miał jednak swego słynnego hełmu bez jednego rogu.

Byli przy nim też Regis i Wulfgar, jak również Banak Brawnnavil, przypięty pasami do wozu z dwoma mocnymi kijami. Nosiło go czterech mocnych krasnoludów, zdecydowanych zanieść go do walki, na miejsce, z którego mógłby kierować poruszeniami różnych oddziałów.

– Dziewczyna straci całą zabawę – zauważył Bruenor, mając na myśli Catti-brie, której brak dawał się odczuć. Długo kłóciła się o to, by jednak mogła wstać, lecz Cordio i inni kapłani nawet nie chcieli o tym słyszeć. W końcu Wulfgar i Bruenor po cichu zauważyli, że jej obecność tutaj bardziej da się we znaki tym, którzy przy niej są, niż cokolwiek innego.

– Zabawę? – powtórzył jak echo Regis.

Wciąż spoglądał na wschód, gdzie zbudowano trzy platformy. Na każdej z nich stał skład wagoników na rudę, ustawionych na szczycie bardzo wysokiej rampy. Tory przechodziły nad przepaścią i znikwały w głębi korytarzy. Drzwi do nich zostały otwarte, lecz orki, trolle i giganci wykonali kawał niezłej roboty, zwalając głazy po tej stronie góry, więząc krasnoludy w ich dziurze. Dlatego, kiedy inżynierowie położyli szyny, górnicy przebili jeszcze głębiej tunele, docierając prawie do samej krawędzi zbocza, tak blisko otwartej przestrzeni, że często musieli przerywać i pozwolić przejść hałasującym orczym strażnikom.

– Zabawa w stylu Pwenta – zauważył sarkastycznie Bruenor. – Ten głupi krasnolud nie dał się namówić, by usiąść w środkowym składzie, a nie na jego szczycie!

– Polecą pierwszy, a dzięki swemu hełmowi z kolcem wywali od razu połowę góry – dodał Banak. – I będzie rad z każdego kamulca, który spadnie na jego zbyt twarde łeb.

– Bez wątpienia – odparł Bruenor.

– Środkowy tunel wygląda na najszerszy – powiedział znacznie poważniej już Wulfgar.

– Zatem ja sam poprowadzę tamtędy szarżę – oznajmił król.

– Myślałem, czy by nie iść po lewej – powiedział barbarzyńca. – Zwiadowcy mówią, że wieża jest dobrze strzeżona. Trzeba będzie szybko ją zająć.

– No to na lewo. Obaj tamtędy pójdziemy.

– Ale musisz dowodzić w centrum – powiedział Regis.

– Eee tam! – parsknął Bruenor. – Tam będzie walczyć Pwent, a on nie przyjmuje niczych rozkazów. Chłopcy dotrą szybko do Banaka, a on przekaże rozkazy ku rzece.

Kiedy Bruenor mówił, cała trójka – krasnolud, człowiek i niziołek – popatrzyła na rannego Banaka. Wszyscy zauważyli wdzięczność, jaka pojawiła się na twarzy sędziwego wojownika. Chciał zobaczyć tę bitwę, chciał dokończyć to, co zaczął na urwisku nad Doliną Strażnika. Jak wszyscy nauczyli się na przykładzie Pikela Bouldershouldera, fizyczna niemoc nie jest tak dotkliwa, jeśli ranny nadal mógł w jakiś sposób się przydać.

Rozmowa trwała jeszcze przez jakiś czas, lecz tym razem nie mówili o rzeczach istotnych; usiłowali zabić ciągnące się w nieskończoność minuty, aż z Podmiasta dotarły ostatnie wieści. Wszyscy stojący w Wąwozie Garumna po prostu chcieli ruszyć, przebić się i zatracić w walce. Krasnoludy z klanu Battlehammer wiedziały, że takie chwile są zwykle najbardziej wyczerpujące.

Dlatego cała czwórka popatrzyła z nadzieją na gońca, pędzącego ku nim z głębi Mithrilowej Hali.

– Królu... – wysapał krasnolud – Zwiadowcy mówią... że Felbarr... jest gotowy... przeprowić się... a orki... pobiegły... na brzeg...

– Pora – przerwał mu Bruenor.

Gwizdnął przenikliwie, zwracając uwagę stojących w pobliżu krasnoludów, po czym uniósł swój topór bojowy i potrząsnął nim mocno.

Stojący najbliżej zaczęli wiwatować i wkrótce wrzawa rozeszła się po całym wąwozie niczym fala w sadzawce. Wojownicy zaczęli wsiadać do wózków na rudę, jak najgęściej, zaciągając grube, metalowe zasłony. Inżynierowie podeszli do blokujących trzpieni.

Wulfgar odszedł w stronę lewego tunelu, niemal przewracając Nanfoodle'a. Gnom biegł dołączyć do Bruenora, który udzielał właśnie Banakowi ostatnich instrukcji.

– Szkoda, że już nie ma ani kropli oleju gromów – narzekał gnom.

– Eee tam, krasnoludy wywalą ściany sobą! – odparł Regis, naśladując Bruenora najlepiej jak potrafił. Kiedy król spojrział na niego zdziwiony, niziołek puścił do niego oko.

Wyglądało na to, że Regis odłożył swoje wątpliwości na bok, a przynajmniej stłumił je, lecz nim Bruenor zdołał odkryć, o co dokładnie chodzi, wyciągnięto trzpienie i trzy wielkie składy zaczęły zjeżdżać po szynach.

Zjechały z niemal pięćdziesięciu stóp. Nabierając pędu na naoliwionych torach wpadły w niskie, wąskie tunele. Ich wypuszczenie było tak zgrane w czasie, że przejechały swoimi korytarzami niemal równocześnie i niemal równocześnie uderzyły w zewnętrzną część blokady.

Zgrzyt zgniatanego metalu i łoskot spadających kamieni poniósł się echem w głównych komnatach, wywołując chóralny okrzyk radości wśród zgromadzonych wojowników.

Natychmiast rzucili się do szarży.

Wulfgar poprowadził tych po lewej, choć aby zmieścić się w korytarzu, musiał zgiąć się we dwoje. Widział przed sobą blask dnia, gdyż wagoniki przebiły się na wylot i spadły na dół. Ich pasażerowie już wyczołgivali się z wraków z bronią w rękę.

Barbarzyńca wybiegł na zewnątrz i zobaczył, iż zaskoczenie było całkowite. W okolicy było zaledwie kilka orków, a ci wyglądali raczej na przestraszonych niż chętnych do bitki. Wulfgar zignorował instynkt nakazujący zająć się poobijanymi pasażerami wagoników. Zamiast tego pobiegł w lewo, po skalistym zboczu, w stronę wieży. Drzwi były częściowo otwarte, ork schował się za nimi dokładnie w tej samej, gdy Wulfgar opuścił bark i uderzył w nie z rozpędu.

Ork stęknął i przeleciał przez pomieszczenie, wymachując kończynami; jego trzech towarzysze przyglądali się temu ze zdumieniem. Nie mieli pojęcia, że wróg się przedostał, nawet kiedy Aegis-fang opadł, rozwalając czaszkę temu, który stał najbliżej wejścia.

Wulfgar przebiegł obok padającego ciała, zamachując się młotem. Następny ork odskoczył i obrócił się, pragnąc się wymknąć, lecz młot zahaczył go na tyle mocno, że cisnął go w powietrze. Lot broni zakończył się gwałtownie na kamiennej ścianie. Wulfgar ruszył do przodu, uderzając trzeciego orka, który szybko odskoczył poza jego zasięg. Lecz barbarzyńca tylko zmienił kierunek uderzenia młota, tak że wbił się w plecy przyciśniętego twarzą do ściany orka, miażdżąc mu żebra i rozrywając boki. Istota sieknęła, krew pociekła z ust.

Wulfgar nie sprawdzał jednak, pewien, że cios był śmiertelny. Puścił Aegis-fanga świadom, że powróci na jego wezwanie i popędził naprzód, zbijając włócznią ostatniego orka, którą usiłował się niezgrabnie zastawić.

Wielki barbarzyńca podszedł bliżej i owinął rękę wokół jego szyi, po czym nacisnął mocno do siebie i w dół, wyginając go do tyłu i wyduszając życie.

– Nad tobą! – zawołał ochryple od drzwi jakiś krasnolud.

Wulfgar obejrzał się i zobaczył Billa Husken Nuggeta, strażnika, który był na wieży, gdy została zaatakowana. Billa powalono zatrutą strzałką, a jego gardło zostało precyzyjnie przecięte, odbierając mu głos, który dopiero teraz zaczął odzyskiwać. Wycofujące się krasnoludy sądziły, że jest martwy, lecz, jak to miały w zwyczaju, zabrały go ze sobą... i uczyniły słusznie, gdyż niedługo potem ocknął się, klnąc szeptem na czym świat stoi.

Wzrok Wulfgara pomknął w górę, w samą porę, by zobaczyć orka, ciskającego włócznią ze strychu. W tej samej chwili stwór zachwiał się, gdy wystrzelony przez Billa bełt zatonał w jego boku.

Wulfgar nie mógł uskoczyć, więc obrócił się tylko i zasłonił, wyciągając rękę, którą wciąż ścisnął za gardło umierającego orka. Włócznia wbiła się w jego plecy, Wulfgar odrzucił trupa na bok. Zerknął na Billa, który puścił do niego oko, po czym wbiegł na drabinę i skoczył, wyciągając ręce, by złapać się za skraj otworu prowadzącego na strych. Dzięki niezwyklej sile,

z łatwością się podciągnął.

– Aegis-fang! – krzyknął, przywołując zaczarowany młot. Rycząc i wymachując nim, szybko wygonił orki ze strychu.

Na dole krasnoludy, w tym Bili i Bruenor, wykańczały je, gdy tylko uderzały o ziemię.

Wulfgar podbiegł do drabiny i prawie upadł, potknąwszy się o niewielką postać, która przebiegła obok niego. Nie był zaskoczony, widząc Regisa wychodzącego przez małe okienko na strychu, nie był też zaskoczony, kiedy wspiąwszy się na drabinę i wyważywszy ramieniem kłapę dociążoną kilkoma workami zapasów zobaczył niziołka spoglądającego na niego ponad krawędzią otworu.

Gdy tylko Wulfgar skupił na sobie uwagę wszystkich trzech orków, niziołek podszedł, usiadł na krenelażu, wybrał cel i cisnął swoim buzdyanem. Broń zawirowała w powietrzu i trafiła orka w twarz. Stwór cofnął się chwiejnie i niemal przeleciał przez blanki, a kiedy się wreszcie wyprostował, rozpędzony niziołek wpadł prosto na niego. Ork spadł, za nim zaraz następny, wyrzucony przez Wulfgara. Trzeci, widząc rozwścieczonego barbarzyńcę, wyskoczył sam.

– Dobre miejsce na dowodzenie! – zawołał Bruenor, wchodząc przez kłapę. Podbiegł ku południowej części wieży i spojrzał na pole bitwy.

Szeroki uśmiech na jego twarzy znikł, kiedy obrócił oczy na wschód, ku rzece.

* * *

Wstrząs, kiedy uderzyli o ścianę, zatrzęsł ich zębami i ścisnął tak, iż nagle ośmiu krasnoludów znalazło się w miejscu zajmowanym wcześniej przez dwóch. Wszyscy jakoś to znieśli.

Nie tylko w tym wagoniku i w kolejnych dziewięciu tego składu, ale i w dwudziestu innych, tworzących pozostałe.

Ivan i Pikel Bouldersoulder wyprostowali się i pchnęli z całej siły do tyłu, usiłując uniknąć zmiżdżenia przez pozostałych. Jednak wstrząsy powtarzały się, żelazne wózki skręcały się i wyginały. Spod ich kół wylatywały kamienie.

Kiedy wreszcie wszystko się uspokoiło, Ivan pierwszy wcisnął plecy w podziurawioną osłonę wózka. Otworzył ją na tyle, aby móc wysunąć głowę.

– Na Moradina! – krzyknął do swoich towarzyszy. – Pchajta, chopaki, i to żywo!

Widział, że plan nie udał się do końca, przynajmniej u nich. Z trudem przebili się przez skalną ścianę, sprowadzili za to lawinę, która zasypała połowę składu i powgniatła blachy. Blokowali sobą wyjście z tunelu, uniemożliwiając wyjście pozostałym wojownikom.

Chwycił pogiętą osłonę i pociągnął z całej siły. Kiedy nic to nie dało, wyciągnął rękę i usiłował zepchnąć kilka przygniatających ją kamieni.

– Dalej, chopaki! – krzyczał. – Bo orki dostanom nas w pudełeczku ze wstążeczkom!

Zaczęli zgodnie walić w metalową osłonę, która ze skrzypieniem uchyliła się nieco bardziej. Ivan nie czekał i przecisnął się na zewnątrz.

Widok wcale nie był zachęcający. Tylko dwa z dziewięciu wagoników były otwarte, a krasnoludy wychodziły na zewnątrz, zakrwawione i oszołomione. Wyglądało na to, że wraz z nimi spadła połowa górskiego zbocza i tutaj utkwili.

Na wschodzie Ivan widział i słyszał zbliżającą się szarżę orków.

Jasnobrody krasnolud wspiął się na swój uszkodzony wagonik i zepchnął na bok kilka dalszych kamieni, po czym z całych sił pociągnął za osłonę.

Pierwszy wyskoczył Pikel, a potem jeszcze jeden krasnolud i następny, zaś Ivan przez cały czas wykrzykiwał zachęty.

Orki zbliżały się.

Potem usłyszeli drugi ryk, dochodzący z miejsca znajdującego się na północ od ich pozycji. Ivan wystawił głowę nad stertę kamieni i zobaczył kontrszarżę Battlehammerów. Składy środkowy i północny przebiły się dokładnie tak, jak planowano, armia Mithrilowej Hali wybiegała na zewnątrz w całej swojej chwale, skręcając na wschód i południe, by utworzyć pierścień wokół rozbitego południowego składu. Krasnoludy starły się z orczą nawałą, topór przeciw włóczni, miecz przeciw mieczowi, a tak zażarcie, iż połowa orków i krasnoludów padła w pierwszych chwilach walki.

Ivan wyskoczył z rumowiska i poprowadził szarżę tych niewielu krasnoludów z południowego składu, którzy byli w stanie walczyć. Było ich zaledwie dwudziestu na osiemdziesięciu, którzy znajdowali się w składzie; reszta była albo poważnie ranna, albo nie mogła wyjść z powgniatanych i na wpół przysypanych wagoników.

Nim Ivan, Pikel i pozostali włączyli się do walki, natarcie orków zostało powstrzymane. Nacierano coraz więcej krasnoludów, które ustawiały się w szyki i maszerowały równo, by wesprzeć flanki i przerwać napływ kolejnych fal orczych wojowników.

– Ku rzece, chłopcy! – wołano od czoła. Ivan rozpoznał głos Treda. – Przyszli chłopcy z Felbarr i potrzebują nas!

To właśnie chcieli usłyszeć Battlehammerowie. Natarli jeszcze mocniej, pchając przed sobą orki i wykrzykując raz po raz „Ku rzece!”.

* * *

Natarcie w centrum i na południu okazało się silne. Krasnoludy przełamały opór przeciwnika i podążały z niezłym impetem, lecz ze szczytu wieży Bruenor, Wulfgar i Regis mieli na wszystko całkiem inny punkt widzenia.

Regis zamrugał i odwrócił wzrok, gdy wielki głaz uderzył w środek tratwy pełnej krasnoludów z Felbarru, wrzucając kilku z nich do lodowatej wody i przewracając łódź.

Łodzie płynęły pod prąd, krasnoludy usiłowały wiosłować, by wylądować na drugim brzegu jak najbliżej pola walki. Lecz orki i giganci mieli kilka własnych sztuczek. Na kursie łodzi pojawiły się ostre pnie, wbijając się w burty i utrudniając wiosłowanie. Deszcz głazów, ciskanych przez gigantów i miotanych z katapult, z każdą sekundą stawał się coraz bardziej gęsty. Wpadały do wody z głośnym plaśnięciem, wyrzucając fontanny wody, bądź przebijały krasnoludzkie łodzie.

Płynął ich już ponad tuzin, a w każdej siedziały dziesiątki krasnoludów. Trzej stojący na wieży obserwatorzy martwili się, czy którejkolwiek z nich uda się dobić do brzegu.

Bruenor krzyczał do dowódców na dole:

– Dotrzyjcie do tej przeklętej rzeki i zawróćcie na pomoc! Musimy oczyścić brzeg! Zapędźcie ich na skalną półkę – polecił Wulfgarowi. – Musimy powstrzymać tych gigantów!

Barbarzyńca kiwnął głową i zszedł po drabinie, lecz Regis pokręcił tylko głową i powiedział to, czego się obawiał:

– Jest ich zbyt wielu.

W ciągu kilku minut krasnoludzkie natarcie rozdzieliło armię orków na pół, kierując się prosto ku brzegom Surbrin. Im więcej jednak krasnoludów biegło, by wesprzeć szeregi, tym więcej orków nadbiegało z pomocy. Wielka masa przebiegała górskim szczytem, by dołączyć do walki.

Bruenor i Regis mogli tylko przyglądać się temu bezradnie. Bruenor widział, że zdobędą brzeg i utrzymają się na południe od tej ostrogi, lecz nie zdołają przedostać się tak daleko na północ, by osłabić ostrzał gigantów i pomóc tym z Cytadeli Felbarr.

Kolejny głaz zniszczył jedną z łodzi – połowa krasnoludów wpadła do wody, ciężkie zbroje wciągały ich w lodowate odmęty.

Regis przetarł pulchnymi dłońmi twarz.

– Na bogów – jęknął.

Bruenor uderzył pięścią w kamień, po czym zszedł po drabinie na dół. W ciągu kilku chwil znalazł się na zewnątrz wraz z Wulfgarem, wołając do siebie każdego krasnoluda. Wraz z barbarzyńcą poprowadzili atak wprost na północ, ku skalnej półce i poza nią.

Regis krzyczał za nim, lecz nadaremnie. Niziołek widział, jak wielkie siły znajdują się za skałami, wiedział też, że Wulfgar i Bruenor spieszą na pewną śmierć.

Na rzece zatonąła kolejna łódź.

18.

O KRASNOLUDZKI WŁOS

Nikwillig jęczał i krzyczał, kiedy wywróciła się kolejna z łodzi, skazując dzielnych krasnoludów na śmierć w wodzie. Spojrzał na swego towarzysza, szukając jakichś oznak nadziei.

Hralien, równie sfrustrowany jak krasnolud, patrzył w tył, na przebiegających właśnie między głazami swoich wojowników. Namierzyli miejsce, z którego padały najbardziej mordercze salwy. Trójka gigantów miała z tego wiele zabawy – ciskali w bezbronne, przepływające obok łodzie jeden głaz za drugim.

Wódz elfów wiele razy nakazywał gestem spokój swoim wojownikom, lecz wszyscy, nawet Hralien, byli rozwścieczeni widokiem znacznych krasnoludów, tak bezkarnie mordowanych. Jednak Hralien trzymał ich w ścisłym szyku i zakazywał strzelać z łuków, dopóki giganci nie znajdą się dokładnie pod nimi.

Elf skinął głową i jego podwładni, sześć dziesiątek najlepszych wojowników z Księżycowego Lasu, naciągnęli haki. Kilka przekazanych ręką znaków i grupy podzieliły się celami, a okrzyk Hraliena puścił je w ruch.

Każdego giganta trafiły dziesiątki strzał, a jeszcze nim uderzyły w cel, łucznicy mieli już na cięciwach następne.

Pomknęło następne sześćdziesiąt, a szum nadlatujących strzał zagłuszył nawet krzyki rannych gigantów.

Jeden z trzech padł po drugiej salwie, chwytając drzewce wystające mu z grubego karku. Dwaj pozostali ruszyli chwiejnie, ale nie w stronę przeciwników. Wielkoludy widziały już wystarczająco wiele elfich oddziałów. Jeden padł płasko na ziemię, a drugi, trafiony wiele razy w nogi, usiłował mimo wszystko ustać. Przyjął na siebie całą trzecią salwę; trzy tuziny strzał cisnęły go na kamienie.

Na zachodnim brzegu, gdzie panowała radość z łatwej rzezi krasnoludów, wszczął się tumult. Giganci krzyczeli, a orki, dziesiątki i setki, kręciły się bezradnie wokół.

– Dalej! – wołał Hralien do swoich. – Nie pozwólcie im zbliżyć się na tyle, byśmy musieli sięgnąć po miecze!

Oddział księżycowych elfów ustawił się w szeregu – wszyscy mieli zacięte twarze, zielone płaszcze łopoczące na wietrze i jednakowe, srebrne hełmy, rozszerzające się na podobieństwo ptasich skrzydeł. Założyli strzały i unieśli łuki do góry, by wybierać najbardziej dogodnie dla siebie cele.

Niewiele orków postanowiło ruszyć w ich stronę, dlatego tych celów było coraz mniej.

Elfy pomaszerowały na południe, a kierunek ich marszu wskazywały chmury strzał.

* * *

Wulfgar poprowadził szarżę przez skalną półkę. Natychmiast opadły ich orki, biegnące na południe, by wesprzeć towarzyszy.

Wymachując Aegis-fangiem, potężny barbarzyńca rozpędził najbliższych przeciwników. Wielki zamach młotem cisnął parę orków do tyłu, potem zrobił krok do przodu i pchnięcie – i kolejny ork odrzucony. Obok Wulfgara dziko nacierały krasnoludy, tnąc i siekając, odpychając orki na bok, jeśli nie mogliby trafić ostrzem.

– Na górę! – krzyczał Wulfgar chcąc, by jego oddziały jak najszybciej zabezpieczyły skalną półkę.

Sam parł na górę, kamień za kamieniem. Na dół spadały orki, które usiłowały stawić mu opór, powalone na ziemię albo rzucone na bok. Jako pierwszy dotarł na szczyt i trwał tam niewzruszenie niczym gigant między orkami i krasnoludami.

Wzywał krasnoludy, by zgromadziły się wokół niego i tak się stało. Nadbiegały małymi grupkami, ustawiając się wokół w idealnym szyku. Ci pierwsi stanęli po bokach barbarzyńcy, następni zaczęli osłaniać ich boki. Nadbiegli kolejni, lecz orki nie były równie zdecydowane. Po drugiej stronie zbrocza skręcały na wschód lub zachód, aby uniknąć potężnego barbarzyńcy i jego potężnego młota.

Ze swego miejsca Wulfgar widział, że szykuje się katastrofa: daleko na wschód, nad brzegiem, stała tak wielka masa orków, gotowych ruszyć na południe, że krasnoludy prawdopodobnie nie zdołają utrzymać tego, co zdobyły. Krasnoludy były również nad rzeką, na południe od skalnej ostrogi, gorączkowo umacniając zdobytą pozycję.

Jeśli dadzą się odepchnąć od rzeki, dzielni wojownicy z Felbarr nie będą mieli gdzie wylądować.

Spoglądając na rzekę, na fontanny wody wywołane przez głazy, miotające się w wodzie krasnoludy, podziurawione łodzie i spadające pociski, Wulfgar zastanawiał się, czy utrzymanie brzegu cokolwiek zmieni. Czy w ogóle któryś krasnolud do niego dotrze?

Mimo to Battlehammerowie musieli spróbować. Dla dobra krasnoludów z Felbarr, dla dobra całej krasnoludzkiej społeczności.

Wulfgar obejrzał się za siebie i zobaczył Bruenora, prowadzącego kolejny oddział na wschód, wzdłuż podstawy ostrogi, ku rzece.

– Na wschód! – rozkazał swoim Wulfgar. – Staniemy wyżej i każemy orkom drogo zapłacić za każdy kamyk!

Krasnoludy krzyknęły radośnie i ruszyły za nim, zbiegając po kamiennej półce ku miejscu, gdzie skała znikła w rzece. Mając zaledwie setkę, wojowników na pewno przegrają i zostaną

bardzo szybko wybici. Wszyscy to wiedzieli, a mimo to szarżowali z chęcią.

Zatrzymali się na wąskim pasie wysokiej skały, między polem walki na południu – gdzie do walki włączył się Bruenor i krasnoludy zaczęły wygrywać – a zbliżającym się z północy mrowiem.

– Bruenor osłoni nam tyłki! – krzyknął Wulfgar. – Bronimy się tylko od północy!

Krasnoludy zajęły najlepsze stanowiska, które dawałyby im jakąś osłonę od pomocy, wierząc, że król i jego krewniacy ochronią ich od południa.

– Każda chwila, jaką damy tym za nami, przybliży chwilę, kiedy Felbarr wylądje na naszym brzegu! – krzyknął Wulfgar. Musiał krzyczeć bardzo głośno, gdyż chmara orków zbliżała się z wrzaskiem i wyciem.

Dopadły do podstawy wąskiej półki i zaczęły pięć się w górę. Wulfgar i pozostali ciskali w nich głazami, strzelali z kusz, a na ich plecy spadały ciosy Aegis-fanga. Te, które zdołały dotrzeć do lepiej umocnionych pozycji, natknęły się na Wulfgara, syna Beornegara. Trwał on niczym stary dąb, wysoki, potężny i nieugięty.

Wulfgar, który przetrwał w Dolinie Lodowego Wichru, nie chciał ustąpić.

Wulfgar, który przeżył męki demona Errtu, pokonał swoje lęki i zignorował ciosy orczych włóczy.

Krasnoludy zgromadziły się wokół niego, wykrzykując przy każdym ciosie topora czy młota, każdym pchnięciu zadany porządnie wykonany mieczem. Wrzeszczeli, aby zapomnieć o bólu ran, o otartych kostkach, dziurach i pchnięciach. Wrzeszczeli, aby zapomnieć o prawdzie, że wkrótce fala orków zmyje ich stąd i poniesie ku Halom Moradina.

Wrzeszczeli, a ich głos stał się wkrótce jeszcze głośniejszy, gdy na pomoc przybyli im kolejni, walczący u boku Bruenora, wraz z królem, zdecydowanym zginąć u boku swego bohaterskiego, przybranego syna.

Za nimi do brzegu dotarła pierwsza łódź z krasnoludami z Felbarru. Krasnoludy natychmiast ruszyły na pomoc. Potem przybiła druga, a zbliżało się ich o wiele, wiele więcej.

Bruenor i Wulfgar wiedzieli jednak, że to nie wystarczy. Wrogów było zbyt wielu.

– Wracamy do Hali? – spytał Wulfgar.

– Nie mamy jak stąd uciec, chłopcze – odparł Bruenor. Wulfgar skrzywił się, słysząc bezradność w głosie krasnoluda.

Wyglądało na to, że ich śmiały wypad był skazany na klęskę, na całkowitą porażkę.

– Walcz więc dalej! – powiedział do Bruenora i krzyknął, by wszyscy mogli go usłyszeć: – Walczcie! Za Mithrilową Halę i Cytadelę Felbarr! O własną skórę!

Na północnym zboczu orki ginęły dziesiątkami, lecz wciąż nacierały. Na miejsce każdego zabitego pojawiały się dwa nowe.

Wulfgar dalej stał na środku linii, choć ramiona mu osłabły i wolniej wymachiwał młotem.

Krwawił z wielu ran, jedna ręka, którą zbyt późno zablokował cios orczej pałki, spuchła do dwa razy większych rozmiarów. Lecz chciał, aby ta właśnie ręka zacisnęła się na stylisku młota.

Chciał uspokoić trzęsące się nogi.

Krzycząc i rycząc, rozwalił głowę kolejnemu orkowi.

Nie zwracał uwagi na tysiące, wciąż nadciągające z północy, skupiając się na tych, którzy podeszli mu pod ręce.

On i pozostali tak bardzo się w tym zatracili, że nie zauważyli, jak szeregi orków nagle się przeredzają. Nikt nie zauważył, że orki nagle uciekają na zachód, pojedynczo lub grupkami, bądź nagle walą się na skały, niektóre w drgawkach, inne martwe już w chwili, kiedy dotknęły ziemi.

Żaden z nich nie słyszał szumu elfich strzał.

Po prostu walczyli i walczyli. Kiedy coraz mniej orków bieгло w ich stronę byli tak samo zaskoczeni, jak uradowani.

Zastępy orków, walczące z upartym wrogiem na południu i dziesiątkowane przez nowego przeciwnika na pomocy, poszły w rozsypkę.

* * *

Walka na południe od szczytu trwała już od dłuższego czasu. Kiedy grupa Wulfgara zdołała spojrzeć w tamtą stronę i dołączyć do głównych sił Battlehammerów, i kiedy elfy z Księżycowego Lasu z Nikwilligiem dotarły na skalną półkę i zaczęły wysyłać precyzyjne, mordercze salwy w najgęstsze i najbardziej zażarte grupy orków, wynik starcia był przesądzony.

Bruenor Battlehammer stał na brzegu rzeki na południe od szczytu, spoglądając w wartko płynącą wodę, która tego dnia stała się grobem dla setek krasnoludów z Felbarr. Uzyskali połączenie z Mithrilowej Hali do rzeki, otworzyli swoje korytarze i uchwycili przyczółek, z którego mogli zacząć ataki na północ.

Ale cena...

...cena była straszliwa.

– Wyślemy wojska na południe i znajdziemy lepsze miejsce do lądowania – powiedział do niego Tred. Jego głos był stłumiony silnym wrażeniem, wywołanym ponurym obrazem pola walki.

Bruenor spojrział na twardego krasnoluda i stojącego obok niego Jackonraya.

– Jeśli zdołamy oczyścić brzeg na południu, nasze łodzie będą mogły płynąć z dala od gigantycznych katapult – wyjaśnił Jackonray.

Bruenor ponuro skinął głową.

Tred ośmielił się poklepać znużonego króla po ramieniu.

– Wiemy, że dla nas uczyniłbyś to samo. Gdyby to Cytadela Felbarr była zagrożona, król Bruenor wraz ze swoimi chłopakami skoczyłby w ogień, byle by nam tylko pomóc.

Bruenor wiedział, że to prawda, dlaczego jednak woda wydawała mu się taka czerwona?

CZEŚĆ TRZECIA

ZIMOWY ODPOCZYNEK

Czy wiesz, co to znaczy być elfem, Drizzcie Do'Urdenie? Moja towarzyszka cały czas zadaje mi to pytanie; wygląda na to, że jest zdecydowana pomóc mi zrozumieć skutki życia, które trwa kilka stuleci – skutki dobre i złe, o ile zastanowić się, że tak wiele osób, z którymi miałem styczność, nie przeżyje nawet połowy tego czasu.

Zawsze dziwiło mnie, że choć elfy żyją niemal tysiąc lat, a ludzie mniej niż wiek, ludzcy magowie często osiągają taki stopień wiedzy i mocy, że potrafią stawać w szranki z największymi elfimi magami. Widocznie to nie kwestia inteligencji, lecz skupienia. Do tej pory zawsze myślałem tak o ludziach, gdyż ich pośpiech wynika ze świadomości, że ich życie nie będzie trwać wiecznie.

Teraz widzę, że częściowo jest za to odpowiedzialny elfi punkt widzenia, który nie wynika z fałszu czy słabości. Chodzi tu raczej o spokojniejszy bieg życia, pozwalający zachować zdrowy rozsądek w życiu, podczas którego oglądamy narodziny i śmierć całych stuleci. Albo, jeśli tak można rzec, jest to skokowy bieg życia, seria wybuchów.

Ku mojemu zaskoczeniu teraz to zauważam, a myśl ta pojawiła się w mojej głowie dopiero wtedy, gdy Innovindil zaczęła wyliczać swoje związki zarówno z ludzkimi, jak i elfimi partnerami. Kiedy Innovindil pyta mnie teraz: „Czy wiesz, co to znaczy być elfem, Drizzcie Do Urdenie?”, mogę uśmiechnąć się spokojnie i pewnie. Po raz pierwszy w życiu sądzę, iż wiem, co to znaczy.

Być elfem to znaczy wybierać sobie fragmenty czasu. Być elfem to przeżyć kilka krótszych odcinków życia. Nie porzucać zdolności do spoglądania naprzód, lecz również odnaleźć emocjonalnie wygodne dla nas, krótsze odcinki czasu, w których będziemy egzystować. W świetle takiego stwierdzenia znacznie istotniejsze staje się pytanie: „Gdzie znajduje się granica wygody dla takiego istnienia?”.

Istnieje wiele elementów, które narzucają nam takie decyzje – decyzje, które do pewnego stopnia pozostają raczej podświadome niż celowe. Bycie elfem oznacza przeżycie swoich towarzyszy, o ile nie są elfami, a nawet jeśli nimi są, to wieź z nimi rzadko przetrwa wiele stuleci. Bycie elfem to radowanie się szczególnymi momentami życia naszych dzieci – o ile będą półelfami, czy nawet czystej krwi – ze świadomością, że mogą ciebie nie przeżyć. W takiej perspektywie jedyną pociechą jest głębokie przekonanie, iż posiadanie tych dzieci i krótkich

chwil radości stanowi błogosławieństwo, stanowiące większą •wartość niż ból, który każda czująca istota z pewnością czuje przy śmierci swego potomstwa. Jeśli ryzyko, że ktoś będzie żył dłużej niż swoje dziecko, nawet jeśli przeżyje ono w pełni wyznaczony dla niego czas, powstrzyma w przyszłości taką osobę od posiadania dzieci, wówczas strata jest podwójnie bolesna.

Wobec tego pozostaje tylko jedna odpowiedź: być elfem to radować się życiem.

Być elfem to cieszyć się chwilą: wschodem i zachodem słońca, niespodziewanymi, krótkimi chwilami miłości i przygody, godzinami dobrego towarzystwa. To, przede wszystkim, nigdy nie dać się sparaliżować naszym obawom o przyszłość, której nie można przewidzieć, nawet jeśli przepowiednie doprowadzą cię do oczywistych i często ponurych wniosków.

To właśnie oznacza bycie elfem.

W przeciwieństwie do drowów, elfy z powierzchni często tańczą i śpiewają. Wtedy zmuszają się do trwania w teraźniejszości, chwili obecnej, a choć mogą śpiewać o bohaterach, dawnych dziejach czy prorocत्वach, tkwią w danej chwili, w teraźniejszości, chwytając radość i myśl, trzymając się ich tak mocno, jak każdy człowiek.

Człowiek może postanowić, że będzie „kimś wielkim magiem albo przywódcą, lecz dla elfów upływ czasu jest zbyt powolny, aby obierać tak konkretne i określone cele. Mówi się, że wspomnienia ludzi żyją krótko, lecz odnosi się to również do elfów. Dawno zmarli ludzcy bohaterowie bez wątpienia niezbyt przystają do tego, co wyobrażają sobie bardowie i ich widzowie. To samo odnosi się też do elfów, nawet jeśli elfi bardowie znali bohaterów swoich pieśni!

Wieki sprawiają, że wspomnienia blakną i zmieniają się, szkiełko czasu zmienia obraz.

Zatem dla elfa dobre życie to albo efekt odpowiedniego uchwycenia historycznej chwili albo, jeszcze częściej, seria połączonych, mniejszych wydarzeń, które ostatecznie składają się na coś większego. To ciągły proces rozwoju, lecz możliwy tylko dzięki zbieraniu doświadczeń.

Teraz wiem, że bycie elfem to przede wszystkim niedopuszczenie do tego, by sparaliżował nas strach przed przyszłością, której nie można kontrolować. Wiem, że umrę. Wiem, że umrą ci, których kocham, a nierzadko – tak przypuszczam, lecz nie wiem na pewno! – umrą na długo przede mną. Pewność to siła, wątpiwości są niewiele warte, a zamartwianie się wątpiwościami jest warte jeszcze mniej.

Teraz to wiem i w ten oto sposób zostałem wyzwolony z więzów przyszłości.

Teraz wiem, że każda chwila powinna być skarbem, którym trzeba się cieszyć i która powinna być doceniana jak najpełniej, w najlepszy możliwy sposób.

Teraz widzę, jak opadają wieży nic niewartych trosk i obaw.

Jestem wolny.

– Drizt Do'Urden

19.

CICHE DEKADNIE

Na dalekiej północy, na wzgórzach u stóp Grzbietu Świata, zima rozgościła się już na dobre. Zimne wiatry niosły ze sobą kłujące płatki śniegu, często padające poziomo, a nie pionowo. Drizzt i Innovindil otulali się mocniej kapturami, lecz śnieg wciąż kłuł ich w twarze, a migotanie zasp sprawiało, iż drow musiał mrużyć swoje wrażliwe oczy nawet wtedy, gdy słońce nie świeciło w pełni. Wolałby iść po zmroku, lecz wtedy było zbyt zimno. Dlatego wraz z Innovindil i Zmierchem spędzali te godziny przytuleni do siebie, przy ognisku. Nie mógł uwierzyć w tak gwałtowną zmianę pogody, biorąc pod uwagę, że wokół Mithrilowej Hali wciąż panowała jesień.

Szli powoli, może kilka mil dziennie i to tylko wtedy, gdy nie usiłovali wspinać się na wyżej położone, oblodzone przełęcze. Kilka razy odważyli się, by pegaz przeniósł ich nad szczególnie trudnymi do pokonania grzbietami, lecz tutaj wiatr był niebezpiecznie zbyt silny nawet dla potężnych skrzydeł Zmierchu. Poza tym nie chcieli zostać wypatrzeni przez Gerti i jej gigantów!

– Ile to już dni? – spytał Innovindil, kiedy w popołudniowej szarówce zatrzymali się, by odpocząć i coś zjeść.

– Dekadzień i sześć dni? – odparła, tak samo jak on niepewna, ile tak naprawdę czasu ścigali Gerti.

– Wygląda na to, że minęliśmy granice między porami roku – zauważył drow.

– W górach nigdy nie nastaje lato, a tutaj nawet wiosna i jesień wyglądają tak jak dla nas, mieszkających niżej, zima.

Słuchając Innovindil, Drizzt popatrzył na południe. Widok ten przypominał mu, jak wysoko zaszli. Przed nimi rozciągał się otwarty teren, opadający łagodnie i tak szeroki, iż wydawało się, że został spłaszczony. Widząc to, Drizzt pomyślał, że gdyby ziemia była całkiem równa i mniej popękana, mógłby puścić stąd jakiś głaz, a ten odbiłby się od wrót Mithrilowej Hali.

– Wyprzedzą nas zbyt szybko – powiedział. – Powinniśmy już ruszać dalej.

– Oni idą ku Lśniącej Bieli – odparła Innovindil. – Znajdziemy ją bez wątpienia. Z grzbietu Zmierchu wiele razy widziałam leże gigantów.

Wskazała na północny zachód, ku wyższym partiom gór.

– Czy zdołamy pokonać przełęcze? – spytał Drizzt, spoglądając na niebo koloru stali, ciężkie od chmur niosących jeszcze więcej śniegu.

– W taki czy inny sposób – odparła. Drow ucieszył się, widząc zdecydowanie Innovindil. Jej twarz miała wyraz takiej samej siły i spokoju, jak jego. – Bardzo dobrze traktowali Jutrzenkę.

– Giganci doceniają piękno.

Tak jak ja, pomyślał Drizzt, lecz nie wypowiedział tego na głos. Piękno, siła i serce połączone w jedno.

Myślał o tym, spoglądając na Innovindil, lecz sama ta myśl sprawiała, że umysł podsuwał obraz innej kobiety, którą kiedyś znał. Drizzt wiedział, że miały ze sobą wiele wspólnego, lecz nie musiał spoglądać dalej niż na szpiczaste uszy Innovindil i ostro wznoszące się brwi, by pamiętać, że są tu także ogromne różnice.

Elfka wstała od niewielkiego ogniska i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Może zdołamy oddalić się jeszcze bardziej, nim spadnie śnieg – powiedziała, mocując miecz i sztylet przy pasie. – Przy tym wietrze nie przejdziemy przez zadymkę.

Drizzt kiwnął lekko głową, lecz Innovindil była zbyt zajęta, by to zauważyć. Drow przyglądał się jej przygotowaniu, podziwiając ruch jej ciała i pasemek poruszanych przez wiatr włosów.

Przypomniały mu się pierwsze dni po upadku Płyczn, kiedy ukrywał się w jaskini, obracając w dłoniach hełm zmarłego przyjaciela. Znów poczuł pustkę, jaka go wtedy opanowała, przypominając, jak daleko od niej odszedł. Drizzt oddał się wtedy gniewowi i bólowi, być może po raz pierwszy w życiu zaakceptował poczucie całkowitej beznadziei.

Innovindil i Tarathiel wyciągnęli go z tego ciemnego miejsca cierpliwością, łagodnymi słowami i zwykłą przyjaźnią. Ze spokojem przyjmowali jego instynktowną obronę, którą reagował na każdą próbę zbliżenia się z ich strony. Bez podejrzeń przyjęli wyjaśnienia o śmierci Ellifain.

Drizzt Do'Urden wiedział, że nikt nigdy nie zastąpi Bruenora, Catti-brie, Regisa i Wulfgara; ta czwórka była właściwie częścią jego osoby. Ale może wcale nie musiał ich zastępować. Zamiast próbować zatykać te puste miejsca, może zaspakajać swoje potrzeby emocjonalne wokół nich.

Wiedział, że to właśnie obiecuje mu Innovindil.

I był z tego zadowolony.

* * *

– Prędzej – powiedziała Kaer'lic w łamanym krasnoludzkim. Podczas kilku spędzonych na powierzchni lat nauczyła się kilku słów; dzięki twardej wymowie spółgłosek język ten całkiem przypominał język drowów, a jeszcze bardziej svirfneblinów, którym posługiwała się płynnie. Aby dodać wagi swoim słowom, nawet jeśli wypowiedziała je niepoprawnie, kopnęła Fendera w plecy, popychając go do przodu.

Prawie się przewrócił, lecz, choć był ranny, był na to zbyt uparty. Wyprostował się i popatrzył na nią, mrużąc szare oczy pod krzaczastymi brwiami w groźnym grymasie.

Kaer'lic uderzyła go w twarz ręką maczugi.

Fender przewrócił się, kaszlnął krwią i wypluł ząb. Próbował na nią krzyknąć, lecz z perfekcyjnie przeciętego gardła wydostało się tylko rżenie i świst, jakby wiatr przeciskał się między powieszonymi kartami pergaminu.

– Ostrożniej – powiedział do niej Tos'un. – Im bardziej go uszkodzisz, tym wolniej będziemy szli.

Drow spojrział na południe, jakby oczekując, że zobaczy ognisty rydwan lub oddział przeciwnika.

– Powinniśmy zostawić go z Proffitem. Trolle zjadłyby go i byłoby po kłopotcie.

– Albo uratowałyby go lady Alustriel i jej armia, pokonawszy Proffita, a on raz-dwa opowiedziałby im o dwójce włóczących się po powierzchni mrocznych elfów?

– No to zabijmy go i będzie spokój.

Kaer'lic umilkła i przez chwilę patrzyła na swego towarzysza. Pozwoliła sobie okazać rozczarowanie, gdyż po tych wszystkich latach spodziewała się po wojowniku z Domu Barrison Del'Armgo czegoś więcej.

– Obould więcej niż my z niego nie wydobędzie – powiedział Tos'un niepewnie, a jego głos świadczył, iż jest świadom, że to tylko niezgrabny unik. – Nie będziemy musieli układać się z królem orków... będzie rad, że do niego wróciliśmy, nawet jeśli wieści, które niesiemy, niezbyt mu się spodobają.

– Wieści o porażce Proffita i odbudowie Nesme rozwścieczą go.

– Jest jednak na tyle cwany, by oddzielić wiadomość od posła.

– Zgoda – powiedziała Kaer'lic. – Lecz zakładasz, że król Obould wciąż żyje, a jego wojska nie są rozbite i pokonane. Czy przyjmujesz do wiadomości, iż być może wracamy na północ, gdzie być może znów rządzi król Bnienor Battlehammer?

Najwyraźniej Tos'un również o tym myślał, bo popatrzył na Kaer'lic i kopnął Fendera, gdy krasnolud próbował wstać.

– Jak znów zobaczę Donnie, to oberwie za wciągnięcie nas w tę okropną awanturę.

– Obawiam się, że o ile znów zobaczymy Donnie i Ad'nona, będziemy musieli poszukać sobie innej rozrywki – odparła Kaer'lic, kładąc nacisk na jedno ze słów. – A może Obould będzie dalej nacierał i zdobywał. Może wszystko pójdzie lepiej, niż się spodziewaliśmy, mimo porażki na północnych brzegach Trollowych Wrzosowisk. Jeśli Obould zabezpieczył Mithrilową Halę, to czy nawet lady Alustriel będzie miała dość sił, aby go wygonić?

– Czyż można pragnąć czegoś więcej?

Na powierzchni to pytanie brzmiało śmiesznie, lecz nim Kaer'lic warknęła odpowiedź, przypomniała sobie ostatnie spotkanie z królem orków. Był tak niebezpiecznie pewny siebie i władczy. Nie poprosił ich o to, by poszli z Proffitem na południe, on im to rozkazał.

– Co będzie, to będzie – powiedziała.

Popatrzyła na Fendera, podniosła go za kołnierz i popchnęła brutalnie.

Na północnym wschodzie widzieli jaśniejący wierzchołek Czteroszczytu, który zdawał się oddalony może o dzień drogi.

Tam kryła się odpowiedź.

* * *

Trudno było potraktować Thibbledorfa Pwenta poważnie, jeśli z jego zbroi wciąż zwisały rozmaite kawałki orków. Lecz w tym czasie smutku i rozpacz Bruenor Battlehammer nie mógł znaleźć lepszego przyjaciela.

– Jeśli zdołamy utrzymać brzeg aż do południa, Felbarr i inni sojusznicy będą mogli przepawić się poza zasięgiem tych przeklętych gigantów – spokojnie wyjaśnił Bruenorowi.

Stali we dwóch na brzegu rzeki, przyglądając się działaniom po drugiej stronie, na wschodnim brzegu, gdzie krasnoludy z Cytadeli Felbarr kładły już fundamenty mostu.

– Czy będziemy w stanie rozciągnąć nasze linie? – spytał Bruenor.

– Eee, pewnie! – padła entuzjastyczna odpowiedź. – Na południe od nas nie widziałem ani jednego orka, a od zachodu nie przejdą, bo góry. Te psy mogą nas zaatakować tylko z jednej strony – od północy.

Oba krasnoludy spojrzały w tamtą stronę, ku skalnej grani, linii opadającej ku rzece. Kręciło się tam wielu krasnoludów, wznosząc mur od stromego zbocza ku wieży, którą opanował Wulfgar z Bruenorem. Ich celem było jak największe zwężenie ewentualnego podejścia, tak by oddziały orków nie mogły ich po prostu zalać. Kiedy mur będzie skończony i umocniony, wieża posłuży jako kotwica, a mur zostanie pociągnięty aż do rzeki.

Jak na razie teren na wschód od wieży był upstrzony posterunkami i utrzymywany przez elfy z Księżycowego Lasu, trzymające swe mordercze łuki na podorędziu.

– Nigdy nie sądziłem, że będę tak szczęśliwy, widząc bandę tych głupich faerie – mruknął Pwent. Na twarzy Bruenora pojawił się tak długo wyczekiwany uśmiech, uśmiech tym szerszy, że te słowa były prawdziwe. Gdyby Nikwillig nie przyprowadził elfów z południa, Bruenor nie był pewien, czy odnieśliby zwycięstwo. W najlepszym przypadku mogliby wycofać się do wnętrza Mithrilowej Hali i zabezpieczyć tunele. W najgorszym zostaliby wybici do nogi.

Ogrom ryzyka, jakie podjęli, król pojął dopiero podczas walki na brzegu u południowego podnóża górskiej odnogi, pośrodku trzech krasnoludzkich oddziałów. Bruenor był zaskoczony widząc, jak bardzo słaba była ich pozycja, nawet z Wulfgarem na pomocy i Pwentem na czele głównych sił na południu. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak bardzo ryzykowali.

Wszystko.

– Jak tam przewóz? – spytał, czując potrzebę poruszenia się, spojrzenia naprzód. W końcu odnieśli zwycięstwo.

– Felbarr zamierza powiązać tratwy, aby nie spływały z nurtem – wyjaśnił Pwent. – Na południe stąd prąd jest zbyt gwałtowny, żeby ryzykować. Za dwa-trzy dni powinien być gotowy. Potem możemy wyprowadzić ludzi z Hali i znosić odpowiednio wielkie głazy, by zacząć budować most po naszej stronie.

– I pomóc przeprowadzić się Emerusowi – powiedział ktoś. Obaj odwrócili się i zobaczyli nadchodzącego Jackonraya. Krasnolud trzymał rękę na temblaku – otrzymał w nią cios włócznią.

– Emerus nadchodzi? – spytał Bruenor.

– Stracił prawie tysiąc chłopaków – dodał ponuro Jackonray. – Żaden krasnoludzki król nie pozwoliłby na to bez poświęcenia ziemi.

– Moi kapłani już to zrobili, rzekę zresztą też – zapewnił Bruenor. – A błogosławieństwo twoje i samego Emerusa ułatwi drogę do Hal Moradina wszystkim, którzy tu zginęli.

– Mówią, że byłeś tam – rzekł Jackonray. – To znaczy w Halach Moradina. Czy rzeczywiście pałac jest tak wielki, jak mówią opowieści?

Bruenor z trudem przełknął ślinę.

– Tak, król spozjrzał Moradinowi prosto w oczy i powiedział: „Odeślij mnie z powrotem, bym mógł zabijać te śmierdzące orki!” – zaryczał Pwent.

Jackonray kiwnął głową i uśmiechnął się szeroko, a Bruenor uznał, że nie będzie się wtrącał. Wiedział, że opowieści o jego przygodach w zaświatach rozchodziły się lotem błyskawicy, a najgłośniej opowiadali je i upiększali Cordio i inni kapłani. Ale sam Bruenor nie mógł nic powiedzieć.

Tylko opowieści. Przypuszczenia i wspaniałe opisy.

Czy stał u boku Moradina?

Król krasnoludów szczerze nie umiał na to odpowiedzieć. Pamiętał walkę w Płyciznach. Pamiętał, że słyszał głos Catti-brie, dobiegający jakby z niezmiernej dali. Pamiętał uczucie ciepła i wygody, lecz to wszystko było już nieważne. Pierwszym wyraźnym obrazem, który mógł sobie przypomnieć po upadku Płycizn, była twarz Regisa, kiedy niziołek i jego magiczny rubinowy naszyjnik zagłądali mu wprost do wnętrza duszy, aby wyciągnąć go ze śpiączki.

– Kto by przeoczył taką zabawę? – spytał Pwent, gdy Bruenor nieco oprzytomniał.

Zorientował się, że Jackonray właściwie go nie słucha, tylko spogląda na Bruenora.

– Będziemy zaszczycony spotkaniem z wielkim królem Emerusem – zapewnił go krasnolud i gość z Felbarr odprężył się. – Będzie mógł pożegnać swoich chłopców i oddać honory Nikwilligowi z Felbarr zaraz po tym, jak ja pozdrowię go w imieniu Mithrilowej Hali. Bez wątpienia to Nikwillig wygrał dla nas tę walkę.

– Wasze spotkanie było od dawna odkładane – zgodził się Jackonray. – Wkrótce spotkamy

się z królem Harbrommem z Adbar. Niech te głupie orki poradzą sobie z trzema królestwami!

– Zabić wszystkich! – zaryczał Pwent, zaskakując swoich rozmówców i zwracając uwagę wszystkich dookoła. Rzecz jasna podjęli ten okrzyk, jak na krasnoludy przystało.

* * *

Znów się cieszyli, wszyscy z wyjątkiem Cottie Cooperson, która się, już nawet nie uśmiechała, a co dopiero cieszyła. Tunelami przyszła wiadomość, że wschodnie wrota są otwarte i wkrótce zostanie otwarta droga, którą będą mogli przekroczyć Surbrin i udać się do spokojniejszych ziem na południu. Nim nadejdzie zima, wszyscy dotrą do Silverymoon. Kiedy nadejdzie wiosna, będą mogli stamtąd wyruszyć, wolni od ponurych gładów Mithrilowej Hali.

Ta radość ścigała Delly Curtie, kiedy niosła Colson korytarzem odchodzącym od sali zgromadzeń. Wewnątrz uśmiechała się, wspierała, głaskała po ręce, zapewniając Cottie, że odbuduje swoje życie, może nawet będzie miała dalsze dzieci. W odpowiedzi otrzymała tylko ponure i pełne rozpaczę spojrzenie, gdy Cottie wreszcie oderwała na chwilę załzawione oczy od podłogi.

Na zewnątrz Delly już się nie uśmiechała. W sali cieszyła się jak wszyscy, ale teraz te krzyki raniły jej serce. Wkrótce będą mogli przekroczyć Surbrin, a ona będzie jednym z czterech ludzi w Mithrilowej Hali.

Zdołała zachować spokój na twarzy, gdy weszła do ich pokojów i zastała tam Wulfgara, ściągającego przez głowę zakrwawioną tunikę.

– To twoja? – spytała, podchodząc bliżej.

Trzymała Colson jedną ręką, drugą przesuając po muskularnej sylwetce barbarzyńcy, sprawdzając, czy nie ma żadnych poważnych ran.

– Krew orków – odparł i delikatnie wziął dziewczynkę na ręce. Jego twarz rozpromieniła się, gdy uniósł maleństwo do góry i spojrzał jej w oczy, a Colson zareagowała śmiechem, promieniując szczęściem.

Mimo ponurego nastroju Delly nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Mówią, że teren aż do rzeki jest teraz bezpieczny – powiedziała.

– Tak, od góry do rzeki, aż na południe. Pwent i jego grupa wykańczają ostatnie bandy orków. Do rana nie będzie tam ani jednego.

– A wtedy uruchomią prom?

Wulfgar oderwał wzrok od Colson na tyle długo, by widać było, że jest zdziwiony tonem jej głosu. Delly wiedziała, iż rzekła to nieco zbyt ostro.

– Jutro zaczną skręcać liny, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Ludzie chcą jak najszybciej ruszyć w drogę?

– A ty byś stąd nie uciekł, gdyby Bruenor nie był twoim ojcem?

Wulfgar znów odwrócił się ku niej, spoglądając z zakłopotaniem. Wykonał ruch, jakby chciał kiwnąć głową, ale tylko wzruszył ramionami.

– Nie jesteś dzieckiem Bruenora – powiedział.

– Ale jestem żoną Wulfgara.

Mężczyzna opuścił Colson, a kiedy dziecko się rozplakało, odstawił je na podłogę. Stał przed Delly i położył swe wielkie dłonie na jej szczupłych ramionach.

– Chcesz przekroczyć rzekę – stwierdził.

– Moje miejsce jest przy Wulfgarze.

– Lecz ja nie mogę odejść – powiedział. – Dopiero zaczęliśmy uwalniać się z garści Oboulda, a teraz, kiedy mamy inne wyjście niż wrota Hali, musimy dowiedzieć się czegoś o losie mego przyjaciela.

Delly nie przeszkadzała mu, gdyż to wszystko od dawna wiedziała, zaś Wulfgar tylko to potwierdzał.

– Kiedy Surbrin na wschód od Hali będzie bezpieczniejsza, poproszę króla Bruenora, by znalazł ci tam jakieś miejsce pod słońcem. Oboje nie jesteśmy przecież krasnoludami.

– Tutaj czuję, jak wokół mnie zaciskają się ściany.

– Wiem – powiedział pocieszająco Wulfgar i przytulił ją do siebie. – Wiem. Kiedy to się skończy... mam nadzieję, że do lata... ruszymy ku miastom, które od tak dawna chciałaś zobaczyć. Pokochasz Mithrilową Halę znacznie bardziej, kiedy okaże się twoim domem, nie więzieniem.

Powiedziawszy to, przyciągnął ją jeszcze bliżej, obejmując silnymi ramionami. Pocałował ją w czubek głowy i szeptem obiecywał, że teraz wszystko będzie lepiej.

Delly doceniała jego słowa i gesty, choć trudno jej było wypędzić z głowy radosne okrzyki ludzi, którzy wkrótce opuszczą zadymione, ciemne korytarze królestwa Bruenora.

Wiedziała jednak, że nie może tego powiedzieć Wulfgarowi. Usiłował to zrozumieć i to mu się chwaliło. Lecz nie udawało mu się. Jego miejsce było w Mithrilowej Hali. Tu byli jego przyjaciele. Tu była sprawa, o którą walczył.

Nie w Silverymoon, gdzie tak bardzo chciała się znaleźć Delly.

20.

PRZYJAZNA DAWKA RZECZYWISTOŚCI

Dwa tysiące kubków, z których wychlapywał się krasnoludzki święty napój, uniosło się w toaście. Dwa tysiące krasnoludów z klanu Battlehammer, których można było oderwać od pracy na wschodzie lub w tunelach, zakrzyknęło: „Za Battlehammerów z Mirabaru!”. Potem, jak jeden mąż, wychylili swoje kubki, tak samo rozchlapując pianę na jasnych, rudych, siwych, pomarańczowych, czarnych, brązowych, a nawet zielonych brodach.

– Oj oj! – krzyknął zaraz potem Pikel Bouldersoulder.

Fakt, że to właśnie taki krasnolud jak Pikel, nie pochodzący ani z Battlehammerów, ani z Mirabaru, tak doskonale podkreślił ducha biesiady, jaką klan Bruenora wydał na cześć imigrantów z Mirabaru, nie uszło uwadze Catti-brie. Siedząc obok ojca, wsparta na miękkich poduszkach, których w Hali było bardzo niewiele, kobieta przyglądała się niezwyklej zebraniu.

Większość gości stanowili krewniacy Bruenora, niektórzy mieszkali w Mithrilowej Hali jeszcze przed pojawieniem się cieniściego smoka Shimmergloom; inni zostali wychowani jako Battlehammerowie w cieniu Kopca Kelvina w Dolinie Lodowego Wichru. Pozostali pochodzili z Felbarru, przybyli ze wschodu i czuli się tu jak w domu. Był tu Torgar i jego chłopcy, nawet ci, którzy zostali ranni w bitwie na klifie nad Doliną Strażnika albo niedawno, w walkach na południu. Byli tam również Ivan i Pikel Bouldersoulderowie, a choć nie należeli do klanu, każdy krasnolud chciał, aby do nich przystali. Był też gnom Nanfoodle, a także Regis, Wulfgar i Catti-brie.

Catti-brie wiedziała, że nie wszystkich łączą więzy krwi, lecz połączyła ich wspólna sprawa i postanowienie. Spojrzała na ojca, siedzącego na tronie, pijącego następny kubek miodu, pobłogosławionego przez kapłanów jako święty napój. Wiedziała, że jego toasty i odpowiedzi są szczerze. Nie mógłby być bardziej szczęśliwy albo bardziej wdzięczny, gdy przybyli Torgar, Shingles i chłopcy z Mirabaru. Raz za razem przechylali szalę zwycięstwa na ich stronę, od górzystych północnych obszarów po zbocza na południu. Wraz z Banakiem wspaniale walczyli na północ od Doliny Strażnika, wypchnęli z tuneli orki, które się tam ufortyfikowały, dzięki czemu Nanfoodle mógł uczynić swoje czary na grani. Ponieśli bardzo ciężkie straty, lecz przyjęli to z typowo krasnoludzkim stoicyzmem. Straty były warte zwycięstwa, a nic nie było ważniejsze niż zwycięstwo.

A to wszystko przez jej ojca, uświadomiła sobie Catti-brie. Wszystko, od decyzji Torgara o opuszczeniu Mirabaru do śmiałej, choć nieprzemyślanej próby przekroczenia rzeki przez krasnoludy z Felbarr, częściowo było wynikiem charakteru Bruenora Battlehammera.

Uśmiechnęła się, patrząc na swego ojca.

Wreszcie przeniosła wzrok na Banaka, raczej leżącego niż siedzącego, rozpartego w lektyce, która, jak się obawiała, wkrótce może stać się jego więzieniem. Poświęcił dla nich zdrowie – nawet optymistycznie nastawiony Cordio powątpiewał, czy kiedykolwiek będzie jeszcze mógł chodzić – a mimo to był tutaj, pił i bawił się, błyskając zębami spod sumiastych wąsów.

To dobry dzień, by być Battlehammerem, uznała Catti-brie. Mimo tragedii przy wypadzie na wschód i słabej pozycji między Mithrilową Halą a Surbrin, mimo hordy orków naciskającej z każdej strony i ogromnych strat, śmierci wielu krewnych i przyjaciół, to był dobry dzień, by być Battlehammerem.

Wierzyła w to całym sercem, a jednak nie była zaskoczona, gdy poczuła łzę spływającą po policzku.

Catti-brie zaczynała wątpić.

Była przekonana, że straciła Drizzta, i dopiero w tej chwili mogła się w pełni przyznać. Do tego, że kochała go bardziej niż kogokolwiek innego. Że dopiero przy nim czuła się całością, była szczęśliwa. Dzieliło ich tak wiele, długość życia i kwestia posiadania dzieci, a także postrzegania przez innych... to wszystko było już za nią, stracone na zawsze. Wszystkie te wyimaginowane problemy zdawały się głupie, żałosne twory dezorientacji i samozniszczenia. Kiedy Catti-brie padła i została otoczona przez gobliny, gdy sądziła, że jej życie dobiega końca, doświadczyła pustki większej, niż kiedykolwiek uznawała za możliwą. Świadomość własnej śmiertelności sprawiła, że zaczęła myśleć o rzeczach, które powinna była zrobić. Zagubiona w tym chaosie odepchnęła Drizzta. Zapomniała, że przyszłość to nie prosta droga, która układa się tak, jak życzyłby sobie tego wędrowiec. Przyszłość składa się z działań podejmowanych teraz, wszystkich i każdego z osobna, drobnych wyborów, które nieodwracalnie splatają się, tworząc pożądaną drogę. Przeżywanie każdego dnia w najlepszy możliwy sposób pozwoli jej przeżyć swój czas bez żalu. Życie bez żalu było kluczem do zaakceptowania nieuchronności śmierci.

A teraz straciła Drizzta.

Czy przez całe życie zdoła zaleczyć tę ranę?

– Wszystko w porządku?

Głos Wulfgara był łagodny i pełen troski. Podniosła wzrok i zobaczyła wpatrzone w siebie, niebieskie oczy.

– To był trudny czas – przyznała. – Tylu zginęło...

– Lub zaginało.

Wyraz twarzy Wulfgara świadczył o tym, że pojął, kogo ma na myśli.

– Możemy wyjść na zewnątrz – powiedział – dlatego mamy też nadzieję, że Drizzt zdoła tu wejść.

Nawet nie mrugnęła okiem.

– A jeśli tak się nie stanie, pójdziemy go szukać. Ty, ja, Bruenor, Regis – oznajmił potężny mężczyzna. – Może nawet przekonamy Ivana i Pikela, aby się dołączyli... wiesz, ten dziwny rozmawia z ptakami. A ptaki widzą wszystko.

Nadal nie mrugała.

– Znajdziemy go – obiecał Wulfgar.

Hałą wstrząsnął kolejny okrzyk. Bruenor kazał Torgarowi podejść i opowiedzieć wydarzenia tak, jak na to zasługują.

– Opowiedz, co cię tu sprowadza – zachęcił go król krasnoludów. – Opowiedz nam o swoich podróżach.

Uśmiech zniknął z twarzy Wulfgara, gdy tylko obejrzał się na Catti-brie. Spoglądała gdzieś w dal, a w jej oczach krył się ogromny ból.

– Chcesz wyjść? – spytał.

– Jestem zmęczona do szpiku w kościach.

Z trudem wstała ze swego krzesła i oparła się mocno na kuli, którą zrobił jej Cordio. Szurnęła nogą po ziemi, lecz Wulfgar ją podtrzymał. Bez wysiłku wziął ją na ręce.

– A ty gdzie się wybierasz? – spytał Bruenor ze swego tronu. Stojący przed nim Torgar wygłaszał mowę przed zasluchaną publicznością.

– Potrzebuję trochę wypocząć, to wszystko – odparła Catti-brie.

Bruenor patrzył na nią z troską przez kilka chwil, po czym skinął głową i odwrócił się do Torgara.

Catti-brie ułożyła kulę wzdłuż ciała i oparła głowę na mocarnym ramieniu Wulfgara. Zamknęła oczy i pozwoliła, by ją niósł.

* * *

Delly szła do sali w dobrym zamiarze, zdecydowana dostosować się do miejsca, które Wulfgar nazywał swoim domem. Z każdym krokiem powtarzała sobie, że sama opuściła Luskan za Wulfgarem, sama i w pełni świadomie. Przypominała sobie, że jej obowiązki wykroczyły poza sprawy dotyczące jej związku z człowiekiem, który znacznie lepiej czuł się wśród krasnoludów niż wśród członków swojej rasy. Przypominała sobie o Colson, że robi to dla jej dobra.

Postanowiła znaleźć złoty środek. Będzie wyprowadzać Wulfgara na zewnątrz tak często, jak to tylko możliwe, będzie też sporo czasu spędzać w sąsiadujących, ludzkich osadach.

Kątem oka zauważyła, że ktoś idzie w przeciwną stronę przez labirynt przedpokojów – po sylwetce od razu poznała Wulfgara. Przyspieszyła kroku. Jakoś sprawi, by wszystko między nimi się ułożyło.

Kiedy przeszła przez drzwi i obesła jedną z wielkich kadzi, którą kapłani wykorzystywali

do warzenia, Delly wyraźniej zobaczyła Wulfgara.

Wiedziała, że on jej nie zauważył, bo spoglądał na kobietę, którą niósł na rękach.

Oczy Delly rozszerzyły się, szybko wskoczyła za beczkę, przywierając do niej plecami i mocno zaciskając powieki. Słyszała, jak Wulfgar i Catti-brie przechodzą obok, jak znikają w niewielkim pokoju i idą dalej.

Odetchnęła i poczuła się, jakby spływała właśnie na podłogę.

* * *

Lady Alustriel nie musiała czekać na promy, aby przekroczyć Surbrin. Wysoka i piękna kobieta, biegła w sztuce magii i polityki jak nikt na świecie, posadziła swój ognisty zaprzęg na płaskim kawałku terenu tuż obok otwartych wschodnich wrót Mithrilowej Hali. Zmusiła tym krasnoludy do gwałtownego szukania schronienia i wywołała wybuch radości u elfów, wciąż pełniących swoją straż na skalnej odnodze.

Alustriel wysiadła z powozu, po czym gestem dłoni rozproszyła go w chmurę dymu. Wygładziła ciemną szatę i poprawiła długie, srebrzyste włosy, starając się wyglądać przy tym odpowiednio poważnie. Wiedziała, że nie będzie to łatwa wizyta, lecz była to winna swemu druhowi Bruenorowi.

Zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę wrót. Krasnoludscy strażnicy rozstąpili się przed nią, a jeden pobiegł, by zapowiedzieć gościa Bruenorowi.

Zastała króla z dwoma innymi krasnoludami i elfem, opracowujących plany na przybycie króla Emerusa Warcrowna. Kiedy weszła, cała czwórka wstała, i nawet Bruenor zgiął się w niskim, eleganckim ukłonie.

– Dobry królu Bruenorze – powitała go. – Jakże krzepiące jest widzieć cię w dobrym zdrowiu. Słyszeliśmy plotki o twojej śmierci i wszystkich ogarnął wielki smutek.

– Phi, trzeba było ich nieco podrażnić – odparł Bruenor, puszczając oko. – Co czyni moje pojawienie się znacznie bardziej zaskakującym i inspirującym.

– Wątpię, by Bruenor Battlehammer musiał uciekać się do takich metod.

– Zawsze uprzejma, co? Alustriel skinęła lekko głową.

– Przedstawiam ci Jackonraya i Treda z Felbarr – rzekł Bruenor, wskazując na krasnoludy, które niemal przewróciły się, usiłując pokłonić się jak najniższej wielkiej władczyni Silverymoon.

– A to Hralien z Księżycowego Lasu. Ja i moi chłopcy nigdy nie przypuszczaliśmy, że tak się ucieszymy na widok bandy elfów!

– Walczyliśmy razem – odparł Hralien. – Inaczej wszyscy zginęlibyśmy w starciu z ciemnością, jaką jest Obould.

– Tak, i dlatego tak się cieszę, że tu przybyłaś, pani – zwrócił się do Alustriel Bruenor. –

Właśnie wrócił Torgar z Mirabaru, odniósłszy zwycięstwo nad śmierdzącymi trollami. Mówił, że ty i Sundabar postanowiliście trzymać się z daleka.

– Obawiam się, że mówił prawdę – przyznała Alustriel.

– Tak, chcesz przeczekać zimą, i trudno się z tym spierać – odparł Bruenor. – Lecz mądrze by było jak najszybciej ustalić plany na wiosnę. Będziemy mieli gnomią łamigłówkę, jak sprawić, aby pięć armii działało razem...

Przerwał, bo zauważył, że Alustriel kręci głową w odpowiedzi na każde jego słowo.

– A co ty o tym sądzisz? – spytał Bruenor.

– Muszę potwierdzić to, co Torgar już ci powiedział, przyjacielu – odparła Alustriel. – Zatrzymamy Oboulda tam, gdzie jest, lecz Silverymoon, Everlund czy Sundabar na razie nie będzie prowadzić z nim wojny.

Bruenor był pewien, że jego szczeka upadła na podłogę, tak szeroko otworzył usta.

– Przeleciałam nad terenem, które chcesz zamienić w pole bitwy i muszę przyznać, że ten król orków jest mądry. Już teraz umacnia się, fortyfikuje na każdym szczycie, przygotowując każdy cal ziemi do obrony.

– Tym bardziej więc trzeba go się pozbyć już teraz – odparł Bruenor, lecz Alustriel znów pokręciła głową.

– Obawiam się, że cena tego będzie zbyt wysoka – odparła.

– Lecz przybyłaś na pomoc Nesme, prawda? – Bruenor nie był w stanie całkowicie wyeliminować sarkazmu ze swego głosu.

– Tak, zapędziliśmy trolle z powrotem na wrzosowiska. Lecz nie byli choćby w przybliżeniu tak groźną siłą, jak ta, która otacza Mithrilową Halę od północy. Na wezwanie Oboulda przybyły dziesiątki tysięcy orków.

– Dziesiątki tysięcy, które obrócą się przeciwko tobie i twemu ukochanemu Silverymoon!

– Może – odparła Alustriel. – A nawet jeśli tak będzie, to napotkają zażartą obronę. Jeśli Obould zaatakuje, to będzie walczył na naszych warunkach, nie swoich. Będziemy walczyć pod osłoną naszych murów, a nie szturmować jego.

– Zatem zamierzacie zostawić mnie i moich pobratymców samych?

– Wcale nie – odparła stanowczo Alustriel. – Otworzyłeś drogę ku rzece... żałuję, że Silverymoon nie mogło przybyć i ci w tym pomóc.

– Gdyby tak było, na dnie rzeki leżałoby teraz kilkuset Felbarrczyków mniej – ośmielił się wtrącić Tred. Ton jego głosu jasno wskazywał, że był równie zaskoczony postawą Alustriel, jak Bruenor.

– To czas próby – odparła Alustriel. – Niczego nie udaję i nie ukrywam. Przybyłam, by przynieść ci radę i obietnicę Silverymoon i Sundabaru. Pomożemy ci zbudować most przez Surbrin, pomożemy ci obronić go i utrzymać wschodnie wrota Mithrilowej Hali otwarte. Widzę,

że fortyfikujecie górską odnogę na północ od wrót: wyślę oddziały łuczników i katapult, aby wzmocnić ten odcinek. Będę przysyłać czarodziejów, by stali ramię przy ramieniu z twoimi wojownikami, ciskając ogniste kule na wszystkich, którzy ośmielą się ruszyć na ciebie.

Grymas na twarzy Bruenora zmniejszył się, ale tylko odrobinę.

– Znasz mnie dobrze, Bruenorze Battlehammerze – rzekła Pani Silverymoon. – Kiedy drowy ruszyły na Mithrilową Halę, moje miasto stanęło u twego boku. Ilu członków Srebrnej Gwardii padło wtedy w Dolinie Strażnika?

Bruenor skrzywił się, a jego rysy odrobinę złagodniały.

– Podobnie jak ty żałuję, że Obould i jego orki nie mogą zostać starte z powierzchni ziemi raz na zawsze. Jednak widziałam ich. Nie możesz nawet sobie wyobrazić, jak wielkie siły zostały zgromadzone przeciwko tobie. Gdyby zebrać wszystkie krasnoludy z Felbarru i Adbaru, a do tego wszystkich wojowników z Silverymoon, Everlund i Sundabaru, nadal na jednego naszego przypadłoby pięciu orków. A nawet teraz siły Oboulda rosną, gdyż kolejne orki wypełzają ze swoich jaskiń w Grzbiecie Świata.

– Biorąc to pod uwagę, sądzisz, że zamierza zatrzymać się tam, gdzie teraz jest? – spytał Bruenor. – Jeśli jego oddziały rosną, to im dłużej czekamy... im dłużej ty czekasz, tym stają się większe.

– Nie zostawiliśmy cię, przyjacielu, i nigdy tego nie uczynimy – odparła Alustriel, podeszła do Bruenora i delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. – Każda rana zadana Mithrilowej Hali głęboko rani serca wszystkich prawych mieszkańców tych okolic. Będziecie ostrogą, światłem nadziei w kraju ogarniętym ciemnością. Nie pozwolimy, by to światło zgasło. Przysięgam na nasze życia, królu Bruenorze, mój przyjacielu: będziemy walczyć u twego boku.

Nie to chciał usłyszeć z ust lady Alustriel, lecz wyglądało, że to wszystko, na co może liczyć – i szczerze mówiąc, było to znacznie więcej, niż się spodziewał, biorąc pod uwagę ponure opowieści Torgara o intencjach Alustriel.

– Przetrywajmy zimę – rzekła Alustriel. – I zobaczymy, jaką obietnicę przyniesie ze sobą wiosna.

KOŁATKA GERTI Wokół szalała śnieżycą, zmuszając Drizzta i Innovindil do maszerowania pod wiatr i zgiętych w pół, aby wichry nie ściął ich z nóg. Drow szedł pierwszy, poruszając się tak zwinnie, jak tylko mógł. Ślad gigantów był wyraźny, lecz wiedział, że nie zachowa się długo. Cały czas zaciskał i rozprostowywał ukrytą w rękawie pięść, nadaremnie usiłując odpędzić chłód. Innovindil zapewniła go, że Lśniaca Biel, mieszkanie Gerti, było już niedaleko. Mroczny elf miał nadzieję, że to prawda, gdyż nie był pewien, jak długo wytrzymają z Innovindil w tej zadymce.

Do rana ślad został zawiany i Drizzt szedł dalej, polegając zarówno na swoich umiejętnościach tropiciela, jak i na instynkcie. Maszerował tak prosto, jak mógł, i porzucał trop

tylko wtedy, gdy natykał się na stosy głazów lub szczeliny, które mogłyby zmusić karawanę gigantów do zmiany drogi.

Wokół jednego z takich osypisk kamieni drow przekonał się, że miał rację – w środku płytkiej niecki znajdowała się na wpół przysypana śniegiem, lecz wciąż parująca sterta końskich odchodów. Drizzt nachylił się nad nią. Okrytą rękawicą dłonią rozłożył ją na sztuki i uważnie przyjrzał każdej z nich.

– Nie ma krwi – powiedział do Innovindil, która przykucnęła obok niego.

– Dobrze go karmią, mimo iż panuje tu głęboka zima – zgodziła się elfka.

– Gerti traktuje go jak cenną zdobycz. To dobrze.

– Poza tym, że teraz możemy być pewni, że nie wyciągniemy go tak łatwo.

– Nigdy w to nie wątpił – powiedział Drizzt. – Przybyliśmy tu walczyć za naszego przyjaciela i tak się stanie.

Mówiąc to, spojrział na twarz Innovindil i dostrzegł, że docenia jego słowa.

– Chodźmy – rzucił, ruszając dalej.

Innovindil pociągnęła Zmierzch za wodze i żywszym krokiem podążyła za drowem.

Nie trwało to jednak długo. Zadymka stawiała się coraz bardziej gęsta, wiatr dmuchał śniegiem tak zaciekle, że Innovindil i Drizzt z trudem widzieli dalej niż na kilka stóp.

Odetchnęli nieco, kiedy minęli wschodnią odnogę, gdyż wiatr dał z pomocnego zachodu i teraz oba te kierunki osłaniały skalne ściany. Drizzt oparł się o głaz i odetchnął.

– Jeśli znajdziemy dobre miejsce, może zdołamy przeczekać resztę dnia, póki się nie uspokoi

– zaproponował. Rad był, że może ściszyć głos, a wiatr nie jest w stanie unieść jego słów ze sobą.

Odetchnął głęboko i zdjął kaptur. Otarł śnieg z czoła. Odkrył, że jego brwi są pokryte szronem, i zachichotał. Gdy zerknął na swoją towarzyszkę, zorientował się, że nie zwraca na niego uwagi.

– Innovindil? – spytał.

– Nie trzeba – odparła. – To znaczy, nie trzeba rozbijać obozu.

Popatrzyła mu prosto w oczy, po czym wskazała ręką kierunek.

Skalna ściana biegła przez jakiś czas na północ, po czym skręcała na wschód. Kilkaset stóp od nich Drizzt dostrzegł czarną dziurę – wejście do jaskini.

– Lśniaca Biel?

– Tak – odparła Innovindil. – Niepozorne wejście do miejsca, które wedle plotek bynajmniej niepozorne nie jest.

Stali przez chwilę w milczeniu, trawiając tę myśl.

– Jakiś plan? – spytała wreszcie Innovindil.

– Jest tu Jutrzenka – odparł Drizzt. – No to wchodzimy.

– Tak po prostu?

– Z wyciągniętą bronią, rzecz jasna – odwrócił się ku niej z uśmiechem.

W jego ustach brzmiało to tak prosto, jak rzeczywiście było. Przybyli po Jutrzenkę, a Jutrzenka była wewnątrz Lśniącej Bieli, dlatego ogarnęli się i ruszyli dalej, trzymając jak najbliżej skał, gdzie wiatr nie tworzył zasp.

Gdy byli jakiś tuzin kroków od wejścia, Drizzt gestem nakazał Innovindil zatrzymać się i podkraść się dalej. Znalazł się przy wejściu, po czym nachylił i ostrożnie zajrzał do środka.

Wsunął się w korytarz, który prawie natychmiast rozszerzał się do niemal dwudziestu stóp szerokości. Drow zamarł, słysząc po drugiej stronie korytarza równy, cichy oddech. Szybko przekradł się w tamtą stronę i zajrzał do niewielkiej komory.

Wewnątrz siedział gigant – z rękami założonymi pod głowę opierał się plecami o ścianę i głośno chrapał. Na wyprostowanych nogach trzymał dużą maczugę, której głownia miała kształt orlego łba z ostrym, zakrzywionym dziobem.

Drizzt wślizgnął się do środka. Tamten chrapał tak głośno, że drow mógł bez problemu podkraść się do niego i rozplatać mu gardło, a on nawet by nie wiedział, kto to zrobił. Mimo to Drizzt złapał się na tym, że odkłada sejmity na bok. Delikatnie, choć z trudem, zdjął maczugę z jego kolan. Gigant parsknął i zamamrotał, opuścił dłoń i odwrócił się na bok.

Drizzt wyszedł z komory i wrócił do wejścia, gdzie czekali Innovindil i Zmierzch.

– Niezła broń – szepnął, choć wyglądało na to, że z trudem ją trzyma.

– Zabiłeś jej właściciela? – spytała elfka.

– Śpi jak kamień, nic nam nie grozi.

Zdziwienie na twarzy Innovindil przypomniało Drizztowi o jego niecodziennej decyzji.

Dlaczego po prostu nie zabił giganta – czyż nie mieliby wtedy jednego wroga mniej?

Jednak jedyną odpowiedzią było wzruszenie ramion. Położył palec na ustach i kazał elfce cicho podążać za nim.

Cała trójka minęła komorę, idąc pod przeciwległą ścianą. Dalej tunel zakręcał ostro w prawo, a sufit unosił się jeszcze wyżej. Niedaleko od miejsca, gdzie stali, jakieś pięćdziesiąt stóp nad ziemią, wpadało przez otwór szare światło dnia. Podłoga zrobiła się śliska, gdzieś leżał śnieg. Nieco dalej majaczyły przed nimi wielkie wrota.

– Miejmy nadzieję, że nie są zamknięte i mają dobrze naoliwione zawiasy – zauważyła szeptem Innovindil.

Posuwali się bardzo powoli, a stukot kopyt Zmierzchu sprawiał, że robili się coraz bardziej nerwowi. Zarówno drow, jak i elfka rozważali pozostawienie pegaza na zewnątrz i pewnie tak by się stało, gdyby nie zadymka.

Drizzt przyłożył ucho do wrót i nasłuchiwał przez długi czas, nim dotknął klamki... a raczej prawie dotknął. Kiedy wyciągał rękę ku wiszącemu jakieś dwie stopy nad jego głową

pierścieniowi, dostrzegł, że jego wewnętrzna krawędź nie jest gładka, lecz dość ostra. Szybko cofnął dłoń.

– Pułapka? – spytała Innovindil.

Drizzt pokazał, że nie wie. Zdjął płaszcz, po czym rozluźnił swoją zaczarowaną koszulę tak, by ukryć całą dłoń w rękawie. Znow wyciągnął powoli rękę i ostrożnie ujął za kłamek. Przez materiał poczuł ostre krawędzie i ostrożnie zmienił uchwyt tak, by pułapka, o ile w ogóle istniała, nie zacisnęła się na jego dłoni.

– Gotowa do walki? – spytał swoją towarzyszkę samym poruszeniem ust, lewą ręką wyciągając Lodową Śmierć. Gdy Innovindil skinęła głową, Drizzt wziął głęboki oddech i otworzył drzwi, natychmiast sięgając drugą ręką ku Błyskowi, przypiętemu do lewego biodra.

To, co ujrzeli sprawiło, że ich dłonie niemal natychmiast się rozluźniły. Przez otwarte drzwi wpadał ciepły blask. Wewnątrz światło odbijało się w mnóstwie ścian i ścianek wykonanych z lśniącego lodu – nie mlecznego i zaśnieżonego, lecz czystego i przejrzystego. Wizerunki drowa, elfki i pegaza odbijały się w nich pod każdym możliwym kątem.

Drizzt wszedł do środka i stanął pośród morza odbitych Drizztów. Ścianki były na tyle wąskie, by przepuścić tylko giganta, i ustawione niczym ściany labiryntu. Widok ten uruchomił w głowie czujnego drowa alarm, kiedy tylko oprzytomniał po pierwszym zaskoczeniu. Przywołał do siebie Innovindil i ruszył dalej.

– Co to? – spytała wreszcie elfka, doganiając Driztta, gdy ten zatrzymał się na skrzyżowaniu wiodącym w cztery strony świata.

– Zabezpieczenie – odparł mroczny elf.

Rozejrzał się dookoła, potwierdzając swoje obawy. Dostrzegł nagą kamienną podłogę, stojącą w ostrym kontraście wobec ścian, które wydawały się nie mieć w sobie ani jednego kamienia. Spojrzał na wiele dziur w znajdującym się wysoko suficie, rozmieszczonych ze wschodu na zachód wzdłuż południowego krańca komnaty. Jak się domyślał, tędy przez cały dzień miało wpadać światło. Zaczął przeglądać te obrazy w pamięci, kreśląc linię w poprzek sali. Jeden strażnik ustawiony pod którąś ze ścian mógł z łatwością ostrzec o zbliżaniu się intruzów.

Drizzt wiedział, że tę salę zwierciadlaną stworzono za pomocą magii w określonym celu.

– Szybko – powiedział, puszczając nogi w ruch.

Przebiegł przez tunel, usiłując znaleźć boczne ścianki, w których odbijałby się w sposób niespodziewany dla ewentualnych strażników. Miał nadzieję, że wszyscy, którzy zostali tu wysłani, byli tak samo czujni, jak ten przy wejściu.

Nie zagrały żadne rogi, z dali nie dobiegały żadne krzyki. Musiał uwierzyć, że to dobry znak.

Zatrzymał się tuż przed ostrym zakrętem. Innovindil, która szła tuż za nim, prowadząc Zmierch, niemal go przewróciła.

Drizzt utrzymał się na nogach, przyjął energię uderzenia i przesunął się nieco w bok, nie do

przodu. Nie chciał bowiem zrobić kolejnego kroku, nie chciał wyjść na otwartą przestrzeń, szeroką na dwadzieścia stóp wschodnią granicę jaskini. Tę granicę stanowiła rzeka, a choć była zamarznięta, Drizzt wyraźnie widział wodę pędzącą pod lodem.

Po drugiej stronie, na lewo, drow ujrzał kolejny tunel.

Gestem kazał Innovindil ostrożnie podążyć za sobą, po czym bardzo powoli ruszył wzdłuż brzegu, aż znalazł się naprzeciwko tunelu wyjściowego. Nad sobą dostrzegł potężną linę – znajdującą się na tyle wysoko, że mógł jej dosięgnąć gigant, być może po to, by za jej pomocą przelecieć na drugą stronę.

Usłyszał za sobą odgłos kopyt Zmierchu, a gdy odwrócił się, ujrzał Innovindil na grzbiecie pegaza, ustawionego na wprost tunelu wejściowego. Drizzt wyszczerzył się, podbiegł do niej i wskoczył za nią na grzbiet pegaza. Elfka, nie marnując czasu, skłoniła Zmierch do szybkiego biegu i krótkiego skoku. Pegaz rozwinął skrzydła i zaczął nimi mocno uderzać. Z wdziękiem bardziej przypominającym jelenia niż konia, Zmierch wylądował po drugiej stronie zamarzniętej rzeki tuż obok wejścia do tunelu. Innovindil szybko go zatrzymała.

Drizzt błyskawicznie zeskoczył z końskiego grzbietu, elfka podobnie.

– Jak myślisz, czy oni wiedzą, że tu jesteśmy? – spytała.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

Korytarze stawały się coraz bardziej zwyczajne, szerokie, wysokie i wijące się, z wieloma zakrętami i bocznymi wyjściami. Ogrom Lśniącej Bieli zaskoczył Drizzta, a świadomość ogromu ich zadania zaczęła go niemal przerastać.

– Guenhwyvar wyczuje zapach Jutrzenki – powiedział, wyciągając figurkę.

– Raczej waszą krew – zabrzmiał głos nie należący do Innovindil, zbyt dźwięczny i głęboki jak na elfa.

Drizzt odwrócił się powoli, podobnie jego towarzyszka, a Zmierch zaczął stukać kopytami w kamień.

Para lodowych gigantów stała spokojnie jakieś dwadzieścia stóp od nich. Kobieta opierała dłonie na biodrach, a mężczyzna lewą ręką poklepywał potężny młot, trzymany w prawej.

– Przeprowadziliście pani Gerti drugiego pegaza – zauważyła kobieta. – Będzie zadowolona... może nawet pozwoli wam szybko umrzeć.

Drizzt pokiwał głową i odpowiedział:

– Tak, przybyliśmy, by sprawić przyjemność Gerti, oczywiście. To nasze największe pragnienie.

Powiedziawszy to, klepnął Zmierch w zad. Innovindil wskoczyła na grzbiet rumaka w chwili, gdy ten zrywał się do skoku. Drizzt odwrócił się w tę samą stronę, zrobił kilka kroków, a gdy usłyszał, że giganci ruszyli za nimi, obrócił się na pięcie i rzucił się w ich stronę, wyjąc z wściekłości.

– Drizzt! – zawołała Innovindil. Jej ton świadczył, iż uznała, że drow ma zamiar zaatakować olbrzymy.

O niczym takim nie myślał.

Rzucił się na tego z młotem, a kiedy tamten się zamierzył, skoczył w prawo, ku kobiecie.

Pierwszy był zbyt sprytny, by atakować dalej, gdyż najpewniej trafiłby swego towarzysza. Lecz gdy gigantka sieknęła ku Drizztowi, on znów się odwrócił, tym razem w stronę pierwszego – dzięki magicznym bransoletom poruszał się niczym błyskawica. Przetoczył się, jednocześnie obracając, i skręcił ostro w prawo, co sprawiło, że znalazł się dokładnie pomiędzy gigantami. Oboje rzucili się, by go złapać – kobiecie prawie by się to udało, gdyby nie zderzyli się głowami.

Oboje sieknęli i wyprostowali się, a Drizzt uciekł.

Ledwo zrobił dziesięć kroków następnym korytarzem, usłyszał okrzyki jeszcze większej liczby gigantów. Musiał zawrócić ku kolejnemu prostopadłemu korytarzowi, by nie wpaść prosto na pogoń.

– Nie ma tu ślepych zaułków – szeptał niczym modlitwę za każdym razem, gdy natykał się na takowy.

Wkrótce trafił do szerszego korytarza, w którym wzdłuż ścian stały posągi różnych kształtów i rozmiarów. Większość wykonano z lodu, kilka z kamienia. Część była rozmiarów giganta, inne przedstawiały ludzi bądź elfy. Wykonanie i dbałość o szczegóły była równie dobra jak w dziełach krasnoludów, podobnie elegancja – drow sądził, że takie posągi spokojnie mogłyby stać w Menzoberranzan albo elfiej wiosce. Nie miał jednak czasu, by przyjrzeć się im dokładniej, gdyż słyszał gigantów za sobą i przed sobą, a w głębi sal brzmiały rogi.

Otulił się płaszczem i skoczył w bok, ku grupie kilku posągów o rozmiarach elfów.

* * *

Innovindil mogła mieć tylko nadzieję, że podłoga nadal jest z kamienia i nie jest oblodzona – kiedy wokół było tylu gigantów, nie mogła pozwolić Zmierzchowi na spowolnienie biegu. Pokonywała jeden korytarz za drugim, czasem skręcając i wpadając w kolejne. W kilku musiała zawrócić tylko po to, by znaleźć się twarzą w twarz z pogonią... Jedyne, co mogła zrobić, to uciekać na oślep. A może lecieć, gdyż co jakiś czas nakłaniała pegaza do lotu, by nabrać prędkości. Musiała jednak uważać – w powietrzu Zmierzch nie mógł wykonywać ostrych skrętów. Innovindil patrzyła to w przód, to w tył, co jakiś czas unosiła głowę. Miała nadzieję, że sufit nad ich głowami otworzy się nagle, by mogli choć trochę poszybować, być może nawet wylecą jakimś naturalnym kominem albo przez otwór okienny.

W jednym rogu elfka i jej pegaz niemal wpadli na kamienny mur, gdyż promień skrętu okazał się nieco większy, niż się spodziewali. Zmierzch zahamował gwałtownie, ocierając się

o kamień, gdy Innovindil go zawróciła.

Kiedy ruszyli dalej, ze świstem wciągnęła powietrze. Ta chwila bezruchu uczyniła ich podatnymi na ciosy.

Dlatego nie była zbyt zaskoczona, gdy ujrzała lecącą korytarzem włócznie z lodu – długi sopel. Odruchowo uchyliła się, by uniknąć śmierci. Choć pocisk chybił, elfka niemal spadła z pegaza, gdyż sopel uderzył w kamień nad jej głową, obsypując ją deszczem lodowych odłamków.

Trzymając się uparcie grzywy, Innovindil wbiła pięty w bok Zmierzchu, zmuszając go do biegu. Słyszała krzyki za plecami i z boku, skąd nadleciał pocisk. Znała podobny do elfiego język lodowych gigantów na tyle, by zrozumieć, że gigantka łajęła właściciela włóczni.

– Chcesz zranić nowego zwierzaka Gerti?

– Elfkę czy pegaza? – spytał tamten, a jego grzmiący głos odbijał się echem za plecami Innovindil.

– Oboje! – roześmiała się gigantka.

W tonie jej głosu było coś takiego, iż Innovindil zastanowiła się, czy trafienie włócznie w pierś mimo wszystko nie byłoby lepsze.

* * *

Dwaj giganci pędzili korytarzem, od czasu do czasu oglądając się na boki, póki jeden nie spojrział na lewo i nie krzyknął tryumfalnie.

Drugi też zawołał „Sprytne!”, gdy zobaczył płaszcz wiszący na posągu – płaszcz nie wyrzeźbiony z kamienia, lecz poruszający się tak, jak tylko mogła poruszać się tkanina.

Zrobiwszy krok w bok, pierwszy gigant uderzył ciężką pałką w płaszcz. Okryty nią lodowy posąg eksplodował deszczem odłamków.

– Zniszczyłeś dzieło Mardalada! – krzyknął drugi.

– A d...drow? – wyjąkał tamten, opuszczając broń.

– Nieźle się bawi – usłyszeli zza pleców i natychmiast się odwrócili.

Drizzt, zeskoczywszy, zatrzymał się tylko, by im zsalutować bronią, po czym uśmiechnął się, wskazując za ich plecy.

Żaden z nich się nie obejrzał... póki nie usłyszeli niskiego warkotu wielkiej pantery.

Dwaj giganci odwrócili się i zrobili unik, kiedy skoczyło na nich sześćset funtów czarnego futra. Guenhwyvar przeleciała tak nisko, iż odruchowo zasłonili twarze i zgięli się jeszcze niżej. Jeden padł na kamienie.

Drizzt uciekł na bok. Wykorzystał chwilę zaskoczenia, by rozejrzeć się po plątaninie korytarzy. Nasłuchiwał uważnie dobiegających zewsząd dźwięków, usiłując je rozpoznać.

Dobiegające z dali krzyki świadczyły o tym, że Innovindil dalej ucieka, co dało mu ogólną wskazówkę co do kierunku, w którym powinien się udać.

Pobiegł najpierw na zachód, potem na północ, potem znowu na zachód. Zbliżając się do następnego skrzyżowania usłyszał stukot kopyt pegaza. Pobiegł jeszcze szybciej, mając nadzieję, że dogoni przyjaciółkę, gdy będzie go mijać.

Mimo to zwolnił, a wkrótce całkiem porzucił tę myśl. Lepiej, by giganci mieli dwa cele do ścigania.

Innovindil i Zmierzch przelecieli obok niego, pegaz unosił się kilka stóp nad powierzchnią ziemi. Drizzt nie mógł nie podziwiać choć przez chwilę sposobu, w jaki elfka kierowała wierzchowcem mimo, że słyszał zbliżających się gigantów. Ruszył dalej, a kiedy dwaj giganci przebiegali obok niego, Drizzt wyskoczył za nimi i zdołał w przelocie ciąć jednego w zgięcie kolana, wywołując skowyt bólu.

Ranny zatrzymał się, a drugi zwolnił. Obaj odwrócili się i popatrzyli na uciekającego mrocznego elfa.

W tym momencie ranny padł na twarz – wielka pantera wbiła mu się w kark i skoczyła dalej. Na skrzyżowanie wpadło trzech kolejnych gigantów i cała piątka zaczęła się gwałtownie przekrzykiwać:

– Lewo!

– Prawo!

– Prosto!

– Za elfką, durnie! – Za drowem!

Rzecz jasna, dało to Drizztowi i Innovindil odrobinę więcej czasu.

Krażyli wokół, Drizzt rozpoznawał mijane korytarze. Na następnym skrzyżowaniu usłyszał stuk kopyt Zmierzchu i dotarł tam pierwszy. Znow pomyślał o wskoczeniu na jego grzbiet i znow porzucił tę myśl, gdyż za jego towarzyszką nadal pędzili giganci.

Drizzt schował się za rogiem i wyjrzał na tyle, by Innovindil zdołała go dostrzec. Wskazał na korytarz naprzeciwko siebie, po lewej Innovindil. W odpowiedzi skierowała Zmierzch na prawo, bliżej Drizzta.

– Prawo, lewo, prawo i prosto do rzeki! – krzyknął, kiedy go mijała.

Wskoczył za róg. Słyszał za plecami okrzyki gigantów, także okrzyki ścigających Innovindil. Co jakiś czas nerwowo oglądał się to w jedną, to w drugą stronę, mając nadzieję, że pościg za elfką pojawi się pierwszy.

Kiedy się wreszcie pokazał, odetchnął ze szczerą ulgą. Byli tak skupieni na pegazie i jego jeźdźcu, że byli całkowicie zaskoczeni, kiedy Drizzt wyskoczył zza rogu i zawołał ich.

Zatrzymali się, a potem niemal stratowali wzajemnie, by jak najprędzej go dopaść. Pognał w kierunku, z którego przybyli. Kiedy obie grupy wpadły na siebie na skrzyżowaniu, zaskoczenie

gigantów było niemal całkowite.

Drizzt uśmiechnął się jeszcze szerzej – bawił się naprawdę dobrze.

A potem znalazł się nagle w centrum zamieci: wysoko nad jego głową kłębiła się niewielka, czarna chmura, bombardując go gradem wielkości stopy. Podłoga niemal natychmiast stała się śliska, więc ruszył kontrolowanym poślizgiem, starając się utrzymać równowagę.

Kiedy tylko dotarł na bardziej suchy teren, stracił ją i musiał się przetoczyć. Obejrzał się za siebie – na środku skrzyżowania stała gigantka, i spoglądając na niego, poruszała palcami.

– Cudownie – mruknął. Poderwał się i pobiegł tak szybko, na ile pozwalała mu śliska podłoga.

Wyczuł błyskawicę na chwilę przed tym, jak rozbłysła, i skoczył w bok. Jeszcze bardziej przyspieszył, kiedy zahaczył go pocisk. Musiał jednak zignorować ból i sztywność ramienia, gdyż obie grupy gigantów były tuż, tuż.

Drizzt gnał na złamanie karku, mając nadzieję, że dobrze pamięta rozkład korytarzy. Wysłał Innovindil okrężną drogą, mając nadzieję, że dotrze tam w tym samym czasie, co znacznie szybszy pegaz. Po śnieżnej burzy i błyskawicy wiedział już, że nie zdąży, nawet jeśli jego pospieszne obliczenia były poprawne.

Widział, jak elfka mija skrzyżowanie, pędząc ku zamrożonej rzece i tunelom wylotowym. Odwróciła się w chwili, kiedy wybiegał na skrzyżowanie, podążając jej śladem.

– Jedź! – krzyczał, bo nie miała czasu na czekanie. Giganci deptali im po piętach, w tym ta wredna czarodziejka... nic by jej tak nie ucieszyło, jak uciekinierzy stojący w jednej linii w długim, wąskim korytarzu.

– Przeskocz! Przeleć! – wołał do elfki, gdy zbliżyli się do zamrożonej rzeki. Posłuchała go, przenosząc się krótkim lotem na skały po drugiej stronie. Elfka sprytnie ściągnęła wodze, skierowała konia w bok i zjechała wzdłuż brzegu, szybko znikając z linii wzroku tych w tunelu.

Drizzt wybiegł zaraz za nią, giganci deptali mu po piętach. Nie zwalniając, skoczył do przodu pewien, że zdoła prześlizgnąć się po lodzie i pobiec dalej. Kiedy poszorował po nim brzuchem słyszał jeszcze, jak Innovindil woła do niego.

Po drugiej stronie, po prawej i nad sobą usłyszał głośnie stęknięcie. Przetoczył się na bok w samą porę, by ujrzeć wielki ciężki głaz, ciśnięty przez stojącego wyżej giganta.

– Driiiiizt! – zawołała Innovindil.

Widząc, że kamień był dobrze wycelowany, drow skulił się, odwrócił, złapał za coś. Spowalniając pęd uniknął śmierci, ale głaz rozbił lód tuż przed nim. Drow zsunął się do lodowatej wody.

– Driiiiizt! – zawołała Innovindil.

Wisząc na jednym palcu, szarpany przez bezlitosny prąd, Drizzt zdołał tylko kiwnąć jej głową. A potem zniknął.

22.

WEWNĘTRZNE GŁOSY

Musisz to zrobić, powtarzała sobie Delly raz po raz, idąc krasnoludzkimi korytarzami. Potrzebowała ciągłego przypominania i upewniania się, choćby przez samą siebie, choć była pewna, że to, co robi, jest najlepsze dla wszystkich zainteresowanych.

Nie możesz tu zostać, ani chwili dłużej.

Phi, to nawet nie jest twoje dziecko, głupia babo!

Robisz to raczej dla jego dobra, niż dla siebie, a ona jest lepszą kobietą, niż ty będziesz kiedykolwiek!

Powtarzała sobie te uzasadnienia raz po raz; ta litania pomagała jej stawiać kolejne kroki, prowadzące do drzwi pokojów Catti-brie. Colson poruszyła się i cicho zapłakała; Delly przytuliła ją mocniej i zaczęła uspokajająco szeptać.

Podeszła do drzwi i przycisnęła do nich ucho. Kiedy nic nie usłyszała, popchnęła je nieco, zaczekała i nadstawiła ucha ponownie. Słyszała rytmiczny oddech Catti-brie. Chwilę wcześniej kobieta wróciła wyczerpana z sali posłuchań mówiąc, że musi się trochę przespać.

Delly wsunęła się do pokoju. Kiedy zobaczyła śpiącą Catti-brie, poczuła jednocześnie gniew, zazdrość i ściskające żołądek poczucie niższości.

Nie, zapomnij o tym, przypomniała sobie i zmusiła się, by podejść bliżej do łóżka.

Z każdym krokiem czuła coraz więcej wątpliwości. Kakofonia głosów nakazywała jej trzymać Colson przy sobie i nie puszczać. Spoglądała na śpiącą na wznak Catti-brie, na gęste, kasztanowe włosy otulające jej twarz tak, iż wydawała się bardzo drobna, niemal jak u dziecka. Delly nie mogła odmówić jej urody, miękkości skóry, piękności rysów. Catti-brie miała dobre, lecz trudne życie, a mimo to wyglądała tak, jakby te kłopoty w ogóle nie odcisnęły na niej swego piętna – poza obecną raną. Mimo wielu bitew i pojedynków, jej twarzy nie szpeciła nawet jedna blizna. Przez chwilę Delly chciała rzucić się na nią z pazurami.

Była to bardzo krótka chwila: zaraz potem Delly wzięła głęboki oddech i przypomniała sobie, że jej własna złość świadczy gorzej o niej niż o Catti-brie.

– Ona nigdy nie spojrzała na ciebie krzywo ani nie skrzywdziła złym słowem – przypomniała sobie cicho.

Delly popatrzyła na Colson, potem na Catti-brie.

– Będzie dla ciebie dobrą mamą – szepnęła do maleństwa. Nachyliła się, a raczej zaczęła, po czym gwałtownie wyprostowała i pocałowała Colson w czubek głowy.

Musisz to zrobić, Delly Curtie! Nie możesz ukraść dziecka Wulfgara!

Przecież o to właśnie chodzi, pomyślała. Dziecko Wulfgara? A czy Colson była dzieckiem

Wulfgar bardziej niż Delly? Wulfgar wziął dziecko od Meraldy z Auckney w odpowiedzi na jej rozpaczliwą prośbę, a ponieważ w Luskan dołączyła do nich Delly, to ona, nie Wulfgar, była głównym opiekunem dziecka. Wulfgar tymczasem szukał Aegis-fanga i samego siebie. Znikał na całe dni, by walczyć z orkami. Przez cały ten czas Delly trzymała Colson przy sobie, karmiła ją i usypiała, uczyła, jak się bawić i jak chodzić.

Wtedy pojawiła się następna myśl, trafiając w jej matczyne uczucia. Czy Wulfgar przestanie walczyć nawet wtedy, gdy Colson pozostanie pod jego opieką, a ona odejdzie? Jasne, że nie. A czy Catti-brie przestanie być wojowniczką, kiedy jej rany się zasklepią?

Jasne, że nie.

A co się stanie z Colson?

Delly niemal krzyknęła z rozpaczu. Odwróciła się od łóżka i zrobiła chwiejny krok w stronę drzwi.

Masz prawo do tego dziecka, do własnego życia, powiedział głos w jej głowie.

Delly znów pocałowała Colson i śmiało ruszyła przez pokój, zdecydowana odejść, nie oglądając się za siebie.

Czy wszystko, co dobre, musi być tylko jej? – zapytał głos, a odniesienie do Catti-brie było dla Delly tak wyraźne, jakby mówił to jej własny wewnętrzny głos.

Dajesz i dajesz, ale twoje dobre zamiary prowadzą cię tylko do rozpaczu, mówił.

Tak, puste, ciemne kamienne korytarze i nikogo, kto mnie rozumie, odparła Delly nieświadoma nawet, że rozmawia z inną istotą rozumną.

Wyciągnęła rękę ku klamce, lecz rozmyśliła się. Coś kazało jej spojrzeć w bok: na niewielkiej ławie leżał ekwipunek Catti-brie, broń i zbroja okryte zużytym płaszczem. Wzrok Delly przykuła szczególnie jedna rzecz. Spod płaszcza wystawała rękojeść miecza o pięknym kształcie, lśniącą mocniej niż cokolwiek, co kobieta widziała. Piękniejsza niż najjaśniej lśniący klejnot, cenniejsza niż stos smoczego złota. Nim Delly uświadomiła sobie, co robi, przełożyła Colson do drugiej ręki i oparła na biodrze, zaś wolną ręką wyciągnęła miecz spod płaszcza i jednocześnie z pochwy.

Od razu wiedziała, że ta broń należy do niej i do nikogo innego. Od razu wiedziała, że z takim orężem zdołają wraz z Colson wyrąbać sobie drogę w tym ciężkim świecie i wszystko będzie w porządku.

Khazid'hea, rozumny i złakniony krwi miecz, zawsze obiecywała takie rzeczy.

* * *

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą uśmiechniętą twarz, błękitne oczy pełne łagodności i troski. Nim w pełni pojęła, kto to ani gdzie jest, Catti-brie uniosła dłoń i pogładziła Wulfgara po

policzku.

– Prześpisz całe życie.

Catti-brie przetarła oczy i ziewnęła, po czym pozwoliła, by pomógł jej usiąść w łóżku.

– Równie dobrze mogę spać – odparła. – I tak na niewiele się teraz przydam.

– Leczysz się, by jak najszybciej wrócić do walki. To dużo.

Przyjęła takie rozumowanie bez sprzeciwów. Jasne, że bezczynność frustrowała ją. Złościła ją myśl, że Wulfgar, Bruenor, a nawet Regis stali na pierwszej linii, podczas gdy ona wylegiwała się w bezpiecznym miejscu.

– Jak idzie na wschodzie?

– Pogoda jest stabilna, prom działa. Krasnoludy z Felbarr przywiozły zapasy i budulec na mury. Orki atakują codziennie, lecz dzięki elfom z Księżycowego Lasu łatwo ich odpieramy. Nie natarli na nas z całym impetem, nie wiemy jednak, dlaczego.

– Bo wiedzą, że wyrzniemy ich, jak góry długie i szerokie. Wulfgar kiwnął głową.

– Utrzymujemy teren, a każda mijająca godzina wzmacnia naszą obronę. Zwiadowcy nie donoszą o gromadzeniu się orków. Sądzimy, że oni również umacniają się na swoim terenie.

– To będzie zima pełna ciężkiej pracy i bez ciężkiej walki.

– Przygotowanie do krwawej wiosny.

Catti-brie kiwnęła głową przekonana, że kiedy się ociepli, na pewno będzie gotowa wrócić na pole walki.

– Opuuszczają nas uchodźcy z osiedli na północy – mówił dalej Wulfgar.

– Czy droga jest na tyle bezpieczna, by to ryzykować?

– Opanowaliśmy brzeg na ponad milę na południe, puściliśmy prom poza zasięgiem gigantycznych głazów. Będą w miarę bezpieczni... pewnie pierwsi już się przeprawili.

– Jak bardzo tam jest spokojnie? – spytała Catti-brie, nawet nie próbując ukryć troski w swoim głosie.

– Bardzo. Może nawet aż zbyt spokojnie... – odparł, źle odczytując jej troskę i urwał. – Nie wiesz, czy Drizzt znajdzie drogę do nas?

– Albo my do niego.

Wulfgar usiadł na skraju łóżka i przez dłuższy czas patrzył w milczeniu na Catti-brie.

– Nie tak dawno temu powiedziałaś mi, że na pewno żyje – przypomniał. – Musisz się tego trzymać.

– A jeśli nie zdołam? – spytała, opuszczając wzrok, by nawet nie wypowiadać tak strasznej obawy na głos.

Wulfgar ujął jej brodę swoją wielką dłonią i odchylił głowę, by musiała spojrzeć mu prosto w oczy.

– Trzymaj się zatem wspomnień o nim, choć ja nie wierzę, by był martwy – powiedział

z naciskiem. – Lepiej było go kochać...

Catti-brie odwróciła wzrok. Po chwili zaskoczenia Wulfgar ciągnął dalej:

– Lepiej było go kochać i utracić, niż nie znać nigdy – oznajmił, wypowiadając jedną z najstarszych litanii, znanych we wszystkich Krainach. – Kochaliście się; nie ma na świecie niczego cenniejszego.

W ciemnych oczach Catti-brie pojawiły się zdradzieckie łzy.

– Sama... sama powiedziałaś... – wyjąkał Wulfgar. – Powiedziałaś, że kiedy pływałaś z kapitanem Deudermontem...

– Nic nie powiedziałam – odparła. – Zasugerowałam ci tylko. – Ale...

Wulfgar urwał, powtarzając sobie rozmowę, którą przeprowadził z Catti-brie na polu walki u boku Banaka. Celowo spytał, czy ona i Drizzt stali się dla siebie kimś więcej niż tylko przyjaciółmi, a ona rzeczywiście nie odpowiedziała wprost, raczej odnosząc się do faktu, że przez sześć lat podróżowali jako towarzysze.

– Dlaczego? – spytał Wulfgar.

– Bo myślę, że jestem głupia, że tego nie zrobiłam – odparła Catti-brie. – Ech, ale doszliśmy blisko. My nigdy... nie chcę o tym rozmawiać.

– Chciałaś zobaczyć jak zareaguję, jeśli uwierzę, że ty i Drizzt byliście parą – powiedział Wulfgar. To było stwierdzenie faktu, nie pytanie sugerujące, że i tak to wie.

– Nie zaprzeczę.

– By zobaczyć, czy Wulfgar wyleczył się z cierpień w Otchłani? Czy pokonałem demony swojego dzieciństwa?

– Nie wściekaj się – odparła Catti-brie. – Może chodziło o to, by sprawdzić, czy Wulfgar zasługuje na żonę taką jak Delly.

– Sądzisz, że nadal Kocham cię?

– Jak brat siostrę.

– A może bardziej?

– Musiałam wiedzieć.

– Czemu?

To proste pytanie sprawiło, że Catti-brie zachwiała się w łóżku.

– Bo wiem, że ze mną i Drizztem wszystko zaszło dalej – powiedziała po krótkiej chwili. – Ponieważ teraz wiem, co czuję i nic tego nie zmieni, a przede wszystkim chciałam wiedzieć, jak to zadziała na ciebie.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę powodować rozłamu – odparła. – Bo nasza piątka stworzyła coś, czego nie chcę tracić, niezależnie od tego, co czuję do Drizzta.

Wulfgar patrzył na nią przez dłuższy czas, aż kobieta zaczęła się wiercić pod jego

spojrzeniem.

– A ty co sądzisz?

– Sądzę, że z każdym dniem brzmisz coraz mniej jak krasnolud – odparł z lekkim uśmiechem. – Jeśli chodzi o język, bo jeśli chodzi o ducha, to coraz bardziej go przypominasz. Widzę, że Bruenor przeklął nas oboje. Może jesteśmy zbyt pragmatyczni dla naszego własnego dobra.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Sześć lat u boku kogoś, kogo kochasz i nie jesteście kochankami?

– On nie jest człowiekiem, i w tym kłopot.

– Tylko wtedy, kiedy twój krasnoludzki pragmatyzm czyni z tego kłopot.

Catti-brie nie mogła opierać się tonowi jego głosu czy uśmiechowi, który okazał się zaraźliwy. Roześmiali się razem, śmiejąc się z samych siebie.

– Musimy go znaleźć – powiedział wreszcie Wulfgar. – Drizzt musi wrócić dla dobra nas wszystkich.

– Wkrótce poczuję się lepiej, wtedy wyruszymy – zgodziła się Catti-brie. Zerknęła na swój ekwipunek, na znoszony płaszcz i wystające spod niego, ciemne łączysko Taulmarila.

Na pochwę, w której kiedyś była Khazid'hea.

– O co chodzi? – spytał Wulfgar, widząc, że nagle zmarszczyła czoło. Catti-brie wskazała w tamtą stronę palcem.

– Mój miecz – szepnęła.

Wyraz twarzy Wulfgara był pełen zdziwienia i zmieszania, Catti-brie – znacznie poważniejszy. Znała moc inteligentnego miecza, wiedziała, że osoba, która wyciągnęła Khazid'heę z pochwy zyskiwała więcej, niż by chciała.

Znacznie więcej.

– Musimy go znaleźć, i to szybko – powiedziała.

* * *

To nie dla ciebie, powiedział głos w głowie Delly, kiedy szła ku promowi. Wokół krasnoludy kuły głazy, wygładzając drogę, od drzwi do rzeki i wznosząc umocnienia na górskiej odnodze. Większość uchodźców była już na pokładzie, choć krasnoludzki pilot mówił wyraźnie, że nie odbiją jeszcze przez kilka minut.

Delly nie wiedziała, jak odpowiedzieć na głos w swojej głowie, głos, który uznawała za własny.

– Nie dla mnie? – spytała głośno, choć na tyle cicho, by nie zwracać nikomu uwagi. Zamaskowała dziwną pogawędkę odwracając się do Colson; wyglądała, jakby rozmawiała

z dzieckiem.

Jesteś więc na tyle głupia, by wrócić do kopalń i żyć z krasnoludami? – spytała samą siebie.

Świat nie kończy się na Mithrilowej Hali i ziemiach po drugiej stronie Surbrin, pojawiła się nieoczekiwana odpowiedź.

Delly odeszła na bok, za zasłonę przybudówki, którą zbudował jeden z krasnoludów, by osłonić się przed zimnym wiatrem. Posadziła Colson na krześle i zaczęła zdejmować plecak, kiedy uświadomiła sobie, że drugi głos nie dochodził z jej głowy, ale z bagażu. Delly ostrożnie rozpakowała Khazid'heę i kiedy rękojeść znalazła się w jej dłoni, głos zabrzmiał znacznie wyraźniej.

Nie przejdziemy przez rzekę. Pójdziemy na północ.

– Zatem miecz ma swój rozum, tak? – spytała, bardziej rozbawiona niż przejęta. – Nieźle mi za ciebie zapłacą w Silverymoon, co?

Uśmiech zamarł na jej ustach, gdy ręka wyciągnęła się sama, opadając powoli i spokojnie, tak że czubek ostrza wycelowwał w Colson.

Delly próbowała krzyczeć, lecz nie mogła, gdyż czuła, że gardło ma nagle zaciśnięte. Jednak przerażenie znikło niemal natychmiast, a ona zaczęła dostrzegać w tym pewne piękno. Tak, ruchem dłoni mogła odebrać życie Colson. Jeden ruch dłoni, władza niemal boska.

Na jej twarzy pojawił się zły uśmiech. Colson spojrzała na nią zdziwiona, po czym wyciągnęła rączkę w stronę ostrza.

Skaleczyła palec i zaczęła płakać, lecz Delly prawie jej nie słyszała.

Nie zadała też ciosu, choć bardzo ją to kusiło. Lecz obraz, jaki widziała, odrobina krwi Colson na mieczu, jej mieczu, przywrócił jej zmysły.

Tak łatwo można by ją zabić. Nie zaprzeczysz.

– Przeklęty miecz – sapnęła Delly.

Odezwiw się jeszcze raz na głos, a mała zostanie z rozplatanym gardłem, obiecał rozumny miecz. Idziemy na północ.

– Ty... – zaczęła Delly, lecz umilkła z przerażeniem. – Chcesz mnie zmusić, byśmy ruszyli na północ, i to z małym dzieckiem? – spytała cicho. – Nie przejdziemy przez strażę.

Zostaw dziecko.

Delly jęknęła.

Już! – rozkazał miecz. Delly w życiu nie słyszała polecenia wydanego tak rozkazującym tonem. Jej rozum podpowiadał, że może po prostu cisnąć miecz na trawę i uciec, lecz nie była w stanie. Nie wiedziała dlaczego – po prostu nie mogła.

Czuła, że ma trudności z oddychaniem. W głowie miała wiele wymówek, lecz zwijały się wokół siebie, gdyż nie miała żadnych mocnych odpowiedzi na rozkazy Khazid'hei. Pokręciła głową, lecz nogi odsuwały ją od Colson.

Z tej męczarni wyrwał ją na chwilę znajomy głos. Odwróciła się i zobaczył idącą w stronę promu Cottie Cooperson; pilot zaganiał wszystkich, by jak najszybciej wchodzili na pokład.

Nie możemy jej tak zostawić – tłumaczyła mieczowi.

Jej gardło... takie delikatne... kusiła Khazid'hea.

Znajdą dziecko i przyjdą po nas. Będą wiedzieć, że nie przekroczy tam Surbrin.

Kiedy nie usłyszała żadnej odpowiedzi, Delly wiedziała, że skupiła uwagę złego miecza. Od tej chwili nie tworzyła żadnych spójnych myśli, tylko przerzucała serie obrazów i myśli tak, by broń pojęła zasadniczą treść.

Chwilę później Delly biegła ku promowi, z Khazid'heą zawiniętą w materiał i wetkniętą pod ramię. Nie mówiła zbyt wiele Cottie, kiedy podbiegła i wręczyła jej Colson, lecz nie musiała niczego tłumaczyć: kobieta była zbyt zachwycona ciężarem dziecka na rękach i jego zapachem, by w ogóle ją usłyszeć.

Delly czekała, aż pilot krzyknął na nią:

– Odpływamy, kobieto! Wsiadaj!

– Na co czekasz? – spytał inny pasażer, mężczyzna, który często siadał przy Cottie.

Delly popatrzyła na Colson przez łzy.

Przez krótką chwilę miała ochotę rozplatać dziecku gardło.

Spojrzała na pilota i pokręciła głową, a kiedy krasnolud rzucił cumy, puszczając prom, Delly odeszła, oglądając się często za siebie.

Po dziesięciu krokach nie musiała już się oglądać: wbiła wzrok w przód, ku północy i obietnicom, które cicho podsuwała Khazid'hea. Obietnice te nie miały określonego kształtu i określenia, były tylko ogólnym uczuciem podekscytowania.

Delly Curtie została tak opanowana przez moc Khazid'hei, że idąc między robotnikami i strażnikami, aż do chwili, kiedy biegła wzdłuż rzeki na północ, nie myślała już więcej o Colson.

* * *

– Stać! – krzyknął elf, a stojący obok niego krasnolud dodał: – Ktoś ty?!

Więcej niż jedna strzała została wycelowana w biegnącą postać, uniosły się też krasnoludzkie kusze. Krzyknęło jeszcze kilka osób, lecz postać była już poza zasięgiem strzału i łuki powoli zaczęły się opuszczać.

– Co tam? – spytał Ivan Bouldersoulder krasnoludzkiego strażnika, który zawołał jako pierwszy. Stojący za bratem Pikel uniósł dłoń do nieba i zaczął mamrotać coś w podnieceniu. Krasnoludzki strażnik wskazał na północ, wzdłuż brzegu rzeki, ku malejącej figurce.

– Ktoś uciekał, możliwe, że orczy zwiadowca.

– To nie był ork – wtrącił elfi łucznik. – Sądzę, że to był człowiek, kobieta.

– Elfie oko – szepnął krasnolud do Ivana, mrugając porozumiewawczo.

– Abo i półork – wyjaśnił Ivan. – Zwiadowca, co to przylazł z innymi z miast północy.

Wzmocnijcie strażę.

Elf skinął głową, tak samo krasnolud, lecz kiedy Ivan zaczął myśleć dalej, ktoś złapał go za ramię i gwałtownie odwrócił.

– Co jest? – spytał Pikela, po czym zatrzymał się i popatrzył na brata.

Pikel trzymał mocno Ivana za ramię, lecz nie patrzył na niego. Spoglądał gdzieś w dal i gdyby Ivan nie widział już wcześniej tej druidzkiej sztuczki, mógłby pomyśleć, że jego brat całkiem postradał rozum.

– Znowu oczy ptaka, co? – spytał, opierając dłonie na biodrach. – Gupi duid, zawsze gupio z tem wyglądasz.

Pikel zachwiał się, jakby na życzenie, a Ivan wyciągnął ręce i podtrzymał go. Pikel otworzył gwałtownie oczy i popatrzył na brata.

– Wróciłeś? – spytał Ivan. – Uhu.

– Uhu? I co żeś widział?

Pikel podniósł się i przycisnął twarz do boku głowy Ivana, szepcząc w podnieceni do jego ucha.

Oczy Ivana zrobiły się jeszcze większe niż u brata. Pikel spoglądał oczami ptaka, a na jego polecenie ten ptak przyjrzał się dokładniej biegnącej postaci.

– Jesteś pewny? – spytał. – Uhu.

– Ta Delly od Wulfgara?

– Uhu uhu!

Ivan złapał Pikela i pociągnął do przodu, pokazując na północ.

– No to sprowadź jakiego ptoka, by miał na nią oko. Idziem!

– A dokąd? – spytał krasnoludzki strażnik.

– Gdzie się wybieracie? – powtórzył jak echo elfi łucznik.

– Wyślijcie wieść do Bruenora! – krzyknął Ivan. – Łapta prom, sprawdźta tunele, znajdźta Wulfgara!

– Co?! – Spytali chórem krasnolud i elf.

– Zara wróciem z bracholem. Nie ma czasu! Powiedzcie Bruenorowi!

Krasnoludzki strażnik pobiegł na południe, a bracia Bouldersoulder na północ, nie zwracając uwagi na krzyki zaskoczonych strażników.

23.

WZAJEMNA KORZYŚĆ

Burza znacznie przycichła, lecz dla Innovindil, oglądającej się na wejście do Lśniącej Bieli, dzień zdawał się przez to bardziej ponury. Jak przypuszczała, giganci ścigali ją aż do wewnętrznych wrót, zaś wartownik w korytarzu nadal smacznie chrapał, kiedy przegalopowała obok niego na Zmierzchu.

Elfka wiedziała, że powinna ruszać dalej i nie tkwić tutaj. Wiedziała, że giganci mogą wyjść ukrytymi przejściami na skalne półki, może nawet bardzo blisko niej i nad jej głową. Obawiała się, że jeśli spojrzy w lewo lub w prawo, zobaczy lecący w jej stronę kamień.

Lecz Innovindil nie rozglądała się na boki i nie popędzała Zmierzchu. Siedziała na jego grzbiecie i patrzyła, mając nadzieję, że Drizzt Do'Urden mimo wszystko wybiegnie z jaskini.

Mijały minuty, a ona zagryzała wargi. Wiedziała, że tak się nie stanie. Widziała, jak wpadał do rwącej rzeki, jak wciągany jest pod lód, skąd nie ma ucieczki. Z tego, co widziała i słyszała, rzeka nigdzie w okolicy nie wypływała na powierzchnię. Nie mogła nic zrobić.

Zupełnie nic.

Drizzt był dla niej stracony.

– Czuwaj nad nim, Tarathielu – szepnęła elfka na wiatr. – Powitaj go w pięknym Arvandorze, gdyż jego serce należało bardziej do Seldarine niż do mrocznej królowej demonów.

Powiedziawszy te słowa, schyliła głowę, wierząc w nie z całego serca. Wiedziała, że mimo ciemnej skóry Drizzt nie był drowem i nie żył jak jeden z nich. Może nie był też elfem, jeśli chodzi o sposób bycia czy myślenia, lecz Innovindil wierzyła, że mogłaby go zaprowadzić w tę stronę. Była jednak pewna, że jej bogowie nie odrzucą go, a gdyby tak się stało, to jakież miałyby z nich pożytek?

– Żegnaj, przyjacielu – powiedziała. – Nie zapomnę o twojej ofierze, ani tego, że wszedłeś do jaskiń w poszukiwaniu Jutrzenki, a nie dla swego zysku.

Wyprostowała się i zaczęła odwracać, ściągając wodze w prawo, lecz znów zatrzymała się. Musiała wracać do Księżycowego Lasu... powinna to zrobić już dawno temu, zanim jeszcze Tarathiel padł pod mieczem Oboulda. Jeśli zdoła zebrać swój lud, może uda im się powrócić do Lśniącej Bieli i uratować Jutrzenkę.

Tak, to było jej jedyne zadanie; im szybciej rozpocznie tę podróż, tym lepiej.

Mimo to minęło jeszcze wiele czasu, nim Innovindil znalazła w sobie siłę, by zawrócić Zmierzch i zrobić pierwszy krok.

Miotał się dziko, rozpaczliwie usiłując utrzymać twarz w wąskiej przestrzeni między lodem i bardzo zimną wodą. Instynkt kazał mu się cały czas poruszać – znosił go prąd i gdyby zatrzymał się i pomyślał o bólu czy daremności swoich poczynań, najpewniej od razu by się poddał.

I tak nie miało to większego znaczenia, gdyż jego ruchy stopniowo zwalniały, w miarę jak lodowate zimno wpełzało w kończyny, powodując ośpienie mięśni. Z każdą chwilą Drizzt zwalniał i zanurzał się coraz głębiej, aż zaczął pluć wodą niemal przez cały czas.

Wpadł na coś twardego, a prąd wyrzucił go na szczyt tego czegoś: w ten sposób zyskał kilka minut odpoczynku. Trzymając się skały, mógł utrzymać usta nad wodą. Pomyślał o sejmitarach i wyciągnął dłoń po Błysk. Z pewnością zdoła nim przeciąć się przez...

Zdrętwiałe palce nie były w stanie wystarczająco mocno zacisnąć się na rękojeści i kiedy wreszcie udało mu się wyciągnąć ostrze z pochwy, znów porwał go prąd. Gdy odruchowo rzucił się za tonącą bronią, prąd pociągnął go dalej, obracając tak, że głowa pogrążyła się jeszcze głębiej w lodowatej wodzie.

Walczył, choć wiedział, że to daremne. Ziąb przenikał aż do kości, chłód zapraszał go do miejsca najgłębszej ciemności, jaką Drizzt kiedykolwiek znał. Nie widział nic, poza czarnym wirem, a nawet jeśli na jego końcu było światełko, to nie widział go, gdyż miał zamknięte oczy, myśli skupione na sobie, słabnące powoli zmysły i kończyny.

Jak z wielkiej dali dotarło do niego, że podziemna rzeka rzuca nim na zakręcie, gdzie się pogłębiała. Przepłynął przez okolicę pełną skał, lecz prawie nie czuł, jak odbija się od jednej do drugiej.

Dalej rzeka opadała jeszcze raz, bardziej stromo, jakby zbliżała się do wodospadu. Drizzt spadł, tłukąc się boleśnie; czuł się, jakby został wbity pod lód z karkiem zgiętym pod dziwnym kątem. Zimna igła wbiła mu się w policzek i wciskała coraz głębiej.

* * *

Innovindil ruszyła na wschód od Lśniącej Bieli, trzymając wyższe partie gór po lewej ręce i pozostając w ich cieniu. Wiedziała, że ochronią ją przed lodowatym wiatrem w nocy i zamaskują blask ognia, który będzie musiała rozpałcić.

Nie ośmieliła się unieść w powietrze, gdyż każdy podmuch wiatru mógł się okazać tragiczny w skutkach. Pomyślała, że może powinna zawrócić na południe, ku lepszej pogodzie i krasnoludom z klanu Battlehammer. Czy jej pomogą? Czy ruszą wraz z nią do Lśniącej Bieli, by ratować pegaza?

Pewnie nie. Wiedziała jednak, choć przyznawała to z bólem, że prawdopodobnie nie wróci

do Lśniącej Bieli przed wiosną.

Mogła mieć tylko nadzieję, że Jutrzenka wytrzyma tak długo.

* * *

Zaskoczyła go jego własna dezorientacja, gdy odkrył, że nie jest przyciśnięty do kry od spodu, lecz na niej leży. Otworzył oczy i, choć bolały go wszystkie kości, uniósł się na łokciach. Usłyszał za sobą szum wodospadu, więc popatrzył w tamtą stronę.

Kiedy przeleciał nad urwiskiem, rzeka wypchnęła go, a on poleciał tak daleko, że wylądował na krze, poza kipiela.

Drow wykrztusił wodę; w bolących płucach czuł przejmujące zimno. Przekręcił się i usiadł na lodzie, lecz natychmiast znów się położył, gdy usłyszał, jak pod nim trzeszczy. Powoli poczołgał się w stronę kamiennego murku z boku rzeki – znalazł tam niszę, w której mógł usiąść i zastanowić się nad swoim położeniem.

Uświadomił sobie, że jego wodna podróż nie była zbyt długa – przepłynął może pięćdziesiąt stóp od miejsca, gdzie spadł, nie licząc dwóch znacznych spadków w dół.

Opuścił dłonie do pasa i poczuł Lodową Śmierć, lecz nie było Błysku. Skrzywił się, przypomniawszy sobie utratę sejmityra. Popatrzył w zadumie na wodospad, zastanawiając się, w jaki sposób mógłby odzyskać ostrze.

Niemal natychmiast pojął, że nie ma to większego znaczenia. Ubranie miał przesiąknięte wodą, chłód zabije go szybciej niż jakikolwiek gigant. Dlatego zmusił się do wstania i niepewnego marszu wzdłuż ściany, starając się jak najbardziej przywierać do kamienia. Za każdym razem, gdy nadarzała się taka okazja, przechodził z kamienia na kamień. Przeszedł zaledwie kilkaset kroków, wciąż słysząc echo wodospadu, gdy po drugiej stronie rzeki dostrzegł boczny korytarz, a przed nim pomost, na którym stał stojak z wielkimi, długimi wędkami.

Nie chciał wracać do Lśniącej Bieli, lecz nie miał wyjścia. Położył się na lodzie na brzuchu, ustawiając się tak, by ominąć wszystkie wystające z niego kamienie. Potem odepchnął się i prześlizgnął po zamrożonej rzece. Cały czas czołgając się, przeprawił się na drugą stronę. Szybko wsunął się na pomost i ruszył idącym w górę tunelem.

Chwilę później zaczął iść bardziej ostrożnie, gdyż tunele stały się szersze i lepiej wykonane, a zdobione freskami sklepienia podtrzymywały bogato rzeźbione kolumny. Skulił się w samą porę, by skryć się przed parą gigantów, mijającą go na niedalekim skrzyżowaniu.

Czekał, aż go miną, a potem...

Co? – zastanowił się. Gdzie miał się udać?

Giganci szli z lewej na prawo, więc Driztt udał się na lewo, tak zwinnie, na ile pozwalały mu zdrętwiałe i bolące nogi. Musiał szybko się ogrzać. Zaciskał zęby, aby nie szczękały.

Kilka zakrętów i korytarzy zaprowadziło go w bardziej zamieszkałe rejony kompleksu, lecz nawet jeśli gigantom przeszkadzał ciągły chłód, nie okazywali tego – Drizzt nigdzie nie widział ognia. Nie mając innego wyboru, szedł więc dalej, choć nie wiedział, gdzie ani po co.

Okrzyk za plecami powiadomił go, że został dostrzeżony i pościg znów się rozpoczął.

Skoczył za róg, przebiegł jakieś trzydzieści stóp, po czym skoczył w kolejny zakręt. Pobiegł znajomym korytarzem z posągami wzdłuż ścian. Na podłodze leżał rozbity posąg i podróżny płaszcz drowa. Podniósł go w biegu, otulił nią ciasno i pognął dalej, gdyż do pościgu dołączało się coraz więcej gigantów. Wiedząc już, gdzie się znajduje, starał się biec tak, by każdy zakręt zbliżał go coraz bardziej do wyjścia.

Lecz każdy kolejny zakręt był zamknięty, giganci wypełniali równoległe tunele znajdujące się bliżej wyjścia. Każda droga ucieczki była odcięta, a oni zapędzali go tam, gdzie chcieli. Mimo to Drizzt nie mógł się zatrzymać, o ile nie planował walczyć: po piętach deptała mu dwójka gigantów, zbliżająca się za każdym razem, gdy zwalniał. Musiał skrócić w lewo, zamiast w prawo i tak też zrobił, skacząc w następny zakręt i biegnąc co sił w nogach. Znów skreślił w lewo sądząc, iż może zdoła ominąć ścigającą go dwójkę.

Ta droga również była odcięta.

Drizzt skreślił w prawo i przebiegł przez kilka otwartych drzwi. Przebiegł przez dużą komnatę. Stojący w niej dwaj giganci wrzasnęli i przyłączyli się do pościgu. Kolejne drzwi wyprowadziły go na koniec korytarza, zakręcającego w lewo i w prawo. Przekonany, że jedna droga jest równie dobra jak druga, skreślił w lewo i pobiegł prosto do kolejnego wielkiego pokoju. Stał tam wielki, okrągły stół, przy którym grupa gigantów grała w kości o stopy srebrnych monet.

Stół przewrócił się, a monety i kości poleciały w powietrze, kiedy giganci zerwali się, by łapać drowa.

– Niedobrze – wyszeptał sinymi wargami przez szczękające zęby.

Drzwi obok były zamknięte. Drow nie zwolnił, skoczył na nie z rozpędem, uderzając barkiem. Wpadł do środka i zmrużył oczy, gdyż znalazł się w najlepiej oświetlonym pomieszczeniu w całym kompleksie. Usiłował rozejrzeć się szybko, pozbierać i biec dalej.

Nieważne, któredy.

Wpadł do wielkiej, okrągłej komnaty, zdobionej posągami i obiciami. Na ścianach wisiały głowy różnych potworów – brunatnych kolosów, złudnych bestii, a nawet małego smoka. Drizzt wiedział, że nie jest tu sam, lecz potwierdził swoje przypuszczenia, gdy dostrzegł po drugiej stronie sali postument. Siedziała tam bardzo piękna gigantka, odziana w przepyszną białą szatę ze wspaniałej tkaniny oraz ozdobiona wieloma bransoletkami, naszyjnikami i pierścieniami ogromnej wartości. Rozparła się na swoim tronie, krzyżując bosa, kształtne nogi.

– Uwielbiam, kiedy zdobycz sama do mnie przychodzi – powiedziała we Wspólnym równie

płynnym, jak u Drizzta.

Drow słyszał za sobą trzask drzwi. Jeden ze ścigających zapowiedział go:

– Oto drow, którego chciałaś, pani Oreldottr. Jak sądzę, nazywa się Drizzt Do'Urden.

Drizzt pokręcił głową i unióś rękę, by rozmasować zmarzniętą twarz. Drugą wyciągnął Lodową Śmierć. W tej samej chwili usłyszał, jak strażnicy po obu jego stronach wyciągają swój oręż. Obejrzał się w lewo i prawo, widząc wymierzone w siebie ostrza włóczni i mieczy.

Wzruszywszy ramionami, opuścił sejmitar na podłogę, postawił na nim stopę i pchnął w stronę Gerti.

– Sławny Drizzt Do'Urden nawet nie będzie walczył? – spytała.

Drizzt nie odpowiedział.

– Spodziewałam się po tobie czegoś więcej – ciągnęła Gerti. – Poddania się po wspaniałym pokazie umiejętności? A może sądzisz, że poddając się, ocalisz życie? Jeśli tak, to jesteś głupcem. Podnieś sejmitar, jeśli chcesz. Weź broń i przynajmniej spróbuj się obronić, nim moi żołnierze wycisną z ciebie życie.

Drizzt popatrzył na nią z nienawiścią i pomyślał, że mógłby zrobić tak, jak powiedziała. Nim zdołał jednak ocenić szansę na chwycenie ostrza i trafienia raz czy dwa w śliczną buzię Gerti, ich uwagę odwrócił niski, gardłowy warkot dobiegający z boku gigantki.

Gerti odwróciła się, a Drizzt unióś wzrok, podobnie postąpili wszyscy obecni w sali. Ujrzeni Guenhwyvar siedzącą na skalnej półce, jakieś piętnaście stóp od Gerti, dokładnie na wprost jej twarzy.

Gigantka nie poruszyła się, nie mrugnęła nawet okiem. Drizzt widział, jak zaciska dłonie na oparciu swojego wyrzeźbionego w białym kamieniu tronu. Wiedziała, że pantera dopadnie ją, nim zdoła choćby unieść ręce do twarzy. Wiedziała, że pazury Guenhwyvar zdołają rozedrzeć jej niebieską, delikatną skórę.

Przełknęła głośno ślinę.

– Może teraz będziesz w lepszym nastroju do targowania się – odważył się powiedzieć Drizzt.

Gerti zerknęła na niego z nienawiścią, po czym znów skierowała spojrzenie na wielkiego kota.

– Prawdopodobnie nie zdoła cię zabić – powiedział Drizzt. Zamarzająca szczęka bolała go przy wypowiedaniu każdego słowa. – Ale czy ktoś spojrzy ponownie na panią Oreldottr i będzie zachwycać się jej urodą? Wyjmij jej też to śliczne oczko, Guenhwyvar – dodał. – Ale tylko jedno, musi widzieć wyraz twarzy tych, którzy będą oglądać jej oblicze.

– Milcz! – krzyknęła Gerti. – Twój kot może mnie zranić, a ja mogę w każdej chwili kazać cię zabić.

– Dlatego musimy się potargować – powiedział Drizzt bez wahania. – Gdyż obydwoje mamy

wiele do stracenia.

– Chcesz stąd wyjść.

– Najpierw chcę, by rozpalono tu ognisko, bym mógł się wysuszyć i ogrzać. Drowom niezbyt służy chłód, zwłaszcza, kiedy są mokre.

Gerti parsknęła z pogardą.

– Moi poddani kąpią się w tej rzece zimą i latem.

– Świetnie! Niech zatem jeden z twoich wojowników wyciągnie mój sejmitar. Zgubiłem go pod lodem.

– Twoja broń, twój ogień, twoje życie i twoja wolność – powiedziała Gerti. – Prosisz o cztery rzeczy.

– A ja ofiaruję ci oko, ucho, usta i urodę – odparł Drizzt. Guenhwyvar warknęła, pokazując, że wielki kot zrozumiał każde słowo i jest gotów w każdej chwili zaatakować.

– Cztery za cztery – powiedział Drizzt. – Co zyskasz, zabijając mnie, Gerti?

– Wkradłeś się do mojego domu, drowie.

– Po tym, jak ty zaatakowałaś mój.

– Zatem uwolnię cię, a ty odnajdziesz swoją elfia towarzyszkę i znów wkradniesz się do mojego domu?

Drizzt niemal przewrócił się z ulgi słysząc, że Innovindil udało się uciec.

– Wrócimy do ciebie tylko, jeśli nadal będziesz przetrzymywać to, co należy do nas – powiedział.

– Skrzydlaty koń.

– Nie nadaje się na zwierzaka do jaskiń lodowych gigantów. Gerti znów parsknęła, a Guenhwyvar warknęła i zaczęła przebierać tylnymi łapami, szykując się do skoku.

– Oddaj mi pegaza, a odejdę – powiedział Drizzt. – Guenhwyvar zniknie, i nie będziemy cię już niepokoić. Lecz spróbuj zachować pegaza, zabić mnie, jeśli chcesz, a Guenhwyvar skoczy ci na twarz. Ostrzegam cię, Gerti Orelsdottr, elfy z Księżycowego Lasu wrócą po skrzydlatego konia, a dołączą do nich krasnoludy z Mithrilowej Hali. Nie będziesz mogła w spokoju cieszyć się skradzionym zwierzakiem.

– Dość! – krzyknęła Gerti i, ku zaskoczeniu Drizzta, zaczęła się śmiać.

– Dość, Drizzcie – nakazała mu już spokojniej. – Poprosiłeś mnie o coś więcej; podniosłeś także moją stawkę.

– W zamian... – zaczął odpowiadać Drizzt, lecz gigantka powstrzymała go uniesioną dłonią.

– Nie wyliczaj już części mojego ciała, które twój kot zostawi w spokoju – rzekła. – Nie, mam na myśli lepszy układ. Odnajdę twoje ostrze i pozwolę ci ogrzać się przy wielkim ogniu, zjadając przy tym tyle, ile zdołasz. Pozwolę ci wyjść z Lśniącej Bieli... nie, wyjechać na tym cennym skrzydlatym koniu, choć z bólem pozwolę odejść tak wspaniałej istocie. Uczynię dla

ciebie, Drizzcie Do'Urdenie, to wszystko i jeszcze więcej.

Drow nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Podobnie było z gigantami, którzy stali z otwartymi ze zdziwienia ustami.

– Nie jestem twoim wrogiem – powiedziała Gerti. – Nigdy nim nie byłam.

– Widziałem, jak twoi ludzie ciskają w wieżę głazami. W tej wieży byli moi przyjaciele.

Gerti wzruszyła ramionami, jakby to zupełnie nie miało znaczenia.

– Ja, my, nie zaczęliśmy tej wojny. Podążyliśmy za wielkim orkiem.

– Obould Wiele Strzał.

– Tak, niech będzie przekłete jego imię. Drizzt uniósł pytająco brwi.

– Chcesz go zabić? – spytała Gerti.

Drizzt nie odpowiedział. Wiedział, że nie musi.

– Chciałabym obejrzeć taki pojedynek – powiedziała Gerti z paskudnym uśmieszkiem. – Może zdołam dostarczyć ci króla Oboulda, Drizzcie. Czy to ci odpowiada?

Drizzt przełknął głośno ślinę.

– Wygląda na to, że teraz ty podwyższyłaś swoją stawkę jeszcze bardziej – zauważył.

– Owszem, i przystanę na to pod dwoma warunkami. Po pierwsze, zabijesz Oboulda. Potem będziesz pośredniczył w rozejmie między Lśniącą Bielą a okolicznymi królestwami. Krasnoludy króla Bruenora nie będą szukać zemsty na moim ludzie, podobnie lady Alustriel ani inni sojusznicy klanu Battlehammer. Będzie tak, jakby giganci z Lśniącej Bieli nigdy nie brali udziału w wojnie Oboulda.

Musiło minąć dużo czasu, nim Drizzt zdołał pojąć te zaskakujące słowa. Czemu Gerti to robiła? Może dla ocalenia urody, ale szło tu o coś więcej, niż Drizzt mógł pojąć. Jasne było, że nienawidziła Oboulda. Czy to możliwe, że zaczęła go się również bać? A może była przekonana, że król orków wreszcie przegra, dzięki jej zdradzie albo bez niej, a efekt okazałby się katastrofalny dla jej poddanych? Tak, gdyby krasnoludy z trzech królestw połączyły siły z wojskami trzech ludzkich królestw, czy zatrzymałby się na orkach, czy zaczęłyby także mścić się na gigantach?

Drizzt rozejrzał się wokół i dostrzegł, że wielu gigantów kiwa głowami i uśmiecha się, a wymieniane między nimi szeptami wydawały się w całkowitej zgodzie z propozycją Gerti. Słyszał też głosy sprzeciwu, ale ciche i nieliczne.

Dla dygoczącego z zimna Drizzta zaczynało to nabierać sensu. Jeśli wygra, Gerti pozbędzie się znienawidzonego rywala, a jeśli przegra, Gerti nic na tym nie straci.

– Zorganizuj to – powiedział.

– Podnieś zatem swój sejmitar i odeślij panterę.

W głowie Drizzta rozległ się alarmowy dzwonek, a na ciemnej twarzy pojawiła podejrzliwość. Lecz Gerti wyglądała na jeszcze bardziej odprężoną.

– Wobec całego mego ludu daję ci słowo, Drizzcie Do’Urdenie. Wśród gigantów z Grzbietu Świata nasze słowo jest najcenniejszą rzeczą, jaką posiadamy. Jeśli zdradzę cię teraz, czy ktokolwiek z mojego ludu uwierzy, że nie zrobię tego samego z nim?

– Nie jestem lodowym gigantem, w twoich oczach jestem czymś niższym – odparł Drizzt.

– Owszem – zaśmiała się Gerti. – Ale to niczego nie zmienia. Poza tym, bardzo rozbawi mnie oglądanie twojej walki z królem Obouldem. Siła przeciwko sile, taktyka przeciwko dzikiej furii. O tak, to będzie wspaniałe. Bardzo.

Skończyła i znów wskazała na sejmitar.

Przez dłuższą chwilę Drizzt patrzył jej prosto w oczy.

– Odejdź, Guenhwyvar – polecił.

Pantera zastrzygła uszami i popatrzyła ze zdziwieniem na Drizzta.

– Jeśli mnie zdradzi, odszukaj ją i pozbaw urody, gdy następnym razem pojawisz się na planie materialnym – powiedział.

– Nie złamię swojego słowa – rzekła Gerti.

– Odejdź, Guenhwyvar – powtórzył Drizzt, zrobił krok do przodu i podniósł Lodową Śmierć.

– Wróć do domu i odpoczywaj spokojna, że znowu cię wezwę.

24.

NA ROZKAZ INNYCH

Następnego ranka Drizzt wyprowadził Jutrzenkę z Lśniącej Bieli świadom, że giganci Gerti śledzą każdy jego ruch. Powietrze było spokojne i nieco cieplejsze, blask słońca migotał na świeżo spadłym śniegu.

Drow wygładził ubranie, płaszcz oraz pas, za którym znów tkwiły dwa sejmitary. Odszedł jakieś dwadzieścia kroków, po czym odwrócił się i popatrzył na Lśniącą Biel, wciąż zaskoczony, że Gerti dotrzymała słowa i od razu zawarła z nim umowę. Uznał to za dobry znak na przyszłość, gdyż gigantka i jej armia najwyraźniej nie mieli serca do dalszego wojowania, a co równie ważne, najwyraźniej nie byli zaprzyjaźnieni z Obouldem Wiele Strzał. Wyglądało na to, że Gerti chciała śmierci króla orków niemal tak samo jak Drizzt. Skoro dotyczyło to gigantki, to może odnosiło się również do konkurujących z Obouldem wodzów? Czy w tak wielkiej armii są może jakieś tarcia, które mogą ją rozbić, skoro nie mogą tego uczynić krasnoludy?

Ta pełna nadziei myśl została szybko zastąpiona inną – Drizzt był świadom, że jeśli Gerti rzeczywiście zdoła zaaranżować jego spotkanie z Obouldem, to przyspieszy w ten sposób rozpad orczych wojsk. Bez króla orków chaotyczne istoty zwrócą się przeciw sobie, dzień po dniu i dekadzień po dekadniu.

Drizzt zacisnął dłonie i wyłamał palce, rozluźniając mięśnie przedramion, wypędzając z kości resztki chłodu z rzeki. Tak jak Innovindil zabiła syna Oboulda, tak on zada ten większy cios.

Myśl o elfiej towarzysze kazała mu rozejrzeć się po niebie w nadziei, że dostrzeże latającego konia. Chciał wskoczyć na grzbiet Jutrzenki i wznieść się wysoko, by rozejrzeć się po okolicy, lecz Gerti surowo mu tego zabroniła. Jutrzence zresztą założono uprząż, która uniemożliwiała rozłożenie skrzydeł.

Gerti zaoferowała mu układ, lecz zrobiła to na swoich warunkach.

Drizzt skwitował to kiwnięciem głowy i dalej rozglądał się po niebie. Miał ze sobą pegaza. Miał sejmitar, wydobyty z lodowatej wody, żył. Po katastrofalnej wyprawie do Lśniącej Bieli te rzeczy wydawały mu się czymś więcej, niż wydawało się możliwe.

Będzie mógł walczyć ze zniechęconym Obouldem. Tak, pomyślał, rzeczy potoczyły się całkiem dobrze.

Jak na razie.

* * *

Gerti siedziała na swoim tronie, spoglądając na kręcących się po sali gigantów. Zaskoczyła ich, a w spojrzeniach, które jej rzucali, było tyle samo podejrzliwości, co ciekawości. Gerti wiedziała, że ryzykowała. Jej ojciec, wielki jarl Orel, który żelazną ręką zjednoczył wiele gigancich rodów z Grzbietu Świata, był bliski śmierci, pozostawiając Gerti jako jedyną dziedziczkę. Będzie to jednak pierwsze przekazanie władzy od czasu zjednoczenia, a to był trudny okres.

Postąpiła zgodnie z radą Ad'nona Kareese i Donni Soldou i przyłączyła się do wielkich planów Oboulda, prowadząc swój lud z ich górskich siedzib na wyprawę, która początkowo miała być łatwa i krótka. Orki miały ponieść większość strat, a giganci tylko zgarniać łupy. Jak na ironię, sukcesy Oboulda podniosły stawkę dla Gerti. Gigantka zaczęła pojmować, że w ich relacjach Obould zaczął zyskiwać coraz więcej władzy, co było jeszcze bardziej niebezpieczne. Sprawiał, że w oczach swoich własnych poddanych była kimś mało znaczącym, a na to Gerti nie mogła sobie pozwolić. Dlatego zorganizowała opuszczenie Oboulda. Wiedziała jednak, że nawet to stanowiło ryzyko. Gdyby król orków dalej podbijał, a nawet gdyby tylko umocnił się na tym, co już zdobył, lud Gerti zapłaciłby słono – w czasie walk zginęło ponad trzydziestu gigantów – za względnie niewielki udział w łupach. Nie należało także lekceważyć ceny, jaką zapłaciła Gerti swoją godnością.

Samotny drow dał jej szansę na zmianę układu sił. Po namyśle uznała, że jej układ z Drizztem był mniej ryzykowny, niż sądziła. Zapłaciła za to tylko wypuszczeniem pegaza – to prawda, skrzydlaty koń był uroczą błyskotką, ale nie miał żadnego praktycznego znaczenia. A zysk?

Tu właśnie pojawiała się niewiadoma i była to jedyna rzecz, którą Gerti uznawała za ryzykowną. Gdyby Drizzt zabił Oboulda, opuszczenie orków przez Gerti wyglądałoby na mądre i przezorne, zwłaszcza, gdyby Drizzt spełnił pragnienie gigantki i zawarł układ ze znaczącą liczbą wrogów, którzy bez wątplenia rzucą się wypchnąć pozbawionych dowództwa orków z zajętych przez nich ziem. Czy Gerti mogłaby wynieść jakieś zyski z tej kampanii, może nawet otworzyć szlaki handlowe z krasnoludami z Mithrilowej Hali?

Niebezpieczeństwo leżało w bardzo realnej szansie, że to Obould zabije Drizzta i zyska u swoich poddanych jeszcze więcej sławy – o ile to w ogóle możliwe. Rzecz jasna, w takim przypadku Gerti mogłaby mówić, że dostarczyła mu Drizzta właśnie w tym celu. Może nawet zdoła tak to rozegrać, by wydawało się, że to ona, nie Obould, trzyma wszystkie sznurki.

– Skrzydlaty koń sprawiał więcej kłopotu, niż był wart – powiedziała do stojącej obok gigantki, która rzucała jej zaskoczone i podejrzliwe spojrzenia.

– Był piękny – odparła.

– To piękno sprowadziłoby niekończący się szereg elfów, ciągnących do Lśniącej Bieli, by go uwolnić.

Tamta spojrzała na nią z jeszcze większym zaskoczeniem: od kiedy to Gerti obawiała się mniejszych ras, wchodzących do Lśniącej Bieli?

– Naprawdę chcesz, by elfy ze swoimi kłującymi łukami wcisnęły się nam do domu? Albo sprytnie krasnoludy, które wykopią swoje tunele i połączą je z mniej używanymi drogami, wślizgując się między nas, wyskakując niespodziewanie i waląc nas po kolanach swoimi paskudnymi młotami?

Kiedy mówiła, dostrzegła, że niektórzy giganci potakują jej. Zastanowiła się nad różnymi spojrzeniami. Musiała właściwie to rozegrać, sprawić, by jej manewrowanie wyglądało na sprytnie, bez przypominania wszystkim o jej podstawowym błędzie, który ściągnął im na głowy te wszystkie kłopoty. Jak nauczyła się od swego starego, mądrego ojca, wszystko zależało od właściwie ułożonego przekazu. To był przekaz, który przez kilka najbliższych dekadni musiała ściśle kontrolować, aż osłabnie ból po stracie pobratymców.

Jeśli Drizzt Do'Urden zdoła zabić Oboulda, ten przekaz łatwiej będzie jej wykorzystać do swoich celów.

* * *

Ta sama burza, która zasypała śniegiem góry wokół Lśniącej Bieli, przesunęła się na południowy wschód, przynosząc ze sobą porywiste wiatry i zimny deszcz, który tak mocno chłostał wody Surbrin, iż krasnoludy z Felbarr musiały przymocować prom na wschodnim brzegu i wycofać się do jaskiń. Ludzcy uchodźcy, mimo iż bardzo chcieli ruszyć ku Silvermoon, nie odważyli się ryzykować w taką pogodę i również utknęli w tych jaskiniach.

Cottie Cooperson starała się jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Trzymała się na samym skraju światła rzucanego przez ognisko, przytulając otuloną w koc Colson. Pozostali szybko dowiedzieli się o dziecku i zasypali Cottie pytaniami.

– Co zrobiłaś jej matce? – spytał ktoś, nachylając się i zmuszając, by Cottie spojrzała mu prosto w oczy.

– Widziałam, jak Delly sama wręczała dziecko Cottie – odparła jakaś kobieta, wyręczając biedną Cottie. – Tuż przy brzegu, a potem odbiegła.

– Odbiegła? A może nie zdążyła na prom? – pytał dalej podejrzliwy.

– Odbiegła – odparła stanowczo kobieta. – Z własnej woli.

– Chciała, by dziecko było jak najdalej od Mithrilowej Hali, kiedy będą walczyć – skłamała Cottie.

– Zatem krasnoludy powinny wiedzieć, że mają wśród pasażerów adoptowaną wnuczkę króla Bruenora – zauważył mężczyzna.

– Nie! – krzyknęła Cottie.

– Nie – dodała kobieta. – Delly nie chciała, by ten uparty dureń Wulfgar wiedział o tym, bo chciałby odzyskać dziecko.

To rzecz jasna nie miało żadnego sensu. Mężczyzna wyprostował się i popatrzył na kobietę.

– A co to ma z nami w ogóle wspólnego? – spytał.

– Nic – odparł inny mężczyzna. – I nie będzie miała lepszej matki niż Cottie Cooperson.

Rozległy się głosy poparcia.

– Zatem to nasza tajemnica, a krasnoludzkim gburom nic do tego – oznajmiła kobieta.

– Sądzisz, że Wulfgar podzieli twoje zdanie? – spytał mężczyzna. – Chcesz, aby tacy jak on i jego ojczulek ścigali nas na kraj świata?

– A po co? – odparła kobieta siedząca przy Cottie. – Aby odzyskać dziecko? No to im oddamy, i będzie po krzyku.

– Będzie bardzo zły – odparł mężczyzna.

– I moim zdaniem ten gniew powinien skierować na żonę – powiedział inny mężczyzna. – Oddała dzieciaka Cottie na wychowanie, więc Cottie je wychowuje. Wulfgar i Bruenor powinni to docenić!

– Tak! – krzyknęło kilka osób.

Targany wątpliwościami mężczyzna długo spoglądał twardym wzrokiem na sprzymierzeńców Cottie, po czym zwrócił się do niej samej. Ta przez cały czas tuliła Colson, jak każda matka tuli swoje dziecko.

Nie mógł zaprzeczyć, że widok Cottie z dzieckiem na ręku rozgrzewał mu serce. Cottie, która przeżyła tak wiele bólu, po raz pierwszy wydawała się zadowolona. Nie mógł temu zaprzeczyć nawet przy wszystkich swoich obawach o zemstę ze strony Wulfgara. Kiwnął głową, uśmiechając się ze zrozumieniem.

* * *

Ciągnięta przez wiecznie głodną Khazid'heę Delly była jedną z niewielu osób, wędrujących w zimnym deszczu. Wyczerpana, przemoczona, zziębnięta do szpiku kości kobieta nawet nie pomyślała o znalezieniu jakiegoś schronienia, gdyż miecz nie pozwalał, by taka myśl przeniknęła do jej głowy.

Khazid'hea opanowała ją w całości. Delly stała się przedłużeniem miecza. Całe jej istnienie polegało na zaspokajaniu potrzeb rozumnej broni.

Miecz tego nie doceniał.

Choć Delly była posłuszną niewolnicą, nie była tym, co miecz cenił sobie nade wszystko: godnym niego właścicielem. Kiedy więc zapadła ciemność i oczy Delly przekazały mu obraz odległego ogniska, broń nakazała jej ruszyć tam jak najszybciej.

Szła przez kilka godzin, często przewracając się i raniąc nogi; raz poślizgnęła się na oblodzonym głazie i uderzyła w głowę, niemal tracąc przytomność.

Co tu robię? Miałam iść do Silverymoon albo Sundabar, a mimo to wędruję po dzikich terenach!

Ta przytomna myśl sprawiła, iż Khazid'hea wzmocniła swoją władzę nad jej umysłem, opanowując ją całkowicie i skłaniając do dalszego marszu, noga za nogą.

Jakiś czas później Khazid'hea poczuła jej strach, gdy usłyszeli gardłowe głosy obozujących istot i język orków. Miecz przemienił ten strach, zalewając Delly obrazami jej dziecka masakrowanego przez te orki. Zmienił przerażenie w taki szal, iż wkrótce gnała ku obozowi na złamanie karku. Wpadła w krąg światła, zabijając siedzącego najbliżej, zaskoczonego orka jednym pchnięciem ostrza, które przeszło przez uniesione do zasłony ramię i zatoneło głęboko w piersi.

Delly wyrwała je, cięła następnego, jednak istota uskoczyła w bok, a wtedy ostrze wyryło głęboką rysę w pniu drzewa. Rzuciła się za nim jak szalona, tnąc i zadając pchnięcia. Ork zdołał zastawić się tylko raz – stracił przy tym czubek włóczni, więc cofnął się przerażony.

Coś uderzyło Delly z boku, lecz ona była tak opętana, że prawie tego nie poczuła. Nacierала na cofającą się istotę, uderzając raz za razem w pysk, wyrzucając w powietrze fontanny krwi. Posmakowała jej i była zbyt rozwścieczona i opętana, by poczuć obrzydzenie.

Znow coś uderzyło ją w bok. Odwróciła się w tamtą stronę sądząc, że naciera na nią kolejny ork. Chwila zrozumienia i całkowite zaskoczenie, gdy popatrzyła na przeciwnika, stojącego z łukiem w dłoni po drugiej stronie ogniska.

Delly spojrzała na swój bok i dwie głęboko wbite strzały. Obejrzała się do tyłu w tej samej chwili, gdy ork naciągał hak po raz trzeci.

Khazid'hea przesłała jej obraz tego właśnie orka rozgryzającego gardło Colson. Kobieta wrzasnęła, rzuciła się ku niemu...

I cofnęła chwiejnie pod impetem strzały, wbijającej się w jej pierś.

Delly szła dalej z głuchym warkotem, spoglądając na łucznika. Nie słyszała, że jego kompan zakrada się od tyłu, jak wbija miecz w jej plecy.

Upadła, spoglądając na nocne niebo i czuła ogarniający ją spokój.

Wtedy dostrzegła migoczącą nad głową Selune i podążające jej szlakiem migotliwe łyzy, przesłonięte chmurami. Jakież to piękne, pomyślała.

Khazid'hea wypadła z jej ręki, ostrze wbiło się w ziemię i stanęło pionowo, czekając na bardziej godnego właściciela, który ujmie miecz w dłoni.

Miecz poczuł, że jego połączenie z Delly Curtie przerywa się całkowicie i zrozumiał, że został osierocony.

Lecz nie na długo.

25.

ROZRYWKI GERTI

Drizzt obserwował dwóch posłańców Gerti z osłoniętej kotliny, milę na wschód od wejścia do Lśniącej Bieli. Drow szybko poznał granice zaufania gigantki, gdyż powiedziano mu wprost, że nie wolno mu zdjąć uprząży Jutrzenki, wiedział też, że każdy jego krok jest pilnie obserwowany. Gdyby próbował uciec, giganci zaczęliby ciskać głazami w niego i w pegaza.

Mimo to drow był przekonany, że Gerti mu ufała, dlaczegóżby nie? Z pewnością jego chęć, by walczyć z Obouldem, była szczera. Nie, wszystkie „zabezpieczenia” były bardziej na pokaz dla jej własnego ludu... tak sądził, a przynajmniej musiał tak sądzić. Całe życie spędził u boku mądrego przywódcy, krasnoluda, który wiedział, co robić i jak to pokazać – dwie całkiem różne rzeczy – i pojmował złożoność obecnej sytuacji.

Oczywiście, Gerti mogła po prostu wykorzystywać go jako szansę na zabicie Oboulda, nie zamierzając wypuścić ich po walce, niezależnie od rezultatu. Niech i tak będzie, Drizzt musiał to przyjąć: w tamtej komnacie w Lśniącej Bieli naprawdę nie miał innego wyjścia. Wówczas wydawało mu się, że wszystko jest stracone, tymczasem ona zaoferowała mu przynajmniej iskierkę nadziei.

Dwaj giganci weszli do kotliny i rzucili mu do nóg torbę z prowiantem oraz bukłak.

– Potężna armia orków przechodzi na wschód stąd, wzdłuż gór, ku przełęczy – powiedziała bardzo ładna gigantka.

– Zostali wysłani przez króla Oboulda, by pomóc w zbudowaniu wielkiego miasta, które planuje wznieść w tym obronnym miejscu – dodał drugi. Był barczysty i muskularny nawet jak na przedstawiciela swojej rasy, a jego twarz o jasnobłękitnej skórze i srebrzystych brwiach, które za każdym zmarszczeniem zbiegały się w literę V, była nie mniej przystojna, niż u jego towarzyszki.

– Twierdza Mrocznej Strzały – powiedziała gigantka. – Zapamiętaj tę nazwę i jeśli tylko uda ci się wyjść z tego cało, przekaż je swoim sojusznikom.

Wnioski płynące z tych wieści wcale nie zaskoczyły Drizzta. Wędrując ku Lśniącej Bieli widział wyraźne oznaki, że król zamierza umocnić się na zdobytej ziemi. Zbudowanie dużego miasta, w łatwym do obrony rejonie Grzbietu Świata, z którego przybywało do niego coraz więcej orków, wydawało mu się całkiem logicznym rozwiązaniem.

– Obould nie jedzie jednak z nimi – wyjaśniła. – Wędruje od góry do góry, nadzorując prace przy budowie wielu mniejszych twierdz, przypominając orkom, komu służą.

– Ma przy sobie szamanów – dodał drugi. – A para mrocznych elfów służy mu prawdopodobnie jako przedłużenie oczu... znasz ich może?

Wyraz twarzy Drizzta starczył za całą odpowiedź.

– Wiemy, że zabiłeś dwoje tych drowów – ciągnął gigant. – Ta dwójka jest, lub raczej była, ich towarzyszami. Wysłano ich na południe z armią trolli, lecz wkrótce wrócą. I bez wątpienia mają żal do Drizzta Do'Urdena.

– Morderstwa i wojna są tak popularne wśród mojego ludu, że równie dobrze mogą go nie mieć – odparł Drizzt, wzruszając ramionami, jakby to w ogóle nie miało znaczenia. Oczywiście była to prawda; skoro te dwa drowy były przy Obouldzie, również one były jego wrogami.

– Ruszymy rankiem – powiedziała gigantka. – Gerti spodziewa się, że spotka się z Obouldem w ciągu trzech dni.

Chce go zabić, nim jego wielkie plany zaczną przybierać realne kształty, pomyślał Drizzt, lecz nie odpowiedział.

Każda dodatkowa informacja o poruszeniach wojsk Oboulda wzmacniała tylko układ, jaki drow zawarł z Gerti. Gigantka widziała, że nadchodzi wojna zbyt wielka, by mogła wpłynąć na jej przebieg. Albo, jeśli do niej nie dojdzie, widziała znaczne osłabienie swojej pozycji.

Drizzt wiedział, że dostarczenie go Obouldowi może okazać się dla Gerti niekorzystne – gdyby król orków wygrał, jego pozycja jeszcze by urosła. Fakt, że Gerti chciała wykorzystać taką możliwość, wskazywał Drizztowi, jak bardzo jest zdesperowana.

Obould zaczynał przejmować całkowitą kontrolę nad sytuacją, a Gerti sądziła, że nie ma nic do stracenia.

Dziwne, że Gerti uważa jego zwycięstwo nad Obouldem za tak bardzo korzystne dla siebie – gigantki, której nie mógł nazwać swoim sojusznikiem. Pamiętał zniszczenie Płycizn i zimną pogardę, jaką jej wojownicy okazywali biednym mieszkańcom wioski.

Mimo to, gdyby zwyciężył, wojska orków poszłyby w rozsypkę, a wobec braku silnego wodza zwróciłyby się przeciwko sobie; do tego był zobowiązany rozmawiać w imieniu tych gigantów o rozejmie.

Drow pokiwał ponuro głową i przyjął tę świadomość w swoim sercu, tak samo, jak przyjął to w myślach, kiedy jego życie wisiało na włosku. Lepiej będzie dla wszystkich, jeśli ta wojna po prostu się skończy, jeśli chmara orków zostanie zepchnięta do swoich nor, a ten teren oddany dobrym istotom. Co zyskaliby atakując Lśniącą Biel, skoro przy okazji zginęłyby setki krasnoludów i ich sojuszników?

– Jesteś gotów, by z nim walczyć? – spytała gigantka. Drizzt spojrział na nią; był tak zamyślony, że nie dosłyszał pytania.

– Trzy dni – zgodził się. – Za trzy dni Obould zginie. Giganci spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się i odeszli. Drizzt powtarzał sobie te słowa wiele razy, pozwalając, by przeniknęły one do jego kości i serca, by stały się jak litania chroniąca przed bólem i poczuciem straty.

– Za trzy dni Obould umrze – powtarzał głośno, a jego usta wykrzywiły się chciwie.

* * *

Dwaj giganci po prawej stronie szlaku pilnowali Jutrzenki, lecz to nie oni zwrócili uwagę Drizzta tego zimnego, słonecznego poranka. Po lewej, na skalistym pagórku, stali opromienieni blaskiem słońca Gerti Orelsdotr i król Obould, sprzecząc się o coś.

To ona wszystko zorganizowała, kazała Drizztowi stanąć w miejscu, z którego łatwo będzie mógł wspiąć się na ustalone miejsce, a potem ściągnęła tu Oboulda na rozmowę w cztery oczy.

Wyglądało na to, że ork wcale nie spodziewał się Drizzta – był całkiem rozluźniony i bardzo pewny siebie. Zaskoczyło go nieco, kiedy wraz z Gerti weszli na pagórek, lecz po kilku minutach pogawędki i pokazywania palcami ork najwyraźniej się odprężył.

Drizzt wiedział, że rozmawiali o budowie umocnień. Przez całą drogę, pełne cztery dni marszu na południe od Lśniącej Bieli Drizzt widział, jak wielkie plany króla Oboulda przybierają konkretny wymiar. Na północy wiele wzgórz i górskich zboczy zamieniło się w place budowy, wokół już zbudowanych wież wznoszono kamienne mury. Na sąsiednim wzgórzu setka orków trudziła się nosząc wielkie kamienie na budowę solidnych umocnień.

To jeszcze bardziej uświadomiło Drizztowi, jak ważne jest jego zadanie. Chciał zabić Oboulda za to, co zrobił jego przyjacielom i niewinnym mieszkańcom Północy; musiał go zabić dla dobra tych, którzy przeżyli. To nie było zachowanie, jakiego spodziewałby się po orku. Wiele razy, nawet w Menzoberranzan, słyszał opinię, iż jedyną rzeczą, która rzeczywiście czyni goblinoidy słabszymi od innych ras, jest brak zgody. Nawet przekonane o swojej wyższości matki-opiekunki z Menzoberranzan postępowały ostrożnie ze swoimi goblinскими i orczymi niewolnikami świadome, że zjednoczona siła tych potworów, chociaż słabych, może wywołać powszechną katastrofę.

Jeśli taką jednoczącą siłą, choćby na obszarze Grzbietu Świata, był Obould, to musiał umrzeć.

Minęło wiele minut, a Drizzt podświadomie złapał za rękojeści swoich sejmitarów. Zerknął nerwowo na sąsiednie wzgórze, gdzie kilka innych orków – najwyraźniej szamanów – strzegło swego wodza, często podchodząc do najbliższego zbocza i spoglądając na dwie postacie. Ich zainteresowanie nieco osłabło w ciągu najbliższych minut, lecz Drizzt wiedział, że to minie.

– Pospiesz się, Gerti – wyszeptał.

Zaskoczony drow cofnął się w cień, gdyż Gerti, jakby w odpowiedzi, odwróciła się od Oboulda i odeszła gniewnie, schodząc ze wzgórza długimi krokami.

Drizzt był tak zaskoczony, że niemal przeoczył najlepszą chwilę. Obould, najwyraźniej zdziwiony nagłym odejściem gigantki, stał przez chwilę gapiąc się na nią, z dłońmi na biodrach i oczami błyszczącymi za tym dziwnym, podobnym do czaszki hełmem z przerośniętymi,

szklistymi oczodołami.

Drow otrząsnął się i cicho pobiegł w górę zbocza. Znalazł się na jego szczycie zaledwie o kilka kroków od orka. Pomyślał, że powinien podbiec i zakłuć wroga, nim Obould w ogóle pojmie, że tu jest.

Lecz król orków odwrócił się ku niemu, więc Drizzt i tak musiał się zatrzymać.

– Sądziłem, że nigdy nie odważysz się stawić mi czoła bez wsparcia – powiedział drow. W jego dłoniach pojawiły się nagle sejmitary; ruch był tak szybki i płynny, iż wydawało się, że to czary.

Spomiędzy warg Oboulda dobiegł niski warkot.

– Drizzt Do’Urden? – spytał, a grzmiący warkot z każdą sylabą stawał się coraz głośniejszy.

– Dobrze, że znasz moje imię – odparł Drizzt i zaczął powoli iść w bok, zmuszając Oboulda do odwracania się razem z nim. – Chciałbym, abyś je znał. Chciałbym, abyś zrozumiał, dlaczego tego poranka umrzesz.

Chichot Oboulda był tak złowrogi, że właściwie niczym nie różnił się od ciągłego warkotu. Powoli uniósł prawą rękę nad lewe ramię, ujął rękojeść wielkiego miecza i równie powoli go wyciągnął. Górna część pochwy była rozcięta do połowy długości, kiedy więc czubek miecza wysunął się z niej, Obould zamachnął się bronią na krzyż.

Drizzt usłyszał okrzyk z sąsiedniego wzgórza, ale to nie miało znaczenia. Nie dla niego i Oboulda. Drizzt słyszał jakąś awanturę, kątem oka dostrzegł, że w ich stronę biegnie kilku orków, a kilku innych napina łuki. Obould uniósł dłoń w ich stronę, a oni zatrzymali się i opuścili broń. Król orków również chciał stoczyć tę walkę.

– Za Bruenora – powiedział Drizzt i nie zauważył dziwnego błysku, który pojawił się w żółtych, przekrwionych oczach Oboulda. – Za Płycizny i wszystkich, którzy tam zginęli.

Dalej chodził wokół orka, który nadal się obracał.

– Za Królestwo Mrocznych Strzał – odparł Obould. – Za powstanie orków i chwałę Gruumsha. Za nasze miejsce w blasku słońca, który krasnoludy, elfy i ludzie zbyt długo uważali wyłącznie za swoje!

Słowa te sprawiły, że po plecach Drizzta przeszedł instynktowny dreszcz, lecz był zbyt rozniewany, by w pełni docenić pragnienia orka.

Usiłował przyjrzeć się wrogowi, znaleźć jakieś słabe punkty w jego sławnej zbroi. Lecz okazało się, że jest pochłonięty hipnotycznym spojrzeniem Oboulda, samą intensywnością wzroku wielkiego wodza. To spojrzenie było tak silne, iż drow właściwie nie zauważył, że ork zaczął się poruszać. Spojrzenie przekrwionego oczu było tak paralizujące, że cofnął się w ostatniej chwili, unikając przecięcia na pół jednym uderzeniem potężnego miecza.

Obould nacierał dalej, tnąc na odlew, po czym zadając cofającemu się drowowi jedno, drugie, trzecie pchnięcie.

Drizzt obracał się i robił uniki, poruszając się szybko i zachowując przy tym równowagę. Opierał się pokusie, by zablokować broń przeciwnika jednym ze swoich ostrzy świadom, że ciosów Oboulda nie da się zablokować jedną ręką. Wykorzystał chwile ataków Oboulda, by wpaść we własny rytm. Kiedy już rozpoznał jego technikę, zrozumiał, że lepiej będzie trzymać się od niego jak najdalej. Dlatego trzymał sejmity z boku, szeroko rozkładając ramiona, unikając ciosów Oboulda tylko dzięki swojej zręczności i ruchom stóp.

Król orków ryczał i atakował jeszcze bardziej zaciekle, niemal bez ustanku. Zadawał pchnięcia i parł do przodu, to ciął szeroko, to atakował burzą krótkich ciosów. Lecz Drizzt szybciej się cofał, niż Obould nacierał, dlatego ork nie mógł się do niego zbliżyć. Doświadczony wojownik, jakim był drow, pozwolił, by ostrze go minęło i w mgnieniu przekrwionego oka odzyskał równowagę.

Przebiegł obok Oboulda obracając się, kiedy ten usiłował uderzyć go ramieniem. Podwójne pchnięcie trafiło orka w bok, a kiedy zatrzymała je zbroja, Drizzt niespodziewanie wykonał półobrót, a potem wrócił, tnąc wyżej, jedno ostrze za drugim, na skos przez osłonę na oczy.

Obould zaryczał, a jego wielki miecz przeciął powietrze... tylko powietrze, gdyż Drizzt był już poza jego zasięgiem.

Uśmiech elfa trwał jednak krótko, gdy zobaczył, że jego ciosy, cztery mocne uderzenia, nie zadrapały nawet przezroczystej osłony na hełmie.

W mgnieniu oka Obould był przy nim, zmuszając go do uników i podskoków, a nawet do parowania. Sama siła ciosu sprawiła, że ramię drowa zdrętwiało, a on sam poczuł mdłości. Wykorzystał kolejną okazję i zaszarżował, tnąc Błyskiem w szarą osłonę gardła.

Nie trafił, za to nurkując pod ciosem, omal nie stracił wielu swoich włosów. Stawiając czoła kolejnym gwałtownym atakom zrozumiał, że te okazje były tworzone specjalnie, Obould kusił go.

Dla niego nie miało to żadnego sensu. Ruszając się w lewo, prawo i do tyłu, a nawet robiąc salto, cały czas przyglądał się wielkiemu orkowi i jego zbroi, gorączkowo szukając jakiejś szczeliny. Daremnie – nawet nogi Oboulda zdawały się szczelnie okryte wspaniałym pancerzem.

Drizzt podskoczył wysoko, a wielki miecz przeciął powietrze pod nim. Wylądował lekko i skoczył na swego przeciwnika. Obould instynktownie zastawił się mieczem.

Wielki miecz buchnął płomieniem, lecz zaskoczony Drizzt zareagował idealnie, tnąc Lodową Śmiercią.

Magia sejmityra okazała się silniejsza od płomieni miecza, gasząc je w chmurze szarego dymu. Tym razem zaskoczony był Obould, który rzucił się, by zdominować swojego przeciwnika. Wahanie dało Drizztowi kolejną okazję do ataku; drow wybrał inną taktykę, nurkując i przebiegając między nogami orka, gotów wyprostować się z obrotem i w ten sposób wytrącić olbrzyma z równowagi.

Ciekawe, czy ten pancerny żółw byłby w stanie walczyć, leżąc na plecach?

Ten sprytny pomysł natrafił jednak na przeszkodę w postaci solidnych nóg króla Oboulda – choć Drizzt uderzył orka z całej siły, jego stopa nie poruszyła się nawet o cal.

Zaskoczony drow uświadomił sobie, że jeśli natychmiast nie zmieni pozycji, Obould zdoła obrócić miecz i rozplatać go. Poruszył się i już wiedział, że zdążył uniknąć ostrza.

Obould postąpił podobnie, lecz nie skupiał się na mieczu, po prostu mocno kopnął. Pancerna stopa trafiła Drizzta w pierś i cisnęła nim na dziesięć stóp w tył, nim wylądował na plecach. Rozpaczliwie usiłując złapać oddech, Drizzt przetoczył się na bok w momencie, gdy spadał miecz Oboulda, rozcinając skałę w miejscu, gdzie on przed chwilą leżał.

Drow poruszał się z ogromną prędkością, obracając się, podskakując i rzucając się w bok, by uniknąć trafienia.

Nie mógł do końca uniknąć drugiego kopnięcia, gdyż ork ruszył do natarcia. Cios sprawił, że przetoczył się po raz kolejny. Wreszcie drow zdołał wyprostować się na tyle, by zrobić przewrót do tyłu i stanąć na nogi, stawiając czoła nacierającemu orkowi.

Drizzt krzyknął i zaatakował, lecz zrobił tylko jeden krok do przodu, by rzucić się w bok.

Nie mógł zwyciężyć, więc uciekał.

Zbiegł po kamienistym zboczu, ścigany okrzykami orków i Oboulda. Skoczył za pęknięty głąz, chcąc zejść z oczu łucznikom, i pognął dalej w dół. Serce mu zadrżało, gdy dostrzegł czekającą na niego Jutrzenkę. Gdy się zbliżył, dostrzegł, że pegaz nie nosi już uprzęży.

Jutrzenka zaczęła biec, gdy tylko Drizzt wskoczył na siodło. Już po kilku krokach koń wbił się w powietrze i odleciał, rozkładając szeroko skrzydła.

* * *

Gerti zaczęła atak, ciskając kamieniem. Poszybował wysoko, przelatując całkiem blisko skrzydlatego konia i drowa. Tuzin towarzyszących jej gigantów zrobiło to samo i w powietrzu zrobiło się gęsto od wielkich głązów.

Nikt jednak nie trafił drowa – polecenia Gerti były wyraźne. Kiedy pegaz skoczył w bok, gigantka zdołała zwrócić na siebie uwagę drowa, lekkim skinieniem głowy potwierdzając wszystko, co postanowili.

– Zawiódł nas, dlaczego go nie zabijemy? – spytał ją stojący obok gigant.

– Jego nienawiść do Oboulda tylko wzrośnie – odpowiedziała. – Spróbuje jeszcze raz. Jego rola w tym dramacie jeszcze się nie skończyła.

Mówiąc to, popatrzyła na wzgórze, na którym Obould stał we władczej pozycji, z uniesionym mieczem. Stojący za nim szamani i orki wyli ku czci jego i Gruumsha.

Gerti odprowadziła wzrokiem Drizzta, mając nadzieję, że jej słowa okażą się prawdą.

– Znajdź sposób, aby go zabić, Drizzcie Do'Urdenie – szepnęła. Własny głos brzmiał w jej uszach rozpaczliwie i wcale jej się to nie spodobało.

CZEŚĆ CZWARTA

PRÓBA SIŁ

W życiu trzeba odnaleźć równowagę między sobą a społeczeństwem, między teraźniejszością i przyszłością. Świat widział zbyt wielu tyranów zainteresowanych pierwszą z tych dwóch rzeczy, samolubnych mężczyzn i kobiety, którzy żyli teraźniejszością na koszt przyszłości. Teoretycznie okłaskujemy tych, którzy stawiają wyżej społeczeństwo i starają się uczynić przyszłość lepszą.

Po doświadczeniach w Podmroku, samotny i tak zajęty przetrwaniem, iż przyszłość oznaczała tylko następny dzień, usiłowałem znaleźć sobie ten drugi, jakże wartościowy cel. Kiedy spotkałem przyjaciół i nauczyłem się, czym jest przyjaźń, zacząłem dostrzegać i doceniać siłę wspólnoty, większą niż potrzeby jednostki. A kiedy zacząłem uczyć się o kulturach, które rozwinęły swoją siłę, charakter i poczucie wspólnoty, zacząłem obserwować swoje wybory z takiej perspektywy, z jakiej mógłby to za kilka stuleci uczynić historyk. Długoterminowy cel przedłożyłem nad doraźny, a cel ten zawsze był oparty raczej na potrzebach społeczności niż moich własnych.

Po doświadczeniach z Innovindil i dostrzeżeniu prawdy o straconych przyjaciołach i nieświadomionej miłości zrozumiałem, że miałem rację tylko częściowo.

„Być elfem to znaczy wybierać sobie fragmenty czasu. Być elfem to przeżyć kilka krótszych odcinków życia.” Przekonałem się, że to prawda, lecz jest w tym także coś więcej. Bycie elfem oznacza bycie żywym, doświadczanie radości chwili w odniesieniu do dalszych celów. By podtrzymać radość życia, musi być coś więcej niż tylko odległe nadzieje.

Chwytaj chwilę i chwytaj dzień. Rozkoszuj się radością i z całych sił nie poddawaj się rozpacz.

Przez ostatnie lata swojego życia doświadczyłem czegoś tak wspaniałego. Miałem przy sobie kobietę, którą kochałem, która była moim najlepszym przyjacielem. Kimś, kto rozumiał moje nastroje, kto przyjmował zło •wraz z dobrem. Kimś, kto nie osądzał, tylko zachęcał do znajdowania własnych odpowiedzi. W jej gęstych •włosach mogłem bezpiecznie ukryć swoją twarz. W blasku jej niebieskich oczu znalazłem odbłaski mojej duszy. W dopasowaniu naszych ciał znalazłem ostatni element układanki, która składa się na Drizzta Do Urdena.

A potem to wszystko straciłem.

Dopiero wtedy, gdy utraciłem Catti-brie, pojąłem, jaką głupotą było moje wahanie. Bałem

się odrzucenia. Bałem się zniszczenia tego, co posiadałem. Obawiałem się reakcji Bruenora, a potem, kiedy wrócił z Otchłani, także Wulfgara.

Bałem się, bałem i bałem, a ten strach cały czas powstrzymywał moje działania.

Jak często tak postępujemy? Jak często pozwalamy, by irracjonalne nierzadko strachy uniemożliwiały nam działania? Nie w walce, gdyż jeśli o mnie chodzi, nigdy nie cofnąłem się przed skrzyżowaniem z kimś mieczy. Chodziło o miłość i przyjaźń, gdzie można zadać rany głębsze niż ostrzem.

Innovindil uciekła z siedziby lodowych gigantów, ja również jestem teraz wolny. Odnajdę ją. Odnajdę ją i utrzymam przyjaźń, która nas połączyła, a jeśli przerodzi się w coś więcej, nie będę sparaliżowany strachem.

A to dlatego, że kiedy wszystko się skończy, gdy ja będę leżeć u drzwi śmierci albo kiedy ją zabierze mi przypadek bądź jakiś potwór, nie będę niczego żałował.

Oto pierwsza lekcja Płycizn.

Kiedy po raz pierwszy widziałem upadek Bruenora, kiedy po raz pierwszy dowiedziałem się o stracie przyjaciół, zamknąłem się w skorupie Łowcy, w instynktownej furii, która blokowała dostęp bólowi. Innovindil i Tarathiel pomogli mi przejść przez ten niosący samozagładę stan i teraz rozumiem, że dla mnie największa tragedia Płycizn tkwi w zmarnowanych latach przed upadkiem wieży.

Nie popełnię tego błędu po raz drugi. Wspólnota jest ważniejsza niż jednostka: dobro przyszłości jest ważniejsze niż chwilowe potrzeby. Ale nie tak bardzo. Teraz wiem, iż być może trzeba odnaleźć w tym jakąś równowagę, gdyż całkowita bezinteresowność może być równie wielkim błędem jak samolubstwo. Życie poświęcone wyłącznie innemu, pozbawione radości, jest w ostatecznym rozrachunku egzystencją samotną i pustą.

– Drizzt Do'Urden

26.

DALEJ W WYŁOM

Wiedział, że Innovindil uciekła, lecz nie mógł powstrzymać radości, gdy pewnego jasnego i spokojnego popołudnia dostrzegł w dali wielkie stworzenie, lecące nad skalistą równiną. Przynaglił Jutrzenkę, a pegaz, który był chyba nie mniej podekscytowany niż on, poleciał pędem za celem. Chwilę później Drizzt zrozumiał, że i on został dostrzeżony, gdyż tamci skręcili, a skrzydła Zmierchu biły powietrze z nie mniejszym impetem niż Jutrzenki.

Wkrótce potem Drizzt i Innovindil rozpoznali się nawzajem. Dwa skrzydlate konie przeleciały obok siebie, zatoczyły koło i wróciły. Elfy nie kontrolowały swoich wierzchowców: Jutrzenka i Zmierch wykonywały powietrzny balet, taniec radości, mijając się i nurkując obok siebie, oddzielając się w niespodziewanych zwrotach i wracając z pędem, który pozbawiał Drizzta i Innovindil tchu.

Wreszcie wylądowały na skalistym gruncie. Elfka i drow zeskoczyli z siodła i padli sobie w ramiona.

– Myślałam już, że cię straciłam! – krzyczała Innovindil, tuląc twarz w gęstych, białych włosach Drizzta.

Drow nie odpowiedział, tylko przytulił ją jeszcze mocniej. Nie chciał już jej wypuszczać.

Innovindil odsunęła się na długość ramion, popatrzyła na niego, kręcąc z niedowierzaniem głową, po czym znów przytuliła, bardzo, bardzo mocno.

Stojące obok pegazy grzebały kopytami i podrzucały ku sobie łbami, po czym odbiegły, podskakując i wierzgając.

– Ocaliłeś Jutrzenkę – szepnęła, znów odsuwając się od drowa. Drizzt dostrzegł, że jej policzki są mokre od łez.

– Tak też to można wyjaśnić – odparł z kamienną miną. Innovindil spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Mam ci wiele do opowiedzenia – rzekł Drizzt. – Walczyłem z królem Obouldem.

– Zatem nie żyje.

Ponure milczenie Drizzta starczyło za całą odpowiedź.

– Jestem zaskoczony, że cię tu odnalazłem – powiedział chwilę później. – Sądziłem, że wróciłaś do Księżycowego Lasu.

– Owszem, a wtedy okazało się, że większość mojego ludu przeszła rzekę, by ruszyć na pomoc Mithrilowej Hali. Krasnoludy przebiły się przez wschodnią bramę i połączyły z siłami Cytadeli Felbarr. Nawet w tej chwili umacniają się i budują most przez Surbrin, by połączyć Halę z innymi królestwami Wschodniej Marchii.

– Dobrze wieści.

– Oboulda nie da się tak łatwo wygnać – przypomniała mu Innovindil. Drow pokiwał głową.

– Zatem lecisz na południe, ku wschodniej bramie? – zapytał.

– Jeszcze nie – odparła Innovindil. – Sprawdzalam teren. Nim udam się na zgromadzenie w Mithrilowej Hali, chcę mieć całkowite rozeznanie co do ruchów Oboulda.

– To, co widziałaś, nie wygląda zbyt zachęcająco.

– Oboulda nie da się tak łatwo wygonić – powtórzyła elfka.

– Sam to widziałem – zgodził się Drizzt. – Gerti Oreldottr poinformowała mnie, że król wysłał wielką grupę orków na północny wschód wzdłuż Grzbietu Świata, by rozpocząć budowę wielkiego miasta, które nazwie Twierdzą Mrocznej Strzały.

– Gerti Oreldottr? – spytała zdumiona Innovindil. Drizzt uśmiechnął się..

– Mówiłem, że mam wiele do opowiedzenia.

Znaleźli spokojne, osłonięte miejsce i tam Drizzt opowiedział wszystko, ze szczegółami przedstawiając szczęśliwe przypadki, dzięki którym uciekł podziemną rzeką oraz zaskakujące decyzje Gerti.

– Guenhwyvar ocaliła ci życie – podsumowała Innovindil, zaś Drizzt nie zaprzeczył.

– A lodowi giganci wykazali się zaskakującym darem przewidywania – dodał.

– To dobra wiadomość dla nas wszystkich – zauważyła elfka. – Jeśli opuszczają Oboulda, będzie znacznie słabszy.

Drizzt nie był tego taki pewien, zwłaszcza biorąc pod uwagę ogrom umocnień, które widział z grzbietu pegaza. Nie był też całkiem pewien, że Gerti rzeczywiście opuszcza Oboulda. Owszem, porzuca jego sprawę, ale czy cel?

– Z pewnością mój lud, krasnoludy i ludzie znacznie lepiej dadzą sobie radę z samymi orkami, niż z orkami wspieranymi przez lodowych gigantów – powiedziała Innovindil, widząc powątpiewanie na twarzy drowa.

– To prawda – przyznał. – Być może to tylko początek rozpadu jego armii, na co mamy wielką nadzieję. Orcze plemiona rzadko dochowywały wierności jednemu wodzowi. Może ich natura odsłoni się pod postacią wojen toczonych wśród szczytów, między poszczególnymi fortecami.

– Powinniśmy mocniej ich nacisnąć – powiedziała Innovindil ze złowróżbnym uśmiechem na twarzy. – Teraz nadszedł czas, by przypomnieć im, że może nie powinni przystępować do sprawy Oboulda.

Niebieskie oczy Drizzta zaślniły.

– Nie ma powodu, byśmy sprawdzali wszystko z góry. Powinniśmy zejść na dół i sprawdzić odwagę naszych wrogów.

– I być może nieco ją osłabić? – dodała Innovindil, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Drizzt zatarł ręce. Po niedawnej porażce z Obouldem bardzo palił się do walki.

Nim słońce zaszło, para pegazów zaniósła swoich jeźdźców nad niewielkie obozowisko orczych wojowników. Spadli na nich z impetem, ramię przy ramieniu zeskoczyli z galopujących jeszcze wierzchowców i wraz z nimi przebiegli przez środek obozu, rozpędzając orki.

Wykorzystując zamieszanie, zadali im w biegu trochę ciosów, lecz nie skupiali się na żadnym konkretnym przeciwniku. Nim Jutrzenka i Zmierzch wypadły po drugiej stronie obozowiska, dwa elfy walczyły połączone ramionami, a ich ostrza migwały w idealnej, zabójczej harmonii.

W tym obozie nie zabili wszystkich dwudziestu trzech orków, choć na początku były tak przerażone i zaskoczone, iż z łatwością by się im to udało. Chodziło raczej o przekazanie wrogom pewnej wiadomości. Przez cały ten czas pegazy doskonale grały swoją rolę, stając dęba i kopiąc orki w głowy. Raz spadły na grupkę wojowników, która usiłowała stworzyć coś w rodzaju szyku obronnego.

Wkrótce Drizzt i Innovindil znów byli w siodłach i odjeżdżali w dal. Nie unosili się w powietrze, gdyż zbliżał się zmierzch, lecz jechali przez kamienisty, zaśnieżony teren.

Wiadomość została wysłana.

* * *

Ork gapił się na swoje zakrwawione ostrze, na ostatnią ofiarę, wijącą się na ziemi. Powaliły ją trzy ciosy, zabrały mu ramię i zostawiły długie, głębokie cięcia biegnące niemal przez całą pierś umierającego orka. Jego skórzana tunika była tak nasiąknięta krwią, iż zdawało się, że został trafiony znacznie więcej razy.

To było piękno Khazid'hei, gdyż nikczemny miecz nie zatrzymał się na skórze, kości czy nawet cienkich metalowych płytkach. Jego przezwisko brzmiało Przecinaczka, tak się przedstawił, kiedy zaczął porozumiewać się ze swoim obecnym nosicielem. Obecnemu nosicielowi wydawało się ono całkiem na miejscu.

Już kilka orków wyzwało go do walki o tę broń. Wszyscy byli już martwi, nawet dwójka, która zaatakowała go razem, i taki, który uważał się za najlepszego wojownika w okolicy.

Czy jest coś, czego nie zdołałbyś osiągnąć? – spytał miecz orka, a ten odpowiedział szczerbatym uśmiechem. Czy jest jakiś wróg, którego nie zdołamy pokonać?

Prawdę mówiąc, Khazid'hea uważała orka za dość żalnego przedstawiciela swej rasy i doskonale zdawała sobie sprawę, że każdy z zabitych dziś orków odniósłby zwycięstwo, gdyby jego nosiciel używał innej broni. W pewnej chwili Khazid'hea, która przez cały czas komunikowała się z nim telepatycznie, pomyślała, czy nie powinna skierować go w złą stronę, aby przegrał i w ten sposób zmienić właściciela.

Lecz na chwilę obecną nie chciała tak ryzykować. Ten ork potrafił walczyć, choć mizernie, lecz był też kimś, kogo można było łatwo zdominować. Z jego pomocą miecz zamierzał znaleźć kogoś naprawdę godnego siebie; dopóki ktoś taki się nie trafi, ten ork wystarczy.

Miecz wyobraził sobie siebie w dłoniach Oboulda Wiele Strzał.

Z tą przyjemną myślą, Khazid'hea zadowolili się obecnym właścicielem.

Ostatni ork był ostatnim z wyzywających, gdyż pozostałe istoty, pracujące przy wznoszeniu umocnień, całkiem jasno dawały do zrozumienia, że nie chcą mieć nic wspólnego z właścicielem miecza i jego nową zabawką. Dlatego Khazid'hea wróciła do pochwy, uznając pracę za wykonaną, choć nie zaspokoiwszy głodu.

Głodu, którego nigdy nie sposób zadowolić. Głodu, który sprawił, że miecz wyciągnął się do Delly Curtie, by uwolnić się od Catti-brie, kogoś, kto szybko nie ruszy do walki, choć wojna wrzała właściwie pod jej drzwiami. Ten głód sprawił, iż Khazid'hea zmusiła Delly do marszu na północ, gdyż teren za rzeką tkwił w gnuśnym pokoju.

A Khazid'hea nienawidziła pokoju.

Dlatego przez kilka następnych dni miecz był dość zdenerwowany – nikt nie chciał walczyć z obecnym właścicielem. Dlatego Khazid'hea zaczęła realizować swój plan, podsuwając orkowi różne myśli i kusząc obietnicą zastąpienia Oboulda.

Czy jest coś, czego nie zdołamy uczynić, pytał miecz.

Lecz za każdym razem, kiedy wspominała o królu orków, natykała się na mur zaskakującego uporu. Ork, jak wszystkie pozostałe orki, myślał o swoim wodzu w kategoriach przekraczających wszelkie normy. Minęło trochę czasu, nim Khazid'hea zrozumiała, iż pomysł zajęcia miejsca Oboulda jest jak proponowanie orkowi zajęcia miejsca boga. Przemyślawszy sytuację, miecz wycofał swoje żądania, dając mu czas, mając nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej o strukturze armii, aby wybrać sobie jakiś inny cel.

W tych dniach, wypełnionych ciężką pracą i nudnym pokojem, Khazid'hea usłyszała wygłaszane szeptem imię, które bardzo dobrze знаła.

– Mówią, że ten drow to Drizzt Do'Urden, przyjaciel króla Bruenora – mówił jakiś ork do grupy, w której znajdował się także obecny nosiciel miecza.

Miecz zastanowił się. Najwyraźniej Drizzt i jego towarzysz atakowali orcze obozy i jest wielu zabitych.

Gdy tylko nosiciel miecza porzucił tę rozmowę, Khazid'hea wkradła się do jego umysłu.

Jak wielki będziesz, jeśli przyniesiesz głowę Drizzta Do'Urdena królowi Obouldowi? – spytał diabelski miecz i poparł to pytanie serią obrazów chwały i zaszczytów, posiekanego drowa leżącego u stóp orka. Szamanów, tańczących i wykrzykujących pochwały, orczyc mdlejących na sam widok zwycięzcy.

Możemy go zabić, obiecywał miecz, kiedy wyczuwał wątpliwości. Ty i ja, razem zdołamy

pokonać Drizzta Do'Urdena. Znam dobrze jego samego i jego słabości.

Tej nocy nosiciel miecza zaczął zadawać bardziej konkretne pytania orkowi, który przyniósł wieści o morderczym drowie. Gdzie zdarzyły się ataki? Czy są pewni, że brał w nich udział drow?

Następnego dnia oddzielił się od swoich towarzyszy i ruszył przez skalisty krajobraz z Khazid'heą w dłoni i w myślach, szukając drowa i przyszłej sławy.

Lecz dla miecza była to wyprawa po nowego, bardziej godnego nosiciela.

27.

NARZEKANIA

Sala audiencyjna Mithrilowej Hali tym razem była bardziej pusta niż w minionych miesiącach, lecz chyba nigdy nie przebywało w niej tyle ważnych osób. Cztery osoby zasiadały wokół okrągłego stołu w równej odległości od siebie, tak by nikt nie mógł siedzieć bliżej stojącego na postumencie symbolicznego tronu.

Kiedy z głuchym łoskotem zamknęły się drzwi, król Bruenor przez chwilę przyglądał się pozostałym – przynajmniej dwójce, którą uważał za równą sobie, i trzeciemu, zasiadającemu dokładnie naprzeciw niego, którego musiał niestety tolerować. Po lewej zasiadał drugi krasnolud, król Emerus Warcrown. Siedział skrzywiony, a w starannie przyciętej brodzie widać było coraz więcej siwych włosów. Bruenor nie mógł go za to winić: Emerus stracił przecież niemal tyle samo krasnoludów, co klan Battlehammer, i to znacznie szybciej i w bardziej gwałtowny sposób.

Po prawicy Bruenora siedział drugi sprzymierzeniec, którego bardzo sobie cenił. Lady Alustriel z Silverymoon była przyjacielem Bruenora i Mithrilowej Hali już od wielu lat. Kiedy mroczne elfy zaatakowały dziedzinę krasnoludów, Alustriel wspierała Bruenora i jego ród, okupując to znacznymi stratami. Wielu jej wojowników zginęło, walcząc z drowami w Dolinie Strażnika. Alustriel wyglądała tak samo pięknie i władczo, jak zawsze. Miała na sobie długą suknię o barwie głębokiej zieleni, a srebrny diadem tylko podkreślał rysy jej twarzy i srebrzyste włosy. Kobieta była piękna według wszelkich standardów, lecz była w niej także siła i powaga. Bruenor dziwił się, jak wielu głupców nie doceniało Alustriel uważając, że jej moce ograniczają się do pięknej buzi.

Naprzeciwko krasnoluda siedział Galen Firth z Nesme. Był brudny, nieogolony, miał kilka świeżych blizn i strupów. Przyszedł tu prosto z pola walki i ciągle powtarzał, że chce jak najszybciej do niej wrócić. Bruenor szanował to, lecz z trudem przychodziło mu obdarzanie tego człowieka większym szacunkiem. Wciąż nie zapominał, jak on i jego przyjaciele zostali potraktowani w Nesme, podobnie jak negatywnej reakcji Nesme na Settlestone, założonej przez Bruenora osady dla współplemieńców Wulfgara.

A jednak Galen siedział tu, w Mithrilowej Hali, jako przedstawiciel miasta, wprowadzony przez Alustriel jako, jak się wyraziła, równy pozostałym.

– Czy zostało ogłoszone i wszyscy zgadzają się z tym, że mówię nie tylko w imieniu Silverymoon, lecz także Everlund i Sundabar? – spytała Alustriel.

– Tak – odparli bez wahania pozostali, gdyż Alustriel już na początku powiedziała im, że służy jako pełnomocnik dwóch ważnych miast, a nikt nie śmiał kwestionować słów tak czcigodnej damy.

– Zatem jesteśmy w komplecie – podsumował Galen.

– Niezupełnie – powiedział Emerus Warcrown głosem głębokim niczym łoskot głazów w górskiej jaskini. – Harbromm nie ma tu głosu.

– Przy stole siedzą dwa inne krasnoludy – zauważył Galen. – Dwójka ludzi z ludzkich królestw, a dwa krasnoludy nie wystarczą dla zaledwie trzech krasnoludzkich kopalń?

Bruenor parsknął.

– Alustriel ma trzy głosy, gdyż dwa pozostałe miasta poprosiły ją, by głosowała również za nich. I wciąż zastanawiam się, dlaczego udzieliła prawa głosu również tobie.

Oczy Galena zwięzły się, a Bruenor znów parsknął.

– Ani ja, ani król Bruenor, nie jesteśmy wprawie mówić w imieniu króla Harbromma z Cytadeli Adbar – dodał król Emerus. – Król Harbromm został poinformowany o sytuacji i w stosownym czasie powiadomi nas o swoich decyzjach.

– Pora zatem rozmawiać! – odparł Galen. – Nesme jest nadal atakowane. Wypędziliśmytrolle i bagniki z miasta, zepchnęliśmy je z powrotem na Trollowe Wrzosowiska, lecz uciekł nam ich wódz, wielki troll imieniem Proffit. Dopóki żyje, Nesme nie będzie bezpieczne.

– Już pędzę, by przydzielić ci wszystkich moich wojowników – odparł Bruenor. – Tylko wcześniej poproszę Obouldea, by poczekał ze swoimi dziesiątkami tysięcy, aż będziemy mogli godnie ich powitać.

Sarkazm kapiący z tych słów sprawił, że oczy Galena zwięzły się jeszcze bardziej.

– Nie zdołamy zrobić nic naszym wrogom, jeśli wcześniej nie porozumiemy się sami – wtrąciła jak zawsze dyplomatycznie Alustriel. – Królu Bruenorze, Galenie, błagam was, zapomnijcie o starych urazach. Wrogowie naciskają nas... a was dwóch najmocniej... i to musi być przedmiotem naszej głównej troski.

Emerus odchylił na się swoim ciężkim, drewnianym krześle i założył krótkie ręce na szerokiej jak beczka piersi.

Bruenor przyjrzał się mu i zobaczył porozumiewawcze mrugnięcie. Rozumiał, że Emerus jest przede wszystkim krasnoludem. W jego hierarchii lojalności Bruenor, Harbromm i ich klany znajdowały się na samym szczycie.

Tak jak powinno być.

– Dobrze, zapomnijmy o nich – powiedział do Alustriel. – Wiedz, że straciłem więcej niż kilku zacnych Battlehammerów, niosąc pomoc Galenowi Firthowi i jego miastu. Sami nie prosiliśmy o nic podobnego.

Galen zamierzał coś powiedzieć swoim pełnym irytacji i złości tonem, lecz Alustriel przerwała mu niespodziewanym, krótkim „Dość!”.

– Rozumiemy, w jakiej sytuacji jest Nesme – dodała. – Czy Srebrni Rycerze nie walczą tam nawet teraz, zabezpieczając teren, by mieszkańcy mogli odbudować swoje domy i umocnić

wały? Czy moi magowie nie pełnią na tych murach straży, gotowi w każdej chwili rzucić kule ogniste?

– To prawda, pani – przyznał Galen i rozluźnił się nieco.

– Trolle są w odwrocie i powinny zostać zagnane na Wrzosowiska – powiedziała całej trójce.

– Silverymoon i Everlund pomogą w tym Nesme.

– Dobrze, ale co później? – spytał Bruenor. – Czy wrócą, nim zima rozgości się na dobre?

To pytanie zdawało się coraz bardziej naglące, gdyż przed wschodnimi wrotami Hali spadł już pierwszy śnieg.

– Mamy nadzieję, że mieszkańcy Nesme będą mogli wrócić do swoich domów, nim w śniegu będzie można odcisnąć głębokie ślady – odparła Alustriel.

– A twoje wojska będą mogły walczyć razem z moimi, kiedy śniegi już stopnieją? – spytał Bruenor.

Twarz Alustriel ściągnęła się.

– Tak, jeśli król Obould zacznie atakować Mithrilową Halę, klan Battlehammer zostanie wsparty przez oddziały Silverymoon, Everlund i Sundabaru.

Bruenor pozwolił, by zapadła chwila dłuższej, niewygodnej ciszy i przeszedł do najważniejszego:

– A jeśli król Obould uzna, że dalej nie ma co nacierać?

– Już o tym rozmawialiśmy – przypomniała mu Alustriel.

– Zatem powiedz to znów – poprosił Bruenor.

– Nim minie zima, wojska Oboulda ukryją się za potężnymi umocnieniami – powiedziała Alustriel. – Ta armia była już dość potężna, gdy szła przeciwko umocnionym pozycjom. Twój poddani wiedzą o tym najlepiej.

– Tia, ale ty się poddajesz! – wtrącił się król Emerus. – Zamierzasz zostawić wszystko orkom!

– Koszt ich rozgromienia byłby wielki – wyjaśniła Alustriel, nie sprzeciwiając się jego słowom. – Być może nawet zbyt wielki.

– Eee tam! – krzyknął Emerus. Uderzył pięścią w ciężki blat; na szczęście mebel był zbudowany solidnie, inaczej rozbiłby go w drzazgi. – Zamierzasz walczyć za Nesme, ale Mithrilowa Hala nie jest warta twojej ofiary?!

– Znasz mnie na tyle dobrze, by tak nie sądzić, królu Emerusie. Słowa Alustriel rzeczywiście uspokoiły krasnoluda, który po katastrofie nad rzeką był bardziej porywczy niż wcześniej. Tego samego dnia przewodził ceremonii poświęcenia rzeki Surbrin, żegnając prawie tysiąc poległych krasnoludów.

Z głośnym pomrukiem usiadł na swoim miejscu i znów zaplótł ręce na piersi.

– Królu Bruenorze... Bruenorze, przyjacielu, musisz zrozumieć nasz punkt widzenia –

tłumaczyła Alustriel. – Podobnie jak dla ciebie, pragnieniem wszystkich od Silverymoon przez Everlund do Sundabaru jest wygnać stąd Oboulda i jego hordy. Lecz ja przeleciałam nad zajęтым przez niego terenem. Widziałam, jak liczne są jego zastępy i co przygotowują. Walczyć z nimi to prosić się o katastrofę w skali nieznaną w Srebrnych Marchiach. Mithrilowa Hala jest znów otwarta, droga ku Surbrin umocniona. Obecnie jesteście samotnym posterunkiem, ostatnim bastionem dla wszystkich dobrych mieszkańców krain od Trollowych Wrzosowisk do Grzbietu Świata, Surbrin i Złej Przełęczy. Nie jesteś sam, bez przyjaciół i wsparcia. Jeśli Obould znów cię zaatakuje, napotka Srebrnych Rycerzy stojących ramię przy ramieniu z klanem Battlehammer.

– Raczęj ramię w biodro – mruknął Galen, lecz krzywe miny obu krasnoludów pokazały mu wyraźnie, że nie doceniają słabego żartu. Alustriel ciągnęła dalej:

– Teren między wschodnimi wrotami i Surbrin nie zostanie oddany wrogowi, nawet jeśli miałyby tu zaleść stopy trupów z trzech miast, które reprezentują na tym spotkaniu – powiedziała.

– Co do tego wszyscy się zgadzamy. Krawędź Zimy zostanie rozbudowana jako wojskowy obóz, do którego zapasy i żołnierze będą bez przeszkód przepływać przez Silverymoon. Zluzujemy tu krasnoludy króla Emerusa, by mogły wrócić do swoich zadań w zabezpieczeniu podziemnej drogi, łączącej Felbarr z Mithrilową Halą. Królowi Harbrommowi podeślemy wielkie wozy z woźnicami, by Cytadela Adbar mogła bez trudu tu docierać, kiedy tylko uzna za stosowne. Oszczędzimy mu wydatków.

– A ty oszczędzisz swoich wojowników – zauważył Bruenor.

– Nie będę rzucać tysięcy z nich na umocnione góry dla dobra niemal nagiej ziemi – odparła krótko Alustriel.

Bruenor, siedzący w takiej samej pozycji i z takim samym wyrazem twarzy jak jego krasnoludzki towarzysz, pokiwał ponuro głową. Nie był zadowolony z decyzji Alustriel; niczego nie pragnął bardziej, jak tylko zagnać Oboulda do jego jaskini. Lecz poddani Bruenora walczyli już z królem orków i jego zastępami, dlatego krasnolud doskonale rozumiał jej tok myślenia.

– Zatem umocnimy Krawędź Zimy – powiedział. – Wyszukaj swoich żołnierzy we wspólnej walce. Naucz ich dyscypliny i wyćwicz. Żałuję, iż nie ma tutaj kogoś z Księżycowego Lasu. Hralien, który nimi dowodzi, obiecał swoje wsparcie, ale z daleka. Z pewnością obawiają się, iż Obould może obrócić się przeciwko ich lasowi, tak jak obrócił się przeciwko Mithrilowej Hali. Spodziewam się po was takiej samej lojalności wobec niego, jak wobec mnie.

– Oczywiście – odparła Alustriel.

– Ocalili tysiąc moich krasnoludów – zgodził się Emerus.

Galen Firm siedział cicho, lecz nie nieruchomo, jak zauważył Bruenor. Mężczyzna cierpiał, że rozmowa tak szybko zeszła z jego ukochanego Nesme.

– Twoje miasto zostanie odbudowane – powiedział do niego krasnolud. – Będzie mocniejsze niż przedtem... wyślę wam karawany wypełnione najlepszą bronią, jaka powstaje w moich

kuźniach. Utrzymacie te przeklęte trolle na ich śmierdzących wrzosowiskach i z dala od moich pleców.

Mężczyzna odprężył się, nawet rozprostował ręce i pochylił się do przodu.

– Nesme nie zapomni o pomocy, jakiej udzieliła jej Mithrilowa Hala, choć sama była w wielkim kłopotcie.

Bruenor skwitował to kiwnięciem głowy. Kątem oka dostrzegł, że Alustriel uśmiecha się z aprobatą, słysząc jego hojną propozycję. Król Mithrilowej Hali nie był zachwycony podjętymi dzisiaj decyzjami, lecz pojmował, że w takiej chwili wszyscy muszą się trzymać razem.

Gdyby każdy poszedł swoją drogą, hordy Oboulda zalałyby ich jednego po drugim.

* * *

– Nie wiesz tego – powiedziała Catti-brie, siląc się na spokój.

– Delly zniknęła, Colson zniknęła, Khazid'hea zniknęła – odparł Wulfgar. Wyglądał tak, jakby z trudem wypowiadał te straszne słowa.

Wraz z Catti-brie rozeszli wieści po całej Mithrilowej Hali o zaginięciu miecza. Całkiem jasno zaznaczyli, iż miecz nie został zgubiony przypadkiem i że jest to broń o wielkiej i groźnej mocy.

Było jasne, że ktoś go zabrał, a niewielu krasnoludów mogło paść ofiarą rozumnej broni. To wskazywało na Delly albo na jednego z pozostałych ludzkich uchodźców, którzy przekroczyli rzekę..

To musiała być Delly, zgodziła się w duchu Catti-brie. Wiedziała, że kobieta była w jej pokoju. Na wpół rozespiana Catti-brie widziała ją raz czy dwa, jak spogląda na nią od drzwi, choć nie wiedziała, z troską czy zazdrością. Czy to możliwe, że Delly przyszła porozmawiać z nią i została wciągnięta w plany znudzonej i głodnej Khazid'hei?

Gdzie się podziała Delly? Jak śmiała opuścić Mithrilową Halę z Colson, nie mówiąc nawet słowa Wulfgarowi?

Ta tajemnica sprawiała, że mężczyzna znajdował się na granicy wybuchu. Chociaż był ranny i powinien spokojnie leżeć w łóżku, nie spędził w nim więcej niż jednego dnia, od czasu kiedy doszły go niepokojące wieści od Ivana i Pikela Bouldersoulderów, podążających za samotną postacią, która pobiegła na północ. Krasnoludy zakładały się, że była to Cottie Cooperson, która z żalu postradła zmysły, lecz zarówno Catti-brie, jak i Wulfgar mieli niepokojące przeczucie, że zmysły postradał tu ktoś inny, a przynajmniej ktoś, kto niechcący wpuścił do swego umysłu złego ducha.

– A może szpiegują nas jacyś cisi zwiadowcy Oboulda? – spytał Wulfgar. – Może wprowadził do Hali szpiegów? Może to oni skradli tobie miecz, a mnie żonę i dziecko?

– Dowiemy się tego – zapewniła go Catti-brie. – Wkrótce odnajdziemy ślady Delly. Deszcze i wiatry osłabły, prom wkrótce znów zacznie funkcjonować. A może pomogą nam Alustriel lub król Emerus? Kiedy skończą spotkanie z Bruenorem, poproszę ich, by odnaleźli uciekinierów, którzy udali się za rzekę. Jestem pewna, że i my znajdziemy wtedy odpowiedzi.

Wyraz twarzy Wulfgara wskazywał na to, że być może boi się tych odpowiedzi.

Nie mogli jednak zrobić nic więcej. Tuziny krasnoludów przeszukiwały sale, szukając miecza, kobiety i niemowlęcia. Cordio i kilku znajomych kapłanów użyło nawet zaklęć objawienia, by pomóc w poszukiwaniach.

Jak na razie czekały na nich tylko pytania.

Wulfgar oparł się ciężko o mur.

* * *

– Za trzy dni Obould będzie martwy! – zakrzyknął gigant Stormsinger. – Tak obiecywałaś, księżniczko Gerti, a tymczasem Obould żyje i jest potężniejszy niż wcześniej, a nasze łupy – pegaz, mroczny elf i jego magiczna pantera – wymknęły nam się z rąk.

– Lepiej, by Drizzt Do'Urden miał ten sam cel, co my – odparła Gerti. Musiała podnieść głos, by przebić się przez tumult protestu, który rozległ się wokół niej. Znów przytłoczył ją ciężar wydarzeń. Kilka dekadni temu wszystko wydawało się takie proste: zostawi kilku gigantów tu i tam, aby rzucali głazami w oblegane przez orki osiedla, osłabiając obronę tak, by Obould mógł je łatwiej zdobyć. Miała zgarniać łupy kosztem kilku głazów.

Tak myślała. Wybuch na grani, w którym zginęło dwudziestu jej gigantów, nieodwracalnie zmienił bieg wydarzeń. Podobnie jak uderzenie na Mithrilową Halę, gdzie kilku następnych padło ofiarą pułapek, oraz ceremonia Gruumsha, podczas której Obould otrzymał najwyraźniej boskie zdolności.

Gerti usiłowała tylko się z tego wszystkiego wykręcić, by Obould i krasnoludy wyrznęły się do ostatniego, a giganci działali po obu stronach tak, aby, niezależnie od tego, kto zwycięży, wojna nie zapukała do wrót Lśniącej Bieli.

Dobiegające zewsząd narzekanie dobitnie wskazywało, że jej poddani nie mają zbyt wielkiej wiary w nią i jej dziwne posunięcia.

Gdybyż tylko Drizzt zatłukł tego Oboulda!

– Drizzt to potężny przeciwnik – powiedziała, podążając za tą myślą. – Znajdzie sposób, by uderzyć mocno w Oboulda.

– I w Lśniącą Biel?

Gerti zwięzła oczy i popatrzyła na zirytowanego Stormsingera. Potężny wojownik najwyraźniej zamierzał przedstawić siebie jako drugiego kandydata, gdy wielki jarl Orel wreszcie

pożegna się z życiem. A co ważne, wielu gigantom taka perspektywa zaczynała się podobać.

– Dał słowo, że tego nie uczyni, i powstrzyma innych od zaatakowania nas, jeśli Bruenorowi uda się pokonać Oboulda.

– To strata czasu – gderał Stormsinger. – Każdy z nas stracił kogoś bliskiego, i co z tego mamy? Czy zdobyliśmy nowych niewolników? Mamy więcej bogactw niż przed tym, jak wyruszyliśmy z królem Obouldem i jego orkami? Czy zdobyliśmy nowe ziemie, bogate kopalnie lub wspaniałe miasta? Czy mamy choć jednego skrzydlatego konia, którego teraz oddaliśmy?

– Mamy... – zaczęła Gerti, lecz w sali znów podniósł się chór narzekań. – Mamy... – powiedziała głośniej i powtarzała to tak długo, póki nie ucichli.

– Mamy dobrą pozycję – wyjaśniła. – Nie mogliśmy uniknąć tej wojny. Gdybyśmy nie dołączyli się do niego na samym początku, najprawdopodobniej wkrótce, jeśli nie od razu, stałby się naszym wrogiem. Teraz tak nie jest, ma u nas dług wdzięczności. Król Bruenor i jego sojusznicy również, mimo wojny, a to dzięki Drizztowi Do'Urdenowi. Mamy dobrą pozycję, a w czasie tak trudnym to wcale nie ma!o!

Mówiła to z przekonaniem i mając za sobą całe królewskie dziedzictwo: w sali zrobiło się cicho.

Gerti obawiała się, że wkrótce znów zaczną szemrać, a Stormsinger, choć teraz nie zareagował, bynajmniej nie zostawi tak sprawy.

28.

FALA EMOCJI

– No, to koniec – powiedział Ivan Bouldersoulder.

Stali wraz z bratem nad ciałem kobiety. Leżała na brzuchu, lecz jedną rękę miała uniesioną do góry, a ramiona obrócone tak, iż z łatwością widzieli jej twarz.

Na nieruchomym ciele zebrało się kilka cali śniegu. Pikel nachylił się i zgarnął go z zimnej twarzy Delly, po czym usiłował bezskutecznie zamknąć jej oczy.

– Bidny Wulfgar – powiedział Ivan.

– Oj – zgodził się Pikel.

– Nie widzę nigdzie małej. Orki ją wzięły? Pikel wzruszył ramionami.

Krasnoludy rozejrzały się wokoło. Było to niewielkie obozowisko, bo zauważyli na śniegu resztki ogniska i kilka gałęzi, splecionych w prowizoryczną osłonę. Ciało Delly leżało tu już dość długo... kilka dni, jak potwierdził Pikel.

Ivan spacerował wokoło, kopiąc w śniegu, zaglądając za każdy głaz i pień w poszukiwaniu Colson. Po wielu minutach wrócił wreszcie do swego brata, który stał na najwyższym wyniesieniu plecami do Ivana i spoglądał na niebo, osłaniając oczy ręką.

– No to koniec – powiedział. – Delly Curtie nie żyje, a małej nigdzie nie ma. Zwijajmy się do Hali, niech ją Wulfgar dobrze pożegna.

Pikel nie odwracał się, tylko zaczął w podnieceniu podskakiwać w górę.

– No chodź! – zawołał Ivan, lecz zielonobrody krasnolud był coraz bardziej podekscytowany.

– I co tam widzisz? – spytał jego brat, pojmując wreszcie i podchodząc bliżej. – Widzisz, gdzie poszły te orki? Mamy tam iść i sprawdzić, czy nie wzięły małej ze sobom?

– Oj oj! – krzyknął Pikel i pobiegł w podskokach, wskazując na północ.

– No co?! – przynaglił go Ivan, ruszając za nim truchtem.

– Drizzit Dudden! – pisnął krasnolud. – Co?!

– Drizzit Dudden! Drizzit Dudden! – krzyczał Pikel, podskakując jeszcze wyżej i wskazując krótkim paluchem w stronę nieba na północy. Ivan zmrużył oczy, osłaniając je dłonią i dostrzegł duży, latający kształt. Po kilku chwilach rozpoznał skrzydlatego konia.

– Pegaz – mruknął. – Pewno elfiki z Księżycowego Lasu.

– Drizzit Dudden! – poprawił go Pikel, a Ivan spojrział na niego ze zdziwieniem. Domyślał się, że Pikel znów używa swoich magicznych zdolności, które dawały mu umiejętności różnych zwierząt. Niedawno wyposażył się we wzrok orła, dzięki czemu mógł wypatrzeć mysz biegnącą przez łąkę z setek jardów.

– Znowu masz oczy ptaka, co? – spytał.

– Hę hę hę.

– A na tem lataj oncem koniu siedzi Drizzt?

– Drizzit Dudden! – potwierdził Pikel.

Ivan znów popatrzył na odległego pegaza i pokręcił kudłatą głową. Odwrócił się ku Delly Curtie. Gdyby ją tu zostawili, następna śnieżycą ją pogrzebie, przynajmniej do wiosny.

– No, to idziem szukać Drizzta – powiedział po chwili namysłu. – Biedna Delly i Wulfgar, od najazdu Oboulda wielu zostało na pastwę ptaków. Gupi ork.

– Gupi ork – powtórzył Pikel.

– Drizzt? – spytał Ivan.

– Drizzit Dudden – odparł jego zielonobrody brat.

– No to prowadź, durny duidzie! Jak znajdziemy orki i małe Wulfgara, to kto, jak nie Drizzt Do'Urden im je odbierze?!

– Hę hę hę.

* * *

Od czasu śmierci Delly Curtie rozumny miecz zmienił właściciela pięć razy. Wykorzystując swoje telepatyczne zdolności, Khazid'hea wkradała się do myśli każdego nowego posiadacza, wyciągając od nich tożsamość najbliższego orka, którego ten się najbardziej bał. Wtedy, odnalazszy nowego właściciela, Khazid'hea bez większego kłopotu doprowadzała do walki między nimi i ustawiała ją tak, by zwyciężył upatrzony wcześniej wojownik.

Nadchodziły wieści, że mroczny elf, przyjaciel Bruenora Battlehammera, znów jest w okolicy i zabija orki, a Khazid'hea uznała go za najlepszy cel w okolicy. Nawet kiedy zmieniała nosiciela, Khazid'hea chciała, aby nosił ją Drizzt Do'Urden. Catti-brie była wartościowym nosicielem, ale miecz wiedział, że drow był całkiem innym wojownikiem. Khazid'hea obiecywała sobie, że w jego dłoniach odniosą kolejne zwycięstwa i że nie będzie spoczywać w pochwie, bo Drizzt będzie akurat strzelać z łuku.

Zdaniem Khazid'hei łuk był bronią dla tchórzy.

Jakże wielkie będzie twoje zwycięstwo, jak wspaniałe skarby, kiedy dostarczysz królowi Obouldowi głowę Drizzta Do'Urdena, kusił miecz swego obecnego nosiciela, małego i chudego orka, który polegał na szybkości i finezji, zamiast na tak typowej dla swojej rasy siłę.

– Ten drow to śmierć – odparł głośno ork, ściągając na siebie zaskoczone spojrzenia.

Nie, kiedy jestem w twoich rękach, obiecała Khazid'hea. Znam go. Znam jego ruchy i technikę walki. Wiem, jak go pokonać.

Nawet gdy ork ruszył na północny zachód, ku okolicy, gdzie ostatnio widziano drowa i jego

elfią towarzyszkę, Khazid'hea zaczęła zastanawiać się nad tym, czy dobrze zrobiła. Łatwość, z jaką udało się jej przekonać orka, każdego, który ją podnosił, była krzepiąca. Wiedziała jednak, że Drizzt Do'Urden to nie jakiś ork o słabej woli. Będzie stawiał jej opór.

Chyba, że jej wtręty będą tylko wzmacniać to, co Drizzt i tak ma w głowie. Wszystko, co Khazid'hea o nim wiedziała, wskazywało, że drow jest w szale bitewnym.

Co jej idealnie pasowało.

* * *

Drizzt zeskoczył z grzbietu Jutrzenki, kiedy pegaz wylądował szybkim truchtem. Zeskoczył miękko i biegł obok wierzchowca, który zaszarżował na orcze obozowisko, rozpędzając potwory na bok.

W samym jego centrum Drizzt wyskoczył zza osłony, by ciąć orka, który wciąż schodził Jutrzence z drogi. Dwa krótkie cięcia posłały go na ziemię, a ruch pozwolił Drizztowi natychmiast przesunąć nogi, by odwrócić się i stawić czoła następnej istocie. Dolny blok wykonany prawą ręką ściał czubek zbliżającej się włóczni. Wykonując go, Drizzt przesunął lewą ręką wzdłuż klatki piersiowej. Ork został wytracony z równowagi, kiedy napotkał minimalny opór na swoje pchnięcie, a drow ciął go od lewej do prawej, rozrywając istocie gardło.

Łoskot za plecami sprawił, że odwrócił się w podskoku, lecz niebezpieczeństwo już zostało zażegnane: skradający się ork został powalony dobrze wycelowaną, elfią strzałą. Drizzt zasalutował unoszącej się na Zmierzchu nad obozem Innovindil, po czym ruszył dalej, w poszukiwaniu następnej ofiary.

Dostrzegł jakąś postać między niżej rosnącymi gałęziami świerku i podbiegł do pnia. Nie zwalniając, wskoczył na niego, opierając nogi, po czym skoczył w bok, lądując na gałęziach. Trzy szybkie skoki zaniósł go tuż obok kryjącego się orka. Kilka szybkich cięć i humanoid potoczył się po ziemi.

Drizzt zeskoczył na najniższą gałąź i rozejrzał się szybko wokoło. Jego wybór padł na samotnego orka, stojącego na drugim końcu obozowiska, potem na trójkę stojącą bliżej po lewej. Z uśmiechem ruszył za trójką, lecz zatrzymał się niemal natychmiast, gdyż jego wzrok przykuła samotna postać po drugiej stronie obozu.

Serce podeszło mu do gardła – chciał wykrzyczeć swój gniew i sprzeciw.

Znał miecz, który tamten trzymał.

Zeskoczył z drzewa jak szalony. Szanował morderczą broń, którą trzymał ork, ale to nie miało znaczenia. Nie zwolnił, ani nie próbował oceniać przeciwnika, po prostu pędził naprzód. Sejmitary poruszały się błyskawicznie, zataczając koła nad jego ramieniem, tnąc i przebijając. Ciął, skoczył, pchnął, i tak raz za razem. Czasem słyszał brzęk metalu, gdy natrafiał na świetny

metal Khazid'hei, innym razem powiew nad skrzyżowanymi ostrzami, kiedy indziej cichy dźwięk, gdy metal uderzał w skórzaną zbroję lub ciało.

Zawirował wokół orka, trzymając ostrza poziomo, bezustannie zmieniając kąt, aby uniknąć słabych parowań, choć ork już dawno porzucił jakąkolwiek myśl o obronie. Drow zatrzymał się w połowie obrotu i ruszył inną drogą, tuż koło orka, tnąc i dżgając. Już nie liczyła się technika. Liczyło się tylko dorwanie wroga. Posiekanie istoty, która trzymała miecz Catti-brie.

Krew płynęła wszędzie, lecz Drizzt tego nie zauważył. Ork wypuścił miecz z rannej ręki, lecz Drizzt nawet tego nie zauważył. W oczach istoty zgasło światło, nogi ugięły się po nią, lecz jedyną rzeczą, która trzymała ją pionowo, była nieustanna lawina ciosów Drizzta.

Lecz Drizzt nawet tego nie zauważył.

Ork wreszcie padł, a drow przeszedł nad nim, dalej wymachując swoimi morderczymi ostrzami.

Za jego plecami pojawił się Zmierzch, Innovindil zeskoczyła z siodła i podbiegła do niego.

Drizzt nawet tego nie zauważył.

Ciął i siekał. Trafił orka już z tuzin razy, sześćdziesiąt, sto, aż rękawy koszuli stały się sztywne od orczej krwi.

– Drizzt! – usłyszał wreszcie. Po tonie rozpoznał, że to Innovindil woła go już od dłuższego czasu.

Opadł na kolana i upuścił skrwawione sejmitary na ziemię, po czym podniósł Khazid'heę, trzymając ją w otwartych dłoniach.

– Drizzt? – spytała Innovindil, kucając obok niego. Drow zaczął szlochać.

– Co się stało? – spytała, tuląc go.

Drizzt spoglądał na Khazid'heę, a z jego lawendowych oczu płynęły łzy.

* * *

– Są też inne wyjaśnienia – powiedziała Innovindil jakiś czas potem. Obozowali niedaleko Surbrin, w pobliżu sadzawki, która jeszcze nie pokryła się lodem; Drizzt mógł tam zmyć krew z dłoni, twarzy i reszty ciała.

Drizzt obejrzał się na nią i na Khazid'heę, leżącą na kamieniu przed elfką. Innovindil też patrzyła na miecz.

– Należało się z tym liczyć – powiedział.

– Ale to nie zmniejszyło twego szoku.

Drow popatrzył na nią przez chwilę, po czym odwrócił wzrok.

– Nie – przyznał.

– Ork zapłacił za to z nawiązką – przypomniała mu Innovindil. – Catti-brie została

pomszczona.

– Niewielka to pociecha.

Uśmiech elfki trochę go pocieszył. Zamierzała wstać, lecz przerwała i zerknęła w bok. Oczy Drizzta również podążyły w tamtą stronę. Zobaczył siedzącego na kamieniu małego ptaszka, który coś do nich ćwierkał, wreszcie zeskoczył ze swego miejsca i odleciał.

– Dziwne – powiedziała elfka.

– O co chodzi?

Innovindil spojrzała na niego, lecz nie odpowiedziała. Widać było jednak, że nadal jest nieco zaskoczona.

Drizzt znów popatrzył na kamień, po czym rozejrzał się po niebie w poszukiwaniu ptaka. Wzruszył ramionami i wrócił do mycia.

Zagadka wkrótce się wyjaśniła, gdy godzinę później Drizzt i Innovindil czesali pegazy. Usłyszeli nagle dziwny głos:

– Drizzit Dudden, hę hę hę.

Odwrócili się i ujrzeli nadchodzących braci Bouldersoulderów. Od razu zrozumieli, że ptak był jednym ze szpiegów Pikela.

– Oto pikny widok dla oczu steranego krasnoluda – powitał ich Ivan, uśmiechając się szeroko.

– Co za spotkanie – odparł Drizzt, ściskając wyciągniętą dłoń. – A jakie niezwykle!

– Nie odeszliście za daleko od krasnoludzkich pozycji? – spytała Innovindil, witając się. – A może zostaliście odcięci od Hali?

– E, właśnie stamtąd idziem – odparł Ivan. – Brak pułapek, Bruenor otworzył wschodnie wrota, trzymamy ziemię aż do Surbrin.

– Bruenor? – spytała Innovindil jeszcze szybciej, niż Drizzt.

– Bruenor spadł z wieży w Płyciznach – powiedział drow. – Sam to widziałem.

– Taa, spadł, ale się odbił – odpowiedział Ivan. – Kapłani modlili się nad niem całe dni, ale to Regis wreszcie go obudził.

– Regis? – szepnął Drizzt, czując, że z trudem oddycha.

– Taki mały. Mówiom na niego Pasibrzuch.

– Hę hę hę – powiedział Pikel.

– Zgłupiałeś, Drizzt – spytał Ivan. – Myślałem, że znasz Bruenora i Regisa.

Drizzt spojrzał na Innovindil.

– To niemożliwe.

Elfka uśmiechała się szeroko.

– Myślałeś, że nie żyjom, co? – spytał Ivan. – E, a gdzie twoja wiara, co? Mówię, jak na trupy są całkiem żywi! Widziałem ich kilka dni temu... – twarz krasnoluda nagle spoważniała. –

Mam dla ciebie złe wieści, elfie.

Spojrzał na miecz i serce Drizzta ścisnęło się jeszcze bardziej.

– Dziewka Wulfgara wzięła miecz i poszła se – wyjaśnił. – A ja z bratem...

– Brat! – wtrącił z dumą Pikel.

– ...poszli my za nią, ale było za późno.

– Catti-brie... – wykrztusił Drizzt.

– Nie, nie ona. Dziewka Wulfgara. Delly. Znaleźlim ją kilka dni temu. Potem zobaczyłim ciebie, jak latasz na tym skrzydlatym koniu, to poszli my za tobom. Bruenor, Regis, Catti-brie i Wulfgar strasznie się o cię kłopotali.

Drizzt stał jak słup, przyjmując informacje.

– Wulfgar i Catti-brie też? – spytał szeptem.

Innovindil podeszła i objęła go ramionami – bardzo tego potrzebował.

– Myślałeś, że wszyscy twoi nie żyjom? – spytał Ivan.

– Płycizny zostały zdobyte – odparł Drizzt.

– No, ciężko było, ale mój brat...

– Brat! – pisnął Pikel, a Ivan parsknął.

– ...mój brat zbudował statwę, by ogupić te orki, a potem dali my im z Thibbledorfem Pwentem łupnia, że hej! Wyszli my z Płycizn i wróciłim do Mithrilowej Hali. No i zabijamy teraz orki. Setkamy.

– Widziałam pole walki na północ od Doliny Strażnika – zauważyła Innovindil. – I zniszczoną grań.

– Bum! – wykrzyknął Pikel.

Drizzt stał, kręcąc głową, przygnieciony tym, co słyszał. Czy to możliwe? Czy jego przyjaciele naprawdę żyli? Bruenor, Wulfgar, Regis? Catti-brie? Czy to możliwe? Popatrzył na swoją towarzyszkę i zobaczył, że Innovindil uśmiecha się do niego ciepło.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznał.

– Po prostu bądź szczęśliwy – powiedziała. – Tak jak ja jestem szczęśliwa za ciebie.

Drizzt uściskał ją mocno.

– Na pewno ucieszom się, jak cię zobaczona – powiedział mu Ivan. – Ale trza zapłakać na bidnom Delly. Nie wiem, co jom opentało, że tak poleciała.

Słowa te mocno zabołały Drizzta. Oderwał się od elfki i spojrzał ze złością na rozumny miecz.

– Ale ja wiem – powiedział i przeklął pod nosem Khazid'heę.

– Czy miecz może opętać swego właściciela? – spytała Innovindil.

Drizzt złapał miecz, unosząc go na wysokość oczu. Wysłał swoje pytania telepatycznie do Khazid'hei, wyczuwając w niej życie i domagając się odpowiedzi.

A wtedy zrozumiał coś jeszcze.

– Osiodłajcie se konie – powiedział Ivan. – Im rychlej wrócim do Hali, tym lepiej. Twoi przyjaciele bardzo za tobom tęskniom, Drizzcie Do’Urdenie, a ty za nimi chyba też.

Drow nie protestował, lecz kiedy stał tak ze wspaniałym mieczem, mieczem, który był w stanie przeciąć wszystko, jego myśli zaczęły wędrować w całkiem inną stronę.

– Mogę go pokonać – powiedział.

– Kogo? – spytał Ivan.

– Oboulda – odparł Drizzt, odwracając się ku niemu.

– Jego? – wykrztusił z niedowierzaniem Ivan.

– Walczyłem z nim nie tak dawno na zboczu – wyjaśnił Drizzt. – Zadawałem cios za ciosem, lecz nie mogłem przebić się przez zbroję. – Uniósł Khazid’heę do góry i zadał potężny cios. – Wiesz, jakie ten miecz ma przezwisko?

– Przecinaczka – odpowiedział na swoje pytanie, kiedy cała trójka popatrzyła na niego wyczekująco. – Tym mieczem zdołam pokonać Oboulda.

– Odłóż to na inny dzień – poradziła Innovindil. – Po tym, jak spotkasz się z tymi, którzy cię kochają i lękają się o twój los.

Drizzt pokręcił głową.

– Obould wędruje od jednej góry do drugiej. Jest pewny siebie, dlatego ma Nieliczną Świętę. Mając takie ostrze dopadnę go i pokonam.

– Twoi przyjaciele zasługują na to, by się z tobą zobaczyć, tego wymaga przyjaźń – tłumaczyła Innovindil.

– Moja służba dla Bruenora to służba całej krainie – odparł Drizzt. – Mieszkańcy północy zasługują na uwolnienie od Oboulda. Teraz mam na to szansę, by pomścić Płycizny i inne miasta, krasnoludy, które zginęły w walce z najeźdźcami. Pomścić Tarathiela... być może już nigdy nie będziemy mieli drugiej takiej okazji.

Wspomnienie Tarathiela odebrało elfce wszystkie argumenty.

– Idziesz już teraz? – spytał Ivan.

– Nie wyobrażam sobie lepszego czasu.

Ivan zastanowił się przez chwilę i pokiwał głową.

– Hę hę hę – dodał Pikel.

– Dowal mu i ode mnie – powiedział Ivan i nagle uśmiechnął się, jakby coś przyszło mu do głowy. Wyciągnął swoją kuszę, niemal doskonałe dzieło drowów i rzucił ją Drizztowi, po czym zdjął z ramienia bandolier pełen wybuchających strzałek.

– Walnij kilka takich i patrz, jak będzie skikał!

– Hę hę hę.

– Ja i brat... – zaczął Ivan, urwał i zerknął na Pikela, czekając na przerywnik. Tamten

spojrzał na niego zmieszany. Ivan westchnął.

– Ja i brat...

– Brat!

– Tia, wrócim do Hali i powiemy, że tu jesteście – dokończył. – Bedom na ciebie czekali.

Drizzt odwrócił się do swej elfiej przyjaciółki.

– Idź z nimi – poleciał. – Pilnuj ich z nieba, dopilnuj, by dotarli na miejsce bezpiecznie.

– Mam pozwolić, byś sam poszedł za królem Obouldem?

– Teraz mogę go pokonać – powiedział stanowczo.

– Jeśli uda ci się złapać go samego – ciągnęła Innovindil. – Mogę ci w tym pomóc.

Drizzt pokręcił głową.

– Znajdę go i będę obserwował z daleka – obiecał. – Poczekam na dogodną chwilę i ją wykorzystam. Obould zginie z mojej ręki, od ciosu tego miecza.

– E, to nie jest robota tylko dla ciebie – powiedział Ivan.

– Dzięki Jutrzence będę mógł się poruszać szybko i cicho. Nie złapie mnie, chyba że sam tego zechcę. A wtedy król Obould umrze.

Głos drowa był wyprany z jakichkolwiek emocji.

– Nie zostanę w Mithrilowej Hali – powiedziała Innovindil. – Odprowadzę tam krasnoludy i wrócę do ciebie, jak będę mogła najszybciej.

– Będę czekał – obiecał Drizzt. – Z głową Oboulda w ręku. Wyglądało na to, że nie będzie tu już nic więcej do powiedzenia, lecz Pikel oczywiście dodał:

– Hę hę hę.

29.

GŁĘBOKI ODDECH

– Ta podróż zaczyna mnie męczyć – powiedział Tos'un Armgo do swojej towarzyszki.

Wędrowali już od kilku dni. Dogonili wreszcie armię Oboulda wiele mil na północ od miejsca, gdzie się go spodziewali – u zachodnich wrót Mithrilowej Hali. Tutaj również walka najwyraźniej nie poszła najlepiej, a król orków wyraźnie nie miał ochoty na rozmowy na ten temat. Szybko stało się jasne, że dla dwojga drowów, o ile chcą jeszcze być przy Obouldzie, podróż dopiero się zaczyna. Wyglądało na to, że król orków nie zamierza spocząć w jednym miejscu, nawet przy coraz gorszej pogodzie.

Pewnego słonecznego poranka Tos'un i Kaer'lic czekali na jego przybycie, siedząc na płaskich głazach na szczycie równie płaskiego wzgórza. To była pierwsza okazja, by porozmawiać z nim od czasu ich powrotu. Obould przyjmował gości tylko dla własnej rozrywki. Wokół trudziły się orki, wrywając kilka drzew, które wyrosły na skalistym zboczu i oczyszczając wszelkie sterty skał, które mogłyby dawać osłonę zbliżającemu się wrogowi.

– Buduje sobie królestwo – zauważyła Kaer'lic. – Od tak dawna o tym wspominał, a żadne z nas nie chciało go słuchać.

– Kilka zamków to jeszcze nie królestwo – odparł Tos'un. – Zwłaszcza że mówimy o orkach, których oddziały wkrótce zaczną walczyć między sobą.

– A ty pewnie będziesz się z tego cieszył – powiedział ochryply głos za jego plecami.

Dwa mroczne elfy odwróciły się ku nadchodzącemu Obouldowi i tej denerwującej szamance Tsince. Kaer'lic zauważyła, że orczyca wcale nie wygląda na zadowoloną.

– To przewidywanie oparte na ich wcześniejszym zachowaniu – odparł Tos'un, kłaniając się.
– Nie zamierzałem cię obrazić.

Obould spojrzał na niego krzywo.

– Zachowanie sprzed nadejścia Oboulda Który Jest Gruumshem – powiedział. – Wciąż nie potraficie uwierzyć w moją wizję królestwa... na swoją własną szkodę.

Kaer'lic uświadomiła sobie, że powolutku cofa się przed tym imponującym, acz nieprzewidywalnym orkiem.

– Przypuszczałem, że podobnie jak pozostała dwójka waszych krewniaków, znaleźliście się u boku tej waszej Pajęczej Królowej – powiedział ork. Minęła chwila, nim pojęli, o co mu chodzi.

– Donnia i Ad'non? – spytała Kaer'lic.

– Zabici przez innego drowa – odparł Obould. Nawet jeśli ten fakt w ogóle go poruszył, nic po sobie nie okazał.

Kaer'lic spojrziała na Tos'uną, po czym oboje skwitowali tę stratę wzruszeniem ramion.

– Sądzę, że któryś z szamanów wziął głowę Ad'nona jako trofeum – powiedział krótko Obould. – Jeśli chcecie, nakażę, by wam ją oddał.

Nieszczerość tej propozycji zraniła Kaer'lic bardziej, niż przypuszczała, jednak bardzo się postarała, by przed spojrzeniem na króla orków usunąć z twarzy wszelkie oznaki gniewu.

– Mimo porażki w Mithrilowej Hali utrzymałeś swoją armię w całości – powiedziała przekonana, że lepiej będzie zmienić temat rozmowy. – To dobry znak.

– Porażki?! – skrzeknęła Tsinka Shinriil. – Co ty o tym wiesz?!

– Wiem, że nie siedzicie w Mithrilowej Hali.

– Nie było to warte – odparł Obould. – Walczyliśmy z nimi w zewnętrznych salach. Mogliśmy napierać dalej, lecz stało się jasne, że nasi sojusznicy się nie zjawią – zwięził oczy, spojrzał na Kaer'lic i dodał: – Jak to było ustalone.

– Nieprzewidywalność i wiarołomstwo trolli... – wzruszyła ramionami kapłanka.

Obould wciąż nie odrywał od niej wzroku. Kaer'lic wiedziała, iż przynajmniej domyśla się, że wraz z Tos'unem odegrali pewną rolę w utrzymaniu trolli Proffita z dala od walki.

– Ostrzegaliśmy Proffita, że jego opóźnienie może wywołać kłopoty na północy – dodał Tos'un. – Mimo to on i jego paskudni podwładni zwięszyli krew ludzi z Nesme, ich odwiecznych wrogów. Nie dało się go odwieść od marszu na północ od Mithrilowej Hali.

Obould nie wyglądał na przekonanego.

– Ruszyło na nich Silverymoon – powiedziała Kaer'lic, chcąc odwrócić jego uwagę. – Nie spodziewaj się już Proffita i jego bandy... tych niewielu, którzy przeżyli.

Spomiędzy zaciśniętych warg Oboulda dobiegł niski warkot.

– Wiedziałaś, że lady Alustriel podejmie walkę – mówiła kapłanka. – Pociesz się, że wielu jej wspaniałych wojowników leży teraz trupem na południowych bagnach. Niezbyt chętnie obróci spojrzenie na północ.

– Niech przyjdzie – warknął Obould. – Przygotowujemy się, na każdej górze i każdej przełęczy. Niech Silverymoon ruszy na Królestwo Mrocznych Strzał. Znaj da tu tylko śmierć.

– Królestwo Mrocznych Strzał? – powtórzył cicho Tos'un. Kaer'lic przyglądała się uważnie nie tylko Obouldowi, ale także Tsince; spostrzegła, że na wspomnienie o królestwie szamanka skrzywiła się.

Czyżby początek rozłamu?

– Zatem Proffit został pokonany – podsumował król orków. – Nie żyje?

– Nie wiemy – przyznała Kaer'lic. – Oddaliśmy się, korzystając z bitewnego zamieszania, gdyż jasne było, że trolle zostaną zepchnięte na Trollowe Wrzosowiska, a tam nie chciałabym iść.

– Nie chciałabyś? – spytał Obould. – Czy nie poleciłem wam, byście zostali z Proffitem?

– Tam nie chciałabym iść – powtórzyła Kaer'lic. – Nie z Proffitem i nie dla Oboulda.

Jej bezczelna odpowiedź wywołała następne groźne spojrzenie, lecz król nie podszedł bliżej.

– Uzyskałeś wiele, królu Obouldzie – powiedziała Kaer'lic. – Więcej, niż sądziłam, że jest możliwe w tak krótkim czasie. Aby uczcić twoje zwycięstwa, przyniosłam ci dar – kiwnęła Tos'unowi głową. Drow odskoczył w bok, zbiegając ku jedynej pozostałej jeszcze stercie skał. Zniknął na chwilę, po czym wyszedł, ciągnąc za sobą sponiewieranego krasnoluda.

– Oto on – powiedziała Kaer'lic.

Obould usiłował wyglądać na zaskoczonego, lecz drowka potrafiła to przejrzeć. Miał swoich szpiegów wszędzie i wiedział o krasnoludzie, zanim jeszcze spotkał się z mrocznymi elfami.

– Obedrzeć go ze skóry i zjeść – powiedziała Tsinka, w której oczach pojawił się nagle dziki głód. – Przygotuję rożen!

– Zamknij się – powiedział Obould. – Jest z klanu Battlehammer?

– Tak – odparła kapłanka.

Obould pokiwał z uznaniem głową, po czym odwrócił się do Tsinki i powiedział:

– Zamknijcie go w wozie z zapasami. Chcę go mieć przy sobie. Kto zrobi mu krzywdę, zginie!

To wywołało kolejny grymas na twarzy szamanki, co nie umknęło uwadze Kaer'lic.

– Może okazać się przydatny – powiedział Obould. – Spodziewam się, że przed wiosną będę prowadził rozmowy z krasnoludami.

– Rozmowy?! – powtórzyła Tsinka, a jej głos znowu zbliżył się do skrzeku.

Gdy Obould popatrzył na nią, natychmiast się skuliła.

– Zabierz go i zadbaj o niego – polecił jej król orków spokojnym, groźnym głosem.

Tsinka podeszła do Fendera i ostro go pociągnęła. – I nie uszkodź go! – rozkazał Obould.

– Sądziłam, że spróbujecie wdrzeć się do Mithrilowej Hali – powiedziała Kaer'lic do króla orków, kiedy Tsinka już odeszła. – Prawdę mówiąc, kiedy wracaliśmy do Doliny Strażnika, spodziewaliśmy się, że znajdziemy armię orków cofającą się w nieładzie ku Grzbietowi Świata.

– Twoje zaufanie jest zaiste porażające.

– Ale wzrasta, królu Obouldzie – zapewniła go Kaer'lic. – Jestem przekonana, że wykazałeś się wielkim opanowaniem i mądrością.

Obould parsknął.

– Czy chcesz czegoś jeszcze? – spytał. – Mam wiele do zrobienia.

– Nim ruszysz do następnej budowli?

– Taki mam zamiar. Kaer'lic skłoniła się nisko.

– Żegnaj zatem, królu Mrocznych Strzał.

Obould milczał przez chwilę, zastanawiając się nad tym tytułem, po czym obrócił się na pięcie i odszedł.

– Jedna niespodzianka po drugiej – zauważył Tos'un, kiedy zniknął im z oczu.

– Nic mnie już nie zaskoczy – powiedziała Kaer'lic . – Popełniliśmy błąd, nie doceniając Oboulda. To już się nie powtórzy.

– Wracajmy zatem do tuneli górnego Podmroku albo znajdziemy sobie inny rejon, gdzie moglibyśmy się zabawić.

Twarz Kaer'lic nawet nie drgnęła. Zwęziła oczy, jakby ciskała strzałki w odchodzącego Oboulda, i zastanowiła się nad otrzymanymi informacjami. Pomyślała o zabitych towarzyszach, lecz zwyczajem drowów, szybko o tym zapomniała. Pomyślała za to o królu orków i jego całkowitym braku szacunku wobec martwych drowów i Pajęczej Królowej. O takich rzeczach nie zapomina się tak łatwo.

Nim odejdziemy, chciałabym porozmawiać z Tsinką – powiedziała.

– Tsinką? – zapytał sceptycznie Tos'un. – Jest głupia nawet jak na orka.

– I takie właśnie orki lubię – odparła Kaer'lic. – Przewidywalne i głupie.

* * *

Tego samego dnia, po rzuceniu wielu zaklęć stworzenia i umagicznieniu pewnego przedmiotu pewnym dweomerem, Kaer'lic usiadła na kamieniu naprzeciw orczej kapłanki. Tsinką przyglądała się jej bacznie i podejrzliwie, czego się zresztą można było spodziewać.

– Nie ucieszyła cię decyzja króla o pozostawieniu Mithrilowej Hali krasnoludom – oznajmiła krótko drowka.

– Nie mnie kwestionować decyzje Tego, Który Jest Gruumshem.

– Doprawdy? Czyżby wolą Gruumsha było zostawić krasno ludy w spokoju? Jestem zaskoczona.

Tsinka skrzywiła się w milczącej frustracji i Kaer'lic już wiedziała, że trafiła w czuły punkt.

– Często dzieje się tak, że kiedy zdobywca odnosi wielkie sukcesy, zaczyna się bać – wyjaśniła Kaer'lic. – Nagle ma zbyt wiele do stracenia.

– Ten, Który Jest Gruumshem nie boi się niczego! – skrzeknęła gwałtownie szamanka. Kaer'lic skwitowała to kiwnięciem głowy.

– Lecz zapewne trzeba będzie czegoś więcej niż upomnień Tsinki, aby wypełnił wolę Gruumsha.

Szamanka spojrzała na nią ze zdziwieniem. Kaer'lic sięgnęła do pasa, uśmiechając się krzywo, i podała szamance na dłoni niewielką spinkę w kształcie pająka.

– To do spinania pasów zbroi – wyjaśniła.

Tsinka spojrzała na to z mieszanką ciekawości i strachu.

– Weź ją – powiedziała Kaer'lic. – Zepnij tym sobie płaszcz, albo tylko przyłóż do ciała.

Wtedy zrozumiesz.

Szamanka wzięła broszę i przycisnęła do siebie, a wtedy Kaer'lic cicho wyszeptała słowo uwalniające zaklęcia ukryte w przedmiocie.

Oczy Tsinki rozszerzyły się, gdy poczuła przyływ siły i odwagi. Zamknęła oczy i rozkoszowała się ciepłem przedmiotu; Kaer'lic wykorzystała ten moment, by rzucić na nią następny czar – zaklęcie przyjaźni, które sprawiło, że szamanka całkiem się rozluźniła.

– Błogosławieństwo Pani Lolth – wyjaśniła drowka. – Tej, która chciałyby zobaczyć krasnoludy opuszczające Mithrilową Halę.

Tsinka odsunęła od siebie zapinkę i popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– To ma skłonić Tego, Który Jest Gruumshem do zawrócenia ku krasnoludzkim halom?

– Tylko to? Oczywiście, że nie. Ale mam ich wiele. Będziemy wspólnie go do tego nakłaniać; obie wiemy, że największe zwycięstwa króla Oboluda są jeszcze przed nim.

Przez jakiś czas szamanka przyglądała się broszy szklistym wzrokiem. A potem z szerokim uśmiechem spojrzała na swoją najlepszą przyjaciółkę.

Kaer'lic bardzo się starała, by jej uśmiech był przyjazny, nie pełen wyższości. Drowka nie przejmowała się tym jednak zbyt, gdyż Tsinka uważała ją za osobę godną zaufania i była przekonana, że Kaer'lic to jej nowa najlepsza przyjaciółka.

Drowia kapłanka była bardzo ciekawa, jak też Obould przyjmie taką przyjaźń.

* * *

Ściany Mithrilowej Hali zdawały się naciskać na niego mocniej niż kiedykolwiek. Rankiem przybyli Ivan i Pikel z wieściami o Delly i Drizzcie, co sprawiło, że w potężnym mężczyźnie konflikt emocji wybuchł z nową siłą. Wulfgar siedział w świetle świec, opierając się plecami o kamienną ścianę, i wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, wspominając wydarzenia poprzednich miesięcy.

Powtarzał sobie ostatnią rozmowę z Delly, oglądał ją teraz w świetle jej desperacji. Jak mógł to przeoczyć, jak mógł nie dostrzec tak wyraźnego wołania o pomoc?

Mógł się tylko skrzywić, kiedy przypomniał sobie własne odpowiedzi na jej prośby, aby udali się do Silverymoon albo któregoś z wielkich miast. Tylko pomniejszał jej uczucia, zbywał je obietnicami późniejszego odpoczynku.

– Nie możesz się za to winić – powiedziała Catti-brie z drugiego końca pokoju, wrywając go z rozmyślań.

– Nie chciała tu zostać – odparł.

Catti-brie podeszła i usiadła obok niego na łóżku.

– Nie chciała też uciec w dzikie tereny, zamieszkałe przez orki. To miecz. Ja również głupio

zrobiłam, zostawiając go na wierzchu, tak że mógł kogoś skusić.

– Delly chciała odejść – odparł z naciskiem Wulfgar. – Nie mogła już znieść ciemnych, krasnoludzkich tuneli. Przybyła tu z nadzieją na lepsze życie, a znalazła... – urwał i westchnął ciężko.

– Postanowiła przekroczyć rzekę, wraz z resztą ludzi. Zabrała ze sobą twoje dziecko.

– Colson była tak samo moim dzieckiem, jak i jej. Miała do niej takie samo prawo. Zabrała Colson, gdyż uważała, że to będzie dla niej najlepsze; co do tego nie mam wątpliwości.

Catti-brie położyła dłoń na ramieniu Wulfgara. Nie wrywał się.

– Drizzt żyje – powiedział, spoglądając jej w oczy i usiłując się uśmiechnąć. – To z kolei dobra wiadomość tego dnia.

Uścisnęła go za ramię i również się uśmiechnęła.

Wulfgar czuł, że kobieta nie wie, jak odpowiedzieć. Nie wiedziała, co powiedzieć ani co zrobić. Dzięki jednemu zdaniu krasnoluda on stracił Delly, a ona odnalazła Drizzta! Żal, współczucie, nadzieja i ulga mieszały się wewnątrz niej tak samo jak w nim; obawiała się, że jeśli to przechyli się w stronę rzeczy dobrych, będzie lekceważeniem jego tragedii i oznaką braku szacunku.

Troska o jego uczucia przypomniawszy Wulfgarowi, jak wielką jest jego przyjaciółką. Przykrył jej dłoń swoją, uścisnął, uśmiechnął się bardziej szczerze i pokiwał głową.

– Drizzt odnajdzie i zabije Oboulda – powiedział z nową siłą w głosie. – A potem wróci do nas, tu, gdzie jego miejsce.

– A my znajdziemy Colson – odparła Catti-brie. Wulfgar wziął głęboki oddech, potrzebując uspokojenia. Cała Mithrilowa Hala szukała dziecka w nadziei, że Delly nie zabrała go ze sobą. Krasnoludy zeszyły aż nad Surbrin, nie bacząc na ulewny, lodowaty deszcz, usiłując dowiedzieć się czegoś od przewoźników na promie.

– Wkrótce pogoda się zmieni – powiedziała Catti-brie. – Wtedy znajdziemy twoją córeczkę.

– I Drizzta – dodał Wulfgar.

Catti-brie uśmiechnęła się i lekko wzruszyła ramionami.

– Jak go znam, prędzej on znajdzie nas.

– I przyniesie głowę Oboulda.

Był to niewielki promyczek nadziei w jednym z najbardziej ponurych dni życia Wulfgara, syna Beornegara.

* * *

– ...orkomózgi, śmierdzący jak goblin syn ogra i skały! – pinił się Bruenor. Chodził po sali posłuchań, kopiąc we wszystko, co znalazło się na jego drodze.

– Hę hę hę – powiedział Pikel. Ivan zerknął na swego brata i gestem nakazał mu trzymać język za zębami.

– Dajcie mi zbroję! – zaryczał Bruenor. – Topór! I kilkaset orków do zarżnięcia!

– Hę hę hę.

Ivan kaszlnął, by jakoś zatuszować impertynencję brata. Właśnie poinformowali króla o zamiarach Drizzta i o tym, jak drow ruszył za Obouldem, zabrawszy magiczny miecz oraz kuszę Ivana.

Bruenor nie przyjął tego najlepiej.

Choć uradowany, że jego druh żyje, nie mógł znieść beczynności. Na zewnątrz szalały ulewy, lodowaty, zacinający deszcz, w górach zmieniający się w śnieżyce; Bruenor i inne krasnoludy zostały uwięzione w Hali. Król wiedział, że nawet gdyby pogoda była w porządku, nie miałby jak pomóc Drizztowi. Drow poruszał się na skrzydlatym koniu – jak można myśleć o tym, by go dogonić?

– Głupi, dumny elf – mruknął i kopnął kamienny postument tronu i dodał coś jeszcze, kiedy odchodził, kulejąc.

– Hę hę hę – parsknął Pikel.

– Pęknie ci kość w stopie i nawet nie wyjdiesz na mury powiedział Regis, wchodząc do hali, aby sprawdzić, co się stało. Cały kompleks wiedział już, że Drizzt żyje i ma się dobrze, a król jest wyjątkowo nie w sosie.

– Słyszałeś?!

Regis pokiwał głową.

– Wiedziałem, że żyje. Aby zabić Drizzta trzeba czegoś więcej, niż orków i lodowych gigantów.

– Zamierza iść na Oboulda. Sam! – wybuchnął Bruenor.

– No to nie chciałbym być w skórze tego orka – uśmiechnął się niziołek.

– Tia! – parsknął krasnolud. – Ten głupi elf znów będzie miał całą zabawę!

– Hę hę hę – powiedział Pikel, a Ivan trącił go łokciem. Pikel odwrócił się gwałtownie do brata i zaczął groźnie machać palcami, cały czas wydając z siebie ptasie dźwięki.

Ivan tylko pokręcił głową.

– Bu – powiedział Pikel i dodał swoje tradycyjne „hę hę hę”.

– Zamkniesz się wreszcie? – spytał Ivan kręcąc głową i odwrócił się, splatając ramiona na piersi.

I zobaczył, że Regis wpatruje się w niego i chichocze.

– No co?!

Król Bruenor zatrzymał się, popatrzył na Ivana i również zaczął się śmiać.

Ivan popatrzył na nich ze zdziwieniem, gdyż w przeciwieństwie do nich, nie mógł zauważyć,

iz Pikel przebarwił jego brodę na tak samo intensywny zielony kolor, jak u siebie.

– I oni myślom, żeś zabawny – powiedział do Pikela.

– Hę hę hę.

* * *

Drizzt nie ukrywał się przed zamiecią, lecz parł dalej, z pochyloną głową i kapturem głęboko naciągniętym na oczy. Na północ od Mithrilowej Hali był tylko śnieg, coraz więcej śniegu, lecz drow szedł nawet po nierównym, skalistym gruncie, ciągnąc za sobą Jutrzenkę. Kierował się w stronę, gdzie ostatni raz widział Oboulda. Gdy blask dnia przygasł, drowi łowca znalazł osłonięty nawis skalny. Zatrzymał się tam, kładąc się na grzbiecie Jutrzenki, aby choć trochę ogrzać się ciepłem jej ciała.

Śnieg przestał padać po wschodzie słońca, lecz wiatr jeszcze bardziej się wzmógł. Drizzt wyszedł i przyglądał się chmurom pędzącym po niebie, i migoczącym w rytm ich wędrówek gwiazdom. Wspiął się na szczyt nawisu i rozejrzał po okolicy. Dostrzegł kilka grup ognisk, gdyż w okolicy roiło się od oddziałów Oboulda. Zapamiętał największą z nich, zszedł na dół i zmusił się do zażycia tak koniecznego odpoczynku.

Jednak ruszył tuż przed świtem. Jechał na grzbiecie Jutrzenki, a nawet skłonił pegaza do serii krótkich, niskich lotów.

Kiedy znalazł się w okolicy, gdzie widział ogniska, na jego twarzy pojawił się uśmiech, gdyż rychło dostrzegł sztandar Oboulda – tę samą chorągiew, którą widział nad jego osobistą karawaną. Znalazł sobie dogodny punkt obserwacyjny i tam wylądował. Wkrótce potem wozy ruszyły dalej.

Drizzt przyglądał im się uważnie. Dostrzegł wędrującego między szeregami, wykrzykującego rozkazy króla orków.

Drow kiwnął głową i rozejrzał się po okolicy, wybierając dla siebie ścieżkę, którą mógł podążać za karawaną.

Teraz czekał cierpliwie na dogodną chwilę.

Zabijemy wszystkich, szeptała w jego umyśle przewrotna Khazid'hea.

Drizzt skupił siłę swojej woli i po prostu odciął się od telepatycznego intruza, a potem wysłał mieczowi własne ostrzeżenie. Odezwij się jeszcze raz, a nakarmię tobą smoka. Będiesz siedzieć w stosie jego skarbów przez tysiące lat, jeśli nie dłużej.

Miecz zamilkł.

Drizzt wiedział, że Khazid'hea szukała go celowo, wiedział, że miecz chciał, aby przez jakiś czas to on był jej posiadaczem. Pomyślał, że może powinien być bardziej posłuszny rozumnej broni, zaakceptować jej podszepty, a może nawet ludzić, że to ona tu rządzi...

Nieważne, uznał i dalej utrzymywał mur mentalnej osłony. Khazid'hea mogła zdominować większość ludzi, po raz pierwszy wzięła z zaskoczenia nawet Catti-brie, nakłaniając kobietę do pełnienia swojej woli.

Lecz dla wojownika tak doświadczonego i zdyscyplinowanego jak Drizzt Do'Urden, wojownika, który dobrze znał naturę świadomego miecza, siła jego woli była tylko drobną niedogodnością. Drizzt pomyślał nad tym przez chwilę i zrozumiał, że nie powinien ryzykować. Jeden wróg wystarczy.

– Zabijemy ich wszystkich – powiedział Drizzt i uniósł miecz przed swoje przenikliwe patrzące oczy.

Wyczuł aprobatę Khazid'hei.

GDY BOGOWIE KRZYCZĄ Kaer'lic Suun Wett niemal się przewróciła, kiedy zobaczyła nadlatującą z południa, charakterystyczną sylwetkę skrzydlatego konia. Orki przygotowały łuki, kapłanka zaczęła szukać jakiegoś czaru, lecz Obould był szybszy i zdecydowany.

– Nie strzelać! – krzyknął, podbiegając i obracając się tak, aby każdy go usłyszał i nie miał żadnych wątpliwości.

Kiedy odwrócił się w stronę Kaer'lic, kapłanka ujrzała płonący w jego oczach ogień i natychmiast porzuciła myśl o nieposłuszeństwie i rzuceniu w jeźdźca jakiegoś zaklęcia, którym obdarzyła ją Lolth.

A jeszcze bardziej rozwścieczyła się, gdy skrzydlaty koń zbliżył się i rozpoznała siedzącego na nim, czarnoskórego jeźdźca.

– Drizzt Do'Urden – wyszeptwała.

– Odważy się podlecieć bliżej? – spytał stojący obok niej Tos'un.

Pegaz skręcił w bok i wzbił się wyżej, zdając się zatrzymać w powietrzu na kilka uderzeń skrzydeł.

– Obouldzie! – krzyknął Drizzt, a kiedy wzbił się wyżej, jego słowa zostały zaniezione orkom. – Chcę z tobą rozmawiać! Sam na sam! Nie skończyliśmy naszej rozmowy!

– Do reszty stracił rozum – szepnęła Kaer'lic.

– A może jest z Obouldem w układach? – spytał Tos'un. – Albo jest posłem Mithrilowej Hali?

– Zniszcz go! – krzyknęła Kaer'lic do Oboulda. – Wyślij łuczników, by go zestrzelili albo ja...

– Poczekasz ze swoimi czarami albo zaraz porozmawiasz o tym z Donnią i Ad'nonem – odparł Obould.

– Zabij go – szepnęła Tos'un, i w pierwszej chwili Kaer'lic niemal zaatakowała króla orko w, jednak zdrowy rozsądek zapanował nad jej instynktowną nienawiścią. Patrzyła to na Oboulda, to na Drizzta, który skierował pegaza ku najbliższemu wyniesieniu, dużej, płaskiej skale, wbijającej

się klinem w łagodne zbocze wzgórza i podparte na kilku wysokich, naturalnych kolumnach skalnych.

Kaer'lic bardzo starała się ukryć uśmiech, gdy popatrzyła na króla orków, odzianego we wspaniałą zbroję spinaną sprzączkami o kształcie pajaków. Choć nie miała zamiaru zbliżyć się do Drizzta, w rezultacie wszystko szło tak, jak się spodziewała. A nawet lepiej, pomyślała, bo nie spodziewała się, że sam Drizzt Do'Urden okaże się pierwszym znaczącym wrogiem, któremu Obould stawi czoła w swojej „ulepszonej” zbroi. Gdyby Drizzt okazał się choć w połowie tak dobry, jak Kaer'lic zaczynała sądzić, wtedy króla orków czeka bardzo niemiła niespodzianka.

– Zamierzasz rozmawiać z tym niewiernym? – spytała.

– Jeśli mówi w imieniu Mithrilowej Hali i chce powiedzieć to, co chciałbym usłyszeć – odparł Obould.

– A jeśli nie?

– W takim razie bez wątpienia przybył mnie zabić.

– A ty zamierzasz z nim rozmawiać?

– I zabić – Obould był ucieleśnieniem pewności siebie. Wydawał się niemal znudzony, jakby Drizzt był nic nie znaczącym przerywnikiem.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziała Tsinka, podchodząc szybko do jego wielkiej postaci.

– Nie masz powodu. Zabijmy go z daleka i ruszajmy naszą drogą. Albo wyślij posła... wyślij Kaer'lic, ona zna sposoby działania drowów!

Nagle rozszerzenie czerwonych oczu kapłanki zdradziło jej przerażenie tą perspektywą, lecz opanowała się szybko i posłała Tsince pełne nienawiści spojrzenie. Kiedy na twarzy szamanki pojawił się wyraz troski, a może nawet smutku, Kaer'lic przypomniała sobie o zakłęciu, dzięki któremu była jej „najlepszą przyjaciółką”. Zmusiła się, by się uśmiechnąć do ogłupiałej Tsinki, po czym pomachała jej palcem, aby nie przeszkadzała.

Szamanka popatrzyła ze zdziwieniem na swoją drogą przyjaciółkę, po czym uśmiechnęła się radośnie, że zrozumiała.

– Słyszałam, że jest groźny – powiedziała Kaer'lic tylko dlatego, iż wiedziała, że raczej nie uda jej się odwieść Oboulda od tego zamiaru.

– Już raz z nim walczyłem – wzruszył ramionami król orków.

– Może to pułapka – powiedziała Tsinka stopniowo ścisząc głos i popatrzyła potulnie na Kaerlic.

Obould parsknął i zaczął iść w stronę drowa, lecz zatrzymał się i odwrócił, odsłaniając przez szczelinę w hełmie poźółkłe kły. Dwoma krokami przeszedł obok Kaer'lic, wyciągnął rękę, złapał biednego Fendera za kark i z łatwością wsadził go sobie pod pachę.

– Nigdy nie pertraktuj bez przygotowanej własnej propozycji – zauważył i odszedł zdecydowanym krokiem.

* * *

Drizzt nie był zaskoczony widząc Oboulda, schodzącego z dalekiego wzgórza, choć widok krasnoluda wytrącił go z równowagi. Poza wrywającym się więźniem przy orku nie było nikogo. Skradając się za karawaną Drizzt opracował kilka zmyślnych pułapek, aby wraz z Jutrzenką mogli szybko wypaść spod osłony wysokich skał i zaatakować Oboulda. Lecz drow uznał, że takie plany nie są potrzebne. Wiedział już, jak walczy król orków, i chodziło tu nie tylko o jego fizyczną stronę. Obould nie uchylił się od oficjalnie rzuconego wyzwania.

A co z krasnoludem? Drizzt musiał znaleźć jakiś sposób, by Obould nie zabił nieszczęśnika. Może nie zacznie walczyć, dopóki król orków nie zagwarantuje mu bezpieczeństwa. Obserwując nadchodzącego Oboulda, drow coraz bardziej nabierał przekonania, że zdoła sprawić, aby ork nie zabił krasnoluda. Drizzt zaczął zauważać w Obouldzie coś niezwykłego. Ork w pewien sposób przypominał Drizztowi Artemisa Entreri. Zbyt dumny i skupiony tylko na jednej rzeczy, zawsze gotów, by się sprawdzić... tylko przed kim? Pewnie przed samym sobą.

Drizzt nie miał nawet cienia wątpliwości, że Obould wyjdzie mu na spotkanie. Obserwował jego długie kroki, dostrzegł też inne orki i parę drowów idących szerokim łukiem za samotną postacią króla. Trzymając lewą dłoń na głowicy Lodowej Śmierci, wyciągnął Khazid'heę z przymocowanej do siodła pochwy i natychmiast opuścił broń tak, aby nie wyglądać groźnie.

Wytniemy jego serce, zaczął obiecywać miecz.

Będziesz milczeć i trzymać się z dala od moich myśli, odparł telepatycznie Drizzt. Rozprosz moją uwagę jeszcze raz, a zrzucę cię do przepaści i przykryję lawiną śniegu i zimnych kamieni.

Skupione myśli drowa były tak mocne i władcze, że świadomy miecz natychmiast zamilkł.

* * *

– Wygra, prawda? Dzięki magii, którą rzuciłaś na jego zbroję, Obould wygra, prawda? – dopytywała się Tsinka, podchodząc do miejsca, gdzie stały drowy.

Kaer'lic ignorowała ją przez większość drogi, co sprawiło tylko, że ogłupiała szamanka stała się jeszcze bardziej natarczywa.

Wreszcie kapłanka odwróciła się i spytała:

– Jest Gruumshem, prawda? Tsinka zamilkła i stanęła jak wryta.

– Drizzt to tylko drow-wojownik – powiedziała Kaer'lic. – A Obould to Gruumsh. Boisz się o Gruumsha?

Tsinka popatrzyła na nią zaskoczona, zastanawiając się, jak odpowiedzieć na zarzut braku wiary.

– Zatem milcz i rozkoszuj się widowiskiem – powiedziała Kaer’lic. Jej głos był tak władczy, zwłaszcza dla pozostającej pod wpływem zaklęcia Tsinki, że skutek wydanego polecenia był taki sam, jak w przypadku rozkazu Drizzta dla Khazid’hei.

* * *

– Powiedz, co masz do powiedzenia, i to szybko – powiedział Obould, stając naprzeciw drowa na wielkim, płaskim głazie. Jutrzenka zrobiła kilka kroków i odleciała, jak jej polecił Drizzt.

– Powiedz? – spytał drow.

Obould wypuścił biednego Fendera – krasnolud stęknął, lądując twarzą na skale.

– Przybyłeś jako poseł z Mithrilowej Hali?

– Nie byłem tam.

Uśmiech na twarzy Oboulda stał się szerszy, choć z trudem można go było dostrzec za przerażającym hełmem o kształcie czaszki.

– Wierzysz, że krasnoludy będą chciały się z tobą układać? – spytał drow.

– A mają inny wybór?

– Będą rozmawiać z tobą toporami i łukami. Ich odpowiedzią będzie tylko gniew.

– Mówiłeś, że nie było cię w Mithrilowej Hali.

– Czy muszę wracać do miejsca i osób, które tak dobrze znam, by przewidzieć działania klanu Battlehammer?

– Tu chodzi o coś więcej niż klan Battlehammer – rzekł Obould, a Drizzt zauważył, że z twarzy orka zniknął uśmiech. Król warknął i kopnął skulonego Fendera, zrzucając go z głazu. Krasnolud potoczył się po zboczu.

Nagły przypływ gniewu wytrącił Drizzta z równowagi.

– Chcesz układać się z Mithrilową Halą? – raczej oznajmił, niż spytał. Nawet nie próbował ukryć zaskoczenia.

Obould patrzył na niego z nienawiścią przez szkliste osłony oczu.

Zewsząd atakowały Drizzta pytania. Skoro Obould chciał rozmawiać, czy to możliwe, że wojna miała się ku końcowi? Jeśli Drizzt pokonałby orka, czy okazałby nielojalność wobec Bruenora i jego ludu, zwłaszcza gdyby pojawił się teraz promyczek nadziei na koniec wojny?

– Wróćcie do swoich jaskiń? – wypalił, gdy tylko pytanie pojawiło się w jego głowie. Obould spojrział na niego krzywo.

– Rozejrzyj się, drowie – powiedział. – To jest teraz mój dom. Moje królestwo! Kiedy leciałeś na swoim koniku, widziałeś wielkość Oboulda. Widziałeś Królestwo Mrocznych Strzał. Pamiętaj tę nazwę przez ostatnie minuty swego życia. Umrzesz w Mrocznych Strzałach, Drizzcie

Do'Urdenie, a ptaki rozdziobią twoje ciało na górskim zboczu należącym do króla Oboulda – warknął i uniósłszy swój wielki miecz, zaczął iść w stronę drowa.

– Kto jest twoim następcą? – spytał Drizzt. Jego słowa sprawiły, że Obould zatrzymał się. – Muszę to wiedzieć, zanim zginiesz. Może ten ork będzie mądrzejszy niż Obould i zrozumie, że nie ma dla niego miejsca między krasnoludami, elfami i ludźmi. A jeśli nie, jego też zabiję i porozmawiam z jego następcą.

Drizzt widział, jak okryte za osłoną oczy orka rozszerzają się. Z rykiem, od którego zadrżały kamienie, Obould skoczył do przodu, wykonując gwałtowne pchnięcie. Wielki miecz buchnął płomieniami.

Lodowa Śmierć pomknęła do przodu i w mgnieniu drowiego oka zaczarowana broń zderzyła się z wielkim mieczem, zamieniając ogień w chmurę dymu, kiedy Drizzt przesunął się na bok. Mógł zaatakować Khazid'heą, gdyż zadufany w sobie Obould zapomniał o jakiegokolwiek obronie. Mimo to powstrzymał się.

Wielki miecz uderzył, jak się spodziewał, na ukos, zmuszając drowa do szybkiego cofania się. Gdyby Drizzt wykorzystał to pierwsze zwanie i uderzył znalezionym mieczem, to trafiłby, ale nie zadałby poważnej rany.

Uświadamiając Obouldowi jego nieoczekiwaną wrażliwość na ciosy.

Król orków atakował zawzięcie, tnąc i pchając. Stojące niżej i z boku głazu orki wrzeszczały z radości.

Drizzt starannie wykonywał każdy obrót i cofnięcie, pozwalając wypalić się furii i wykorzystując mniej energii niż jego rozwścieczony przeciwnik. Nie próbował zmęczyć Oboulda, chciał lepiej poznać jego poruszenia, aby je łatwiej przewidzieć.

Wielki miecz znów się rozplomienił, gdy udawane pchnięcie zmieniło się w cięcie w dół. Gdyby Drizzt nie widział, jak ork użył podobnej sztuczki przeciw elfowi Tarathielowi, mógłby zostać zaskoczony. Tymczasem spadające ostrze napotkało tylko Lodową Śmierć, gaszącą jego ogień.

Obould natarł gwałtownie wprost na drowa, który zrobił krok w lewo, po czym skoczył w tył i na prawo i przetoczył się, podczas gdy ork miotał się to w jedną stronę, to w drugą, tnąc poziomo. Miecz znów się rozpalił; przetaczając się, Drizzt poczuł ciepło magicznego ognia, gdy ostrze przesunęło się tuż nad nim.

Drizzt zerwał się na nogi i zawirował, po czym cofnął się szybko i skoczył w bok, jak tylko Obould znowu zaatakował. Krążyli wokół siebie, a orki wykrzykiwały radośnie z każdym cięciem swego króla, choć ani razu nie trafił on zwinnego drowa.

Nie okazywał jednak żadnych śladów zmęczenia.

Wreszcie Obould przerwał tę walkę i spojrzął na Drizta przez płomienie buchające z jego miecza.

– Zamierzasz ze mną walczyć? – zapytał.

– Sądziłem, że walczymy.

– Uciekaj, jeśli chcesz! – krzyknął Obould. – A jeśli się nie boisz, skrzyżujmy ostrza.

– Zmęczyłeś się?

– Znudziłem! – ryknął ork.

Drizzt uśmiechnął się i udał, że zaczyna biec. Zatrzymał się nagle i zaskoczył wszystkich, podrzucając Lodową Śmierć w powietrze. Obould śledził wzrokiem opadanie broni.

Drizzt schował pustą dłoń za plecami i wyciągnął naładowaną kuszę. Kiedy Obould znów spojrzał na niego – jakże chciał, by król orków to widział! – drow wzruszył ramionami i pociągnął za spust.

Strzałka trafiła w osłonę lewego oka Oboulda, po czym zapadła się i buchnęła żarłocznym płomieniem i czarnym dymem. Głowa orka odskoczyła gwałtownie do tyłu. Padł płasko na głazy, jakby spadła na niego góra. Nie ruszał się.

Wśród widzących to orków rozległy się westchnienia i szept.

* * *

– Efektowne – zauważył cicho Tos'un.

Stojącej obok Kaer'lic opadła szczeka, a Tsinka jęczała cicho i wzdychała.

Widzieli, jak Drizzt znów chowa za plecy kuszę, po czym, jakby od niechcienia, łapie opadający sejmitar.

Kaer'lic zauważyła, że zbliża się pegaz, i nagle przestraszyła się, że Drizzt znowu ucieknie. Teraz nie mogła na to pozwolić.

Zaczęła rzucać potężne zaklęcie, wymierzone w skrzydlatego konia, nie zaś drowa, lecz wtedy przerwała jej Tsinka, która złapała ją za ramię i krzyknęła:

– On się rusza!

Kapłanka spojrzała na Oboulda, który uniósł się chwiejnie na łokciu, zginając kolana, po czym gwałtownie poderwał się na równe nogi.

Orki znów krzyknęły radośnie.

* * *

Gdy Obould nagle znów stanął przed nim, Drizzt dobrze ukrył swoje zaskoczenie. Widział czubek strzałki, sterczącej w zasłonie ze szkłostali i czarne ślady spalenizny, przesłaniające resztę, szczególnie zaś drugie oko.

Nie liczył na to, że zabije Oboulda zwykłą strzałką. I tak dobrze się stało, że upadek króla

orków zaskoczył go bardziej niż drowa jego gwałtowny powrót, gdyż Obould zawył i zaatakował jeszcze raz, tnąc na oślep.

Ale...

On nie widzi, uświadomił sobie Drizzt robiąc krok w bok. Obould atakował dalej pustą przestrzeń przed sobą.

Zabij go! – namawiała głodna Khazid'hea. Zgadzaający się z nią drow nawet nie uciszał miecza.

Podszedł szybko i wbił Khazid'heę w spojenie sławnej zbroi króla orków. Magiczne ostrze przecięło je jak masło i wbiło się w bok Oboulda.

Wielki ork zawył i podskoczył, wrywając miecz z uchwytu Drizzta. Obould cofnął się chwiejnie. Po wystającym z rany ostrzu ciekła krew.

– Zdrada! – zawył i zerwał z głowy zniszczony hełm, ciskając go poza klif. – Nie możesz pokonać mnie uczciwie i nie pokonasz mnie nieuczciwie!

Ku zaskoczeniu Drizzta zaatakował ponownie.

* * *

– Nie do wiary – wyszeptał Tos'un.

– Uparciuch – poprawiła z warknięciem Kaer'lic.

– Gruumsh! – zawyła Tsinka, płacząc z radości. Inne orki też krzyczały, gdyż jeśli wystający z boku miecz oznaczał śmiertelną ranę, to po atakach Oboulda wcale nie było tego widać.

– Nie wie nawet, kiedy umrzeć – burknęła Kaerlic i zaczęła rzucać zaklęcie, wezwanie do magicznych przedmiotów, które stworzyła z łaski Pani Lolth.

Czas zakończyć tę parodię.

* * *

Drizzt usiłował pokonać swoje niedowierzanie i godnie odpowiedzieć na ataki Oboulda. Dopiero po kilku parowaniach i unikach zrozumiał, że powinien wyciągnąć Błysk, aby zastąpić stracony miecz.

– Zyskałeś coś dzięki tej zdradzie, drowie? – spytał Obould, nacierając.

– Nie masz hełmu, a to już coś! – odkrzyknął Drizzt. – Żółw wyszedł ze swojej skorupy.

– Tylko po to, bym mógł na ciebie spojrzeć w ostatnich chwilach twego życia, głupcze! – zapewnił go Obould. – Abyś mógł zobaczyć radość na mojej twarzy, kiedy twoje ciało ostygnie! – zakończył swoją wypowiedź gwałtowną szarżą i odwrócił się, bo Drizzt już skakał w bok.

Ten ruch zaskoczył drowa, gdyż to, co zrobił, było manewrem typu „wszystko albo nic”.

Gdyby Obould źle odgadł i obrócił się w niewłaściwą stronę, wówczas drow bez trudu wbiłby mu jeden albo dwa sejmitary w tył głowy.

Lecz Obould odgadł poprawnie.

Atakowany ze wszystkich stron i cofający się Drizzt parował rozpaczliwie. Obould walczył tak szybko, że Drizzt nawet nie mógł myśleć o wyprowadzaniu skutecznego kontrataku. Król orków atakował tak zajadle, że drow nie mógł nawet spróbować zdjąć z karku jego odsłoniętej głowy. Wiedział, jaka moc kryje się za ciosami Oboulda i wiedział, że nie zdoła odepchnąć wielkiego miecza. Nawet zabrana martwemu drowowi koszula ani najlepszy mithril z kopalni Bruenoranie ochroniłby go przed rozplataniem na dwoje.

Po prostu Obould odgadł dobrze. Drizzt zrozumiał, że przegrał.

Oba sejmitary uderzyły w miecz, Lodowa Śmierć po raz kolejny zgasiła płomienie. Wstrząs sprawił, że ramię drowa zdrętwiało, gdyż nawet przy blokowaniu obiema rękami nie mógł w pełni zatrzymać ciosu. Upadł, aby nie zostać przeciętym i zrobił przewrót do przodu. Nie mógł jednak minąć Oboulda, nie otrzymując jakiegoś ciosu, w najlepszym przypadku kopniaka. Przygotował się na uderzenie...

...które jednak nie spadło.

Podniósłszy się na nogi, Drizzt rozejrzał się wokoło i zobaczył, że Obould kuli się na ziemi, wstrząsany gwałtownymi drgawkami.

– Co?! – zaryczał król orków, po czym przetoczył się to w lewo, to w prawo.

Minęło kilka sekund, nim Drizzt dostrzegł, że zapinki-pająki poruszają się. Ośmionogi łąziły po Obouldzie, a sądząc po jego krzykach i podskokach wydawało się, że go gryzą.

Miotający się ork zaczął zrywać fragmenty swojej zbroi. Jedno zarękawie poleciało na skały, ork machał nogami, próbując uwolnić się od nagolenników. Spadł wielki napierśnik, a także naramiennik i namięcznik. Drugi naramiennik odchylił się, trzymany na miejscu tylko przez wbity miecz, a Obould wył za każdym razem, kiedy paskudny oręż się poruszał.

Drizzt skoczył ku niemu, by zadać ostateczny cios, nie rozumiejąc tego wszystkiego i nie przejmując się tym zbyt. Zbyt.

Szybko cofnął się, gdy Obould oprzytomniał i odpowiedział nagłym, dobrze wymierzonym pchnięciem. Drow skrzywił się, na boku jego zaczarowanej koszuli pojawiła się krew. Cały czas nie spuszczał z oka swego przeciwnika, zaskoczony, że ork miał jeszcze dość świadomości, by go zaatakować.

Obould wyprostował się, korzystając z chwili odpoczynku. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie, kiedy pacnął dłonią, by rozpląszyć pająka, który znalazł słabe miejsce na jego grubej, orczej skórze. Cisnął truchło na ziemię, po czym z rykiem bólu wyciągnął z rany Khazid'heę, a wraz z nią i naramiennik.

Użyj mnie jako swojego miecza! – krzyknęła do niego Przecinaczka.

Z groźnym rykiem Obould cisnął denerwującą broń poza klif.

– Znów zdrada! – zaryczał ku Drizztowi. – Potwierdzasz waszą złą sławę, drowie!

– To nie moje dzieło! – odkrzyknął mroczny elf. – Nie mów mi o zdradzie, Obouldzie, skoro ubierasz się w zbroję, której nie mogę przebić!

Ta odpowiedź zdawała się uspokoić orka, który wyprostował się i zadumał. Pokiwał nawet głową, potwierdzając słowa Drizzta. Wreszcie uśmiechnął się i powiedział:

– Teraz już jej nie noszę.

Rozłożył szeroko ręce i rozpałił swój miecz, zapraszając drowa do dalszej walki.

Drizzt wyprostował się mimo bólu w boku, również kiwnął głową i skoczył.

Przez kilka chwil wszyscy oglądający tę walkę – tak drowy jak i orki – nie krzydzeli ani nie jęczeli. Wszyscy stali jak wryci, zaskoczeni nagłą furią starcia, szczękiem broni i unikami walczących. Dźwięk zderzających się kling zlewał się w jeden odgłos. Każdy z nich mijał drugiego tak blisko, że widzowie tylko wzdychali co jakiś czas.

Zaskoczenie walką stanowiło dla Drizzta nie lada wyzwanie. Ruchy Oboulda były tak płynne, szybkie i sprytne, że poczuł się, jakby walczył z Artemisern Entreri. W następnej chwili dostał bolesną nauczkę – jego ramię zadrżało od ciosu, który mógłby powalić nawet mocarnego giganta.

Wyzbył się wszystkich myśli i zmienił się w Łowcę, pozwalając, by narastał w nim gniew, pozwalając na idealne skupienie.

Wiedział, że istota, z którą walczy, była równie skupiona.

* * *

Kaer'lic wiedziała, że czas działania jej uroku dobiegł końca. Tsinka odkryła, że dar dla Oboulda to oszustwo, przypadła więc do Kaer'lic i zaczęła na nią krzydzec:

– Nie możesz go pokonać! Nawet twoja zdrada blednie wobec mocy Oboulda! Chciałaś zdradzić boga – poznaj teraz, jak głupio postąpiłaś!

Dla Tsinki naprawdę wydawało się to chwilą absolutnej radości, a na to Kaer'lic nie mogła pozwolić. Wypowiadając ostatnie słowa zaklęcia, drowka wyrzuciła rękę do przodu, tworząc nagłe zawirowanie powietrza i trzaskające energią wyładowanie. Tsinka zakreśliła łuk w powietrzu i wylądowała na ziemi.

– Zabij ją poleciła Tos'unowi, który natychmiast ruszył wypełnić polecenie.

– Zaczekaj – powstrzymała go. – Niech pożyje jeszcze chwilę. Niech zobaczy, jak jej bóg umiera.

– Powinniśmy stąd iść – powiedział Tos'un, najwyraźniej wystraszony pokazem Oboulda, stale dotrzymującemu pola drowowi.

Kaer'lic posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, po czym dalej obserwowała zmagania na skale. W jej oczach błysnęła wściekłość. Zaczęła śpiewać pieśń do Pani Lolth, sięgając po wszelkie rezerwy magicznej mocy, które mogła przywołać dla rzucenia potężnego czaru. Powietrze zdawało się gromadzić wokół niej, włosy uniosły się w podmuchu wiatru, którego nie było. Chwyliła ten wiatr wyciągniętą ręką, przyciągnęła do siebie i wyciągnęła drugą. Powtarzała te ruchy, jakby tuliła do piersi całą nagromadzoną energię.

Ziemia pod ich stopami zaczęła dygotać. Kaer'lic wydawała z siebie niski krzyk, który nabierał szybkości i siły w miarę, jak kapłanka coraz dalej wyciągała obie ręce w stronę Drizzta i Oboulda.

Nad nimi przetoczył się grzmot; orki kryły się za głazami, krzyczały i uciekały. Ziemia zaczęła się trząść. Szybkie z początku poruszenia zmieniły się w kolejne fale lawin. Skały pękały i kruszyły się. Przed Kaer'lic pojawiło się pęknięcie, które szybko pomknęło w stronę walczących.

Pod wpływem zaklęcia Kaer'lic wielka skała pękła na dwoje, kamienie posypały się lawiną. Obould z rykiem poleciał w dół, a Drizzt poleciał za nim.

BYĆ ELFEM Jej nos był bezkształtną masą porwanego ciała, oblepionego krwią i brudem; tak samo było z lewym okiem. Tsinka wiedziała, że zaklęcie Kaer'lic połamało większość kości na jej twarzy i była bardzo zadowolona, kiedy po ocknięciu przekonała się, że pary drowów nigdzie nie ma. Wyglądało na to, że wszystko się skończyło: po wielkim trzęsieniu ziemi orki uciekły.

Tsinka siedziała przez wiele minut, spoglądając na pękniętą skałę naprzeciwko. W powietrzu wciąż wisiała chmura pyłu. Co ta Kaer'lic narobiła? Dlaczego Pani Lolth ruszyła przeciwko Temu, Który Jest Gruumshem? Dla biednej, rannej szamanki nie miało to żadnego sensu.

Wbrew wszystkiemu Tsinka dźwignęła się na nogi i chwiejnym krokiem podążyła w stronę miejsca katastrofy. Szła tą samą drogą, którą Obould szedł w stronę zdradzieckiego drowa. Nadal widziała odcisnięte w śniegu i błocie ślady jego stóp. Na wpół oślepią krwią i łzami, Tsinka szła chwiejnie dalej, przewracając się i wzywając swego boga:

– Jak mogłeś do tego dopuścić?!

Niemal przewróciła się o jakieś ciało, na wpół zagrzebane pod śniegiem i kamieniami. Wzdrygnęła się i wymierzyła mu kopniaka, gdy okazało się, że to ten paskudny krasnolud. Jęknął coś, więc kopnęła go jeszcze raz i poszła dalej.

Wdrapała się na resztki płaskiej skały, na której toczył się pojedynek. Trzęsienie ziemi rozerwało ją na dwoje; ta połowa, na której stali Obould i Drizzt, spadła w przepaść.

Tsinka otarła ręką twarz i zmusiła się do dalszego marszu. Upadła na kolana i spojrzała na spowite pyłem rumowisko.

Jakiś tuzin stóp poniżej dostrzegła rannego, lecz nadal żywego mrocznego elfa.

– Ty! – zawyła i splunęła w jego stronę.

Drizzt uniósł głowę i popatrzył na nią. Był brudny, zakrwawiony i przyciskał do boku rękę: nie wyszedł z tego bez szwanku. A jednak ocalał, spadając na wąską półkę i ściśle przywierając do skały.

– Gdzie teraz uciekniesz?! – krzyknęła do niego Tsinka.

Rozejrzała się, odeszła i po chwili wróciła, niosąc w każdej ręce kamień. Cisnęła pierwszym i chybiła; drugim mierzyła dłużej i ten pocisk drow odbił uniesioną ręką.

– Nigdzie nie widzę twojego latającego konia! – krzyknęła i pokuśtykała, by znaleźć następne pociski.

Znów zasypała Driztą kamieniami, a on mógł tylko zasłaniać się zdrową ręką i przyjmować kłujące uderzenia. Choć bardzo się starał, nie miał się gdzie ukryć, nie mógł znaleźć żadnego uchwytu dla rąk, by mógł znów wspiąć się na płaską skałę.

Po każdym ciśnięciu kamieniem, Tsinka rozglądała się po niebie. Obiecywała sobie, że pegaz jej nie zaskoczy. Drow odegrał pewną rolę w zniszczeniu Tego, Który Był Gruumshem, zatem drow musi umrzeć.

* * *

Nie mógł nic zrobić. Drizt nie mógł w żaden sposób zareagować na atak. Nadal miał swoje sejmitary i kuszę Ivana, lecz strzałki zostawił przy Jutrzenie, a tego nie było nigdzie widać. Siedząc na wąskiej półce Drizt miał nadzieję, że pegaz znajdzie go, nim wrócą wrogowie.

Lecz nie miał szczęścia i musiał odbijać kamienie rękami.

Szamanka zniknęła na dłużej, a Drizt rozpaczliwie rozglądał się wokoło. Jednak nie dostrzegł pegaza. Nadal miał nadzieję że się pojawi, choć rozum podpowiadał mu, iż minie trochę czasu, nim Jutrzenka wróci w tak niestabilny, zniszczony rejon.

– Przynajmniej nie ma już Oboulda – szepnęła i wyjrzał za półkę, gdzie nadal spadały pojedyncze kamienie. – Bruenor wygrał.

Wszelka iskierka nadziei, jaką wzbudziła ta myśl, zgasła, gdy uświadomił sobie własną śmiertelność. Podniósł oczy do góry i ujrzał, jak szamanka trzyma nad głową duży kamień. Szybko rozejrzał się na boki, szukając jakiejś kryjówki.

Nie było żadnej.

Orczyca warknęła i zamachnęła się, aby rzucić.

Zamachnęła się i poszybowała w powietrzu. Zarówno kamień, jak i ona przelecieli obok zaskoczonego drowa, w dół, ku rumowisku. Nad krawędzią urwiska zamajaczyła brodata, zakrwawiona twarz krasnoluda.

– Miło cię widzieć, Drizcie Do'Urdenie – szepnęła najgłośniejszym jak potrafił Fender. – Może

zabierzesz mnie do domu?

* * *

– Udamy się do Gerti i dowiemy się, o co jej chodzi – powiedziała Kaer'lic.

– Krasnolud zniknął, a Tsinka prawdopodobnie knuje coś na naszą zgubę – odparł Tos'un.

– O ile ta szamanka o świńskim ryju jeszcze żyje – warknęła Kaer'lic. – Mam nadzieję, że tak, i będę mogła uczynić jej śmierć jeszcze mniej przyjemną. Widziałam już zbyt wiele tych przeklętych, śmierdzących orków. Spędziliśmy zbyt wiele dekadni w ich paskudnym towarzystwie, słuchając głupiego gadania i udając, że cokolwiek, co powiedzą, jest dla nas choćby w niewielkiej części ciekawe. Gruumsh niech weźmie Oboulda, a Pani Lolth Drizzta, i niech obaj cierpią aż po wieczność!

Tak bardzo zapamiętała się w tym narzekaniu, iż nie zauważyła, że oczy Tos'uną robią się tak wielkie, jakby miały za chwilę wyskoczyć z orbit. Była tak rozwścieczona, iż minęło trochę czasu, nim w ogóle dostrzegła, że drow nie patrzy na nią, ale za jej plecy.

Kaer'lic znieruchomiła.

Tos'un pisnął, obrócił się na pięcie i uciekł.

Kaer'lic wiedziała, że powinna zrobić to samo, natychmiast, lecz zanim jej umysł zdołał polecieć nogom, aby zaczęły się poruszać, potężna łapa chwyciła ją od tyłu za włosy i odgięła głowę tak mocno i gwałtownie, iż poczuła, jakby jej całe ciało zostało nagle zgniecione.

– Poznajesz ten smród? – szepnął jej do ucha Obould Wiele Straż. Pociągnął mocniej do tyłu, nie pozwalając jej upaść. – A moje gadanie teraz cię obraża?

Kaer'lic właściwie nie mogła się poruszyć. Widziała stojący obok wielki miecz Oboulda. Jego oddech, śmierdzący jak tylko to możliwe u orka, parzył jej kark. Musiała wyrwać się i rozprostować mięśnie szczęk, aby mogła w ogóle nimi poruszyć. Daremnie próbowała znaleźć jakiegokolwiek słowa.

– Rzucisz jakiś czar, więdźmo? – spytał Obould. – Przykro mi, ale nie mogę do tego dopuścić.

Jego twarz zbliżyła się nagle, a szczęki zacisnęły na odsłoniętym gardle Kaer'lic. Wczepiła się palcami w jego ramiona, szarpała się i wrywała z całej siły.

Obould szarpnął głowę, wrywając jej gardło. Przyciągnął Kaer'lic, zbliżył zakrwawioną, zmasakrowaną twarz do siebie, po czym splunął drowce w twarz jej własnym ciałem.

– Jestem pobłogosławiony przez Gruumsha – powiedział. – Naprawdę wierzysz, że zdołasz mnie zabić?

Kaer'lic krztusiła się, wymachując dziko ramionami. Z rozdartego gardła lała się krew, bulgocząca powietrzem uchodzącym z płuc.

Obould cisnął ją na ziemię i pozwolił, by powoli umierała.

Rozejrzał się po okolicy i na odległej półce dostrzegł jakieś poruszenie. Wiedział, że to nie może być Tsinka – kiedy wspinał się na górę, widział jej połamane ciało na kamieniach.

Będzie musiał znaleźć sobie nowego szamana, nową nałożnicę, która będzie traktować go jak boga. Będzie musiał szybko zebrać moc, by przerwać pogłoski o swojej śmierci. Wiedział, że orki szybko uciekają i tylko on, obdarzony mocą Gruumsha, zdoła je zatrzymać.

– Mroczne Strzały – powiedział zdecydowanie. – Mój dom.

* * *

Pogoda zmieniła się; powietrze stało się rześkie, z południa powiał ciepły wiatr. Bruenor i jego przyjaciele nie chcieli zostawać wewnątrz, woleli spędzić ten czas na północnej grani.

Ptasi zwiadowcy Pikela pierwsi donieśli o dwóch skrzydlatych koniach, lecących szybko ku Mithrilowej Hali. Choć nie było to zaskoczeniem, widok charakterystycznych sylwetek powitano z ogromną ulgą.

Bruenor i Wulfgar wysunęli się naprzód o kilka kroków dalej niż pozostali. Regis, bracia Bouldershoulder, Cordio, Stumpet i Pwent stali za nimi. Ostatnia była Catti-brie, opierająca się ciężko na drewnianej kuli i bocznej ścianie wieży.

Zmierzch wylądował przed królem krasnoludów. Innovindil uniosła nogę, zeskoczyła szybko i odwróciła się, by podtrzymać biednego Fendera. Bez jej pomocy nieszczęsny krasnolud pewnie by spadł.

Wulfgar podszedł i zdjął krasnoluda z pegaza, po czym przekazał go Cordio i Stumpet, którzy szybko się nim zajęli.

– Nie ma już Oboulda – powiedziała Innovindil. – Orki nie utrzymają się, kraje północy znów będą wolne.

Kiedy mówiła te słowa, na skale wylądowała Jutrzenka.

– Oto widok cieszący oczy starego krasnoluda – rzekł Bruenor.

Drizzt zsunął się na ziemię. Rzucił okiem na Bruenora, lecz cały czas patrzył prosto, między zebranymi, którzy rozstępowali się tak, jakby między nimi przechodził, pozostawiając otwartą przestrzeń między drowem i Catti-brie.

– Witaj w domu – powiedział Regis.

– Nigdy nie wątpiliśmy, że wrócisz – dodał Wulfgar.

Drizzt kiwnął im głową, choć nie odrywał wzroku od dziewczyny. Przechodząc obok Bruenora, poklepał go po ramieniu, potem zwichrzył włosy Regisa, uścisnął mocne ramię Wulfgara.

Nie zatrzymał się jednak i nie patrzył na nich. A potem poderwał Catti-brie z ziemi,

zmiażdżył w uścisku, tuląc mocno i całując.

– To właśnie znaczy być elfem, Drizzcie Do'Urdenie – szepnęła Innovindil, kiedy para ruszyła w stronę nowych wschodnich wrót Mithrilowej Hali.

– No niech ja zostanę brodatym gnomem – powiedział Bruenor.

– Hę hę hę – dodał Pikel, a zawstydzony Regis zachichotał. Wszyscy roześmieli się, lecz radość Bruenora zniknęła, kiedy spojrział na Wulfgara.

Wielki mężczyzna spoglądał w ślad za Drizztem i Catti-brie, ale pod maską spokoju krył się przejmujący ból.

EPILOG – Zrozumie to – powiedział Drizzt do Catti-brie. Siedzieli rankiem na łóżku, dwa dekadnie po powrocie drowa do Mithrilowej Hali.

– Nie, bo nie musi – odparła Catti-brie. – Powiedziałeś jej, że pójdziesz i tak zrobisz. Dałeś słowo.

– Innovindil zrozumie... – zaczął Drizzt, lecz urwał pod ciężarem ostrego spojrzenia Catti-brie. Już to przechodzili.

– Musisz zamknąć pewien rozdział swego życia – powiedziała cicho Catti-brie, unosząc jego dłonie i całując. – Twój sejmitar wbił się w twoje serce tak samo mocno, jak w serce Ellifain. Nie wracasz do niej ze względu na Innovindil. Nic im nie jesteś winien, dlatego owszem, uważam, że rozumieją. Jesteś za to coś winien sobie. Musisz wrócić. Pozwolić Ellifain spocząć w spokoju, i dać spokój Drizztowi.

– Jak mam cię teraz zostawić?

– Jak możesz nie? – uśmiechnęła się Catti-brie. – Nie mam wątpliwości, że do mnie wrócisz, nawet jeśli twoją towarzyszką podróży jest śliczna elfka. – Poza tym – ciągnęła – nie będzie mnie tu. Obiecałam Wulfgarowi, iż udam się z nim do Silverymoon, a jeśli trzeba, może nawet dalej.

Drizzt pokiwał głową, zgadzając się z ostatnim zdaniem. Według przewoźnika na promie, Delly Curtie zbliżyła się do łodzi, na której znajdowali się uciekinierzy z północy. Krasnolud przypomniał sobie, że widział, jak przekazuje coś – może dziecko – innej kobiecie. Nie był jednak pewien, której – dla niego wszystkie wyglądały tak samo.

Wulfgar nie zamierzał czekać do wiosny, a Catti-brie nie zamierzała puścić go samego.

– Nie możesz jechać z nami – powiedziała. – Twoja obecność w tych plotkarskich miastach wywołałaby zbyt wielkie poruszenie. Ten, kto ma dziecko, zostałby ostrzeżony. Ty masz swoje zadanie, a my swoje.

Drizzt nie spierał się z tym.

– Regis zostaje z Bruenorem?

– Ktoś musi. Bardzo zdenerwowała go wieść, że Obould, albo ktoś działający w imieniu Oboulda, dalej zbiera orki. Bruenor sądził, że tamci zaczną już odwrót, lecz wszystkie wieści z północy świadczą o tym, że działa dalej.

– Królestwo Mrocznych Strzał... – szepnął Drizzt, kręcąc głową. – Alustriel i pozostali nie chcą z nim walczyć.

Catti-brie ścisnęła go mocniej za rękę.

– Znajdziemy jakiś sposób.

Siedząc tak blisko niej, Drizzt w nic innego nie wierzył. Przy niej nie mógł wierzyć, że jakkolwiek problem pozostanie nierozwiązany.

Chwilę potem Drizzt znalazł Bruenora w jego sali posłuchań. Obok króla siedział Regis. Przed nimi stali bracia Bouldershoulder, gotowi do drogi.

– Miło cię widzieć, drowie – przywitał go Ivan. – Ja i brat... – przerwał.

– Brat! – powiedział Pikel.

– Tia, wracamy dodom zobaczyć, czy Cadderly ziała coś z mojem... znaczy, z ramieniem Pikela. Przez kilka dekadni nie będzie tu kogo prac. Wrócimy jednak i zatłuczemy jeszcze parę orków.

Odwrócił się do Bruenora.

– Jeśli król zechce.

– A czy jakiś władca byłby tak głupi, by odrzucać pomoc braci Bouldershoulderów? – spytał uprzejmie Bruenor, choć Drizzt słyszał przebijający z każdego słowa gniew.

– Bum! – wykrzyknął Pikel.

– Ta, bum – powiedział Ivan. – Chodź, zielonobrody kuzynie wiewiórki Cadderly’ego. Prowadź do domu... i bez korzeni, jasne?

– Hę hę hę.

Drizzt patrzył, jak wychodzą z hali, po czym odwrócił się do Bruenora i spytał:

– Czy twoje królestwo będzie kiedyś takie same?

– To dobre krasnoludy – powiedział Bruenor. – Ale ten zielonobrody mnie przeraża.

– Bum! – powiedział Regis. Król łypnął na niego groźnie.

– Powiedz tylko „Hę hę hę”, a wyrwę ci całe brwi. Następnie zwrócił się do Drizzta:

– Ludzie z miast chcą ich tu pozostawić, elfie. Głupie ludzie pozwalają tym śmierdzielom zatrzymać to, co zagarnęły.

– Nie wiedzą, jak to obejść ani nie mają ku temu powodu.

– To głupota. Obould, czy jakiś inny świński ryj, który zajął jego miejsce, nie będzie tu siedział i wchodził w układy handlowe.

– Nie zaprzeczę.

– Nie możemy pozwolić im tu pozostać.

– Nie mamy też szans pokonać ich bez sojuszników – przypomniał krasnoludowi Drizzt.

– No to musimy ich znaleźć! – oznajmił Bruenor. – Wyruszasz z Invo... Inno... z tą cholerną elfką?

– Obiecałem zaprowadzić ją do ciała Ellifain, aby mogło zostać zabrane do Księżycowego Lasu.

– Dobrze.

– Wiesz, że wrócę. Bruenor kiwnął głową.

– Gauntlgrym – powiedział. Drizzt i Regis spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Gauntlgrym – powtórzył Bruenor. – Nasza trójka. Moja córka, jeśli jest gotowa, i mój chłopak, kiedy odnajdzie już swoją małą. Musimy znaleźć odpowiedzi na nasze pytania w Gauntlgrym.

– Skąd o tym wiesz? – spytał Regis.

– Wiem, że Moradin nie odesłał mnie tu z powrotem, żebym podpisywał traktat z jakimś śmierdzącym świńskim ryjem – odparł Bruenor. – Wiem, że nie zdołam pokonać go samemu, a nie udało mi się przekonać wystarczająco wielu sojuszników.

– Sądzisz, że znajdziesz odpowiedzi na swoje pytania w dawno zapomnianym krasnoludzkim królestwie? – spytał Drizzt.

– Wiem, że na początek musi wystarczyć. Banak jest gotów przejąć pod moją nieobecność zarządzanie Halą. Wszystko jest już gotowe. Na wiosnę ruszamy do Gauntlgrym, elfie.

Drizzt popatrzył na niego zdziwiony, niepewny, czy Bruenor ma coś na myśli, czy po prostu reaguje na spokojne siedzenie, wynajdując jakiś sposób, by wrócić na szlak. Jednak zastanowiwszy się nad tym, drow zrozumiał, iż tak naprawdę nie ma to większego znaczenia. Był tak samo jak Bruenor zdecydowany, by poczuć wiatr na twarzy.

– Na wiosnę ruszamy do Gauntlgrym – powiedział.

– Pokażemy orkom, co i jak – obiecał Bruenor. Siedzący obok niego Regis tylko westchnął.

* * *

Tos'un Armgo nie był tak samotny i wytracony z równowagi od czasu, kiedy opuścił armię Menzoberranzan po porażce w Mithrilowej Hali. Trójka jego towarzyszy nie żyła, wiedział, że jeśli zostanie na północy, Obould postara się, by szybko do nich dołączył.

Rankiem znalazł ciało Kaer'lic, pozbawione wszystkiego, co mogłoby mu się przydać. Gdzie miał się podziać?

Pomyślał o krętych korytarzach Podmroku i uświadomił sobie, że najprawdopodobniej nie może tam wrócić, nawet gdyby chciał. Nie mógł też zostać na powierzchni, między orkami.

– Gerti – zdecydował, siedząc na tej samej skale, na której walczyli Obould i Drizzt. Gdyby mógł dostać się do Lśniącej Bieli, znalazłby sojuszników, może schronienie.

O ile tam dotrze. Ześlizgnął się ze skały i ruszył w dół, osłonięty od wiatru i oczu wielu szpiegów Oboulda. Znalazł prowadzący niżej szlak i ruszył na północ.

Nie zostawiaj mnie! – usłyszał i zatrzymał się.

Zrozumiał, że nie usłyszał wołania, lecz raczej poczuł je w głębi myśli. Dziwne, pomyślał, rozglądając się wokoło, dopasowując zmysły do otoczenia.

Tu! Na lewo. Przy głazie.

Podążając za tymi wskazówkami, Tos'un szybko dotarł na miejsce i kiedy podniósł sławny miecz, uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni.

Milo cię widzieć, odparła Khazid'hea.

– Owszem – powiedział Tos'un, czując doskonale wyważenie broni i sprawdzając niewiarygodnie ostrą klingę.

Spojrzał na miejsce, gdzie znalazł miecz i zauważył, że wyciągnął je z pęknięcia w nieprzebijalnej zbroi Oboulda.

– Owszem... – powiedział, myśląc, że nie wszystko przeżył nadaremnie.

Khazid'hea również nie narzekała, gdyż rozumny miecz szybko pojął, iż znalazł wreszcie nosiciela nie tylko wartościowego, ale i o podobnym umyśle.

* * *

Pewnego mroźnego, zimowego poranka Drizzt i Innovindil wyruszyli z Mithrilowej Hali na południowy zachód. Zamierzali przejechać obok Nesme, by sprawdzić, jak posuwa się fortyfikowanie miasta, pokonać północną część Trollowych Wrzosowisk, by dotrzeć do miasta Longsaddle, gdzie mieszkała znajoma rodzina magów, Harpellowie. Starzy przyjaciele króla Bruenora bez wątpienia przyłączą się do walki, kiedy wreszcie do niej dojdzie. Król krasnoludów był tak zdeterminowany w poszukiwaniu sojuszników – jakichkolwiek – iż przyjąłby z radością nawet pomoc ekscentrycznych magów, którzy wysadzali się nawzajem w powietrze niemal równie często, jak przeciwników.

Drizzt i Innovindil zamierzali trzymać się drogi na południowy zachód aż do morza, mając nadzieję, że będą mogli wzbic się na swoich skrzydlatych rumakach pod niebo. Potem, kiedy zima być może rozluźni swój lodowaty uścisk, skręcą na północ i wrócą do parowu, gdzie drow złożył ciało Ellifain.

Tego samego ranka prom z trudem przepłynął przez lodowatą Surbrin, wioząc na pokładzie Wulfgara i Catti-brie, dwoje przyjaciół zdecydowanych odnaleźć zaginioną córkę barbarzyńcy.

Bruenor i Regis odprowadzili obie pary, po czym wrócili do prywatnych komnat króla, gdzie zaczęli układać plany wiosennej wyprawy.

– Gauntlgrym, Pasibrzuchu – powtarzał Bruenor, a Regis zaczynał traktować to jak litanię przeciwko strasznej prawdzie o najeździe orków. Sama myśl o Królestwie Mrocznych Strzał rozciągającym się do samego progu Bruenora wprawiała krasnoluda w trzęsawkę.

Regis wiedział, że w ten sposób chce on uciec od strasznej rzeczywistości. Chciał coś zrobić, cokolwiek, próbował odepchnąć to od siebie.

Niziołek nie widział, aby Bruenor był tak ożywiony i chętny do podróży od czasu wyprawy, która wiele lat temu wyciągnęła ich z Doliny Lodowego Wichru na poszukiwanie Mithrilowej Hali.

Będą tam wszyscy, cała piątka... szóstka, licząc Guenhwyvar. Może Ivan i Pikel wrócą przed nastaniem wiosny i przyłączą się do nich.

Bruenor był zbyt zajęty mapami i listą potrzebnego ekwipunku, by usłyszeć, jak Regis cichutko powiedział:

– Hę hę hę.